

DEAN KOONTZ

MROCNIE POPOŁUDNIE

Z angielskiego przełożyła RENATA KOPCZEWSKA

Tytuł oryginału:

THE DARKEST EVENING OF THE YEAR

*Gerdzie, która kiedyś, w przyszłym życiu,
zostanie radośnie powitana przez swoją córeczkę,
którą na tym świecie tak bardzo
i z tak bezinteresowną czułością kochała.*

A także

*Ojcu Jerome Molokie,
za jego przyjaźń, dobroć i życzliwość
oraz za przywiązanie do tego, co najważniejsze,
prawdziwe i nieskończone.*

Część pierwsza

Ciągnie mnie w mroczną głąb tej kniei.

Robert Frost

Przystając pod lasem w śnieżny wieczór¹

¹ Wszystkie fragmenty wiersza Roberta Frosta *Przystając pod lasem w śnieżny wieczór*, stanowiące motto kolejnych części tej książki, tłumaczył Stanisław Barańczak (55 wierszy, Kraków 1992).

Amy Redwing prowadziła forda expedition tak, jakby była nieśmiertelna i żadna prędkość nie mogła być dla niej niebezpieczna.

Wzniecane lekkimi podmuchami wiatru złote liście platanów wirowały wzdłuż pogrążonej w ciemnościach ulicy. Wjeżdżała w nie z impetem, a złotawe oznaki jesieni rozpadały się z cichym trzaskiem na szybie samochodu.

Dla niektórych ludzi przeszłość jest łańcuchem składającym się z poszczególnych dni, powrót do nich jest przesuwaniem się wstecz do poprzednich ogniw, od jednego ciemnego miejsca do drugiego, jutro zaś wiąże się nierozzerwalnie z dniem wczorajszym.

Amy Redwing nie знаła swego pochodzenia. Porzucona w wieku dwóch lat nie pamiętała ani ojca, ani matki.

Zostawiono ją w kościele z karteczką z nazwiskiem przypiętą do koszulki. Śpiące na ławce dziecko znalazła zakonnica.

Prawdopodobnie jej nazwisko zostało zmienione albo przekręcone. W każdym razie policja nie natrafiła na żaden ślad rodziny.

Jej nazwisko, Redwing, sugerowało rdzennie amerykańskie pochodzenie. Kruczoczarne włosy i ciemne oczy wskazywały na plemię Czirokezów, ale jej przodkowie równie dobrze mogliby przybyć z Armenii, Sycylii czy Hiszpanii.

Historia Amy pozostała więc niepełna, jednak brak korzeni nie dał jej poczucia wolności. Czowała się związana z czymś tkwiącym w odległej przeszłości.

Mimo że wydawała się wolnym duchem, zdolnym bez trudu unosić się w powietrzu, w gruncie rzeczy stąpała mocno po ziemi.

Przypięty pasami do pasażerskiego fotela, wciskając stopy w nieistniejący pedał hamulca, Brian McCarthy chciał skłonić Amy, by zwolniła. Nie odezwał się jednak z obawy, że słysząc jego ostrzeżenia, Amy odwróci głowę w jego stronę i przestanie patrzeć przed siebie.

Poza tym, działając w poczuciu misji, gotowa była na każdy apel o rozwagę reagować odwrotnie, w tym wypadku przez mocniejsze naciśnięcie pedału gazu.

– Uwielbiam październik – powiedziała, odwracając wzrok od jezdni. – A ty, kochasz październik?

– Jeszcze jest wrzesień.

– A ja we wrześniu kocham październik. Wrześniowi to nie przeszkadza.

– Patrz, gdzie jedziesz.

– Kocham też San Francisco, ale ono znajduje się tysiące mil stąd.

– Jeśli nadal będziesz jechała z taką prędkością, dotrzemy tam w ciągu kilku minut.

– Jestem znakomitym kierowcą. Jeżdżę bezwypadkowo i bez mandatów.

– Przed oczami przewijają mi się sceny z całego mojego życia – powiedział.

– Może powinieneś iść do okulisty.

– Amy, proszę cię, nie patrz na mnie.

– Kiedy ty, kochany, dobrze wyglądasz. Jakbyś dopiero co wstał z łóżka.

– Chodzi mi o to, żebyś patrzyła na drogę.

– Ten facet, jak on się nazywał? Marco. Jest niewidomy, ale prowadzi.

– Jaki znowu Marco?

– Marco jak-mu-tam. Mieszka na Filipinach. Czytałam o nim w jakimś piśmie.

– Przecież niewidomy nie może prowadzić samochodu.

– Domyślam się, że nie wierzysz też, że człowiek poleciał na Księżyc.

– Nie wierzę, by niewidomy z psem jeździł samochodem.

– Pies Marca siedzi z przodu na fotelu pasażera. Marco wyczuwa za pośrednictwem psa, kiedy ma skręcić w prawo, kiedy w lewo, a kiedy wcisnąć hamulec.

Czasami ludzie uważają Amy za uroczą świruskę. Na początku Brian też tak uważał.

A potem uznał, że się mylił. W świrusce nigdy by się nie zakochał.

– Chyba nie mówisz poważnie, że psy przewodnicy mogą prowadzić samochody.

– Co ty, głuptasie. Oczywiście, że pies nie prowadzi. Ale on kieruje Markiem.

– Gdzie ty to wyczytałaś?

– W „National Geographic”. To była wzruszająca historia o tym, jak związek człowieka z psem dodaje sił niepełnosprawnemu.

– Dam sobie rękę uciąć, że to nie było w „National Geographic”.

– Wiesz, że nie uznaję zakładów – powiedziała.

– Ale niewidomych kierowców uznajesz.
– Skoro są to odpowiedzialni niewidomi...
– Nigdzie na świecie niewidomi nie mają prawa prowadzić samochodów – nie ustępował.

– Teraz już nie mają – przyznała.

Brian chciał się powstrzymać przed zadaniem następnego pytania, ale mu się to nie udało.

– Marcowi już nie wolno prowadzić?

– Ciągłe na coś wpadał.

– Wyobrażam sobie.

– Ale nie możesz winić za to Antonie’a.

– Jakiego znowu Antonie’a?

– Psa. Jestem pewna, że robił, co mógł. Psy takie są. Marco po prostu o jeden raz za dużo nie zgadł jego intencji.

– Uważaj, jak jedziesz. Masz krawężnik z lewej strony.

Odpowiedziała mu z uśmiechem:

– Jesteś moim osobistym Antoine’em. Nigdy nie dopuścisz, żebym na coś wpadła.

W bladym świetle księżycy parterowe wiejskie domki niezamożnej klasy średniej zdawały się połyskiwać w ciemności.

Żadne latarnie nie rozjaśniały ciemności nocy, tylko księżyc wydobywał srebrzystą poświatę liści i kremowe pnie eukaliptusów. Tu i ówdzie gipsowe ściany domów rzucały odbłask przywodzący na myśl ektoplazmę, jakby to było wymarłe miasto, zamieszkane wyłącznie przez duchy.

Gdy minęli jeszcze jedną przecnicę, ujrzeli jeden dom, w którym paliły się światła.

Amy gwałtownie zahamowała, by w świetle reflektorów rozpoznać numer domu uwidoczniiony na skrzynce na listy. Wrzuciła wsteczny bieg. Cofając samochód, powiedziała:

– Gdyby sytuacja stała się niepewna, powinieneś jak najszybciej znaleźć się przy wyjściu.

Kiedy zgasła światła i silnik, Brian zapytał:

– Niepewna? To znaczy jaka?

Wychodząc z SUV-a, odpowiedziała:

– Z pijanym świrem nigdy nic nie wiadomo.

Podszedł do niej, gdy podnosiła klapę bagażnika, i ruchem głowy wskazując dom, zapytał:

– To znaczy, że tam znajduje się szaleniec, który w dodatku jest pijany?

– Ta Janet Bockman powiedziała mi przez telefon, że Carl, jej mąż, to pijany szaleniec, co być może oznacza, że pijaństwo odjęło mu rozum.

Amy ruszyła w stronę domu, ale Brian złapał ją za ramię i zatrzymał.

– A jeśli on jest szaleńcem nawet wtedy, gdy jest trzeźwy, a kiedy wypije, to mu się pogarsza?

– Słoneczko, nie jestem psychiatrą.

– Może to sprawa dla policji?

– Policja nie ma czasu na pijanych świrów.

– Moim zdaniem pijany świr to akurat ich kompetencje. Strząsnęła z ramienia jego rękę i zmierzając w kierunku domu, powiedziała:

– Nie traćmy czasu. On może być niebezpieczny.

Brian podążył za nią.

– Mamy zatem do czynienia z pijanym i niebezpiecznym szaleńcem?

– Może nie będzie chciał używać wobec mnie przemocy.

Wstępując na schody wiodące na ganek, Brian zapytał:

– A wobec mnie?

– Myślę, że on stosuje przemoc tylko wobec psa. Ale jeśli ten Carl napadnie na mnie, mam przecież ciebie.

– Mnie? Jestem tylko architektem.

– Nie dzisiaj, kochanie. Dzisiaj jesteś moim ochroniarzem.

Brian nieraz już towarzyszył Amy w tego typu wyprawach, ale nigdy jeszcze nie udawali się po północy do pijanego szaleńca.

– A jeśli mam niedobór testosteronu?

– A masz niedobór testosteronu?

– W zeszłym tygodniu płakałem, czytając tę książkę.

– Nad tą książką wszyscy płaczą. To tylko dowodzi, że jesteś człowiekiem.

Zanim Amy zdążyła nacisnąć dzwonek, drzwi się otworzyły. Na progu stanęła młoda kobieta ze spuchniętą i krwawiącą wargą.

– Czy pani Redwing? – zapytała.

– A ty jesteś Janet, prawda?

– Wolałabym nią nie być. Chciałabym być tobą albo kimkolwiek, wszystko jedno kim. – Cofnęła się, by ich wpuścić do środka. – Nie pozwólcie, by Carl zrobił jej krzywdę.

– Nie robi – zapewniła ją Amy.

Janet przytknęła do ust zakrwawioną ściereczkę.

– Okaleczył Mazie.

Czteroletnia dziewczynka z kciukiem w buzi uczepiła się sukni matki, jakby w obawie, że w każdej chwili może ją dosięgnąć cyklon, który zechce ją od niej oderwać.

W salonie dominowała szarość. Na złotym dywanie stała niebieska kanapa i równie niebieskie fotele, ale światło sączące się z dwóch lamp pozbawiało blasku kolory, które stawały się jakby okopcone dymem z tłumionego ognia, przez co nabrały patyny.

Gdyby w czyścicu istniała poczekalnia dla tłumów oczekujących wejścia, mogłaby wyglądać właśnie tak, posępna i uporządkowana.

– Okaleczył Mazie – mówiła dalej monotonnym głosem Janet. – Po czterech miesiącach Mazie... – Spojrzała na córkę. – Po czterech miesiącach Mazie umarł.

Brian, który właśnie zamykał drzwi frontowe, zawahał się. Zostawił je półprzymknięte, zwłaszcza, że wrześnie noc nie była chłodna.

– Gdzie jest wasz pies? – zapytała Amy.

– W kuchni. – Janet przycisnęła palce do spuchniętych ust, przez co jej mowa stała się niewyraźna. – Z nim.

Dziecko było zbyt duże na to, by z takim zapamiętaniem ssać palec, ale Briana jeszcze bardziej zaniepokoił wyraz oczu dziewczynki. Błękitne z purpurowymi refleksami były szeroko otwarte, jakby w oczekiwaniu na coś, co się zaraz wydarzy, naznaczone przebyłym doświadczeniem.

Powietrze stało ciężkie, przerywane tylko grzmotami, jakby zwiastującymi rychłe nadejście potopu.

– Gdzie jest kuchnia? – zapytała Amy.

Janet poprowadziła ich przez łukowate wejście do holu. Po obu jego stronach widać było mroczne pokoje niczym groty zatopione w wodzie. Jej córka sunęła za nią nie odstępując matki, jak pijawka przyssana do grzbietu dużej ryby.

Hol pogrążony był w mroku, tylko na samym końcu smuga światła przedostawała się przez uchylone drzwi.

Brian miał wrażenie, że cienie pojawiają się i znikają by po chwili znów się

pojawić, ale to przyspieszone bicie serca wciągnęło jego pole widzenia w swój niespokojny rytm.

W połowie korytarza stał pod ścianą chłopiec może sześćioletni, przyciskając piąstki do skroni.

To z jego krtani wydobywał się żaloszny pisk, jak powietrze uchodzące z przekłutego balonika.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Janet, kładąc chłopcu rękę na ramieniu, ale on odskoczył od niej.

Szła więc dalej, z uczeponą nadal jej sukni córeczką, aż dotarła do drzwi na końcu korytarza. Gdy pchnęła je, smuga światła, dotąd wąska jak sztylecik, stała się szeroka jak klinga miecza.

Kiedy Brian wszedł do kuchni za obiema kobietami i dziewczynką, niemal uwierzył, że źródłem światła był golden retriever, który zajął czujną pozycję w rogu między kuchenką i lodówką. Stworzenie zdawało się emanować światłem.

Suka ta nie miała typowej dla retrieverów zwyczajnie jasnej czy miedzianej sierści, ale wszystkie odcienie złota, i to połyskującego złota. Podszerstek jej filtra był gęsty, pierś szeroka, głowa bardzo kształtna.

Jeszcze większą uwagę zwracała jej postawa i zachowanie. Suka siedziała wyprostowana, z podniesioną głową, a jej napięcie sygnalizowały czujnie postawione uszy i ledwo dostrzegalne, ale nieustanne poruszenia nozdrzy.

Nie obróciła głowy, spojrzała tylko na Briana i Amy, ale natychmiast przeniosła wzrok z powrotem na swego pana.

Gospodarz w owej chwili nie bardzo zasługiwał na miano pana. Niewykluczone jednak, że każdy mężczyzna, który zawsze wyłącznie sam decydował o sobie, doprowadziłby się do podobnej kondycji.

Trzeźwy być może wyglądałby jak pierwszy lepszy mężczyzna z sąsiedztwa albo jak anonimowy przechodzień, jakich widuje się tysiące, z twarzą bez wyrazu, niewidzącym spojrzeniem wbitym gdzieś, gdzie nie ma nic godnego uwagi.

Teraz jednak, gdy stał przy kuchennym stole, twarz miał pełną wyrazu, ale wyrazu złowrogiego, załamane oczy nabiegły mu krwią. Patrzył spode łba jak rozjuszony byk, który z każdej strony spodziewa się czerwonej płachty. Szczeka mu opadła. Wargi miał spękane i wysuszone prawdopodobnie z permanentnego pragnienia spowodowanego alkoholizmem.

Carl Brockman zwrócił wzrok na Briana. W jego oczach czaiła się nie tyle

bezmyślna agresja człowieka ogłupionego przez alkohol, ile wyzwolony przez nałóg sadyzm.

– Coś ty narobiła? – zwrócił się do żony z pretensją.

– Nic, Carl. Sprowadziłam ich tylko w sprawie psa.

– Chcesz dostać – stwierdził tonem pełnym pogrózek.

Janet pokręciła głową.

– Ty naprawdę chcesz dostać, Janet. Wiesz, że za takie coś należy ci się lanie.

Janet zasłoniła zakrwawioną wargę, jakby wstydząc się swojej uległości.

Amy przykucnęła i zaczęła przywoływać psa.

– Chodź tu, ślicznotko. Chodź, maleńka.

Na stole stała butelka tequili, szklanka, solniczka w kształcie białego szkockiego teriera i talerzyk z plasterkami limonki.

Carl uniósł rękę, w której dzierzył łyżkę do opon samochodowych, trzymając ją za tępy koniec.

Walnął narzędziem o blat stołu, a plasterki limonki pospadały z talerzyka. Butelka się zachwiała, a kostki lodu zadzwoniły, objijając się o szkło.

Janet skuliła się, dziewczynka wydała krzyk stłumiony trzymanym w buzi kciukiem, Brian wzdrygnął się i napiął mięśnie, tylko Amy nieprzerwanie wabiła retrievera do siebie. Pies nie wydawał się przestraszony odgłosem uderzenia żelastwem o stół.

Teraz Carl jednym ruchem zrzucił łomem wszystko ze stołu.

Tequila rozlała się aż na drugim końcu kuchni, szklanka roztrzaskała się w drobny mak, a sól z ceramicznego pieska rozsypała po całej podłodze.

– Wynoś się – zarządził Carl. – Wynoś się z mojego domu.

– Pies stanowi problem – powiedziała Amy. – Po co panu kłopotliwy pies? Weźmiemy go od pana.

– A kto ty jesteś, do cholery? To moja suka. Nie twoja. Już ja wiem, jak trzymać krótko sukę.

Stół już nie oddzielał ich od Carla. Gdyby zamierzył się na nich żelastwem, niechybnie by ich trafił, chyba że wypita wódka sprawi, że stanie się ociężały i niezgrabny.

Facet nie wyglądał na ociężałego i niezgrabnego. Przypominał raczej kulę w magazynku, gotową – przy pierwszym ich nieostrożnym słowie lub geście – natychmiast wystrzelić.

Patrząc nienawistnie na żonę, Carl powtórzył:

- Wiem, jak trzymać krótko sukę.
- Ja tylko wykapałam biedaczkę – tłumaczyła się pokornie Janet.
- A na co jej kąpiel?

Starając się wziąć stronę psa, a jednocześnie nie sprzeciwić się mężowi, Janet powiedziała:

- Carl, kochanie, ona aż się lepiała, całe futro miała zmierzwione.
- To tylko pies, głupia flądrosz. Jej miejsce jest na podwórzu.
- Wiem. Masz rację. Nie chcesz, żeby siedziała w domu. Ale bałam się, rozumiesz, bałam się, że zrobią jej się rany, tak jak przedtem.

Jej pojednawczy ton zamiast go ułagodzić, tylko go rozjuszył.

– Nickie to moja suka. Ja ją kupiłem. Ja jestem jej panem. Ona jest moja. – Koniec łomu skierował na nią... – Wiem, co jest moje i co do mnie należy. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić ze swoją własnością.

Gdy Carl rozpoczął swój wywód, Amy wyprostowała się i nieporuszona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Brian dostrzegł w niej coś, czego dotychczas u niej nie widział, stała jak wrośnięta w ziemię, ale przecież nie ze strachu.

Carl, kierując teraz łom w stronę Amy, zapytał:

– Co się tak gapisz? A w ogóle, co tu robisz, ty głucha suko? Już ci mówiłem, zabieraj się stąd.

Brian zacisnął dłonie na poręczy krzesła. Nie była to groźna broń, ale w razie czego mógłby na krzesło przyjąć uderzenie łomu.

- Zapłacę panu za tego psa – oświadczyła Amy.
- Głucha jesteś?
- Kupuję ją.
- Nie sprzedaję.
- Dam tysiąc dolarów.
- Ona jest moja.
- Tysiąc pięćset.

Znając jej sytuację finansową, Brian zapytał:

– Amy?

Carl przełożył łom z prawej ręki do lewej. Zacisnął pustą dłoń z taką zaciekłością, jakby ścisnął narzędzie, aż zatrzeszczało mu w stawach.

– A ty kto jesteś, do cholery? – zapytał Briana.

– Jestem jej architektem.

– Tysiąc pięćset – powtórzyła Amy.

Chociaż w kuchni nie było specjalnie gorąco, twarz Carla świeciła się od tłustego potu. Miał też przepoconą koszulę, w ten sposób ciało pijaka starało się pozbyć toksyn.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

– Tak, proszę pana, wiem. Ale psa też pan nie potrzebuje. Przecież to nie jedyny pies na świecie. Tysiąc siedemset.

– Coś ty, oszalała?

– Możliwe, ale to niegroźne szaleństwo. Lepiej, niż gdybym była zamachowcem samobójcą.

– Zamachowcem samobójcą?

– Żadnych zwłok nie zakopałam na swoim podwórku. No, może tylko pogrzebałam kanarka w pudełku po butach.

– Coś z tobą nie tak – stwierdził Carl.

– Na imię miał Leroy. Nie chciałam mieć kanarka, zwłaszcza o imieniu Leroy. Ale umarła moja przyjaciółka, a Leroy nie miał się gdzie podziać, miał tylko swoją nędzną klatkę, więc go wzięłam do siebie, mieszkał u mnie, a potem go pochowałam, ale dopiero wtedy, kiedy zdechł, nie jestem aż taką wariatką.

Pod nasuniętymi brwiami oczy Carla przypominały mroczne studnie, na których dnie czaiła się zatruta woda.

– Nie kpij sobie ze mnie.

– Ależ proszę pana, gdzieżbym śmiała. Wychowywały mnie zakonnice, z nikogo sobie nie kpię, nie wzywam imienia Pana Boga nadaremno, nie noszę skórzanych trzewików do spódniczki, a gruczoły poczucia winy mam tak powiększone, że ważą pewnie tyle, co cały mój mózg. Tysiąc osiemset.

Carl przeniósł klucz z lewej ręki do prawej, ujmując go tym razem za drugi koniec, ostrzem mierząc w Amy, a wszystko to bez słowa.

Brian nie wiedział, czy milczenie damskiego boksera uznać za dobrą czy złą monetę. Widział już, jak Amy udawało się rozwścieczonego psa przerobić w łagodnego baranka, który pozwalał się drapać po brzuchu, ale gotów był założyć się o każde pieniądze, że Carl nie położy się na grzbiecie z łapkami wzniesionymi do góry.

– Dwa tysiące – powiedziała Amy. – To wszystko, co mam. Wyższej ceny już

nie mogę dać.

Carl postąpił krok w jej stronę.

– Odsuń się – ostrzegł go Brian, unosząc krzesło niczym poskramiacz lwów, choć poskramiacz powinien mieć jeszcze w ręku bicz.

– Spokojnie, Franku Lloydzie Wrightcie – Amy zwróciła się do Briana. – Ten pan i ja ubijamy interes.

Carl wyciągnął prawą rękę, opierając łom o jej obojczyk, z ostrzem zwróconym w stronę jej gardła.

Jakby nieświadoma faktu, że śmiertelna broń mogła przebić jej gardło, Amy powiedziała:

– Tak więc dwa tysiące. Twardy z pana negocjator. Przez jakiś czas nie będę mogła jeść filet mignon, ale nie szkodzi i tak hamburgery bardziej do mnie pasują.

Damski bokser stał się teraz hybrydą, był w połowie węzłem zwiniętym w kłębek, w połowie rozjuszonym bykiem. W jego spojrzeniu widać było zimną kalkulację, a jego język, choć nie rozwidłał się na końcu, to jednak wysunięty sprawdzał powietrze.

– Znałam takiego chłopaka – mówiła Amy – który omal nie udławił się na śmierć kawałkiem steku. Rękoczyn Heimlicha nic by tu nie pomógł, doktor więc zdecydował się na miejscu w restauracji rozciąć mu gardło i wyjąć tkwiący w krtani chłopca kawałek.

Nie poruszając się, pies nadal pozostawał czujny. Brian rozważał, czy nie powinien przejąć inicjatywy, ale gdyby nagromadzona w Carlu agresja miała wybuchnąć, Nickie pierwsza by to wyczuła.

– A babeczka przy sąsiednim stoliku – Amy ciągnęła swą opowieść – tak była przerażona, że zemdląca, padając twarzą wprost w zupę z homarów. Nie sądzę, by można było utopić się w talerzu zupy z homara, raczej taki okład dobrze robi na cerę, w każdym razie wyłowiałam ją z tej zupy.

Carl przeciągnął językiem po spękanych wargach.

– Masz mnie za głupiego?

– Pan może jest niewykształcony, nie wiem tego dokładnie, bo za krótko się znamy – perorowała Amy – ale mam całkowitą pewność, że nie jest pan głupi.

Brian zacisnął zęby.

– Dasz mi czek na dwa tysiące – przepowiadał Carl – a gdy tylko znajdziesz się za drzwiami z moim psem, zablokujesz wypłatę.

– Nie zamierzałam dać panu czeku – Amy wyciągnęła z wewnętrznej kieszonki kurtki zwitek studolarowych banknotów spiętych klamerką z niebiesko-żółtym motylkiem. – Płacę gotówką.

Brian przestał zaciskać zęby, teraz opadła mu szczęka.

Carl opuścił klucz i mruknął:

– Jasne, że z tobą coś musi być nie w porządku.

Schowała do kieszeni zapinkę i wymachując plikiem banknotów, zapytała:

– Załatwione?

Odłożył broń na stół, wziął od niej pieniądze i zaczął wolno przeliczać, bo jego wiedza matematyczna przyćmiona została przez tequilę.

Brian z ulgą odstawił krzesło.

Amy, przysunąwszy się do psa, wyłuskała z kieszeni czerwoną obrózkę i zwiniętą smycz. Przypięła smycz do obroży, którą następnie założyła psu.

– Przyjemnie się z panem robi interesy – zauważyła. Podczas gdy Carl przeliczał powtórnie dwa tysiące, Amy potrząsnęła delikatnie smyczą. Pies natychmiast wstał i wymaszerował z kuchni przy jej boku.

Wychodząc z psem, Amy zatrzymała się jeszcze przy chłopcu i coś mu powiedziała.

Brian nie słyszał, co mówiła.

Wejściowe drzwi były otwarte, tak jak je zostawił. Gdy zbliżał się do ganku, Amy dołączyła do niego z krocącym godnie psem.

– Byłaś... zadziwiająca – powiedziała Janet, stojąc na progu domu. – Dziękuję. Nie chciałam, żeby dzieci widziały... jak znów dzieją się takie rzeczy.

W mdłym świetle ganku jej twarz wydawała się ziemista, a białka oczu pożółkłe. Wyglądała na starszą, niż zapewne była.

– Wiesz, on weźmie sobie innego psa – powiedziała Amy.

– Może uda mi się temu zapobiec.

– Może?

– Spróbuję.

– Czy rzeczywiście myślisz tak, jak powiedziałaś na początku, gdy otwierałaś nam drzwi?

Janet spuściła oczy, wbiła wzrok w próg i wzruszyła ramionami.

– Powiedziałaś, że chciałabyś być mną albo kimkolwiek, wszystko jedno kim – Amy jej przypomniała.

Janet potrząsnęła głową. Zniżyła głos niemal do szeptu.

– Co ty z nim zrobiłaś, to niesamowite. Nawet nie chodzi o pieniądze. Ja bym tak nie potrafiła.

– W takim razie rób, co potrafisz. – Pochyliła się do Janet i powiedziała jej coś, czego Brian nie dosłyszał.

Janet słuchała uważnie, zasłaniając dłonią spuchnięte usta. Kiedy Amy skończyła, cofnęła się o krok, a ich oczy znów się spotkały. Janet nie odezwała się ani słowem, ale skinęła głową, na co Amy powiedziała:

– No, to dobrze.

Janet z córką weszła z powrotem do domu.

Nickie zdawała się wiedzieć, dokąd idą, szarpnęła za smycz i ruszyła w stronę samochodu.

– Zawsze masz przy sobie dwa patyki? – zapytał Brian.

– Tak, od trzech lat, kiedy nie mogłam uratować psa, bo nie miałam przy sobie pieniędzy, by go wykupić. Pierwszy kosztował mnie trzysta dwadzieścia dolców.

– Czasem więc, by uratować psa, trzeba go kupić?

– Na szczęście nieczęsto tak się zdarza.

Bez żadnej komendy Nickie wskoczyła do bagażnika SUV-a.

– Dobry piesek – pochwaliła ją Amy, a Nickie odpowiedziała machaniem ogona.

– Jesteś szalona.

– Och, to tylko pieniądze.

– Chodzi mi o to, jak pozwoliłaś mu trzymać łom na twoim gardle.

– Nic by mi nie zrobił.

– Skąd taka pewność?

– Znam ten typ ludzi. W gruncie rzeczy to mięczak.

– Nie nazwałbym go mięczakiem.

– On bije tylko psy i kobiety.

– Jesteś przecież kobietą.

– Nie w jego typie. Możesz mi wierzyć, kochany, że w mgnieniu oka można mu się dobrać do tyłka.

– Trudno się dobrać do tyłka komuś, kto trzyma żelastwo na twoim gardle.

Zatrząskując klapę bagażnika, odpowiedziała:

– Nie rozłupałby tym czaszki. To żelastwo by się skrusiło.

– Zabierajmy się stąd, zanim on nie wpadnie na pomysł, że za psa może wziąć trzy tysiące.

Otwierając klapkę telefonu komórkowego, powiedziała:

– Zaraz, jeszcze nie wyjeżdżamy.

– Co? Dlaczego?

– Dopiero teraz zacznie się zabawa – zapowiedziała, wystukując trzycyfrowy numer.

– Nie podoba mi się twoja mina.

– A co wyraża moja mina?

– Lekkomysłne przeciąganie struny.

– Lekkomysłność pasuje do mnie. Może mi z nią nie do twarzy? – Zgłosił się dyżurny z numeru 911. – Dzwonię z komórki. Jest tu mężczyzna, który bije żonę i małego chłopczyka. Jest pijany. – Podała adres.

Z nosem przy szybie golden retriever poznawał swoje nowe lokum, objając się o szklane ściany wyznaczające jego nowy świat.

Amy podała dyżurnemu swój numer.

– Już nieraz ich bił. Obawiam się, że tym razem może im zrobić poważną krzywdę, nawet ich zabić.

Powiew wiatru stał się silniejszy, poruszając mocniej koronami drzew eukaliptusowych, jakby odganiając kręcące się wokół nich roje owadów. Brian wyczuł zbliżający się chaos, sam urodził się podczas tornado.

– Jestem przyjacielem rodziny – skłamała Amy. – Proszę się pospieszyć.

Kiedy Amy skończyła rozmowę, Brian powiedział:

– Wydawało mi się, że on wypuścił już parę z gwizdka.

– Nie. Zaraz dojdzie do wniosku, że wraz z psem sprzedał swój honor. Zwali winę za to na Janet. Chodźmy.

Zaczęła iść w stronę domu, a Brian za nią.

– Czy nie powinniśmy zostawić tego policjantom?

– Mogą nie przybyć na czas.

Niewyraźne cienie liści przemykały po rozjaśnionych blaskiem księżyca płytach chodnikowych jak tysiące pszczoł spieszących, by skryć się w szczelinach.

– W takich sytuacjach przecież – powiedział – nie wiadomo, co robić.

– To, co robimy, jest słuszne. Nie widziałeś twarzy tego chłopca. Ma podpuchnięte lewe oko. Ojciec rozbił mu nos.

Brian poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

– Co chcesz zrobić temu sukinsynowi?

Wchodząc po schodach, odpowiedziała:

– To już od niego będzie zależało.

Janet zostawiła drzwi wejściowe szeroko otwarte. Z głębi domu dochodził rozwścieczony głos Carla, odgłosy uderzeń i przedziwne tony śpiewnego zawodzenia dziecinnym, krystalicznie czystym głosem.

Wewnątrz każdego zorganizowanego organizmu, czy to jest rodzina, czy fabryka, tkwi chaos. W każdym jednak chaosie istnieje tajemniczy porządek, który tylko czeka, by go rozszyfrować.

Amy pchnęła drzwi. Weszli do środka.

Ceramiczne solniczki i pieprzniczki w kształcie pary psów – siedzące teriery airedale, beagle z lekko zdziwionymi pyskami, szczerzące kły goldeny, psy pasterskie, stąpające godnie pudle, spaniele, szlachetne wilczarze irlandzkie – czekały w karnym szeregu na półkach otwartej serwantki, a inne w nieładzie na kuchennej ladzie.

Drżąca i zalana łzami Janet z pobladłą twarzą przeniosła dwa owczarki z lady na stół.

Gdy tylko się poruszyła, żelazna laga, najpierw wzniesiona w górę, szybko opadła na stół, niemal trafiając w nagie dłonie kobiety. Posypała się sól i pieprz, a w górę wystrzeliły ostre kawałki ceramiki, które odprysnęły w miejscu trafienia żelazną lagą.

Dwukrotne uderzenie łomu o stół, a po nim głos Carla, który rzucił krótkie polecenie:

– Jeszcze dwa!

Patrząc na tę scenę z holu, Amy domyśliła się, że zbiór ten musiał być szczególnie cenny dla Janet, stanowiąc jedyny przykład jakiegoś ładu, którego tak brakowało w jej życiu. Z małych ceramicznych figurek psów Janet czerpała pewien rodzaj nadziei.

Carl najwyraźniej też się tego domyślił. Zamierzał rozbić w pył i proch zarówno porcelanowe figurki, jak resztki oporu żony.

Przyciskając do piersi szmacianego różowego królika, który mógł być zabawką dla psa, dziewczynka skryła się za lodówką. Oczami jak paciorki wpatrywała się w coś niewidzialnego.

Cienkim, ale czystym głosikiem zaczęła śpiewać w języku, którego Amy nie potrafiła rozpoznać. Mogła to być celtycka pieśń myśliwska.

Chłopiec, któremu na imię było Jimmy, skrył się gdzieś indziej.

Janet, wiedząc, że męzowski łom może zgruchotać nie tylko solniczki i pieprzniczki, ale także jej palce, skuliła się, słysząc świst żelaza tnącego powietrze. Upuściła na stół ceramiczne dalmatyńczyki.

Krzyknęła, gdy żelazny łom zawadził o jej prawą dłoń, skulona odskoczyła pod piec, krzyżując na piersiach rękę.

Kiedy laga nie trafiła w dalmatyńczyki i walnęła głucho w dębowy blat, Carl złapał jednego dalmatyńczyka i rzucił żonie w twarz; figurka odbiła się od jej czoła, następnie uderzyła o drzwiczki od pieca i obtłuczonymi kończynami upadła na podłogę.

Amy wkroczyła do kuchni, tuż za nią Brian.

– Zostaw ją, Carl – powiedziała.

Pijak odwrócił głowę w jej stronę, z miną wyrażającą nie tylko groźbę, ale i okrucieństwo – stare jak świat.

Amy miała wrażenie, że w ciele Brockmana zamieszkuje ktoś jeszcze poza nim samym, że za jego przyzwoleniem jakiś nocny gość zakradł się do serca Carla, czyniąc sobie z niego kryjówkę.

– Może to już twoja żona? – zapytał Carl Briana. – I twój dom? A moja Theresa to już twoja córka, co?

Wdzięczne trele wydobywały się z gardziółka dziewczynki, jej głosik, czysty jak górskie powietrze i dziwny jak jej oczy, zagadkowy w tej czystości, a przez to, że niezrozumiały, brzmiał również pieszczotliwie.

– To twój dom, Carl – odpowiedział Brian. – Wszystko tutaj jest twoje. Więc dlaczego to niszczysz?

Carl zaczął coś mówić, ale zaraz ciężko westchnął.

Zdawało się, że fala emocji opuszcza go, zostawiając jego rysy spokojne i wygładzone, jak piasek obmyty cofającym się odpływem.

Bez śladu gniewu, który przedtem objawiał, powiedział:

– Widzisz... tak się sprawy mają, że najlepiej je zniszczyć.

Brian zrobił krok w stronę stołu, który ich dzielił, i zapytał:

– Co to znaczy: tak się sprawy mają? Możesz mi to wytłumaczyć?

Półprzymknięte oczy nadawały Carlowi wygląd śpiącego człowieka, ale musiał coś kombinować w swoim gadzim umyśle.

– Źle stoją. Wszystko idzie nie tak.

– Jakie sprawy?

W jego głosie dały się słyszeć nuty melancholii.

– Człowiek się budzi w środku nocy, czarnej jak atrament, kiedy jest tak cicho, że wreszcie może chwilę pomyśleć, i wtedy czuje, że wszystko jest nie tak, i nie ma

sposobu, by coś w tym zmienić na lepsze. Za nic nie da się nic zmienić.

Głosik Theresy, czysty, srebrzysty jak irlandzkie dudy, sprawił, że Amy przeszedł dreszcz, gdyż bez względu na to, o czym dziewczynka śpiewała, pieśń ta wyrażała zagubienie i tęsknotę.

Brockman spojrzał na córkę. W jego oczach ukazały się łzy, może wzruszył się córką, może piosenką, a może uzalił się nad samym sobą.

Niewykluczone, że głos dziecka miał walor ostrzegawczy, albo też sprawiło to długie obcowanie Amy z psami, w każdym razie wyczuła, że furia Carla nie minęła całkowicie, i stłumiona może wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

Wiedziała, że łom może uderzyć bez zapowiedzi i trafić jego żonę prosto w twarz, gruchocząc jej kości nieodwołalnie i ostatecznie, właczając mózg w czaszkę.

Niczym fala światła przecucie wysłane przez Amy natychmiast dotarło do Briana. Jeszcze zanim nabrała do płuc powietrza, by wydać z siebie krzyk, on już zrobił następny ruch. Nie mając dość czasu, by okrążyć kuchnię, wskoczył najpierw na krzesło, potem na stół.

Na dłoń, która trzymała łom, upadła ła, palce ścisnęły mocniej żelazo.

Janet otwarła szeroko oczy. Carl jednak zabił w niej wolę. Stała nieporuszona, z zapartym tchem, obezwładniona przygniatającym ciężarem rozpacz.

Podczas gdy Brian przystępował do konfrontacji, Amy uświadomiła sobie, że Carl równie dobrze jak na Janet, mógłby zamierzyć się na Theresę, skoczyła więc ku dziecku.

Stojąc na stole, Brian zdążył schwytać i zatrzymać uzbrojoną rękę zamierzającą się na Janet, po czym rzucił się na Brockmana. Upadli na podłogę, turlali się wśród odłamków ceramiki, plasterków limonki, w kałuży tequili.

Amy zostawiła szeroko otwarte drzwi frontowe, przez które teraz usłyszała dochodzący z dalszego krańca domu głos: „Policja!”. Przyjechali po cichu, nie na sygnale.

– Tutaj! – zawołała, przygarniając do siebie Theresę, której piosenka ścichła najpierw do szeptu, zanim całkiem umilkła.

Janet stała nieruchomo, jakby cios nadal jej groził, ale Brian już przejął łagę.

Dwóch policjantów opasanych skórzanymi pasami na kaburę, z dłońmi gotowymi do wyciągnięcia broni, weszło do kuchni. Jeden z nich polecił Brianowi odłożyć łom, co też Brian uczynił, kładąc narzędzie na blacie kuchennego stołu.

Carl Brockman wygramolił się z podłogi i stanął wreszcie o własnych siłach, z

krwawiącą ręką, w którą wbił się kawał szkła z rozbitej butelki. Jego twarz, przed chwilą jeszcze czerwona od gniewu, ze śladami niedawnych łez, teraz zbladła i wyrażała jedynie żal nad sobą.

– Pomóż mi, mała – skamlał, wyciągając ku żonie zakrwawioną dłoń. – Co mam robić? Pomóż mi, mała.

Zrobiła krok w jego stronę, ale zaraz się zatrzymała. Spojrzała najpierw na Amy, potem na Theresę.

Dziecko kciukiem uwięziło piosenkę gdzieś w sobie, zamknęło też oczy. Podczas całego zajścia twarz dziewczynki pozostawała bez wyrazu, jak gdyby była głucha na wszelkie pogrożki i odgłos uderzeń łomu walącego w dębowy blat.

Jedynym znakiem, że miała jakiś związek z rzeczywistością, było kurczowe ucieszenie się matczynej ręki.

– To mój mąż – powiedziała Janet do policjantów. – Bił mnie. – Podniosła rękę do ust, ale zaraz ją opuściła. – Mój mąż mnie uderzył.

– Jan, przestań, co ty opowiadasz.

– Uderzył też naszego synka. Rozbił mu nos. Naszemu Jimmy’emu.

Jeden z funkcjonariuszy wziął łom ze stołu i odstawił go w odległy kąt, tak by nikt nie miał do niego łatwego dostępu, po czym polecił Carlowi usiąść na krześle przy stole.

Następnie zaczęły się pytania i odpowiedzi, odsłonięcie nowego rodzaju cierpień: straconych złudzeń, niedotrzymanych obietnic i przysiąg.

Amy po opowiedzeniu policji swojej wersji wydarzeń oraz po złożeniu zeznań przez pozostałe osoby wyprowadziła Theresę z kuchni i poszła szukać chłopca. Mógł zaszyć się gdzieś w domu, ale Amy ciągnęło coś w stronę otwartych drzwi.

Na ganku pachniało kwitnym nocą jaśminem, który wspierał się na deszczułkach kratownicy. Wcześniej jakoś nie wyczuła tego zapachu.

Wietrzyk ucichł. W kompletnej ciszy drzewa eukaliptusów stały nieruchome jak żałobnicy.

Chłopiec zdawał się pochłonięty zabawą z psem na chodniku tuż przy aucie policyjnym widocznym w świetle księżyca.

Kłapa bagażnika jej forda była otwarta. Chłopiec zapewne wypuścił psa z SUV-a.

Uważnie przyjrząwszy się sytuacji, Amy odkryła, że Jimmy nie bawił się z retrieverem, tylko usiłował uciec. Pies natomiast zablokował mu drogę i zaganiał go z

powrotem do domu.

Chłopiec upadł na chodnik, podciągnął nogi pod brodę i znieruchomiał w tej embrionalnej pozycji.

Pies położył się przy nim, pilnując go jednak przez cały czas.

Amy posadziła Theresę na schodkach ganku i powiedziała:

– Nie ruszaj się stąd, kochanie, dobrze? Czekał tu na mnie.

Dziewczynka nie odpowiedziała, być może nie umiała mówić.

W ciemności nocy pogrążonej w ciszy jak w opustoszałym kościele Amy wybiegła na ulicę.

Nickie śledziła każdy jej krok. W blasku księżyca jej złota sierść wydawała się srebrna, a światło lamp zdawało się skupiać wyłącznie na niej, w odbiciu tym nabierając mocy.

Kiedy Amy uklękła przy Jimmym, usłyszała jego płacz. Położyła dłoń na jego ramieniu, a on jej nie zrzucił.

Ona i suka patrzyły na siebie ponad ciałkiem pogrążonego w żałości chłopca.

Retrieverka miała szlachetny wyraz pyska, daleki od komicznego wyrazu, jaki często przybierają psy tej rasy. Szlachetny i poważny.

We wszystkich domach, z wyjątkiem jednego, było ciemno. Cisza rozgwieżdżonej nocy przerywana była tylko cichym głosem popłakującego chłopca, który stopniowo uspokajał się, gdy Amy gładziła go po włosach.

– Nickie – szepnęła.

Pies nie postawił uszu, nie machnął ogonem, nie zareagował w żaden widoczny sposób, tylko przyglądał się jej uważnie.

Po chwili Amy skłoniła chłopca, by wstał.

– Obejmij mnie za szyję, kochanie – poprosiła.

Jimmy był mały i dał się z łatwością zebrać z chodnika, trzymała go na rękach jak w kołysce.

– Już po wszystkim, kochanie. Już minęło, więcej się nie powtórzy.

Pies poprowadził ich do auta, przebiegł kilka ostatnich kroków i wskoczył do bagażnika.

Stamtąd obserwował, jak Amy układa chłopca na tylnym siedzeniu.

– To się już nie powtórzy, przyrzekam ci – obiecała Amy, całując chłopca w czoło.

Ta obietnica zaskoczyła ją. Chłopiec nie był jej dzieckiem, a linie ich życia ledwo

się przecięły, tylko przez krótki czas mając wspólny bieg. Nie mogła dla obcego dziecka zrobić tego, co robiła dla psów, a i psom często nie udawało jej się pomóc. A jednak powtórzyła te słowa:

– Obiecuję ci to.

Zatrzasnęła drzwi i stała jeszcze przez chwilę z tyłu samochodu, patrząc na Theresę siedzącą na schodkach ganku.

Blask rzucany przez księżyc sprawiał, że betonowy chodnik wyglądał, jakby był pokryty szronem, a liście eukaliptusa jak malowane mrozem kwiaty.

Amy przypomniała sobie pewną zimową noc ze śladami krwi na śniegu i łopotem skrzydeł mew wzbijających się do lotu z poręczy galeryjki, przez moment oślepiająco białych, gdy przecinały snop światła latami morskiej omiatający niebo, tworząc jakby honorową eskortę niewinnej duszyczki, która wracała do domu.

3

Biuro Briana McCarthy'ego i Wspólników zajmowało pomieszczenia na parterze skromnego dwukondygnacyjnego budynku. On sam mieszkał na piętrze.

Amy zatrzymała samochód na niewielkim parkingu znajdującym się w pobliżu domu. Zostawiwszy w SUV-ie Janet z psem i dziećmi, odprowadziła Briana do zewnętrznych schodów, które wiodły do jego mieszkania.

Na szczycie schodów paliła się lampa, ale jej światło nie docierało na dół.

- Pachniesz tequilą – zauważyła.
- Chyba jeszcze mam w bucie plasterki limonki.
- Wejść na stół, by stamtąd rzucić się na niego, to było ryzykowne.
- Chciałem zrobić wrażenie na swojej dziewczynie.
- To ci się udało.
- Teraz chciałbym cię pocałować.
- Pod warunkiem, że nasz żar nie spowoduje globalnego ocieplenia i nie ściągniemy na siebie policji.

Spojrzał w kierunku samochodu.

- Wszyscy na nas patrzą.
 - Po doświadczeniach z Carlem może powinni zobaczyć, jak się ludzie całują.
- Pocałował ją. Była w tym dobra.
- Nawet suka nas obserwuje – powiedział.
 - Pewnie się zastanawia, ile dałam za ciebie, skoro za nią zapłaciłam dwa tysiące.

- W każdej chwili możesz wziąć mnie na smycz.
- Na razie wystarczy mi pocałunki. – Znów go pocałowała, po czym wróciła do samochodu.

Jeszcze przez chwilę śledził wzrokiem jej odjeżdżający samochód, a potem wszedł na górę. Jego mieszkanie było przestronne, miało mahoniowe posadzki i kremowe ściany. Powściągliwie umeblowane według kanonów najnowszej mody, ozdobione jedynie japońską sztuką, bardziej niż garsonierę przypominało zakonną

cełą. Przerobił to mieszkanie od podstaw i urządził, jeszcze zanim poznał Amy. Po tym już nie chciał być ani kawalerem, ani zakonnikiem.

Zrzucił z siebie ubranie przepojone zapachem tequili i wziął prysznic. Może gorąca woda sprawi, że zachce mu się spać.

Kompletnie wybudzony, czujny jak sowa nocą, włożył dzinsy i hawajską koszulę. Dochodziła dopiero trzecia, ale on gotów był rozpoczynać dzień.

Z kubkiem świeżo naparzonej kawy zasiadł w swoim gabinecie przed komputerem. Chciał trochę popracować, zanim bezsenność nie stępi jego wyostroznej uwagi.

Czekały na niego dwa e-maile. Nadawcą był *pigkeeper*.

Vanessa. Od pięciu miesięcy nie miał z nią żadnego kontaktu. Zaczynał myśleć, że ona już nigdy się nie odezwie.

Przez chwilę patrzył niezdecydowanie na ekran, wahając się, czy ma pozwolić jej wtargnąć znów do swojego życia. Gdyby nie czytał jej listów, nie odpowiadał na nie, może z czasem mógłby się jej pozbyć.

Ale wraz z nią straciłby nadzieję. Cena za pozbycie się Vanessy byłaby zbyt wysoka.

Otworzył pierwszego e-maila.

Piggy chce mieć szczeniaczka. Czy to takie głupie? Jak może troszczyć się o szczeniaczka, skoro on jest od niej mądrzejszy? Niektóre rośliny doniczkowe są mądrzejsze od Piggy.

Brian zamknął oczy. Za późno. Znów się na nią otworzył i teraz znów ożyła w jasnych sferach jego umysłu, wychodząc z ciemnych zaułków pamięci.

Jak ci leci, Bry? Czy masz już raka? W przyszłym tygodniu skończysz trzydzieści cztery lata, ale ludzie stale umierają młodo na raka. Czy mam za duże oczekiwania?

Wydrukował jej list, po czym przeniósł do pamięci komputera pod hasłem *Vanessa*.

Obiema rękami trzymał kubek, by kawa się nie wylała. Napar nadal mu smakował, ale to nie kawa była mu potrzebna.

Z kredensu w jadalni przyniósł sobie butelkę koniaku. Wróciwszy do gabinetu, wlał do kawy spory kieliszek remy martin.

Sam nie pijał często. Trzymał remy martin dla gości. Gość, który go nawiedził, nie był mile widziany, nawet jako duch tylko.

Chodził przez chwilę po mieszkaniu, czekając, aż koniak złagodzi jego napięcie.

Amy miała rację: Carl Brockman był mięczakiem. Pijak śmierdział tequilą, ale Vanessa nawet na odległość pachniała siarką.

Zebrawszy siły, wrócił do biurka, by przeczytać następnego e-maila.

Cześć, Bry. Zapomniałam o czymś zabawnym.

Nie czytając dalszego ciągu, nacisnął klawisz, by wydrukować list, po czym zachował go pod hasłem *Vanessa*.

W mieszkaniu panowała kompletna cisza, żaden dźwięk nie dochodził z biura ani z pogrążonej w ciemności ulicy.

Zamknął oczy. Ale tylko prawdziwa ślepotą mogłaby go powstrzymać przed przeczytaniem wydruku listu.

W lipcu przez cały dzień Piggy budowała zamki z piasku na tej małej plaży, jaką mamy na nowym miejscu, ale skończyło się na tym, że się strasznie spiekła i wyglądała jak pieczony baleronik. Biedaczka nie mogła spać przez kilka dni, płakała przez pół nocy, potem zaczęła jej schodzić skóra, więc się drapała do żywego. Niemal czuło się woń smażonego boczku.

Ślizgał się po powierzchni przeszłych zdarzeń, ale pod nim rozciągała się otchłań wspomnień.

Piggy znów jest różowiutka i gładka jak przedtem, ale na jej karku pojawił się pieprzyk, który jakby się zmieniał. Może słońce spowodowało powstanie czerniaka. Będę cię informować na bieżąco.

Złożył obie kopie listów razem. Później przeczyta oba raz jeszcze, doszukując się ukrytych aluzji, zwłaszcza w odniesieniu do „małej plaży”.

W kuchni wylał resztę zawartości kubka do zlewu. Nie potrzebował już kawy ani koniaku.

Poczucie winy nie przemija. Żal przechodzi w smutek, a smutek może trwać wiecznie.

Otworzył lodówkę, ale zaraz ją zamknął. Nie tylko nie mógł spać, ale nie mógł też jeść.

Nie nęcił go też powrót do gabinetu i zajęcie się projektem domu dla klienta. Architektura może być zamrożoną muzyką, jak powiedział kiedyś Goethe, ale w owej chwili był na nią głuchy.

Z kuchennej szuflady wyciągnął duży arkusz papieru i komplet ołówków. Te rzeczy trzymał pod ręką w każdym pomieszczeniu.

Usiadł przy stole, na którym się jadło, i zaczął szkicować dom dla Amy, zgodnie z jej życzeniem: z miejscem dla psów, schronieniem, gdzie już nikt nie mógłby podnieść na nie ręki, gdzie nie szczędzono by im ciepłych uczuć.

Posiadała kawałek ziemi, gdzie wierzchołki dębów rysowały się na tle nieba, rzucając o świcie długie cienie, które kładły się na porośniętych trawą stokach wzgórza, by w południe wycofać się w stronę szczytu. Miała wizję tego domu, która go zainspirowała.

Niemniej po niedługiej chwili zamiast szkicu domu zaczął wyłaniać się portret, a projekt schroniska przekształcił się w wizerunek samego psa. Brian był zdolnym portrecistą, ale jeszcze nigdy nie robił portretu psa.

Kiedy tak sunął ołówkiem po papierze, opanowało go dziwne uczucie zapowiadające coś niezwykłego.

Po odwiezieniu Briana do domu Amy zadzwoniła do sąsiadki, Lottie Augustine, by powiedzieć jej, że wiezie troje rozbitków, którzy nie są psami, ale którzy potrzebują schronienia.

Lottie pracowała jako wolontariuszka w Golden Heart, organizacji założonej przez Amy. Kilkakrotnie już się zdarzało, że wstawiała po północy, by służyć pomocą w nagłych przypadkach, i zawsze robiła to z uśmiechem.

Dla Lottie, owdowiałej od piętnastu lat emerytowanej pielęgniarki, pomaganie psom miało równie głęboki sens jak przedtem przynoszenie ulgi pacjentom i bycie dobrą żoną.

Dalsza jazda od miejsca, gdzie mieszkał Brian, do domu Lottie przebiegała w przytłaczającej ciszy: Theresa spała na tylnym siedzeniu, jej brat pogrążony był w ponurej zadumie, a Janet wyglądała przez okno, patrząc na mijane opustoszałe ulice, jakby to był krajobraz księżycowy, a nie po prostu okolica, której jeszcze nie знаła.

Amy w towarzystwie innych ludzi źle tolerowała ciszę. Obawiała się, że ktoś może wyrwać się z jakimś pytaniem, na które ona będzie musiała odpowiedzieć, co zburzy jej spokój.

Dlatego zagadywała, monologując o tym i owym, nie wykluczając historii o Antoine, psie kierującym samochodem niewidomego Marca gdzieś na dalekich Filipinach. Ale żadne z dwojga znękanych dzieci ani ich matka nie podjęli tematu.

Kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle, Janet podała Amy dwa tysiące dolarów, które dostał od niej Carl.

- To twoje pieniądze – powiedziała Amy.
- Nie mogę ich przyjąć.
- Kupiłam przecież psa.
- Ale Carl jest teraz w areszcie.
- Wkrótce go wypuszczą.
- Ale nie upomni się o psa.
- Ponieważ ja go kupiłam.

- O mnie się upomni, zwłaszcza po tym, co zrobiłam.
- Zaręczam ci, że cię nie znajdzie.
- Nie stać nas na trzymanie tej suki.
- Nie szkodzi. Ja ją kupiłam.
- I tak ci ją dam.
- Sprawa załatwiona.
- To mnóstwo pieniędzy – stwierdziła Janet.
- Niekoniecznie. Ja nigdy się nie targuję.

Kobieta przykryła dłońmi rulon banknotów i opuściła głowę.

Światło zmieniło się na zielone i Amy ruszyła dalej przez puste ulice.

- Dziękuję – powiedziała Janet cicho.
- Wierz mi, kochana – wyznała Amy, myśląc o suczce siedzącej w bagażniku – mnie przypadła lepsza połowa tego kontraktu.

Spojrzała w lusterko wsteczne i zobaczyła w nim, jak Nickie wyciąga głowę w stronę tylnego fotela. Ich spojrzenia na moment spotkały się w lusterku, po czym Amy przeniosła wzrok na drogę.

- Od jak dawna macie Nickie?
- Od czterech miesięcy, może trochę dłużej.
- Skąd ją wzięliście?
- Carl nie mówił. Po prostu któregoś dnia przyprowadził ją do domu.

Jechali na południe Coast Highway, po prawej stronie mijali zarośla i łąki. Dalej, za łąką, znajdowała się plaża i morze.

- Ile ona może mieć lat?
- Carl powiedział, że pewnie dwa.
- Więc nastąpiła u was wraz z imieniem.
- Nie. On nie wiedział, jak suka się wabi.

Woda była czarna, podobnie jak niebo, tylko księżyc, niezmordowany malarz, mimo że już zachodził, nadal srebrzył grzbiety fal.

- Więc kto ją nazwał?

Ku zdziwieniu Amy, Janet odpowiedziała:

- Reesa. Theresa.

Tej nocy dziewczynka w ogóle się nie odezwała, tylko śpiewała czystym wysokim głosem w języku prawdopodobnie celtyckim i sprawiała wrażenie dziecka łagodnie autystycznego.

– Dlaczego akurat Nickie?

– Reesa powiedziała, że ona zawsze tak się nazywała.

– Zawsze?

– Tak.

– Wydawało mi się, że Theresa niewiele mówi.

– Bo tak jest. Czasami nic nie mówi przez parę tygodni, a potem powie tylko kilka słów.

W lusterku – uważne spojrzenie psa. W morzu – zanurzający się w wodzie księżyc. Na niebie – skomplikowana konstelacja gwiazd.

W sercu Amy kiełkowała myśl, której nie chciała do siebie dopuścić, bo tak naprawdę nie miała ona sensu – że Nickie wróciła do niej.

Moongirl może kochać się wyłącznie w całkowitej ciemności. Kiedy była młodsza, uważała, że jej życie niechybnie stanie się uboższe, jeżeli pozwoli sobie na namiętność w świetle dnia.

Dlatego nawet smuga światła zza opuszczonych stor niweczyła całe jej pożądanie.

Nawet nikły ślad promienia słonecznego w fałdach zaciągniętych zasłon studził jej podniecenie.

Światło sączące się z sąsiedniego pokoju – przez szparę w drzwiach, przez dziurkę od klucza – odbiera jak bolesne ukłucie, wzdryga się, gdy czuje dotyk kochanka.

Jej namiętność ostudzą nawet fosforyzujące cyferki budzika stojącego przy łóżku.

Fosforyzująca tarcza zegarka na rękę, małe żaróweczka w czujniku dymu, świecące oczy kota wywołują w niej krzyk frustracji i sprawiają, że jej libido wysycha.

Harrow nazwał ją Moongirl, ponieważ wyobraża ją sobie, jak zbłąkana i naga wędruje kalenicą dachu i wyje do księżyca.

Nie wie, jaką etykietkę psychiatra przypiąłby temu szczególnemu szaleństwu, jednak jest pewien, że to wariacka.

Nigdy nie zwrócił się do niej tym imieniem. Instykt podpowiadał mu, że gdyby to zrobił, naraziłby się na niebezpieczeństwo, kto wie, może nawet śmiertelne niebezpieczeństwo.

W dziennym świetle albo wieczorem może uchodzić za normalną. Potrafi nawet dość przekonująco udać zdrową osobę. To jej uroda wprowadza w błąd.

Szczególnie dobrze jej w szkarłacie, ale też białe i różowe to jej kolory; bukiet hortensji przyciągają wzrok, lecz rośliny mogą być przecież trujące, na przykład konwalie, kwiaty krwawnika kanadyjskiego, płatki żółtego jaśminu, dodane do herbaty albo do sałatki mogą zabić nawet w ciągu dziesięciu minut.

Moongirl najbardziej lubi czarne róże, choć nie są trujące.

Harrow widział, jak kiedyś ścisnęła ten kwiat tak mocno, że kolce zraniły jej palce do krwi.

Ma wysoką tolerancję bólu, podobnie jak on. Nie, żeby lubiła ukłucie kolców, ona po prostu tego nie czuje.

Panuje całkowicie nad swoim ciałem i intelektem. Nie panuje za to nad uczuciami. Brakuje jej więc równowagi, a równowaga jest warunkiem zdrowia psychicznego.

Tej nocy w pokoju bez okien, gdzie nie dochodzi światło nawet gwiazd, gdzie zegarek z fosforyzującymi wskazówkami został schowany do szuflady nocnego stoliczka, nie można powiedzieć, że się kochają, ponieważ miłość nie ma nic wspólnego z ich zapamiętłym spółkowaniem.

Żadna inna kobieta tak nie fascynowała Harrowa, jak właśnie ta. Jest w niej nienasycony głód czarnej wdowy, namiętność modliszki, która podczas stosunku zabija i zjada swojego partnera.

Harrow liczy się z tym, że któreś nocy Moongirl schowa nóż pod materacem albo gdzieś w pobliżu łóżka. W całkowitej ciemności, w chwili przedostatniej usłyszy jej szept: „kochany” i zaraz poczuje, jak ostrze sztyletu wbija mu się między żebra i trafia w wezbrane serce.

Jak zwykle czekanie na seks okazuje się bardziej elektryzujące niż sam seks. Na koniec odczuwa dziwną pustkę, pewność, że to, co w akcie najważniejsze, znowu go ominęło.

Wyczerpani leżą bez ruchu w ciemności, cisi, jakby zstąpili ze świata żywych do otaczającej świat doczesny ciemności.

Słowa nie są domeną Moongirl; kiedy chce coś wyrazić, mówi zawsze wprost, o co jej chodzi.

W jej obecności Harrow zachowuje się podobnie. Im mniej słów, tym mniejsze ryzyko, że zwykła uwaga zostanie przez nią wzięta za obrazę lub surowy osąd.

Szczególnie drażliwa jest na osądzanie. Niewinna rada, jeżeli okaże się nie po jej myśli, może zostać zrozumiana jako nagana. Życzliwe ostrzeżenie może być uznane za piekącą krytykę.

Kiedy cielesne zbliżenie się dopełnia, Harrow już nie obawia się żadnego ostrza ukrytego w pościeli. Gdyby kiedykolwiek miała go zabić, podejmie próbę zabójstwa wtedy, gdy będą się szamotali albo podczas samego aktu czy też tuż przed osiągnięciem przez nią szczytu rozkoszy.

Teraz, kiedy akt cielesny mają za sobą, on nie szuka wytchnienia we śnie. Moongirl zazwyczaj śpi we dnie, nocą zaś rozkwita, Harrow przestawił się już na jej cykl.

Przyczajona w ciemności leży jak głodne stworzenie przycupnięte na gałęzi, udające korę, gotowe rzucić się na nieostrożnego przechodnia.

– Podpalmy – mówi po pewnym czasie.

– Ale co podpalmy?

– To, co należy spalić.

– Dobrze.

– Ale nie ją, jeśli tak myślisz.

– Nie, tak nie myślę.

– Ją zostawiam na potem.

– Dobrze – zgadza się.

– Chodzi mi o miejsce.

– Gdzie to jest?

– Rozpoznamy je.

– Jak?

– Kiedy je zobaczymy.

Siada na łóżku i sięga do wyłącznika lampy z bezbłędną precyzją ślepeca, który palcami szczytuje pismo Braille'a do ostatniej kropki.

On, widząc ją w świetle lampy, znów jej pragnie, ale ona nigdy nie pozwala mu na drugi raz. Jego zadowolenie zawsze zależy od jej potrzeb, a teraz jedynym jej pragnieniem jest spalenie.

Przez całe swoje życie Harrow tylko brał i wykorzystywał, nawet jeśli inni uważali go za przyjaciela czy członka rodziny. Obcy wśród ludzi działał wyłącznie we własnym interesie – tak było, dopóki nie spotkał Moongirl.

Ich związek nie jest ani przyjaźnią, ani więzami rodzinnymi, jest czymś bardziej pierwotnym. Jeśli dwoje może stanowić sforę, to oni są taką sforą wilków, choć groźniejsi od wilków, a to dlatego, że wilki zabijają tylko wtedy, gdy są głodne.

Naciąga na siebie ubranie, nie spuszczając z niej wzroku, ponieważ ona ubiera się w sposób nie mniej erotyczny, niż gdyby robiła striptiz. Nawet szorstka materia zdaje się ześlizgiwać po jej ciele niczym najgładszy jedwab, a zapinanie każdego guziczka zdaje się obiecywać późniejsze rozpinanie.

Ich okrycia – jego narciarski skafander i jej skórzana kurtka obszyta futerkiem

– wiszą na kołkach wbitych w ścianę.

Na dworze, w blasku księżycy, jej jasne włosy wydają się platynowe, oczy zaś, mające w świetle lampy kolor butelkowej zieleni, nocą wypraną z barw, świecą szarą poświatą.

– Ty prowadzisz – oświadcza Moongirl, idąc za nim do przyległego garażu.

– W porządku.

Przy wejściu on zapala światło.

– Potrzebna nam jest benzyna – mówi ona.

Spod roboczego stolka Harrow wyciąga czerwony kanister o pojemności dwóch galonów, w którym trzyma paliwo do kosiarki. Sądząc po wadze kanistra i odgłosie chlupiącej zawartości, nie ma tam więcej niż pół galona.

Zarówno lexus SUV, jak i jego sportowy dwuosobowy mercedes były niedawno tankowane. Harrow wtyka końcówkę przewodu do lexusa.

Moongirl stoi za nim i trzymając ręce w kieszeniach kurtki, obserwuje go, jak zasysa powietrze z gumowego węża.

On kalkuluje: jeśli źle wyliczył ilość benzyny i paliwo dostanie mu się od ust, czy ona wyciągnie wtedy zapalniczkę i podpali wydychane przez niego opary, wzniecając ogień, który buchnie z jego ust, paląc mu wargi i język.

Czując gryzący smak paliwa, natychmiast wyjmuje z ust przewód i opuszcza go w dół, do kanistra, akurat w tym momencie, gdy benzyna zaczyna chlupać z gumowego węża.

Spogląda na nią i napotyka jej wzrok, ona nic nie mówi, on też milczy.

Nie muszą się bać siebie – tak długo, jak jedno potrzebuje drugiego do swych polowań. Ona ma swoją zwierzynę łowną, przedmiot własnej nienawiści, on ma swoją, nie tylko to, co mogą dziś spalić, ale także inne szczególne cele. Razem mogą więcej osiągnąć i mieć z tego więcej przyjemności, niż gdyby działali w pojedynkę.

Harrow wstawia napełniony kanister do sportowego mercedesa, umieszcza go z tyłu za kubelkowymi fotelami.

Jednopasmowa droga z czarną nawierzchnią, rozszerzająca się od czasu do czasu w zatoczki, wznosi się i opada, przez pół kilometra kręci w lewo i w prawo, zanim wreszcie doprowadza ich do bramy, która otwiera się, gdy Moongirl naciska guzik na tym samym pilocie, którym przedtem otwierała drzwi garażowe.

Jeszcze tylko niecały kilometr i dojeżdżają do dwupasmowej drogi głównej.

– W lewo – mówi ona, i on skręca w lewo, czyli na północ.

Minęło już pół nocy, ale nadal jeszcze wiele może się zdarzyć.

Na wschodzie wznoszą się zbocza wzgórz. Na zachodzie opadają.

W świetle księżyca dzika trawa ma platynowy kolor, podobny do włosów Moongirl, jakby wzgórza były poduszką dla niezliczonych rzesz kobiet, które skłoniły na niej swoje jasnowłose głowy.

Okolica jest słabo zaludniona. Przez chwilę w zasięgu wzroku nie widać ani jednego domostwa.

– Ileż przyjemniejszy byłby świat – mówi Moongirl – gdyby wszyscy na nim byli martwi.

Amy Redwing mieszkała w skromnym bungalowie, ale jej sąsiadka, Lottie Augustine, miała piętrowy dom, w którym było dość miejsca dla Janet i jej dzieci. Kiedy Amy parkowała na podjeździe, powitało ją ciepłe światło bijące z okien.

Dawna pielęgniarka wyszła, by ich przywitać i pomóc im wnieść do domu naprędce spakowane walizki.

Szczupła, ubrana w dżinsy i wypuszczoną na wierzch męską koszulę w niebiesko-żółtą szachownicę, z siwymi włosami zebranymi w koński ogon, o jasnym wejrzeniu błękitnych oczu otoczonych kurzymi łapkami, widowym świadectwem umiłowania promieni słonecznych, Lottie mogła uchodzić zarówno za nastolatkę, jak i emerytkę. W młodości zapewne uważano ją za osobę starą duchem, ale kiedy doszła swych lat, prezentowała młodzieńczą świeżość.

Zostawiwszy psa w samochodzie, Amy wyniosła stamtąd Theresę. Dziecko obudziło się, gdy wchodziły na schodki ganku z tyłu domu.

Nawet po obudzeniu jej oczy pełne były marzeń sennych.

Dotknęła medalionu, zawieszzonego na szyi Amy i szepnęła:

– Wiatr.

Lottie z dwiema walizkami w ręku szła pierwsza, za nią Janet z jedną torbą i Jimmym idącym z tyłu; w tym szyku cała procesja weszła do domu.

Tuż za progiem kuchni Theresa, nadal na rękach Amy, obracając w paluszkach medalion, wyszeptwała:

– Dzwoneczki.

Amy, nagle przeniesiona w przeszłość, stanęła w miejscu. Obraz kuchni zamazał się, jakby miał być tylko wątlą wizją przyszej chwili.

Wpatrzona w głąb własnej wizji oczy dziecka stały się jeszcze większe, jakby otwarły się na inny świat, do którego przez nie można było się dostać.

– Co ty mówisz? – zapytała Theresę, chociaż słyszała wyraźnie każde słowo.

Wiatr. Dzwoneczki.

Dziewczynka przez chwilę nawet nie mrugnęła, ale wkrótce przymknęła oczy i

kciukiem zatkała sobie buzię.

Kuchnia znów nabrała wyraźnych konturów, gdy Amy sadzała dziecko na krzeselku w jadalni.

Na stole stał talerzyk z domowymi ciasteczkami. Jedne owsiane z rodzynkami, drugie kruche czekoladowe i jeszcze inne na orzechowym maśle.

Rondelek z ciepłym mlekiem stał już na płycie kuchennej, Lottie zabrała się do przyrządzania gorącej czekolady.

Odgłos kubeczków stawianych na blacie, szelest rozdieranej torebki foliowej z czekoladą w proszku, szum gotującego się mleka mieszanego drewnianą łyżką, postukiwanie chochli o garnek...

Dźwięki te dochodziły do uszu Amy jakby z oddali, odbijając się echem w bardzo odległym od tego wnętrzu. Kiedy usłyszała swoje imię, uzmysłowiła sobie, że Lottie zwraca się do niej po raz kolejny.

– Oj, przepraszam. Co mówiłaś?

– Może poszłabyś z Janet i bagażami na górę, a ja przez ten czas zajmę się dziećmi. Drogę znasz.

– Tak, oczywiście.

Na górze dwie gościnne sypialnie połączone były wspólną łazienką. Jedna sypialnia miała dwa łóżka, akurat odpowiednie dla dzieci.

– Jeśli w obu pokojach zostawisz otwarte drzwi do łazienki, wtedy usłyszysz, gdy będą wołały – poradziła Amy.

W pokoju z jednym łóżkiem Janet przysiadła na poręczy tapicerowanego fotela. Wyglądała na wyczerpaną i oszołomioną, jakby przeszła setki mil pod wpływem czyjogoś zaklęcia i teraz nie wiedziała, dokąd zaszła ani dlaczego.

– I co teraz?

– Policji zajmie co najmniej jeden dzień, by postawić mu zarzuty. Następnie Carl będzie musiał wpłacić kaucję.

– Odnajdzie cię, by dowiedzieć się, gdzie ja jestem.

– Wtedy będziesz daleko stąd.

– Gdzie?

– W Golden Heart pracuje około stu sześćdziesięciu wolontariuszy. Niektórzy z nich przyjmują do siebie psy na jakiś czas, zanim nie znajdziemy dla nich stałego domu.

– Stałego domu?

– Zanim wyszukamy dom dla uratowanego psa, musimy zdobyć opinię weterynarza, który oceni jego stan zdrowia i sprawdzi aktualne szczepienia.

– Któregoś dnia, kiedy Carla nie było w domu, zaprowadziłam Nickie na szczepienia. Carl się wściekał, bo to kosztowało.

– Tymczasowi opiekunowie z kolei oceniają stan psa i przedstawiają nam sprawozdanie na temat jego tresury, czy brakuje mu domu, czy potrafi chodzić na smyczy...

– Nickie brakuje domu, to bardzo miła suczka.

– Jeśli zachowanie psa nie przysparza jakichś poważnych problemów, znajdujemy mu dom, jak nam się wydaje, na zawsze. Niektórzy z opiekunów ochotników mają u siebie więcej miejsca niż tylko na tymczasowy pobyt psa. Jeden z nich weźmie ciebie i dzieci do siebie, dopóki nie staniesz na nogi.

– Dlaczego oni to robią?

– Moi ludzie, którzy ratują psy rasy golden retriever, są absolutnie wyjątkowi, sama się przekonasz.

Janet załamywała rękę.

– Co myśmy narobili.

– Przecież stokroć gorzej byłoby z nim zostać.

– Ja bym mogła. Ale nie z dziećmi. Już nie. Wstydzę się, że pozwalałam mu je tak traktować.

– Gdybyś z nim została, wtedy miałabyś powód do wstydu. Ale nie teraz, nie w tej sytuacji. Chyba że dasz mu się namówić do powrotu.

– Nie, o tym nie ma mowy.

– Cieszę się, że to mówisz. Zawsze można iść naprzód, ale nie ma już drogi powrotu.

Janet kiwnęła głową. Może zrozumiała. Ale raczej nie.

Niektórzy ludzie wykorzystują swoją wolną wolę do buntu, lecz nie przeciwko złu i niesprawiedliwości, jakie ich spotykają, ale przeciwko temu, co dla nich najlepsze.

– Może jest już za późno, *by* zapobiec spuchnięciu – powiedziała Amy – ale powinnaś przyłożyć lód na rozbitą wargę.

Janet podniosła się z poręczy fotela i kierując się ku drzwiom sypialni, odpowiedziała:

– Dobrze. Ale na mnie wszystko szybko się goi. Musi.

Położywszy rękę na jej ramieniu, zatrzymując ją w ten sposób, Amy zapytała:

– Co jest z twoją córeczką? Czy ona cierpi na autyzm?

– Tak twierdzi jeden doktor, ale inni się z nim nie zgadzają.

– Co mówią inni?

– Różne rzeczy. Różne opóźnienia w rozwoju o długich nazwach i bez nadziei na poprawę.

– Czy była w jakiś sposób leczona?

– Nic nie pomogło jej wyjść z ukrycia. Ale Reesa jest też cudownym dzieckiem. Raz usłyszy jakąś melodię i zaraz może ją bezbłędnie zagrać na dzieciennym fleciku, który jej kupiłam.

– Czy to, co zaśpiewała, było w języku Celtów?

– Wtedy w domu? Tak.

– Zna ten język?

– Nie. Ale nasza sąsiadka, Maev Gallagher, uwielbia celtycką muzykę, ciągle ją nastawia. Czasem zostaje z Reesą.

– Czyli jak raz usłyszy jakąś piosenkę, potrafi ją zaśpiewać, nawet w nieznanym sobie języku?

– To się może komuś wydać niesamowite – powiedziała Janet. – Ten wysoki głosik wyśpiewujący w obcym języku.

Amy zdjęła dłoń z ramienia Janet.

– Czy ona kiedykolwiek...

– Czy ona co?

– Czy ona zrobiła jeszcze coś, co się może wydać niesamowite?

– Na przykład co? – nachmurzyła się Janet.

Żeby to wyjaśnić, Amy musiałaby otworzyć szereg drzwi wiodących do jej własnego wnętrza, a na to nie miała ochoty.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Nie wiem, co miałam na myśli.

– Pomijając jej problemy, Reesa to dobre dziecko.

– Na pewno. I do tego jest urocza. Ma też piękne oczy.

Srebrny mercedes prowadzony przez Harrowa bierze gładko zakręty i przylega do nawierzchni jak rtęć poruszająca się swobodnie po wszelkich nierównościach. Moongirl, siedząc na fotelu pasażera, gotuje się ze złości.

Bez względu na to, jak bardzo udany seks ma za sobą, zawsze, gdy wstaje z łóżka, wzbiera w niej gniew.

To nie Harrow jest powodem jej furii. Wścieka się, bo zaspokojenia swych żądz cielesnych może doznać wyłącznie w ciemnym pokoju.

Wie, że w niej tkwi ta przypadłość, ale nie obwinia o to siebie. Uważa siebie wyłącznie za ofiarę, wini więc za to innych, a nawet cały świat.

Zaspokojona w swym pożądaniu czuje się pusta od chwili, kiedy wstrząsa nią ostatni dreszcz rozkoszy, po którym zaraz następuje żal i gorycz.

Ponieważ posiada umiejętność panowania zarówno nad swoim ciałem, jak i umysłem, potrafi też ukryć swe nieokiełznane uczucia. Na jej twarzy maluje się spokój, głos pozostaje spokojny. Jak zawsze gibka porusza się wdzięcznie, żadnym gestem nie zdradzając napięcia.

Czasami Harrow mógłby przysiąc, że czuje nosem jej wściekłość: lekką woń żelaza, jakby uwolnioną z rudy nagrzaną przez słońcem pustyni.

Spędziwszy z nim jakiś czas w pozbawionym okien pokoju, chce potem wychynąć na światło dzienne. Bywa, że wychodzi na zewnątrz ubrana tylko częściowo albo też całkiem naga.

Teraz zwraca twarz ku słońcu i stoi tak z otwartymi ustami, jakby czekając, aż światło przeniknie ją całą.

Naturalna blondynka, jednak łatwo się opala. Skórę ma brązową, nawet w załamaniach kostek, a puzek porastający jej ramiona bieleje spalony słońcem.

W przeciwieństwie do skóry białka jej oczu są olśniewająco białe, niczym świeżo spadły śnieg na ich tle wyraźnie odcinają się tęczęwki w kolorze butelkowej zieleni.

Ich pozbawiony miłości akt miłosny najczęściej odbywa się nocą. Po nim blask

gwiazd czy księżycy nigdy nie jest dość jasny, by przytłumić jej wzbierającą wściekłość, ona sama zaś, choć porównuje się z Walkirią, nie ma skrzydeł, by wznieść się wyżej do światła.

Zazwyczaj ognisko rozpalane na plaży wystarcza, by zwęglić jej złość, nie zawsze jednak tak się dzieje. Bywa, że trzeba jej do spalenia czegoś więcej niż sosnowe polana i wysuszone wodorosty.

Moongirl wie, jak wymóc od świata, by sprostał jej oczekiwaniom, ale czasem nadarza się ktoś idealny do spalenia. Zdarzyło się to więcej niż jeden raz.

Podczas takich nocy, gdy ognisko na plaży nie wystarcza, los zaś nie zsyła jej odpowiedniej ofiary, sama musi szukać ognia stosownego do jej potrzeb.

Harrow wywiózł ją dwieście kilometrów od domu, zanim znalazła to, co nadawało się do spalenia. Czasem aż do świtu nie udaje jej się znaleźć niczego odpowiedniego, a wtedy słońce wypala jej wściekłość.

Tej nocy po przejechaniu sześćdziesięciu kilometrów krętymi wiejskimi drogami wreszcie mówi:

– To tu. Zrobimy to tutaj.

Na starannie utrzymanym trawniku stoi stary obity deskami dom, jedyne domostwo w okolicy. W żadnym oknie nie widać lampy.

W świetle reflektorów ukazują się dwa poidelka dla ptactwa, trzy ogrodowe krasnoludki i miniaturowy wiatrak. Z przodu na ganku stoją dwa bujane fotele.

Harrow jedzie jeszcze około czterystu metrów, kiedy tuż przed mostem widzi polną drogę odchodzącą ukośnie od asfaltu. Zjeżdża tą polną drogą w dół i parkuje samochód nad rzeką pod mostem, gdzie płynąca leniwie ciemna woda połyskuje z rzadka w blasku księżycy.

Być może ścieżka ta służy za skrót wędkarzom, którzy przychodzą tutaj łowić z brzegu okonie. Jeśli tak jest, w tej chwili nie ma tu żadnego wędkarza. Pora ta sprzyja bardziej podpalaczom niż wędkarzom.

Mercedes stojący pod mostem nie będzie widoczny z dwupasmowej drogi. Mimo że nieliczni motocykliści powinni znajdować się już poza granicami hrabstwa, trzeba przedsięwziąć środki ostrożności.

Harrow wyciąga kanister zza foteli, gdzie jest trochę miejsca przeznaczonego na bagaż.

Nie pyta jej, czy wzięła ze sobą zapalki. Zawsze je ma przy sobie.

Cykady wyśpiewują swoje serenady przerywane rechotaniem żab

zadowolonych, gdy udaje im się pożreć jedną z nich.

Harrow zastanawia się, czy nie podjechać pod dom wprost przez łąkę, ale wybierając trudniejszą drogę, w rezultacie nic by nie zyskali.

Upatrzony dom oddalony jest od nich zaledwie o około czterystu metrów. Wzdłuż drogi lokalnej rosną wysokie trawy, powykrzywiane krzaki i nieliczne drzewa, które mogą stanowić pewien rodzaj osłony na wypadek, gdyby zauważyli w oddali światła zbliżającego się samochodu lub usłyszeli warkot silnika.

Znad rzeki wychodzą na bitą drogę.

W kanistrze chlupocze benzyna, a ortalionowa kurtka Harrowa szeleści, gdy powierzchnie pocierają się o siebie.

Jak dotąd Moongirl nic nie mówi. Idzie obok niego całkowicie bezszelestnie.

W końcu się odzywa:

- Czy wiesz dlaczego?
- Co dlaczego?
- Podpalamy.
- Nie.
- Nigdy nie jesteś ciekaw – nalega ona.
- Nie. Wiem, że ty tego chcesz.
- I to ci wystarcza?
- Tak.

Wczesnojesienne gwiazdy wyglądają równie lodowato jak zimą, przychodzi mu na myśl, że niebo bez względu na porę roku jest zawsze martwe, płaskie i zlodowaciałe, i nie ma żadnej głębi.

- A wiesz, co jest najgorsze? – pyta go.
- Nie, powiedz co.
- Nuda.
- Zgadza się.
- Wywraca człowieka na drugą stronę.
- Owszem.
- Ale w którą stronę?
- Ty wiesz.
- Kiedy nigdzie nic nie ma.
- Nie ma tego, czego byś chciała.
- Nie, niczego nie ma – poprawia go.

Jej szaleństwo fascynuje go, dlatego nigdy się nie nudzi w jej towarzystwie. Początkowo myślał, że ich związek skończy się po jednym czy dwóch miesiącach, tymczasem są ze sobą już od siedmiu miesięcy.

– To przerażające – mówi ona.

– Co takiego?

– Nuda.

– Tak – odpowiada szczerze.

– Przerażające.

– Trzeba się czymś zająć.

Przekłada ciężki kanister z prawej ręki do lewej.

– To mnie wkurza.

– Co?

– Że jest to przerażające.

– Trzeba się czymś zająć – powtarza.

– Mam tylko siebie.

– I mnie – przypomina jej.

Ona jednak nie potwierdza, by on był jej niezbędny w zwalczaniu nudy.

Są już w połowie drogi do obitego deskami domku.

Na niebie wśród lodowych gwiazd miga światełko, ale to tylko samolot lecący zbyt wysoko, by go było słyhać. Zmierza do jakiegoś egzotycznego portu, który przynajmniej dla pewnych spoztrzegawczych pasażerów okaże się taki sam, jak miejsce, skąd rozpoczęli swą podróż.

8

Amy, wycofawszy samochód z podjazdu Lottie i wprowadziwszy go pod wiatę na swojej posesji znajdującej się tuż obok, otworzyła klapę forda expedition, zza której natychmiast wyskoczyła Nickie.

Amy przypomniała sobie, kiedy to po wyjściu z domu Brockmana zastała klapę otwartą po tym, jak Jimmy usiłował uciec, a mądry pies zagonił go w stronę domu.

Uwalniając Nickie, chłopiec musiał wyobrazić sobie, że razem uciekną. Po czteromiesięcznym pobycie u Carla Brockmana każdy inny pies uciekłby razem z chłopcem.

Kiedy Nickie znalazła się na podjeździe, Amy złapała szybko za czerwoną smycz, ale suka nie miała zamiaru uciekać. Pociągnęła Amy za samochód, dalej na podwórko. Bez typowych psich wstępnych rytuałów kucnęła, by się wysiusiać.

Ponieważ Amy miała już dwa retrievery, Freda i Ethel, a poza tym nieraz przechowywała uratowane psy przynajmniej przez jedną noc, zanim przewiozła je do nowych domów, domyśliła się, że Nickie będzie chciała najpierw trochę obwąchać podwórko, jakby poczytać lokalną gazetkę.

Tymczasem po zrobieniu siusiu Nickie udała się wprost na werandę z tyłu domu, a stamtąd po schodkach do wejścia.

Amy otworzyła drzwi, odpięła smycz od obróżki, po czym weszła do domu i pozapalała światła.

W kuchni nie było ani Freda, ani Ethel. Musiały zaszyć się gdzieś w sypialni.

Z dalszego końca bungalowu dał się słyszeć odgłos psich łap, najpierw stłumiony przez dywan, potem stukających o gołe deski podłogi.

Fred i Ethel były nauczone nie czekać, gdy pojawiał się ktoś obcy.

Najczęściej zabierała je ze sobą. Ale gdy zostawały same w domu, po jej powrocie witały ją tak entuzjastycznie, że serce rosło.

Zazwyczaj pierwsza pojawiała się Ethel, pełna energii, z uniesioną głową, szczerząc się przyjaźnie i objając ogonem futrynę.

Miała trochę ciemniejszą sierść niż Nickie, choć umaszczenie w kolorze

ciemnego złota cenione było u tej rasy. Jej szata, jak na retrievera była wyjątkowo gęsta, co nadawało jej bajecznie puszysty wygląd.

Za Ethel ukazywał się Fred. Nie wysuwał się na czoło, trochę wstydlivy, zawsze jednak tak się cieszył na widok Amy, że nie tylko wściekle walił ogonem na boki, ale również trzął zadem z niepohamowanej radości.

Kochany Fred miał szeroki, ładny pysk i idealnie czarny nos, nieskażony najmniejszą brunatną plamką, drugiego takiego Amy nigdy jeszcze nie spotkała.

Nickie stała u boku Amy, uszy miała postawione, wzrok wbity w drzwi wiodące do holu, skąd dochodził przytłumiony tupot psich łap.

Fred i Ethel wyczuły obecność przybysza i gwałtownie zwolniły. Ethel pierwsza wyhamowała, a Fred wpadł na nią, gdy pokazała się w drzwiach.

Zamiast zwykłego rytuału towarzyszącego powitaniom, jak obwąchiwanie się, lizanie po pysku czy grzecznościowe szturchnięcie nosem w okolice zadu, małe Redwingi zatrzymały się parę metrów od Nickie. Stały, dysząc, wymachując puszystymi kitami, z uniesionymi czujnie głowami, ale z widocznym zainteresowaniem, jakie zdradzały błyszczące spojrzenia.

Również machając ogonem, Nickie uniosła głowę, przybierając postawę przyjazną, ale godną x.

– Ethel, dziecinko, Fred, maleństwo – zaczęła Amy pieszczotliwym tonem. – Przywitajcie się z nową siostrzyczką.

Dopóki nie wypowiedziała słowa „siostrzyczka”, jeszcze sama nie wiedziała, że bez wątpienia zatrzyma u siebie Nickie i nie odda jej nikomu ze sprawdzonej listy rodzin adopcyjnych należących do Golden Heart.

Dotychczas szczeniaki reagowały na pieszczotliwy ton swojej pani, ale tym razem ją zignorowały.

Ethel po wstępnych rytuałach powitalnych zachowała się tak, jak zwykle wobec psa czasowo przebywającego u nich w gościnie. Podeszła do otwartego pudełka z gumowymi i piszczącymi zabawkami oraz z piłeczkami tenisowymi i wyciągnęła stamtąd starannie wybrany prezent, po czym złożyła go przed gościem.

Była to pluszowa żółta kacuszka.

Intencją obdarowującego było zawsze takie przesłanie: „Ta rzecz należy teraz wyłącznie do ciebie przez cały czas twojego pobytu, ale reszta zabawek należy do mnie i do Freda, chyba że zaprosimy cię do wspólnej zabawy”.

Nickie przyjrzała się kacuszce z uwagą, a następnie przeniosła spojrzenie na

Ethel.

Tym razem cały rytuał został zmieniony, bo Ethel znów powędrowała do pudła znajdującego się w spiżarni, skąd wróciła z pluszową małpką. Złożyła ją obok kaczuszki.

W tym czasie Fred obiegił dookoła całego pokój i usadowił się tak, że od pań dzielił go stół śniadaniowy. Położył się na brzuchu, i zamiatając ogonem dębową posadzkę, bacznie je obserwował zza chromowanych nóg krzesła.

Jeśli kochasz psy prawdziwie i szczerze, widzisz w nich coś więcej niż tylko żywe maskotki czy po prostu zwierzęta i uważasz je za swoich najlepszych towarzyszy, a przy tym istoty, od których dzieli nas może jeden lub dwa ogniwa w łańcuchu ewolucji, ale nie lata świetlne, wówczas postrzegasz psy inaczej, niż widzi je większość społeczeństwa. Szanujesz ich wrodzoną godność, wiesz, że potrafią odczuwać zarówno radość, jak i smutek, przeczuwają nieubłagany upływ czasu, choć może nie do końca rozumiejąc okrucieństwo tego zjawiska, i nie są, wbrew opinii krótkowzrocznych ekspertów, nieświadome własnej śmiertelności.

Jeśli obserwujesz je bardzo uważnie, tak jak Amy obserwowała je od dłuższego czasu, zauważysz, jak niesłychanie złożoną osobowość ma każdy pies, jak zdumiewająco ludzkie są niuanse ich charakteru, chociaż one same wolne są od ludzkich wad. Dostrzeżesz ich niebywałą inteligencję, zaniemówisz z wrażenia, widząc, jaką zdolnością przekonywania mogą się wykazać.

Zdarza się, nawet jeśli nie jesteś szczególnie sentymentalny i znajdujesz się w nastroju na tyle sceptycznym, by nie przypisywać psom cech ludzkich, których nie posiadają, to jednak zauważysz w nich jakieś pragnienie właściwe ludzkiemu sercu, nawet jeśli należysz do tych, którzy twierdzą, że w ich życiu nie ma wiary. Psy bowiem widzą tajemnice ukryte w świecie zewnętrznym, w nas samych, a także w nich i we wszystkim innym, po jakimś czasie przejawiają na nie szczególną czujność i większą niż zazwyczaj ciekawość.

Amy domyśliła się, że jest to jedna z takich właśnie chwil. Stała cicho, nieporuszona, czekając, co się wydarzy, bacznie obserwując, wiedząc też, że to, co za chwilę miało nastąpić, będzie objawieniem, które zapamięta na całe życie.

Ethel, złożwszy pluszową małpkę obok kaczuszki, powędrowała do spiżarni po raz trzeci. Nickie rzuciła okiem na Freda, który przyglądał jej się osłonięty nogami krzesła.

Przekrzywił głowę na lewo, potem na prawo. Następnie przewrócił się na

grzbiet, łapy uniósł w górę, odsłaniając cały brzuch, demonstrując w ten sposób całkowite zaufanie i poczucie bezpieczeństwa.

Tymczasem w spizami Ethel, grzebała wśród zabawek, odrzucając niektóre pyskiem na bok, by w końcu powrócić do Nickie z dużą pluszową ośmiornicą z kompletem ośmiu macek w kolorze czerwonym i żółtym.

To była ulubiona zabawka Ethel piszcząca i jednocześnie służąca do gryzienia, której nie dawała nawet Fredowi.

Ethel złożyła ośmiornicę obok małpki, Nickie zaś, po krótkim namyśle, wzięła zabawkę do pyska. Ścisnęła ją zębami, wydobywając z niej piszczący dźwięk, podrzuciła ją w górę, po czym ponownie ścisnęła i upuściła na podłogę.

Fred zrezygnował z pozycji na wznak, przewrócił się na cztery łapy i kichnął. Następnie opuścił swoje schronienie za krzesłem.

Wszystkie trzy psy patrzyły po sobie wyczekująco.

Jak na komendę zwolniły akcję machania ogonem.

Nastawiły uszy – na tyle, na ile miękkie uszy golden retrieverów pozwalają na taki manewr.

Amy wyczuła, jak napinają się ich muskularne sylwetki.

Pracując nozdrzami, z nosem przy podłodze, rzucając głową na lewo i na prawo, Nickie pospiesznie wybiegła z pokoju do holu. Ethel i Fred potruchtały za nią.

Sama w opuszczonej przez psy kuchni, Amy, przekonana, że właśnie dzieje się coś niezwykłego, ale nie mając pojęcia, co by to mogło być, zapytała tylko:

– Maluchy?

W korytarzu zapaliło się górne światło.

Amy stanęła w drzwiach, ale hol był pusty.

Przed domem widać było, jak ktoś zapalił światło w salonie. Jakiś intruz. Psy jednak nie czekały.

Mimo że Brian McCarthy był utalentowanym portrecistą, zrobienie czyjegoś portretu zwykle zabierało mu dużo czasu.

Głowy ludzkie przedstawiają tak wielką różnorodność struktury, proporcji i formy, tak skomplikowane mogą być rysy, że nawet Rembrandt, największy portrecista wszech czasów, doskonalił swe rzemiosło do końca życia.

Głowa psa stanowiła wcale nie mniejsze, a na pewno większe wyzwanie dla artysty niż głowa człowieka. Niejeden mistrz w tej dziedzinie, który bez trudu tworzył portret dowolnego mężczyzny czy kobiety, musiał się poddać, stając przed zadaniem wykonania portretu psa.

Zadziwiająco, ale przy pierwszym podejściu do sportretowania psa Brian, siedząc przy kuchennym stole, doświadczył niezwyklej łatwości i biegłości, której brakowało mu w odtwarzaniu ludzkich rysów. Podjęcie decyzji co do formy, budowy, proporcji i tonacji tym razem nie wymagało od niego długiego namysłu, jaki był mu zazwyczaj potrzebny. Jego ręka działała szybko i pewnie, jak nigdy dotąd.

Rysowało mu się z niewiarygodną łatwością i wprawą, jakby wizerunek psa w cudowny sposób zawarty był w ołówku, z którego teraz spływał na papier, jak muzyka odtwarzana z nagrania.

Od czasu, gdy zaczął się spotykać z Amy, jego serce otworzyło się na wiele rzeczy, z których wcale nie ostatnią stało się poznanie radości z posiadania psa i dostrzeżenie jego piękna. Sam jednak nie dojrzał jeszcze do posiadania własnego zwierzęcia, ponieważ nie czuł w sobie dostatecznej odpowiedzialności.

Początkowo nie zdawał sobie sprawy z tego, że rysuje nie tylko idealnego psa rasy golden retriever, ale konkretny egzemplarz. Kiedy pysk nabrał pełni rysów, Brian dostrzegł, że spod jego ołówka wyszła dopiero co uratowana Nickie.

Oddanie wyrazu oczu nie sprawiało mu większych trudności niż odtworzenie jakiegokolwiek innego szczegółu anatomicznego, ale sam był zaskoczony ostatecznym efektem, łatwością, z jaką osiągnął odpowiednią linię i tonację.

Oczy, by wyglądały prawdziwie, muszą być pełne światła, tajemniczości, której

światło przydaje nawet najbardziej otwartym spojrzeniom. Brian skupił się z niespotykaną u niego pasją na oddaniu tego światła, tej tajemnicy, niczym średniowieczny mnich, który stara się przekazać tajemnicę zwiastowania.

Kiedy skończył rysować, przyglądał się swemu dziełu przez dłuższą chwilę. Tworzenie tego portretu jakoś podniosło go na duchu. Pełne nienawiści e-maile Vanessy przygniotły go ciężarem smutku i żalu, który teraz wydawał się lżejszy do zniesienia.

Z Nickie w nierozzerwalny sposób wiązała się nadzieja, miał wrażenie, że jedno nie może istnieć bez drugiego. Nie wiedział sam, jak ma to rozumieć ani dlaczego tak mu się wydaje.

W pracowni raz jeszcze utworzył e-maila do Vanessy *alias* Pigkeeper. Przeczytał swój list z dziesięć razy, zanim go wysłał.

Jestem w twoich rękach, zdany na twoją łaskę i niełaskę. Nie mam nad tobą żadnej władzy, a ty nade mną masz władzę nieograniczoną. Jeśli kiedyś dasz mi to, na czym mi zależy, to dlatego, że uznasz, iż bardziej ci się opłaci ustąpić, a nie dlatego że zasłużyłem na to albo w jakiś inny sposób zapracowałem.

W poprzednich listach podejmował dyskusję z Vanessą albo próbował nią manipulować, choć nigdy tak jawnie, jak ona usiłowała wzmocnić jego poczucie winy, pogłębić jego żal. Tym razem zrezygnował z apelowania do jej rozsądku, gry sił, ukazał za to swoją bezradność.

Nie spodziewał się natychmiastowej odpowiedzi czy w ogóle jakiegokolwiek odpowiedzi; gdyby zaś jego tłumaczenie wywołało u niej tylko jad, nie odpowiedziałaby jej w tym samym duchu. Upokarzała go przez lata, aż uzyskała tyle, że nie żywił do niej już żadnej złości, jak mądry żeglarz, który po latach przebywania na wzburzonym morzu odczytał się gniewać na niepogodę.

Wrócił do kuchni, usiadł przy stole i przewrócił kartkę w bloku rysunkowym. Zatemperował ołówki.

Przepelniła go trudna do wyjaśnienia euforia, wrażenie, że oto otwierają się przed nim nowe możliwości. Poczuł, że za chwilę dostąpi objawienia, które odmieni jego życie.

Zaczął rysować głowę psa, tym razem jednak nie przechylną lekko na lewo i trochę uniesioną. Teraz przedstawiał obiekt widziany na wprost.

Zamierzał przy tym ograniczyć rysunek tylko do pewnych partii pyska psa: od brwi do górnej części policzków, przez co najważniejsze stałyby się oczy i fragmenty

znajdujące się bezpośrednio przy nich.

Był zachwycony, że w pamięci utrwalił mu się wizerunek Nickie z najdrobniejszymi szczegółami. Widział ją tylko raz, i to niezbyt długo, oczyma duszy jednak widział ją tak, jakby patrzył na fotografię albo na hologram.

Z wyobraźni do ręki, przez ołówek na papier spojrzenie golden retrievera przybrało wszelkie odcienie szarości. Widziane z innej perspektywy i odległości wielkie oczy miały głębię, pełne były zarówno światła, jak i cienia.

Brian starał się znaleźć w tym psie coś niepowtarzalnego, co widział, ale czego świadomie nie rozpoznał. Teraz jego podświadomość usiłowała wydobyć to, co mu tylko przez moment mignęło, by mógł to rozpoznać i zrozumieć.

Przepelniało go niecierpliwe oczekiwanie, ale ręka pozostała pewna i zręczna.

W połyskującym i migotliwym blasku księżyca nocny krajobraz wydaje się trochę nierealny, mimo to utrzymanie domu i otoczenia wyraźnie świadczy o dumie właścicieli z ich posiadłości.

W mroku rysują się ustawione z geometryczną precyzją białe słupki i sztachety ogrodzenia. Pod stopami rozciąga się krótko przycięty, niczym boisko do krykieta, gęsty trawnik.

Jednopiętrowy domek robi wrażenie skromnego, ale jest przy tym ładny – biały z obrzeżeniem w innym, trudnym do zidentyfikowania kolorze. Gzyms z prostą, rzeźbioną dekoracją podkreśla urodę okapów, ten sam motyw powtórzony jest wokół ram okiennych. Niewątpliwie dekoracje te są autorstwa właściciela, który musiał je wykonać w wolnych chwilach.

Sądząc po fotelach na biegunach z giętego drewna, jakie stoją na obu gankach z przodu i z tyłu domu, poidelkach dla ptaków, miniaturowym wiatraku i ogrodowych krasnoludkach, Harrow domyśla się, że mieszkańcy tego domu zbliżają się do wieku emerytalnego albo już go osiągnęli. Domostwo wygląda na wymarzone od dawna gniazdko, które ma służyć jako miejsce upragnionego odpoczynku.

Nie sądzi, by którakolwiek deska na werandzie lub wiodących do niej schodków mogła skrzypieć, jednak woli nie ryzykować, by to sprawdzić. Leje benzynę pomiędzy deski na obydwu gankach, najpierw na ten z tyłu domu zwrócony na pola i stary dąb, następnie na frontowy.

Cienką strużką płynu Harrow łączy oba ganki, pozostałą w kanistrze benzynę wylewa na drogę wiodącą ku otwartej furtce umieszczonej w płocie ze sztachet.

Moongirl czeka na niego w bezpiecznym miejscu na początku drogi ogniowej, on zaś zawraca jeszcze do domu, by na ganku postawić pusty już kanister. W nieruchomym powietrzu unoszą się ciężkie opary paliwa.

Ani jedna kropla nie upadła na jego ubranie. Odchodząc od budynku, składa dłonie i przytyka je do nosa; pachną nadal świeżością.

Moongirl wyciąga pudełko zapalek z kieszeni skórzanej kurtki. Uznaje

wyłącznie zapalaki wykonane z drewna.

Pociera zapalke, schyla się i przytyka ją do mokrej smugi zaczynającej się na chodniku. Niski, pomarańczowo niebieski płomień pełnie ochoczo i odbiega od niej, jakby wyzwalając czary i wywołując taniec chochlików.

Razem z Harrowem idzie na zachodnią stronę domu, skąd mają widok na oba ganki. Tylko tam znajduje się dwoje drzwi wiodących do wewnątrz budynku. Między nimi na zachodniej ścianie umieszczone są trzy okna.

Fasadę domu obejmują płomienie, które wzbijają się wysoko, wciskają między deski i pochłaniają granicę łączącą część frontową z tarasem, wywołując dalsze skoczne figle jak szybki taniec na linie.

Jak zwykle początkowo ogień kłębi się na jałowym biegu, niemal bezszelestnie wchłaniając benzynę, jeszcze nie musi gryźć i kasać. Dopiero po chwili zacznie pożerać z trzaskiem grubsze drewno.

Amy przeszła korytarzem w kierunku salonu i zapytała:

– Halo? Jest tam ktoś?

Psy rasy golden retriever nie są hodowane na psy obronne, a wzięwszy pod uwagę wielkość ich serca, a także nieposkromioną radość życia, raczej będą szczekać, niż ugryzą, a prędzej polizną na powitanie czyjąś dłoń, niż zaszczekają. Mimo okazałych rozmiarów, uważają siebie za psy kanapowe, a oprócz tego uważają się także za istoty ludzkie, w związku z czym niemal każdego napotkanego człowieka biorą za serdecznego przyjaciela, który w każdej chwili może zawołać: „idziemy!” i powieść je ku wielkiej przygodzie.

A przy tym mają znakomite zęby i pilnują domu i jego mieszkańców.

Amy doszła do wniosku, że intruz, który potrafi podporządkować sobie trzy retrievery, by nawet nie szczeknęły, jest raczej przyjacielem niż wrogiem, a w każdym razie istotą niegroźną. Mimo to weszła do salonu dość ostrożnie, ciekawa i lekko zaniepokojona.

Kiedy wyruszyła ratować Nickie w odpowiedzi na błagania Janet Brockman, nie zostawiła Ethel i Freda w ciemnym domu. Zapaliła jedną lampkę w swojej sypialni oraz lampę biurkową w salonie, by psy czuły się raźniej.

Teraz zaś górne oświetlenie paliło się całą mocą. Ponadto pokój dzienny był znacznie jaśniej oświetlony, niż go zostawiła.

Kiedy minęła otwarte drzwi do sypialni, znajdujące się po jej lewej stronie, i weszła przez łukowate przejście do salonu, nikogo w nim nie zastała, tylko trzy rozanielone pieski.

Nickie, jak każdy golden retriever, poszła rozpoznać nowe otoczenie, wwąchać się w nowe zapachy, przemykając pomiędzy nogami krzeseł a kanapą, zapamiętując teren i najbardziej przytulne kąty.

Ethel i Fred, dumni mieszkańcy, szli w ślad za swoim gościem, zatrzymując się w każdym miejscu, w którym Nickie się zatrzymywała, jakby chcieli jednocześnie z nowo przybyłą odkrywać bungalow. Psia gromadka, czyli Amy i jej komitet powitalny,

pilnie węsząc i dysząc z pełną aprobatą, przemknęła koło Amy.

Zanim się obróciła, by iść za nimi, one były pierwsze, i przemknąwszy przez hol, zniknęły w jej sypialni. Przed chwilą jedynie nocna lampka oświetlała pomieszczenie, teraz jednak rozjarzona była górna lampa.

– Maleństwa?

W dwóch rogach sypialni dwie jednakowe owcze skóry przykrywały psie legowiska.

Za progiem sypialni Amy zobaczyła, jak Nickie podbija nosem piłeczkę tenisową, którą Fred złapał w locie. Następnie Nickie chwilę się zastanawiała nad niebieskim pluszowym króliczkiem, ale ostatecznie go odrzuciła, więc Ethel się nim zajęła.

W sypialni i przylegającej do niej łazience Amy nie znalazła nieproszonego gościa, a zanim dotarła do gabinetu, który był czwartym i ostatnim pomieszczeniem bungalowu, i tam paliło się już górne światło.

Fred wypuścił z pyska piłeczkę, Ethel straciła zainteresowanie króliczkiem, Nickie zaś ostatecznie zdecydowała nie zgłaszać roszczeń do pary skarpetek znalezionych pod biurkiem.

Słumiony odgłos łap, akcentowany postukiwaniem pazurami o podłogę, obijanie ogonem stłoczonych sprzętów znaczyło drogę piesków, które radośnie przeniosły się do holu, a stamtąd do kuchni.

Amy, nadal zaintrygowana, zbliżyła się do jedyne okna w gabinecie, które okazało się zamknięte. Zasepiona podeszła do kontaktu, który dla sprawdzenia przekręciła kilkakrotnie, by zgasić górne światło, a następnie je zapalić, po czym znów zgasić.

Stała w holu i zaczęła przysłuchiwać się psom chlepczącym w kuchni wodę.

Jeszcze raz zajrzała do sypialni, gdzie sprawdziła okna. Antaby były zamknięte, podobnie jak w łazience.

Zerknęła do szafy. Baboka ani śladu.

Zasuwka na drzwiach frontowych pozostawała zasunięta. Łańcuch też znajdował się na miejscu.

Wszystkie trzy okna w salonie były zabezpieczone. Wsunięty szyber wykluczał możliwość wejścia przez komin zabląkanego Świętego Mikołaja, gdyby zachciało mu się pobawić światłami.

Teraz zostawiła tylko jedną zapaloną lampkę na nocnym stolyczku i w salonie

lampę na biurku. Na końcu korytarza obejrzała się za siebie, ale nie dostrzegła żadnych figlujących skrzatów.

W kuchni cała psia trójka leżała na podłodze w pobliżu lodówki, z podniesionymi głowami, z wyrazem czujnego wyczekiwania. Psy popatrzyły najpierw na lodówkę, potem na nią.

– A to co takiego? Myślicie, że już czas na jakąś przekąskę? Chcecie, żebym wyciągnęła coś z szuflady?

12

W ciszy nocnej ogień pożera coraz to nowe kęsy, a krótkie podmuchy gorącego powietrza rozwiewają włosy Harrowa, rozplywając się tuż za jego głową.

Harrow nie zna ludzi, którzy śpią w tym domu. Nic mu nie zrobili. Chociaż dla niego też nic nie zrobili.

Nie mają dla niego najmniejszego znaczenia.

Nie wie, jakie znaczenie mają dla Moongirl. Ona też ich nie zna, jednak dla niej mają jakieś znaczenie. Są z pewnością czymś więcej niż tylko lekarstwem na nudę. Harrow zastanawia się, co by to mogło być.

Mimo że chciałby wiedzieć, nie zapyta jej o to. Uważa, że jest bardziej bezpieczny, jeśli ona będzie myślała, iż są do siebie podobni.

Płomienie pochłonęły już werandę z tyłu domu, teraz z trzaskiem pożerają ganek.

Moongirl stoi z rękami wetkniętymi w kieszenie swej czarnej skórzanej kurtki. Jej twarz pozostaje bez wyrazu. W oczach nie widać nic poza odbiciem ognia.

Harrow podobnie jak ona panuje nad swoim umysłem i ciałem. W przeciwieństwie do niej panuje też nad uczuciami. Te trzy wyróżniki cechują ludzi o zdrowych zmysłach.

Nuda to stan zbliżony do uczuć. Niewykluczone, że rozpacz jest uczuciem, do którego najczęściej wiedzie nuda.

Wydaje się, że jest na tyle silna, że nic nie może jej zniechęcić, mimo to zwalcza nudę niebezpieczną zabawą, taką jak to podpalenie, co wskazywałoby na jej strach

przed pograżeniem się w otchłani rozpacz.

Języczki ognia niczym dziergane szydełkiem oczka pełzną po trawie, docierają do Moongirl, strojąc ją jak Nieczystą Pannę Młodą.

Światło pojawia się w środkowym pokoju.

Ktoś musiał się obudzić.

Przezroczysta firanka zaciera trochę obraz, ale sądząc po niewyraźnych konturach rysujących się na tle nieprzeniknionego ognia, dym dotarł już do pokoju.

Dom wspiera się na drewnianym pomoście. Ogień musiał już tam dotrzeć, języki ognia wybijają spod desek, wypuszczając z sykiem trujące opary.

Harrowowi wydaje się, że słyszy stłumiony krzyk, może czyjeś imię, ale nie jest tego pewien.

Instynkt, u ludzi bardzo niedoskonały, kazał gwałtownie przebudzonym mieszkańcom pognać w stronę drzwi wejściowych, następnie z powrotem do wyjścia od tyłu, z obu jednak stron drogę zagrażdza im ściana ognia.

Księżyc blednie wobec jasności ognia. Płomienie obejmują już róg domu.

– Moglibyśmy pojechać w drugą stronę – mówi Moongirl.

– Tak.

– Moglibyśmy znaleźć jeszcze jeden dom.

– Ile dusza zapragnie – zgadza się z nią.

– To bez znaczenia.

– Tak.

– Zawsze jest tak samo.

Z wnętrza domu podnosi się głośny krzyk, przerażone wołanie kobiety, po nim zaś krzyk mężczyzny.

– Myślą, że są inni niż wszyscy – mówi ona.

– Teraz już wiedzą.

– Myśleli, że rzeczy są ważne.

– To widać po tym, jak dbali o dom.

– Rzeźbione gzymsy.

– Miniaturowy wiatrak.

Teraz krzyk brzmi inaczej, już nie jest to krzyk przerażenia, ale bólu.

Nieubłagany ogień dociera do wnętrza, jest już za oknami. Miejsce to jest jak hubka czekająca tylko na krzesiwo.

Ludzie zresztą też.

W środkowym oknie cienka firanka spłonęła w mgnieniu oka, jak papierowe ludziki w rękach prestidigitatora.

Przed domem dwukierunkowa droga niknie w oddali, niewidoczna nawet po wschodzie słońca.

Odłamki szyb sypią się na zewnątrz, w środkowym oknie ukazuje się sylwetka udręczonego mężczyzny na tle płonącego pokoju. Znów krzyczy, ale inaczej, to już jest wrzask.

Kobięcy głos ucichł.

Okno ze szprosami nie daje możliwości łatwego wyjścia. Mężczyzna mocuje się z antabą, próbuje unieść ramę od dołu.

Obejmują go płomienie. Upada do tyłu, wprost w palenisko, które przedtem było sypialnią. Teraz już cierpi bezgłośnie.

– Co on krzyczał? – pyta Moongirl.

– Nie wiem.

– Na nas krzyczał?

– Nie widział nas.

– W takim razie na kogo?

– Nie wiem.

– Nie miał sąsiadów.

– Nie miał.

– Nikogo, kto by go uratował.

– Nikogo.

Żar obejmuje okno. Kapią pęcherze płonącej farby. Trzeszczą zawiasy, miękną gwoździe.

– Głodny jesteś? – pyta ona.

– Mógłbym coś zjeść.

– Mamy dobrą szynkę.

– Zrobię kanapki.

– Z musztardą z zielonym pieprzem.

– To dobra musztarda.

Spirale ognia wywołują wrażenie, że dom, płonąc, obraca się niczym paląca się karuzela.

– Ile kolorów ma ten ogień – zauważa ona.

– Widzę nawet zielony.

– Tak. O, tam. Na rogu. Zielony.

Dym unosi się w górę, jak drabina do nieba. Tyle że nic po niej nie wstępuje, tylko jeszcze więcej dymu, sadze wspinają się po sadzy, coraz wyżej, do nieba.

Wobec bliskiej perspektywy śniadania i porannego spaceru Amy nie dopuściła, by hultajska trójka wyżebrała u niej herbatniki.

– Nie będzie tłustych piezków – ostrzegła ich. W lodówce trzymała na podobne okazje pokrojoną marchewkę.

Siedząc na podłodze ze swoimi pupilami, rozdała im chrupiącą marchewkę, najpierw Ethel, potem Fred, a na końcu Nickie. Z zapałem chrupały poczęstunek, oblizując się po nim ze smakiem.

Po szóstym kawałku dla każdego powiedziała:

– Dość. Nie chcecie chyba robić pomarańczowej kupki, co?

Przeniosła jedno psie legowisko z gabinetu i położyła je w trzecim rogu swojej sypialni, po czym napełniła jeszcze jedną miskę wodą i postawiła obok pierwszej.

Kiedy włożyła już piżamę, psy pojawiły się w sypialni, by umościć się, każdy w swoim kącie, na resztę nocy.

Ustawiła kapcie przy łóżku, wrzuciła poduszkę, po czym wślizgnęła się pod kołdrę. Niemal w tej samej chwili Nickie podeszła do niej, trzymając w pysku jej kapcie.

Mogło to być wypróbowanie panującej tu dyscypliny albo zaproszenie do zabawy, choć nie wyglądało na to. Nawet z pantoflami w pysku Nickie miała poważną minę i skupione spojrzenie.

– Chcesz się przytulić? – zapytała Amy.

Na słowo „przytulić” pozostałe pieski uniosły głowy.

Fred i Ethel zazwyczaj spędzały noce w swoich kątach, ale czasem, nie tylko podczas burzy, lubiły zdrzemnąć się obok Mamci.

Nawet zaniepokojone grzmotami nie wchodziły do niej do łóżka bez pozwolenia, które wyrażane było słowami: „Tulimy się”.

Nickie nie znała tej komendy, ale Fred i Ethel podniosły się ze swoich futrzanych legowisk i pełne napięcia, strzygąc uszami, oczekiwały na oficjalne zaproszenie.

Zmordowana wypadkami ostatniej nocy Amy potrzebowała odpoczynku, a sen łatwiej do niej przychodził, gdy mogła zwinąć się w kłębek wraz ze swoimi psami; nieraz już tego doświadczyła.

– No dobrze, małeństwa – powiedziała. – Tulimy się.

Ethel przebiegła trzy kroczyki i skoczyła, a za nią Fred. Na łóżku obracały się wielokrotnie, jakby wypróbowując miękkość materaca, niczym kółka zębate w mechanizmie zegarka, aż wreszcie zwinęły się w kłębek i opadły na posłanie z westchnieniem pełnym zadowolenia.

Nadal trzymając kapcie w pysku, Nickie patrzyła wyczekująco na swoją nową panią.

– Oddaj – powiedziała Amy, a golden retriever posłusznie rozstał się ze swoim znaleziskiem.

Amy odstawiła kapcie pod łóżko.

Nickie znów je wzięła i podała pani.

– Chcesz, żebym dokądś poszła? – zapytała Amy.

Duże brązowe oczy psa były pełne wyrazu, zupełnie jakby to były ludzkie oczy. Amy lubiła w tej rasie wiele rzeczy, ale najbardziej piękno oczu.

– Nie musisz wychodzić. Załatwiłaś się po przyjeździe do domu.

Inteligencja retrieverów nie ustępuje urodzie ich oczu. Czasami, w takich chwilach jak ta, widać, jak bardzo im zależy na wyrażeniu swoich wcale nie prostych myśli, i mimo że nie posługują się językiem, potrafią bardzo wiele wyrazić wzrokiem.

– Oddaj – powtórzyła Amy, a Nickie po raz kolejny jej posłuchała.

Wierząc, że powtórka sprawi, że psisko zapamięta wskazane przez nią miejsce kapci, Amy wychyliła się z łóżka i znów położyła je na podłodze.

Nickie natychmiast po nie sięgnęła, by po raz kolejny je podać.

– A co to za nowa moda – zganiała ją lekko Amy. – To są ładne kapciuszki i nie zamierzam się ich pozbyć.

Z głową złożoną na łapach Ethel, zaciekawiona, przyglądała się tej scenie. Fred wsparty na głowie Ethel, obserwował to samo z wyższego pułapu.

• • •

Psy podobnie jak dzieci potrzebują dyscypliny, i czują się bardziej bezpiecznie,

gdy ustala się dla nich pewne zasady, których mają się trzymać. Najszczęśliwsze są te psy, których pan łagodnie, ale stanowczo żąda od nich szacunku.

Tak czy inaczej w tresurze psów, jak na wojnie, odwaga winna iść w parze z rozwagą.

Tym razem, znów mając w ręku kaptcie, Amy wetknęła je pod poduszkę.

Nickie okazała najpierw zaskoczenie, ale zaraz odpowiedziała radosnym, jakby triumfalnym wyszczerzeniem zębów.

– Nie myśl sobie, że choć przez chwilę możesz mnie prowadzić na smyczy – oświadczyła Amy, poklepując materac obok siebie. – A teraz wskakuj.

Nickie zrozumiała polecenie – czy to wyrażone słowami czy gestem. Złożyła się do skoku i wylądowała na łóżku obok Amy.

Fred cofnął swój łeb z karku Ethel, która z kolei zamknęła oczy, Nickie zaś, wzorem swoich towarzyszy, zwinęła się w wygodnej do snu pozycji.

Spiętrzone psie sylwetki i ich przyjazne pyski wywołały uśmiech na twarzy Amy, która westchnęła jak one, układając się do snu.

By w domu nie walały się kłaki psiej sierści, Amy codziennie rano szczotkowała każdego psa mniej więcej pół godziny i wieczorem jeszcze raz przez dziesięć minut oraz codziennie odkurzała całe mieszkanie. Z Nickie będzie jeszcze więcej pracy, ale ona była tego warta.

Amy zgasiła światło i poczuła, jak unosi się na fali snu i z wolna zasypia.

Niemal natychmiast jednak dręczące wspomnienie zepchnęło ją z tej fali i rzuciło na brzeg. „Muszę brać do łóżka swoje kaptcie, żeby we śnie nie chodzić boso po lesie”.

Amy otworzyła oczy, przechodząc z jednej ciemności w drugą, przez chwilę nie mogła złapać tchu, jakby zalała ją fala przeszłości, która wlewała jej się do gardła i wdzierała do płuc.

Nie. Cała ta zabawa z kaptkami nie mogła mieć na celu przypomnienia jej dawnej rozmowy na temat chodzenia we śnie po lesie.

Nowy pies był po prostu psem, niczym więcej. Podczas burz przewalających się przez ten świat zawsze można znaleźć drogę wiodącą przed siebie, naprzód, natomiast nie ma odwrotu ku przeszłości, czy to będzie czas spokoju, czy czas niepokoju.

Każdy, kto ma do czynienia z psami, wie, że mają one w sobie coś tajemniczego, jakieś wewnętrzne życie, głębsze, niż przyznaje nauka, ale bez względu na to, jaka jest istota ich umysłów czy stan ich duszy, nie mogą przekroczyć granic wytyczonych przez

możliwości, na jakie pozwala im ich gatunek, a ich mądrość kształtowana jest przez doznane w życiu doświadczenia.

W każdym razie kapcie wetknięte teraz pod poduszkę przypomniały jej o innych kapciach, nasuwając na pamięć słowa: „Muszę wziąć ze sobą do łóżka kapcie, żeby we śnie nie chodzić bosy po lesie”.

Ethel zaczęła delikatnie pochrapywać. Fred zazwyczaj spał spokojnie, chyba że śniło mu się, że goni kogoś albo że ktoś go goni.

Im dłużej Amy wsłuchiwała się w rytmiczny oddech Nickie, tym większego nabierała przekonania, że suka nie tylko nie śpi, ale że też obserwuje ją w ciemności.

Mimo że stan znużenia jej nie opuszczał, sen jednak nie przychodził.

W końcu, nie mogąc opanować ciekawości, wyciągnęła rękę w stronę miejsca, gdzie Nickie powinna leżeć, spodziewając się, że jej podejrzenia się nie potwierdzą, że znajdzie psa pogrążonego w głębokim uśpieniu. Tymczasem jej ręka napotkała w ciemności potężną głowę, która była uniesiona do góry i skierowana w jej stronę, tak jakby pies pełnił przy niej wartę.

Amy wzięła w palce lewe ucho Nickie i zaczęła kciukiem pocierać jego wnętrze, palcami zaś masować ten jego fragment, który łączył się z czaszką. Jeżeli istniało coś, co sprawiało, że pies mruczał jak kot, to było właśnie to, a Nickie poddała się tej pieśszczocie z wyraźną przyjemnością.

Po chwili retrieverka złożyła głowę na brzuchu Amy.

„Muszę wziąć ze sobą do łóżka kapcie, żeby we śnie nie chodzić bosy po lesie”.

Wiedziona instynktem samozachowawczym Amy zbudowała tamę pomiędzy tym wspomnieniem a swoim sercem. Teraz tama pękła i wspomnienia docierały do jej serca.

„Skoro jest to las ze snu, to dlaczego ziemia jest grząska?”

„Jest grząska, ale jednocześnie zimna”.

„To las zimowy, prawda?”

„Tak, tyle śniegu napadało”.

„Wyśnij więc letni las”.

„Kiedy ja lubię śnieg”.

„W takim razie powinnaś mieć ze sobą buty”.

„Pewnie tak”.

„Do tego grube wełniane skarpety i ciepłe majtki”.

Serce zaczęło jej mocniej bić, starała się uciszyć głosy rozbrzmiewające w jej

głowie. Serce jednak waliło w jej piersi jak uderzenia młotem, pamięć domagała się głosu.

Pogłaskała pieśczośliwie kudłaty łeb leżący na jej brzuchu, jakby w geście obronnym przed wspomnieniami, które były zbyt straszne, by chcieć jej przywoływać, zamiast tego więc zaczęła sobie przypominać te wszystkie skrzywdzone i porzucone psy, które ocaliła, a których przez lata uzbierały się setki. Ofiary ludzkiej obojętności i ludzkiego okrucieństwa, fizycznie i psychicznie poturbowane, kiedy je spotkała, które jednak przywróciła do fizycznej i psychicznej sprawności i sprawiła, że znów stały się wesołe i szczęśliwe.

Żyła dla psów.

W ciemności wyszeptwała słowa z wiersza Roberta Frosta, które w ciężkich chwilach podtrzymywały ją na duchu. *Ciągnie mnie w mroczną głąb tej kniei, lecz woła trzeźwy świat nadziei i wiele mil od snu mnie dzieli. I wiele mil od snu mnie dzieli.*

Nickie zdrzemnęła się z głową wspartą o jej brzuch.

Teraz już nie ten tajemniczy pies, ale Amy Redwing trzymała straż. Powoli jej serce się uspokajało, a w ciemności zapanował spokój, wszystko wróciło na swoje miejsce.

Za oknem wstawał świt, spychając ciemność najpierw na zachód, a potem całkowicie zajmując jej miejsce.

Na ulicach zaczynał się zgiełk, turkot kół, jakieś głosy od czasu do czasu.

Na kuchennym stole leżał szkic głowy Nickie i dwa studia jej oczu, rysowane z pamięci. Drugie studium zawierało mniej okolic oczu niż to pierwsze.

Brian zabrał się do trzeciego studium. Miało ono skoncentrować się wyłącznie na głęboko osadzonych oczach, ukazać przestrzeń między nimi, pełne wyrazu brwi i gęste rzęsy.

Nadal pochłonięty był zadaniem, które sam przed sobą postawił. Nie opuszczało go też przekonanie, że w spojrzeniu psa dostrzegł coś, co miało wielką wagę, jakąś nadprzyrodzoną cechę, czego nie sposób wyrazić słowami, ale co dałoby się oddać za pomocą rysunku kreślonego ręką kierowaną siłą nadprzyrodzoną, obdarowującą go na tę chwilę spotęgowanym talentem, która wydobyłaby obraz z jego podświadomości, nadała kształt i utrwaliła.

Irracjonalność tego przekonania zrobiła na nim wrażenie. Nadprzyrodzone cechy z natury rzeczy są nie do zdefiniowania, można je tylko wyczuwać.

Jego determinacja, by wciąż rysować oczy psa, była niczym innym jak tylko wewnętrznym przymusem. Niesłychany wysiłek umysłowy i zaangażowanie emocjonalne, jakie wkładał w to zadanie, jego samego speszyły, a nawet zmartwiły, nie na tyle jednak, by odłożył ołówek.

W słynnym obrazie Rembrandta *Dama z goździkiem* obiekt przedstawiony nie przemawia do widza bezpośrednio, ale przez wyraz zadumy, która sprawia, że chce się wraz z nim kontemplować, by zrozumieć powód owego zadumania. Malując oczy damy, artysta dał silniejszy kontrast, uwyraźnił tęczę idealną plamą świetlną, która sugeruje stan ducha, któremu nieobce są najgłębsze uczucia.

Brian nie miał złudzeń co do swojego talentu, by na serio porównywać się z Rembrandtem. Subtelne, półprzejrzyste cienie oraz lśniące załamania się światła w oczach psa z ostatniego rysunku nie mogły się równać z niczym, co kiedykolwiek

udało mu się narysować.

Nie wierzył, że on sam to narysował.

Chociaż poza nim w mieszkaniu nie było nikogo i mimo że sam śledził ruchy swojej ręki, nabierał coraz głębszego przekonania, że nie jest obdarzony takim talentem ani nie jest tak wielkim artystą, by móc przelać na papier tę niepojętą głębię spojrzenia i skrywaną tajemnicę, jaka wyzierała z gotowego już rysunku.

W ciągu trzydziestu czterech lat swojej ziemskiej egzystencji nigdy nie doświadczył działania sił nadprzyrodzonych ani też zbyt się nimi nie interesował. Będąc architektem, wierzył w linię i w światło, w formę i funkcjonalność, w piękno rzeczy budowanych po to, by trwały.

Kiedy wyrwał z bloku kartkę i odłożył ją na bok, nie mógł uwolnić się od myśli, że objawiony właśnie talent nie należał do niego.

Być może doświadczył czegoś, co w psychologii określa się mianem przepływu, pewnego rodzaju transu, chwili transcendencji, kiedy umysł wznosi się ponad ograniczające go bariery zwątpienia w siebie, co sprawia, że wolny od ograniczeń talent daje się w pełni wyrazić, co przedtem było nie do pomyślenia.

To wytłumaczenie jednak miało jedną słabą stronę. Przez cały czas Brian nie sprawował nad sobą pełnej kontroli, gdy tymczasem stanu przepływu doświadcza się w pełni świadomie, czując mistrzowskie opanowanie swoich talentów.

Pusta kartka przed nim domagała się zwrócenia na nią uwagi.

Jeszcze bardziej skoncentruj się na tych oczach, pomyślał. Pójdź jeszcze dalej.

Przed wszystkim potrzebował chwili wytchnienia. Odłożył ołówek, ale zaraz wziął go do rąk, nawet nie rozprostowując dla relaksu palców, jak gdyby jego dłoń kierowała się własną, niezależną od niego wolą.

Jakby z oddali obserwował sam siebie, jak sięga po nóż, by zatemperować ołówek, zestrugać warstwę drewna i zaostrzyć grafit.

Zatemperował wiele ołówków, niektórym przydając bardzo cienki koniec, innym dość tępy, po czym wygładził je wszystkie na papierze ściernym i odłożył na bok wraz z nożem.

Odsunął krzesło od stołu, wstał i poszedł do kuchni, gdzie przy zlewie ochlapał sobie twarz zimną wodą. Ale kiedy sięgnął do kranu, zauważył, że nadal trzyma ołówek w prawej ręce.

Spojrzał na stół, gdzie, jak pamiętał, odłożył ołówek po zatemperowaniu tuż obok bloku rysunkowego. Nie było go jednak na tym miejscu.

Kiedy zadzwoniła do niego Amy, prosząc go, by towarzyszył jej w misji ratowania psa, on zdążył się przespać zaledwie godzinę. Pewnie dlatego, tak sobie to wytłumaczył, zmęczenie zakłóciło mu jasność myśli i pamięć.

Odłożył ołówek na deskę do krojenia chleba przy zlewie i przez chwilę mu się przyglądał, jakby w oczekiwaniu, że ołówek uniesie się i w podskokach wróci do jego dłoni.

Kilkakrotnie opłukał twarz zimną wodą, następnie wytarł ją papierowym ręcznikiem, ziewnął szeroko, potarł szczecinę, która zdążyła pokryć mu brodę, po czym z lubością się przeciągnął.

Przydałaby mu się kofeina. W lodówce miał parę puszek red bulla, które trzymał na okazy, gdy termin go gonił i do oddania rysunku pozostała mu już tylko noc.

Kiedy otwierał lodówkę, w prawej dłoni nie miał ołówka. Miał go w lewej.

– Cholera. To przez to zmęczenie.

Położył ołówek na szklanej półce lodówki, przed plastikowym pojemnikiem pełnym makaronu z pesto.

Otworzył puszkę. Odginając blaszane uszko, pociągnął długi łyk i zamknął lodówkę, nie wyjmując z niej ołówka.

Kiedy wrócił do stołu i odstawił puszkę na blat, spostrzegł, że w kieszonce jego hawajskiej koszuli tkwi wetknięty ołówek.

Musiał to być inny ołówek, nie ten, który zostawił w lodówce. Pewnie już go miał w kieszonce, kiedy wstał, by ochłapać twarz zimną wodą.

Policzył pozostałe ołówki na blacie. Powinno dwóch brakować, tego z kieszonki i tego w lodówce. Brakowało jednak tylko jednego.

Własnym oczom nie wierząc, wrócił do lodówki. Ale nie znalazł tam ołówka zostawionego koło plastikowego pojemnika.

Jak to jest? W jednej chwili coś widzisz, a w drugiej już nie.

Brian ponownie usiadł przy stole i wyjął ołówek z kieszonki koszuli. Zręcznie manipulując niczym prestidigitator, ujął ołówek w palce, tak jak należy, by zacząć nim rysować.

Nie zamierzał bawić się ołówkiem. Zdawało się, że jego palce demonstrują magiczne sztuczki, które uprawiał w poprzednim życiu.

Zaostrzony grafit sunął sprawnie po papierze, z niebywałą łatwością spływały na papier wprost z ołówka kontury rysunku, ujawniając zagadkowy strumień, kreśląc

półprzezroczystą zasłonę na dalekowzrocznym oku psa.

Brian coraz mniejszą uwagę zwracał na to, co rysuje, aż wreszcie robił to już całkowicie bezwiednie. Zupełnie niezależnie od niego jego ręka zręcznie kreśliła światłocienie.

Włos mu się zjeżył na karku. Bynajmniej się tym nie przestraszył, nie czuł się nawet lekko zaniepokojony. Ogarnęło go tylko spokojne zadziwienie.

Jak wcześniej podejrzewał, a teraz już miał co do tego całkowitą pewność, w tym dziele to nie on był artystą. Był takim samym narzędziem jak ten ołówek, który dzierżył w dłoni. Artysta pozostawał nieznany.

Po kilku godzinach snu Amy wstała o wpół do siódmej, wzięła prysznic, ubrała się, wsypała gotową karmę do trzech misek, po czym wyprowadziła psy na poranny spacer.

Wyprowadzenie jednocześnie trzech psów mogło być sprawdzianem umiejętności Amy w zakresie panowania nad nimi oraz zdolności utrzymania równowagi. Na szczęście okazało się, że Nickie była dobrze wytresowana. Za każdym razem bowiem, kiedy Amy odkładała smycz, by zebrać do torebek ich kupki, Nickie słuchała polecenia: „siad, czekaj” równie posłusznie jak Fred i Ethel.

Przyjemne ciepło poranka orzeźwiał lekki wietrzyk, delikatny jak pieśczoła, a strzępiaste palmowe liście rzucały cienie przypominające puszyste ogony golden retrieverów.

Ponieważ Amy wstała później niż zwykle, czesaniu psów poświęciła tylko godzinę. Podczas tej operacji leżały wygodnie niczym kuracjusze poddający się leniwie zabiegom pielęgnacyjnym w gabinecie odnowy biologicznej. Amy poświęciła więcej czasu Nickie niż pozostałym dwóm psom, ale nie znalazła u niej żadnych kleszczy.

Za dwadzieścia dziesiąta cała czwórka siedziała już w fordzie expedition, gotowa ruszyć z Laguna Beach na spotkanie przygody.

Na początek zatrzymali się u doktora Sarkissiana, jednego z licznych weterynarzy zajmujących się uratowanymi psami za połowę honorarium, dopóki te nie znalazły miejsca u nowych rodzin, które gotowe były wziąć je do siebie na stałe. Po skończonym badaniu Harry Sarkissian dał Nickie całą serię szczepień. Zapisał jej także specyfiki przeciw pchłom, kleszczom i pasożytom wywołującym dirofilariozę. Wyniki badania krwi miały być gotowe po dwóch dniach.

– W sumie tej dziewczynce nic nie jest – ocenił. – To cudo.

Kiedy Amy wróciła z Nickie do samochodu, Fred i Ethel trochę się dęsały, jednak niezbyt długo. Wiedziały bowiem, że podczas wizyty u weterynarza dostaje się herbatniczka, zresztą pachniało tym smakołykiem od ich siostrzyczki.

• • •

Renata Hammersmith mieszkała w głębi kraju, gdzie jeszcze enklawy hodowli koni obroniły się przed naporem nieustannie rozbudowujących się przedmieść Kalifornii.

Zawsze w wysokich butach, dzinsach i kraciastej koszuli, sprawiała wrażenie, że nawet do snu zakłada podobny strój; nie sposób było ją sobie wyobrazić w piżamie czy peniuarze.

Jej trzyakrowa posiadłość, otoczona białym płotem, kiedyś była miejscem, gdzie na łące przed domem pasły się konie.

Kiedy Jerry, jej mąż, miał wypadek, konie stały się luksusem, na jaki nie mogli już sobie pozwolić. Jego ukochany ford mustang z 1967 roku miał zderzenie czołowe z pick-upem.

Sparaliżowany od pasa w dół, Jerry stracił również śledzionę, jedną nerkę i znaczną część jelita grubego.

– Gówna jednak mam tyle co przedtem – zapewniał przyjaciół.

Nie stracił bowiem swojego poczucia humoru.

Kierowca pick-upa natomiast, pijany, bezrobotny i nieubezpieczony, wyszedł z wypadku z otarciami naskórka, złamanymi dwoma zębami oraz bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Przed sześcioma laty Hammersmithowie sprzedali firmę budowlaną Jerry'ego, skapitalizowali odsetki bankowe i ograniczyli wydatki w nadziei, że pieniądze te starczą im do końca życia. Obecnie mieli po pięćdziesiąt dwa lata.

Renata nie mogła zatrzymać posady i jednocześnie opiekować się Jerrym, bała się więc, że pewnego dnia trzeba będzie sprzedać ziemię. Zawsze miała dużo przestrzeni życiowej. Myśl, że mogłaby mieszkać przez ścianę z sąsiadami, po prostu ją przerażała.

Amy minęła wiejski dom, gdzie klematis otaczał werandę i piął się na daszek po podtrzymujących go słupach. Po drodze Amy zadzwoniła do Renaty z komórki, wiedziała więc, że przebywała na polu ćwiczeń zajęta pracą z psami, które nazywała duchami.

Psiarnia urządzona w dawnej stajni przylegała do ogrodzonego zielonego trawnika. Ogromny kalifornijski dąb zacieniał połowę tego terenu.

Sześć golden retrieverów siedziało lub leżało w różnych miejscach pola ćwiczeń,

przeważnie jednak wybierając cień.

W środku pola siedziała na kocu Renata, a przy niej siódmy retriever.

Amy otworzyła klapę swojego SUV-a, wypuszczając pupili z samochodu, po czym odwróciła się i zlustrowała dopiero co przebytą drogę.

W oddali, na końcu asfaltowej dwukierunkowej szosy, naprzeciwko wjazdu na teren Hammersmithów, w cieniu zagajnika jakarand zatrzymał się land-rover, który jechał za nią przez całe przedpołudnie.

Kiedy otworzyła furtkę na pole ćwiczeń, Fred i Ethel natychmiast podprowadziły Nickie do Renaty, żeby otrzymać porcję pieszczot, których im nigdy nie szczędziła, oraz przywitać się z Hugonem, siedzącym przy niej goldenem.

Kiedy Amy przebiła się przez czwórkę zawierających znajomość psów, wzięła od Renaty lornetkę, o którą poprosiła przez telefon.

Teraz mogła lepiej przyjrzeć się ukrytemu nadal w cieniu jakarand land-roverowi.

Drzewa rozsiewały cienie, przerywane oczkami światła, które odbijały się na przedniej szybie, kryjąc twarz kierowcy (jeżeli to był mężczyzna), siedzącego nadal za kierownicą.

– Czy to ten damski bokser? – zapytała Renata.

– Trudno powiedzieć. Chyba nie. Nie sądzę zresztą, żeby go tak szybko wypuścili z aresztu.

Amy usiadła na kocu i odłożyła lornetkę.

Szóstka retrieverów, nie ruszając się ze swoich miejsc, przyglądała się jej z zainteresowaniem. Ale żaden nie wstał, żeby się przywitać.

– Co z nimi? – zapytała Amy.

– Mają się lepiej, chociaż poprawa przychodzi powoli. Jeżeli to nie damski bokser, to w takim razie kto?

– Może jakiś tajemniczy adorator.

– Czy ostatnio dostawałaś od kogoś anonimowego bombonierki i kwiaty?

– Nieznani adoratorzy nie zachowują się już w ten sposób. Teraz porywają, gwałcą i zabijają.

– No, proszę, jakie to atrakcje wniosła nam rewolucja.

Vemon Lesley zaparkował swojego pordzewiałego chevroleta o dwie przecznice od bungalowu Amy Redwing.

Jego sedan był wrakiem, którego karoseria wołała o remont. Tapicerka łatana była taśmą klejącą. A ponieważ samochodowi nigdy nie dawało się domyć, Vemon nie zawracał sobie głowy jego pucowaniem.

Przez długi czas wstydził się swojego chevroleta, ale dotyczyło to okresu wcześniejszego niż kilka ostatnich lat, ponieważ w swoim drugim życiu posiadał samochód sportowy wart sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, przy którym ferrari wyglądało jak kupa złomu.

Nawet się nie fatygował, by zamknąć sedana. Nikomu by się nie chciało go ukraść ani zwędzić czegokolwiek, co mogło się tam znajdować.

Zadowolony, że nie zwraca na siebie uwagi, udał się od razu w stronę domu Amy Redwing, gdzie śmiało wszedł wprost na taras z tyłu domu.

Miał trzydzieści dziewięć lat, metr siedemdziesiąt trzy wzrostu, rzednące popielato blond włosy, był nieco zgarbiony i brzuchaty. Jego piwne oczy miały kolor słabej herbaty. Najbardziej znaczący rys jego fizjonomii nadawał mu obwisły podbródek.

Na ogół ludzie mu się nie przyglądali, raczej patrzyli przez niego.

W jego pracy niezwracanie na siebie uwagi działało na jego korzyść. Był bowiem prywatnym detektywem.

Redwing miała założony solidny zamek na drzwiach z tyłu domu, nie jakąś tam tandetną kłódeczkę, jaką wielu ludzi uważałoby za wystarczającą, ale Vemon rozprawił się z nim w ciągu jednej minuty.

Kuchnia, utrzymana w tonacji białej i żółtej, robiła pogodne wrażenie. Jeszcze przed rokiem Vemon zazdrościłby jej tego przytulnego domku.

Teraz, w swym drugim wcieleniu, posiadał elegancki, nowoczesny dom położony na urwisku nad morzem. Nie musiał już nikomu niczego zazdrościć.

Wydział komunikacji oraz Urząd Skarbowy trwały w przekonaniu, że Vemon

Lesley mieszka w jednopokojowym lokalu w nieciekawej dzielnicy Santa Ana. Nie mieli pojęcia, że jako Von Longwood używał życia w znacznie lepszych warunkach.

Von Longwood nigdy nie zgłosił się do wydziału komunikacji i nigdy nie zapłacił ani centa podatku. Nie zostawił żadnych śladów, po których władze mogłyby go odnaleźć.

Spuściwszy rolety, Vemon stanął na kuchennym krzeselku, by przeszukać zawartość wiszących szafek, a następnie niższe półki i dolne szuflady.

Zatroszczył się o to, by powkładać wszystko na miejsce. Jego zleceniodawca nie chciał, by Amy zauważyła, że jej dom został przeszukany.

Zazwyczaj podczas takich nieoficjalnych inspekcji Vemon korzystał w pełni z toalety, po czym nie spuszczał po sobie wody. Uważał to za rodzaj swojej parafki, tak jak Zorro kreślił mieczem Z na przedmiotach, z którymi miał do czynienia.

Ponieważ nie zostawiał żadnych innych śladów wskazujących na czyjąś obecność, właściciel ostatecznie dochodził do wniosku, że sam nie spuścił wody.

W tym przypadku jednak Vem postanowił nie zostawiać żadnej swojej wizytówki. Nawet gdyby Redwing nabrała przekonania, że to ona nie spuściła po sobie wody, reakcja któregoś psa mogłaby wzbudzić jej podejrzenia.

Vem nie lubił psów, głównie dlatego, że nie spotkał jeszcze psa, który by jego polubił. Ludzie traktowali go jak powietrze, ale psy patrzyły na niego ostrzegawczo, dla pewności obnażając kły.

W szkole średniej miał ulubionego szczura o imieniu Cheesy. Odpowiedni szczur mógł być świetnym kompanem, mądrym i przywiązanym do właściciela. Razem spędzili ze sobą wiele niezapomnianych chwil.

Przy kuchni znajdowała się niewielka łazienka. Vem oparł się pokusie skorzystania z niej.

W łazience nie znalazł nic ciekawego, z wyjątkiem własnego odbicia. Uśmiechnął się do siebie.

Dotychczas na ogół unikał luster. Ostatnio jednak patrząc w lustro, oglądał odbicie już nie Vemona Lesleya, ale uroczego szalawicy, Vona Longwooda, który miał bujną czuprynę i niebieskie oczy.

Wróciwszy do kuchni, przepatrzył opakowania pizzy, warzyw, a w lodówce pojemnik z lodami. W spiżarni zajrzał do każdej otwartej puszkę, by sprawdzić, czy rzeczywiście zawiera to, co wieści nalepka.

Kiedy ktoś chciał ukryć coś, co przypominałoby dawne życie, dowody skrywał

najczęściej w miejscach, które dla niedoświadczonego obserwatora wydawałyby się mało prawdopodobnymi schowkami. Zgodnie z tym Vem sprawdził, czy pudełko z krakersami rzeczywiście zawiera krakersy, a zasobnik z karmelowymi i truskawkowymi lodami nie skrywa na dnie starych listów miłosnych.

Właściwie nie listy miłosne były tym, czego szukał. W swoim poprzednim życiu Amy Redwing nie miała szczęścia w miłości ani w żadnej innej dziedzinie.

W przeciwieństwie do niej Von Longwood uprawiał z powodzeniem seks nawet cztery razy dziennie, a jego bajeczny samochód wprost unosił się w powietrzu podobnie jak sam Von.

Renata nazywała te psy duchami, ponieważ bardziej przypominały duchy psów niż żywe stworzenia, jakimi powinny być.

Pochodziły z tak zwanych fabryk psów, gdzie żyły w warunkach urągających podstawowym zasadom humanitarnym, niedożywione i traktowane z okrucieństwem.

Suki zostawały zapłodnione już podczas pierwszej ciecarki, która na ogół przypadała na szósty miesiąc ich życia, a potem dwa razy do roku. Po dwóch lub trzech latach, gdy z powodu stresu związanego z warunkami, w jakich przyszło im żyć, nie wchodziły w okres następnej rui, zabijano je lub oddawano do lokalnych schronisk dla zwierząt.

Ostatecznie na tę fabrykę produkującą szczeniaki nasłano kontrolę, po której ją zamknięto. Odebrano jedenaście suk i cztery psy. Czekala je eutanazja, były bowiem zbyt słabe i dzikie w obejściu, by mogły trafić do normalnych domów.

Fundacja Golden Heart wzięła całą piętnastkę, która została skierowana do Hammersmithów, których ośrodek nazywano Ranczem Ostatniej Szansy.

Dwa psy i cztery suki znajdowały się w tak opłakanym stanie, że nie przeżyły następnego tygodnia, mimo że po raz pierwszy w życiu otrzymały pomoc weterynaryjną. Niektóre z nich tak strasznie bały się ludzi, że nawet na pieszczotliwe gesty reagowały wymiotami albo siusianiem.

Ich prochy Hammersmithowie złożyli w urnach. Każda urna została opatrzona stosowną naklejką.

Renata i Jerry nadali im imiona, ponieważ w rozplodowej psiarni miały jedynie numery. Ale żaden człowiek ani pies nie powinien umierać bezimiennie.

Zapchłone, zarobaczone, nękanie przez liczne kleszcze i niedożywione, musiały zostać ostrzyżone, dostać lekarstwa i w niektórych przypadkach być cierpliwie karmione z ręki.

W ogłoszeniach, za pomocą których sprzedawano szczeniaki, pisano, że są „wychowane na farmie w kochającej rodzinie”.

W ciągu następnych kilku miesięcy, mimo nadludzkich wysiłków, by ocalić

resztę psów, cztery z nich nie poddawały się żadnym zabiegom, tak że w końcu musiano je uśpić.

Tak bardzo bały się ludzi, że nie dawały się dotknąć, nawet gdy rozpaczliwie potrzebowały pocieszenia i pieczy. Kiedy nadchodziła ich ostatnia godzina, wolontariusze z Golden Heart głaskali je pocieszająco, szeptali słowa miłości, po czym litościwie polecali je Bogu.

Ratowanie psów czasem przynosi radość, a czasem smutek.

Pozostało przy życiu sześć suczek. Leżały teraz w rozmaitych miejscach pola ćwiczeń w bezpiecznej odległości od Renaty i Amy.

W rozplodowej psiarni trzymano je w ciasnych drucianych klatkach bez możliwości zabawy ani ruchu. Na Ranczu Ostatniej Szansy ogrodzony płotem teren wydawał się niebezpiecznie rozległy. Na początku wołały siedzieć w budzie.

Zabrane z brudnych klatek w fabryce psów bały się każdej istoty ludzkiej, głośniejszego głosu, nawet łagodności, ponieważ nigdy przedtem ich nie doświadczyły, samochodów, gdyż nigdy nimi ich nie wożono, schodów, bo nigdy po nich nie wstępowały, wody i mydła, bo nigdy nie były kąpane, suszarek i ręczników, muzyki i pierwszych zabawek, jakie im dano.

Po czterech miesiącach w znacznym stopniu się przystosowały, nadal jednak jeszcze nie nadawały się do adopcji. Powinny być trochę śmielsze, by móc przebywać na stałe w jakiejś rodzinie. Ciągle jeszcze musiały się oswajać z kosiarkami, pralkami, wyzbyć nieufności wobec śliskich kafelków podłogowych, parkietu, schodów.

Ethel i Fred, przywitawszy się z golden retrieverem należącym do Renaty, wabiącym się Hugo, pocwałowały na podwórko, gotowe do szaleńczej zabawy, a Hugo zaraz do nich dołączył. Zbliżyły się do reproduktorów. Wymieniły gesty zapraszające do wspólnej zabawy i zaczęła się gonitwa. Renata rozrzuciła zabawki po trawie, psy natychmiast podjęły współzawodnictwo, który pierwszy złapie zabawkę i zasłuży na nagrodę.

Nickie zrazu nie przyłączyła się do wspólnej zabawy, ale przyglądała się z zainteresowaniem jedynej z szóstki ocalonych suczek, która ociągała się z przyłączeniem do wspólnych harców. W końcu Nickie złapała jedną z gumowych zabawek leżących koło Renaty i pocwałowała przez trawnik w kierunku laku wonnego.

– To Honey – przedstawiła Renata najbardziej nieśmiałą suczkę z całej grupy.

Honey miała może dwa i pół roku, kiedy została uratowana. W psiarni nigdy nie obcinano jej pazurów, a że nie miała okazji pościerać ich na dworze, powrastały jej

głęboko pod poduszki palców, tak że z trudem mogła stać. Mięśnie nóg też były prawie w zaniku.

Teraz stopy miała wyleczone, mięśnie nóg znacznie silniejsze, ale mimo że zabawa ją intrygowała, dołączała do niej ostatnia, jeżeli w ogóle się na to decydowała.

Stanąwszy przed Honey, Nickie potrząsnęła kusząco zabawką, a gdy to nie wywarło większego wrażenia na nieśmiałej suczce, powtórzyła ten manewr, tyle że bardziej energicznie.

– Twoja Nickie to istny słowiczek – zauważyła Renata.

Większość psów była wrażliwa na ludzką chorobę czy przygnębienie, zarówno u ludzi, jak i psów, niektóre potrafiły też pocieszać strapionych i chorych. Amy nazywała je słowikami, porównując je do Florence Nightingale².

– Nieraz mam wrażenie, że jest wyjątkowa – przyznała Amy.

– Przecież znasz ją krócej niż jeden dzień.

– Wiedziałam już od pierwszej chwili, w której ją poznałam.

Nie minęła minuta, jak Nickie udało się zachęcić Honey do wspólnej gonitwy i radosnego baraszkowania.

Amy ponownie przytknęła do oczu lornetkę i obserwowała cienie w pobliżu zagajnika jakarand.

– Czy wysiadł już z samochodu? Widzisz go? – dopytywała się Renata.

– Nie. Nadal siedzi za kierownicą.

– Może to któryś z tych sukinsynów, którzy prowadzili zlikwidowaną dzięki tobie psiarnię?

– Może.

– Gdy tylko wejdzie na mój teren, poczęstuję go śrutem.

– A mówiłaś, że gdy tylko któryś z nich pokaże się w tej okolicy, to go wykastrujesz.

– Najpierw, żeby go zmiękczyć, śrut. A potem go wykastruję.

² Nieprzetłumaczalna gra słów: Nightingale (tak się nazywała prekursorka pielęgniarek) — ang.: słowik.

W salonie Vemon Lesley nie znalazł niczego, co by go mogło zafrapować. Za to w sypialni, na dnie szafy natknął się na dwa pudełka po butach wypełnione fotografiami.

Jego klient zaopatrzył go w listę rzeczy, których być może Amy Redwing nie zniszczyła, zacierając ślady swego poprzedniego życia, zmieniając nazwisko i przenosząc się do południowej Kalifornii. Zdjęcia znajdowały się na szczycie tej listy.

Pudełka zawierały głównie fotki i karty pamięci z aparatów cyfrowych, z których zrobiono kilka odbitek. Najnowsze z nich pochodziły sprzed dziesięciu lat.

Vem przysiadł na brzeжку łóżka i cierpliwie przejrzał zawartość licznych kopert, żeby sprawdzić, czy nie zawierają pornograficznych treści. Jego klient wprawdzie nie prosił go o tak szczegółowe badania, ale tak się złożyło, że Amy Redwing okazała się atrakcyjną kobietą, a Vem ciekawskim facetem.

Niestety, trudno byłoby jakiegokolwiek zdjęcie nazwać pornograficznym czy choćby tylko erotycznym.

Vem wprawdzie nie znał historii życia Amy, jednak odniósł wrażenie, że zarówno jej poprzednie życie, jak i obecne było po prostu nudne.

W swoim drugim życiu jako Von Longwood włączył się na motorze podrasowanym zgodnie z jego indywidualnymi upodobaniami, był też mistrzem taekwondo, co zaświadczał regulaminowym ubiorem, i w ogóle żył sobie swobodnie. Nie pojmował, jak można chcieć zmienić swoje życie na nudziarstwo podobne do poprzedniego.

W tym życiu Redwing nawet wyglądem przypominała swoje poprzednie wcielenie. Włosy, przedtem krótkie, teraz nosiła dłuższe, makijaż zmieniła, rezygnując z pewnych rzeczy, ponadto dawniej ubierała się bardziej modnie. I do tego sprowadzały się zasadnicze zmiany.

Pozostała brunetką, chociaż z jasnymi włosami mogłaby wyglądać bardziej seksownie. Sądząc też z informacji, jakie posiadał Vem, nie poddała się operacji powiększenia biustu, choć mogłoby się to jej przydać.

Podczas gdy Vemon Lesley miał metr siedemdziesiąt trzy wzrostu, Von Longwood wybujał do metra dziewięćdziesięciu pięciu. Vem przeważał się przez życie zgarbiony, za to z brzuszkiem, Von natomiast swoimi bicepsami mógł iść w zawody z samym Schwarzeneggerem z czasów, gdy ten był jeszcze gwiazdorem filmów akcji, a nie gubernatorem.

Von nosił koleczyk z miniaturową trupią główką, miał tatuaże, szeroką, muskularną pierś, a nie obwisłe męskie cycki, a przy tym miał skrzydła. Były to wielkie i miękkie skrzydła, takie z piórami, ale naprawdę mocne, tak że gdy tylko Von miał ochotę latać, żadna siła nie mogła go utrzymać na ziemi.

Vemon Lesley uzyskał nowe wcielenie dzięki Second Life, gdy Internet odsłonił przed nim wirtualny świat zaludniony awatarami takimi jak Von Longwood.

Niektórzy wyśmiewali się z odgrywania takich ról, ale oni nie znali się na rzeczy. Światy wirtualne bardziej pobudzały wyobraźnię niż świat rzeczywisty, były barwniejsze, bardziej egzotyczne, w ciągu tygodnia nabierały konkretów. Stanowiły przyszłość.

Vem doświadczał więcej radości w swoim drugim życiu niż w pierwszym, miał więcej przyjaciół, i to znacznie lepszych, oraz niezapomniane przeżycia. Jako Von Longwood cieszył się większą wolnością, co byłoby niedostępne Vemowi Lesleyowi. W swoim podstawowym życiu nie wykazywał się kreatywnością, za to w drugim zaprojektował i zbudował klub nocny, a nawet kupił wyspę, którą zamierzał zaludnić fantastycznymi stworami, osobiście wymyślonymi.

Wszystko to było lepsze niż siedzenie na łóżku nieznajomej i wertowanie nieciekawych zdjęć w nadziei, że w końcu trafi na kawałek golizny.

Z wewnętrznej kieszeni sportowej kurtki wyciągnął plastikową torebkę na śmiecie i włożył do niej wszystkie znalezione zdjęcia, po czym wstawił puste pudełko po butach z powrotem do szafy, dokładnie w tym samym miejscu, skąd je wziął.

Z dotychczasowych swoich obserwacji wywnioskował, że jedyną różnicę między poprzednim a nowym życiem Amy Redwing stanowiły psy. Na zdjęciach bowiem nie znalazł żadnego psiaka.

W jednym stoliczku nocnym znalazł pistolet typu SIG P245 załadowany nabojami +P 45 ACP. Pomyślał sobie, że to odpowiednia broń dla kogoś, kto chirurgicznie nie powiększał sobie biustu. Odłożył broń z powrotem do szuflady.

Nie był zaskoczony faktem, że trzymała w domu naładowaną broń. Czasy nastały takie, że Vem, gdyby był kobietą, trzymałby naładowany rewolwer pod

poduszką.

Z sypialni przeszedł do gabinetu. Tam znalazł wreszcie kopertę przyklejoną taśmą do spodniej części blatu. Otworzył ją. Odżyła w nim nadzieja, że natrafi na pornografię domowej roboty.

Ale znalazł tylko dokumenty dotyczące zmiany nazwiska kobiety. No cóż, obracał się w świecie rzeczywistym, więc nie powinien oczekiwać większych niespodzianek.

W swoim poprzednim życiu również nosiła imię Amy, zmieniła natomiast nazwisko z Cogland na Redwing. Zmiana ta zyskała aprobatę Vema. Redwing było szpanerskim nazwiskiem, dobrym nawet dla awatara przeżywającego swoje drugie wcielenie.

Otrzymała nową legitymację ubezpieczeniową na zmienione nazwisko, a także prawo jazdy wydane przez stan Connecticut, które niewątpliwie wykorzystowała, starając się o nowy dokument w Kalifornii, dokąd się przeniosła, wybierając drugi kraniec Stanów.

Do tych dokumentów dołączona była kopia decyzji sędziego usuwająca dotychczasowe zapisy z oficjalnych, ogólnie dostępnych rejestrów.

Zaintrygowany Vem przeczytał prawniczy tekst z większą niż dotychczas uwagą. Podejrzewał, że na dźwięk nazwiska Cogland powinny rozdzwonić się wszystkie dzwony, ale nic takiego się nie stało.

Gdyby o Redwing było głośno w prasie czy wiadomościach telewizyjnych, kiedy jeszcze występowała jako Cogland, Vem i tak by sobie tego nie skojarzył, nie słuchał bowiem żadnych wiadomości.

Zanim zaczął wieść drugie życie, wolny czas spędzał na grach typu *Smoki w Jaskiniach*. Powybijiał większość tych potworów, samemu nie dając się więzić w lochach przez dłuższy czas.

Vem włożył wszystkie te papiery do torebki foliowej, do której wrzucił jeszcze kartę pamięci z aparatu cyfrowego.

Redwing mogła od czasu do czasu sięgnąć pod stół, by wymacać kopertę, upewniając się w ten sposób, że jest na swoim miejscu wraz z dokumentami.

Vem wziął z drukarki kilka arkusików papieru. Złożył je i wetknął do koperty, by udawały pierwotną zawartość.

Zamknął kopertę miedzianym spinaczem. Wziął z jej biurka taśmę klejącą odpowiedniej długości i zakleił nią kopertę, by wyglądała dokładnie tak jak przedtem,

po czym umocował ją pod spodem szuflady, tam gdzie ją znalazł.

W ręce został mu tylko kawałek poprzedniej taśmy. Zwinął ją w kulkę i wrzucił do plastikowej torebki.

Wprawdzie przeszukał małą łazienkę znajdującą się przy kuchni, ale nie spenetrował dokładnie dużej łazienki, do której wchodziło się z sypialni. Obawiał się, że wiedziony ryzykanckim tupetem nie oprze się pokusie zostawienia swojego zwyczajowego znaku rozpoznawczego.

Był jednak zawodowcem, miał do skończenia robotę, poza tym potrzebował pieniędzy do zaludnienia swojej wyspy.

W łazience sedes stał z zapraszająco podniesioną klapą. Vem opuścił ją natychmiast.

Zdjął pokrywę ze zbiornika. Czasami ludzie chowali swoje tajemnice szczelnie zapakowane w plastikowe torebki i wkładali je do zbiorników na wodę. Ale nie Redwing.

Jeśli zmrużył oczy, patrząc w lustro, mógł w nim zobaczyć Vona Longwoda. Vem uśmiechnął się i mruknął:

– Dobra nasza, brachu.

W czwartek rano, tuż przed dziewiątą, Brian usłyszał, jak trzech jego pracowników wchodzi do biura, które znajdowało się piętro niżej, pod jego mieszkaniem.

Wcześniej zostawił wiadomość głosową swojej sekretarce, Gretchen, by przeniosła na następny tydzień wszystkie spotkania umówione na czwartek. Powiedział jej, że naszło go natchnienie, w związku z czym zostanie w domu i zajmie się rysowaniem, prosi więc, by mu nie przeszkadzać.

Natchnienie nie tylko go naszło. Była to raczej nagląca potrzeba, która bez reszty zawładnęła jego umysłem i uwagą, nappełniła go kontrolowanym entuzjazmem, sprawiając, że pracował w stanie olśnienia.

Dotychczas wszelkie opowieści o zjawiskach nadprzyrodzonych traktował z niedowierzaniem, teraz jednak czuł wyraźnie, że przepływa przez niego czyjś talent, znacznie większy od tego, jaki mógł przypisać sobie. Jeśli doznania te były prawdziwe, obecność kogoś tajemniczego, kto przemawiał za pośrednictwem Briana, musiała mieć dobroczynne działanie, ponieważ czuł się niewymownie szczęśliwy.

Mimo że położył papier na nachylnym pulpicie, palce już dawno powinny go rozboleć, a ręka zdrętwieć. Pracował w tym stanie co najmniej od pięciu godzin, w najwyższym skupieniu.

Zdawałoby się, że prawa fizyki i fizjologii przestały obowiązywać, gdyż nie czuł żadnego bólu, żadnego zmęczenia. Im dłużej rysował, tym płynniejsze obrazy pojawiały się na papierze.

Oczy tego psa... Brian przestał rysować ich okolice, zafascynowany błyskami migoczącymi między powiekami, od jednego kąta soczewki do drugiego, zagadkową grą światła w rogówce, tęczówce i źrenicy.

W każdym nowym rysunku światło wydawało się inne niż to utrwalone na poprzednim szkicu, odbite w oczach psa pod innym kątem, on sam zaś demonstrował za każdym razem inne spojrzenie, to umykał wzrokiem, to patrzył wprost przed siebie.

Coraz większe to były oczy, w końcu zajmowały całą kartkę.

Brian zaczął rysować po jednym oku na stronie, powiększając skalę, tak by wierniej oddać promieniowanie idące z głębi oka.

Kiedy po jakimś czasie Brian zerknął na zegarek, ze zdumieniem spostrzegł, że minęło półtorej godziny, od kiedy usłyszał, jak jego nieliczny personel przyszedł do pracy. Trochę go to zdeprymowało, ale nie na tyle, by przestać rysować.

Mimo że nadal eliptyczny obwód oka wytyczał jego granice, mimo że nadal można było wyodrębnić źrenicę i tęczówkę, zagadkowa gra światel i cieni zaczęła dominować w każdym przedstawieniu do tego stopnia, że rysunek wydawał się abstrakcyjny.

Wkrótce w tych delikatnych, ale skomplikowanych wzorach Brian zaczął dostrzegać znaki hieroglificzne, tajemnicze symbole, których znaczenie migotało w kącikach oczu. Kiedy jednak Brian chciał im się uważnie przyjrzeć, rozplywały się jakby w szarej, świetlistej mgle.

Chociaż nie udawało mu się odgadnąć ich znaczenia, nabierał coraz większego przekonania, że bez względu na to, skąd pochodziły te obrazy: z jego intuicji czy były dziełem niewidocznej zjawy, która kierowała jego ręką, zawierały one ukrytą prawdę, wiodącą do wstrząsającego objawienia.

Wyrwał z bloku następną kartkę i położył ją przed sobą. Zużywał już trzeci blok. Na stole piętrzył się stos rysunków.

Po chwili, gdy jego ręka kreśliła następny szkic, zorientował się, że zaczął dogłębniej studiować hipnotyczny wzrok psa. Nie chodziło teraz o oddanie piękna psich oczu, jego mrocznego, ale fosforyzującego spojrzenia emanującego nie wiadomo skąd, nawet nie o strukturę gałki ocznej, ale o to, co znajdowało się jeszcze głębiej, skryte w świetle i cieniach soczewki, rogówki, źrenicy.

Sam nie mógłby stworzyć takiej wizji. Z kartki zniknęło oko jako rozpoznawalny przedmiot, pozostały tylko promienie świetlne i towarzyszące im cienie, które przenikały wszystkie warstwy oka. Rysunek stał się całkowicie abstrakcyjny, za to piękny aż do bólu, mistyczny. Stworzyła go ręka geniusza, i Brian wiedział, że to nie on był tym geniuszem.

Wszedł na inne poziomy świadomości, przeżywał rodzaj iluminacji.

Chwilami mógłby przysiąc, że widzi, jak czubek ołówka przenika w głąb papieru, nie przebijając jego powierzchni, że następne warstwy powstają w głębszych pokładach znajdujących się poza kartką, jak gdyby powstawał obraz wielowymiarowy, składający się z niezliczonych warstw.

Każdy dobry artysta potrafi wywołać wrażenie trójwymiarowości; tu jednak obraz pogłębił się niczym wielopłatkowy kwiat, który rozchylił się, zakwitł dla niego, jednocześnie zapraszając, by wniknął do jego wnętrza. Ołówek Briana zdawał się być kluczem do dalszych, poza trzecim, wymiarów.

Hieroglify z zakodowanym znaczeniem, których jedynie przebłyski ukryte w rysunku wcześniej dostrzegał, teraz jaśniały pełniejszym światłem w jego wyobraźni, a kto wie, może i w rzeczywistości. Teraz, gdy rysunek jakby zakwitł dla niego, Brian przeczuwał, że w środku szkicu zawarta jest tajemnica niedająca się objąć rozumem, niewiarygodna, której istoty nie sposób oddać rysunkiem, a jednak jego ołówek wciąż sunął po papierze...

Nagle w pokoju rozległ się dźwięk tak przerażający, że Brian zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło.

Nie był to pojedynczy dźwięk, ale cała kakofonia, gwizdy, świsty, stukanie i szelesty, łoskot, łomot. Głośny, ale nie jak wybuch. Ciężki, ale nie jak piorun, raczej jak towarzyszący mu wzbierający pomruk, przechodzący w łoskot.

Miał wrażenie, że odgłosy te najpierw spowijają go szczelnie niczym kołdra, która na przemian to zsuwa się trochę, to otula go ciaśniej.

Wstrząsy dzwoniły mu w uszach, wwierały się w zęby i przenikały do szpiku kości.

Cisza, jaka zaraz nastąpiła, była kolejnym zaskoczeniem. Wstrząsy bowiem i wywołany przez nie rezonans zapowiadały raczej trzęsienie ziemi, dobywające się z głębokich czeluści, które trwać będzie tak długo, aż wszystko obróci się w proch, a tymczasem trwało nieledwie trzy, najwyżej cztery sekundy.

Stał nieporuszony, jakby sparaliżowany, ze ściśniętym gardłem, czekając na ciąg dalszy.

Kiedy cisza trwała już około pół minuty, Brian podszedł do okna i wyjrzał, spodziewając się, że zobaczy w oddali słup dymu świadczący o wybuchu. Ale niebo było czyste.

Niedokończony rysunek nadal wabił go z niesłabnącą siłą. Wróciło wrażenie, że czeka na niego objawienie tajemnicy.

Podniósł przewrócone krzesło i znów zasiadł za stołem. Wziął do ręki ołówek.

Kiedy grafit sunący po papierze szeleścił, odkrywając nowe szczegóły, hałas powtórzył się, ale już nie tak głośny. Wtedy coś, lekko trzepocząc, pojawiło się w kuchni i stanęło za jego plecami.

Psy po skończonej zabawie zaczęły z lubością chleptać wodę z misek ustawionych wzdłuż klatek w cieniu ogromnego dębu.

Na komendę: „chodźcie!” Fred, Ethel, Nickie i Hugo przybiegły do Amy i Renaty siedzących na kocu.

Cała szóstka reproduktorów przysiadła na trawie w pewnej odległości, tak jak przed zabawą. Do innych psów odnosiły się z pełnym zaufaniem, wobec ludzi jednak nadal zachowywały rezerwę, nawet wobec tych, którzy je ocalili.

Po chwili Renata otworzyła torebkę z herbatnikami niezawierającymi pszenicy. Rozdała smakołyki kolejno Ethel i Hugonowi, Amy zaś nagrodziła Nickie i Freda.

Perspektywa otrzymania ciasteczka zwabiła pozostałe psy, które podeszły z wahaniem, machając ogonami.

Amy była dumna ze swoich pupili, widząc, jak ustąpiły miejsca kolegom – choć nie bez pewnego ociągania – by i one dostały coś dobrego.

Delikatnie, samymi wargami i językiem, reproduktory wzięły z rąk Amy swój deser. Żaden nie tknął jej zębem, żaden też nie usiłował złapać dla siebie całej torebki.

– Nigdy cię nie zaatakował żaden z reproduktorów z fabryki psów? – zapytała Amy Renatę.

– Nie. Kiedy tu przychodzą, są całe pokryte ranami, niektóre na pół ślepe z powodu nieleczonych infekcji, po tym, jak całe życie spędziły w klatkach niewiele większych od nich samych, nie znając innych ludzi, oprócz tych chciwych skurwysynów i nie zaznawszy nigdy przyjaznego gestu. I po tym wszystkim nadal biorą delikatnie z ręki. I zachowują czułe serca.

Amy nieraz spędzała bezsenne noce, nie mogąc przestać myśleć o koszmarze, w jakim żyły niektóre psy. Ogarniała ją wtedy bezsilna złość.

Większość takich fabryk psów trzymała dziesięć do dwunastu reproduktorów, ale zdarzali się tacy właściciele, którzy w okropnych warunkach trzymali na swych farmach nawet po kilka tysięcy psów. Te biedne stworzenia wegetowały, pogrążone w czarnej rozpacz.

Ich pomiot miał szanse na godziwe życie, ale nie sami reproduktorzy. A ponieważ wielu hodowcom tego typu nie zależało na genetycznych udoskonaleniach danej rasy, wiele szczeniaków cierpiało na choroby, które skracały im życie.

Poważne i odpowiedzialne firmy rozprowadzające artykuły dla psów i kotów, jak Petco czy PetSmart, miały opracowane programy adopcyjne dla bezdomnych psów, ale w ich sklepach nie sprzedawano szceniąt.

Inni detaliści natomiast, na przykład ogłaszający się w Internecie czy w codziennych gazetach, reklamując się, że ich szczenięta pochodzą z niewielkich farm prowadzonych przez prawdziwych miłośników psów, na ogół sprzedawali szczenięta z takich właśnie fabryk psów.

Zapis w American Kennel Club mówił o czystości rasy, ale nie wspominał o humanitarnych warunkach rozmnażania psów. Co roku tysiące szceniąt splodzonych i wydanych na świat przez psy żyjące w tragicznych warunkach otrzymywało odpowiednie papiery.

Amy prowadziła pogadanki w szkołach, w klubach emerytów, w każdym środowisku, które gotowe było jej słuchać, namawiając do zaadoptowania uratowanego psa. Albo kupowania szceniąt w sprawdzonych miejscach, polecanych przez kluby opiekuńcze dla danej rasy, na przykład Amerykański Klub Golden Retrieverów.

– Pójdźcie do schronisk dla psów – zachęcała. – Co roku cztery miliony psów ze schronisk jest poddawanych eutanazji, ponieważ nie znalazły dla siebie domów. Cztery miliony! Okaż miłość bezdomnemu psu, a on odpłaci ci się za to w dwójnasób. Natomiast dając zarobić baronom z fabryk psów, przyczynisz się do szerzenia horroru.

Zawsze słuchano jej z uwagą. Otrzymywała brawa. Może do niektórych trafiały jej słowa.

Nigdy nie łudziła się, że zmieni świat. Tego nie da się zrobić. Tyle ludzkiej obojętności na cierpienia psów świadczyło o tym, że świat zmierza ku zagładzie i że wtedy nastąpi, to nieuniknione, czas sądu. Ona zaś robiła to, co mogła, próbowała ocalić od przedwczesnej śmierci, kładącej kres nieszczęsnemu losowi, rocznie kilkaset psów.

Kiedy smakołyki zostały rozdane, trzy reproduktory oddaliły się po kilku chwilach poddawania się pieszczotom. Dwa następne zwlekały z tym trochę dłużej, ale jedna, Cinnamon, usiadła koło Renaty, jakby chciała powiedzieć: „Okay, zaryzykuję,

okażę zaufanie”.

– Cinnamon będzie jedną z ocalonych przez ciebie psich dusz – powiedziała Renata.

Amy wierzyła, że psy mają do odegrania duchową rolę. Sposobność obdarzenia psa miłością, łagodnego traktowania go, była dla zagubionych, egoistycznych ludzkich serc okazją do nawrócenia. Psy są niewinne i bezsilne, sposób więc, w jaki traktujemy te najskromniejsze istoty, przesądza o losie naszych dusz.

Cinnamon odwróciła się do Amy i popatrzyła na nią. Miała oczy istoty niosącej zbawienie.

Używając języka geantrii, osąd jest kołem. Nienawiść to wąż, który zjada własny ogon, zataczając koło, którego obwód zmniejsza się stopniowo, aż całkiem znika. Duma również jest takim wężem, a także zazdrość czy chciwość. Miłość natomiast jest stale obracającym się kołem. Ocalenie niosą nam przez nas ocaleni. Oni stają się naszymi zbawcami.

Amy po opuszczeniu wraz ze swoimi pupilami Rancza Ostatniej Szansy wyjechała powoli na główną drogę i z ociąganiem odczytała numery na tablicy rejestracyjnej land-rovera.

Gdy skręciła na zachód, z cienia jakarand wychynął pojazd i ruszył za nią. Może kierowca uważał ją za idiotkę, która w ogóle nie zauważyła ciągnącego się za nią ogona. A może nie obchodziło go wcale, że ona widzi jego samochód.

Za plecami Briana znów rozległ się szum i świst, tym razem jednak nie tak głośny jak poprzednio, jakby się skradał. Brian odwrócił się, ale nadal w kuchni poza nim nie było nikogo.

Kiedy hałas się powtórzył, Brian spojrział na sufit, zastanawiając się, czy czasem wiatr nie uszkodził czegoś na dachu. Za oknem jednak panowała bezwietrzna pogoda.

Pracował jak w transie, skupiony nad studium psiego oka. Wtedy złamał ołówek, raz, drugi, trzeci.

Gdy temperował ołówki, słychać było jedynie szelest skrobanego przez ostrze grafitu, jakby preludium do mającego powtórzyć się hałasu.

Dźwięk najgłośniejszy, pochodzący nie wiadomo skąd, wzbudził w nim strach dlatego, że zwiastował potężne siły, przy których człowiek wydaje się nędznym prochem.

Brian, urodzony podczas tornado, żywił znaczny respekt wobec niepojętych sił natury przynoszących najpierw chaos, a potem, po wyciszeniu, wprowadzających pewien porządek, który można by uznać za los. Te dziwne odgłosy nosiły wiele cech chaosu, a on wyczuł w nich wyrocznię losu.

Gdy zatemperował ołówki, wrócił do pracy.

Po niedługiej chwili, kiedy hałas znów się powtórzył, Brian nabrał pewności, że dochodzi do niego z góry. Może ze strychu.

Rysowanie wciągnęło go ponownie z tą samą hipnotyczną siłą, i tak jak przedtem poczuł, że zapowiada ono bliskie objawienie. Odkrycie źródła hałasu wydało mu się mniej pilnym zadaniem niż wykończenie rysunku światła i cieni, które układały się we wzór zbliżony do wielopłatkowego kwiatu.

Pochylił się nad stołem. Rysunek jawił mu się jako pole do wypełnienia własną wizją.

Minęło kilka następnych minut, kiedy przez kartkę przemknął jakiś cień. Mimo że nie miał jakiegoś konkretnego kształtu i ledwie mignął, zjawisko to napełniło go ponownie obawą zbliżoną do tej, którą wywołał w nim najgłośniejszy dźwięk. Zerwał

się z krzesła.

Ponieważ w kuchni było tylko jedno przesłonięte firanką okno, bez górnego oświetlenia pomieszczenie mogłoby wydać się mroczne.

Może to jakaś ćma krążyła pod sufitem, rzucając ogromniejący cień. To musiała być ćma, bo tylko ona mogłaby przemykać tak bezszelestnie.

Brian rozejrzał się wokół uważnie. Jeśli ćma nawet gdzieś usiadła, to i tak nie mógł jej znaleźć.

Kątem oka dostrzegł, jak z prawej strony na ścianie zadrżał jakiś cień. A może mu się tylko tak wydawało. Odwrócił głowę, uniósł wzrok, ale niczego nie zobaczył.

I znów mignął mu cień podobny do rekina, tym razem na podłodze. Ale może to było złudzenie.

Jego wzrok padł na niedokończony rysunek. Ręce zanadto mu się trzęsły, by mógł z powodzeniem posługiwać się ołówkiem.

Zaniepokojony stał na środku kuchni. Nie widział już żadnych przemykających cieni, posłyszał natomiast słaby dźwięk dochodzący z nieokreślonego miejsca w mieszkaniu.

Zawahał się przez chwilę, po czym wyszedł z kuchni.

Przeraziło go jego własne odbicie, jakie ujrzał w lustrze. Twarz miał bardzo bladą, a pod nabiegłymi krwią oczami ciemne koła.

Stanął na końcu korytarza pod klapą składanych schodów wiodących na strych. By sięgnąć do uchwyty otwierającego klapę, musiał użyć drabiny.

Im dłużej wpatrywał się we właz, tym większego nabierał przekonania, że coś czai się na górze albo zwisa z powały, głową w dół, i nasłuchuje.

Zmęczenie pobudziło jego wyobraźnię, mimo że przyćmiło mu umysł. Na strychu był tylko kurz. Kurz i pająki.

W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin spał zaledwie godzinę. Ponadto długotrwałe rysowanie jeszcze bardziej go wyczerpało.

Poszedł do sypialni i wyciągnął się na niezasałanym łóżku, z którego dwadzieścia godzin wcześniej wyrwał go telefon Amy.

Żaluzje były opuszczone. Tylko z holu przez otwarte drzwi sączyła się strużka szarego światła.

Oczy go piekły, ale nie zamknął powiek. Na suficie nie poruszył się żaden cień.

Przypomniał sobie krystaliczny głosik dziecka, które śpiewało celtycką piosenkę.

I niebieskie, z purpurowym odcieniem, oczy dziewczynki.

Oczy Carla Brockmana niczym wewnątrz rewolwerowej lufy.

I słowo „pigkeeper” na ekranie jego komputera.

Brian bał się zamknąć oczy, mimo że rozpaczliwie potrzebował odpoczynku. Prześladowała go szalona myśl, że kiedy będzie spał, śmierć przyjdzie po niego i go zabierze. We śnie widział, jak dosiada go uskrzydłona postać, zatyka mu usta śmiertelnym pocałunkiem i tak wysysa z niego ostatnie tchnienie.

Po przeszło pięciu godzinach, kiedy minęło już południe, Harrow budzi się ze snu. Znajduje się nie w ciemnym pokoiku, gdzie uprawiali seks, ale w głównej sypialni domu z żółtej cegły.

Story są zaciągnięte, ale wie, że Moongirl wyszła. Z jej obecnością bowiem wiąże się zawsze pewnego rodzaju napięcie, które jak nadciągająca burza wyczuwalnie zmienia ciśnienie atmosferyczne.

W kuchni zaparza mocną kawę. Z okna widzi ją siedzącą na niewielkim porośniętym trawą spłachetku, który wygląda jak zielona wyspa na skalnym bezkresie.

Z kubkiem kawy w ręce wychodzi na dwór. Dzień jest dość ciepły, jak na koniec września.

Dom z żółtej cegły zakotwiczony jest w granitowym otoczeniu. Zaokrąglone głązy niczym wystające kostki pięści olbrzyma wciskają się w wypłowiałe od słońca ceglane patio.

Harrow mija popękane płyty skalne o krawędziach wyokrąglonych przez warunki atmosferyczne. W ciągu stuleci wiatr nawiał ziemię w głębokie owalne szczeliny w granicie, a następnie przywiał nasiona.

Ze środka porośniętego trawą owalu wyrasta wysoka na dwadzieścia cztery metry sosna Montezumy, a jej wielkie rozłożyste gałęzie filtrują południowe słońce przez pęczki długich na dwadzieścia pięć centymetrów, wdzięcznie zwisających igieł.

W dropiatym cieniu przemieszonym z plamkami słońca Moongirl siedzi na kocu, wiedząc, że jest obserwowana. Nawet w tym surowym krajobrazie ogniskuje na sobie uwagę, jest gwiazdą przewodnią. Przyciąga jego wzrok tak nieodparcie, jak siła ciężenia każe rzuconemu do studni kamieniowi spadać w dół.

Ma na sobie tylko czarne szorty i prosty, ale kosztowny naszyjnik z brylantami, który Harrow jej podarował. Dojrzała, ale gibka, skórę ma opaloną i kocie ruchy. Naznaczona słonecznymi cętkami kojarzy mu się z lampartem, który wypoczywa po udanym polowaniu, syty i zadowolony.

Mężczyźni dają jej prezenty od tak dawna, że przyjmuje to jako coś naturalnego, jak powietrze, którym oddycha. Przyjmuje każdy dar, nawet najbardziej ekstrawagancki, nie odczuwając wdzięczności większej, niż gdy korzysta z wody, która leci z odkręconego kranu.

Obok niej leży czarne lakierowane pudełko wykładane wewnątrz czerwonym aksamitem, w nim spoczywa cały wachlarz przyrządów do manikiuru: nożyczki, pilniki, lakier.

Mimo że nigdy nie poszła do manikiurzystki, jej paznokcie mają idealny kształt, choć są krótsze i bardziej spiczaste, niż nakazuje panująca moda. Lubi spędzać całe godziny pochłonięta pielęgnacją paznokci.

Strach przed nudą powoduje, że stała się zamknięta w sobie.

Dla Moongirl ludzie są płacy jak aktorzy na ekranie telewizora. Nawet nie potrafi sobie wyobrazić, by mogli mieć jej wymiary. Świat zewnętrzny jest dla niej bezbarwny i pusty, w przeciwieństwie do jej wewnętrznego świata, który jest bogaty i różnorodny.

Harrow siedzi na trawie niedaleko jej koca, w takich chwilach ona nie zachęca go do zbliżenia. On pije kawę i przygląda się, jak Moongirl maluje sobie paznokcie u nóg, i zastanawia się, o czym ona może myśleć, kiedy tak jest pochłonięta tym, co robi.

Nie byłby zdziwiony, gdyby okazało się, że żadne świadome myśli nie zakłócają jej skupienia, że znajduje się w transie.

Chcąc ją zrozumieć, odkrywa stan zwany automatyzmem. Jest to stan, w którym zachowanie pozostaje poza kontrolą umysłu i świadomości. Może to się odnosić do Moongirl; może, ale nie musi.

Zazwyczaj automatyzm trwa kilka minut. Ale jak ze wszystkim i tu zdarzają się nietypowe objawy, a Moongirl jest wyłącznie nietypowa.

Owładnięta automatyzmem może spędzić długie godziny nad swoimi paznokciami u nóg, wcale nie zdając sobie sprawy z tego, że pielęgnuje swoje ciało. Później nawet nie pamięta, jak obcinała paznokcie, piłowała je, malowała.

Analogicznie – w takich chwilach mogłaby zabić człowieka, nawet nie podejrzewając, że zadała gwałt, nie pamiętając, że popełniła morderstwo.

Chciałby widzieć ją, jak w takim transie popełnia zabójstwo. Jej uroda zapierałaby dech w piersiach: miałyby puste oczy i rysy bez wyrazu w chwili zadawania nożem śmiertelnego ciosu.

Wątpi, czy w takim stanie zdarzyło jej się zabić kogoś albo czy to kiedykolwiek nastąpi. Morderstwo bowiem, szczególnie spalenie, to jedyna rzecz, jaką świat zewnętrzny ma jej do zaoferowania, by mogła uniknąć nudy. Nie musi więc zabijać w transie, skoro może to zrobić z pełną świadomością, głęboką satysfakcją i bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Często spędza większą część dnia na zabiegach pielęgnacyjnych, w ziemski sposób zafascynowana własną cielesnością, przy czym jej ciało skutecznie zabezpiecza ją przed nudą.

Potrafi spędzić całe popołudnie na myciu swoich złotych włosów, płukaniu, stosowaniu różnych naturalnych zabiegów, niespiesznym czesaniu i suszeniu na słońcu, masując przez dłuższy czas skórę głowy i karku.

Z natury aktywny Harrow potrafi jednak godzinami obserwować jej zabiegi pielęgnacyjne. Kojąco wpływa na niego jej uroda, bezbrzeżny spokój, zdolność do zajęcia się sobą bez reszty, co wywołuje w nim uczucie jakiejś nadziei, choć nie potrafiłby jeszcze określić, z czym ta nadzieja miałaby się wiązać.

Moongirl zazwyczaj wykonuje takie zabiegi w milczeniu. Harrow nawet nie ma pewności, czy ona wie, że on tam jest. Tym razem jednak po chwili odzywa się do niego:

- Miałeś od niego jakieś wiadomości?
- Nie.
- Jestem zmęczona siedzeniem tutaj.
- Już niedługo.
- Lepiej, żeby wkrótce się zgłosił.
- Zgłosi się.
- Męczy mnie ten hałas.
- Jaki hałas?
- Fale rozbijające się o brzeg.
- Większość ludzi to lubi.
- To mi daje do myślenia.
- Myślenia o czym?
- O wszystkim.
- Kiedy to zrobimy, wybierzemy się na pustynię.
- Im wcześniej, tym lepiej.
- Będzie tylko słońce i piasek, żadnej morskiej piany.

Powolnymi wystudiowanymi ruchami Moongirl pociąga szkarłatnym lakierem paznokiec dużego palca.

Kiedy ziemia z wolna się obraca, pierzaste cienie wyciągają się w stronę domu.

Za splechotkami zieleni, pod granitowymi płytami, które zasłaniają widok z góry, fale rozbijają się o brzeg i wsiąkają w piasek.

Na zachodzie morze ma kolor metalu śmiercionośnej broni, wygląda zimno i nieprzyjaźnie. Zmienia słoneczny złoty blask w błyszczące stalowe łuski, które prą naprzód jak metalowe gąsienice maszyny wojennej.

Po chwili ona mówi:

– Miałam sen.

Harrow czeka na ciąg dalszy.

– Śnił mi się pies.

– Jaki pies?

– Golden retriever.

– To możliwe.

– Nie podobały mi się jego oczy.

– A co takiego w nich było?

Nie odpowiada.

Po chwili mówi:

– Kiedy go zobaczysz, zabij go.

– Kogo? Tego psa?

Tak.

Przecież ten pies tylko ci się śnił. Ale on istnieje.

To nie jest groźna rasa.

Ten jest.

Skoro tak mówisz.

Zabij go, gdy tylko go zobaczysz. Dobrze.

Zabij go na amen.

Dobrze.

Zabij go bez litości.

Złocista trawa pokrywająca wznoszący się łagodnie stok falowała ku górze, poruszana nadmorską bryzą, a cień wysokiego dębu poruszał się w takt tych skłonów.

Słodkawy zapach trawy, jasność emanująca z powietrza, majestat dębów – wszystko to bliskie było wyobrażeniom Amy o niebie na ziemi.

Fundacja Golden Heart dostała owe dwanaście akrów zapisanych w testamencie przez Julię Papadakis, u której znalazło schronienie wiele retrieverów, które ocalone czekały tam na swój stały dom.

Jedyna żyjąca krewna Julii, jej siostrzenica Linnea, której nie zadowalało trzydzieści milionów dolarów otrzymanych w spadku, zakwestionowała testament, chcąc dodać do swego stanu posiadania również i tę cenną posiadłość. Mogła wydać na adwokatów miliony. Kontratak Amy był w to wkalkulowany.

Golden Heart, mimo wieloletniej działalności, nie dysponowało żadnym biurem, z wyjątkiem gabinetu Amy, ani żadnymi pomieszczeniami opieki dla psów oprócz domów wolontariuszy. Kiedy sprowadzała więcej psów, niż wolontariusze zdolni byli pomieścić u siebie, musiała umieszczać je w klatkach szpitali dla zwierząt, które dawały jej zniżkę.

Dla niej oznaczało to ostateczność. Nawet jeśli psy nie były bite i głodzone i nie miały na sobie kleszczy, potrzebowały uczucia, czego szpitalny personel w żaden sposób nie mógł im zapewnić.

Tu, na tym wzgórzu, na tej łące, przy boskiej pomocy mogła dopilnować budowy nowych pomieszczeń, gdzie uratowane psy znajdą pierwszą pomoc, kąpiel, badania i gdzie zostaną przygotowane do zamieszkania w normalnych domach. Te natomiast, które nie nadawały się do szybkiej adopcji, będą miały do dyspozycji ogrzewane i wentylowane klatki przyzwoitej wielkości, czyste posłania i opiekę personelu dyżurującego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będzie tu normalna klinika dla zwierząt, dobrze wyposażony gabinet pielęgnacyjny, ogrodzony plac zabaw, sala do treningów, sala zabaw w razie deszczu...

Dopóki jednak sprawa nie znajdzie swojego szczęśliwego epilogu w sądzie,

tylko pupile Amy mogły szczęśliwie korzystać z tej słonecznej łąki i cienia rzucanego przez dąb. Fred i Ethel buszowały właśnie w wysokiej trawie, goniąc się nawzajem, odrywane co chwila przez nęcący zapach zostawiony przez królika czy wiewiórkę.

Nickie nie opuszczała boku swojej pani.

Amy zjechała z asfaltowej ścieżki i resztę drogi odbyła, jadąc na przełaj, zaparkowała na szczycie wzgórza, podczas gdy land-rover zatrzymał się na poboczu autostrady.

Nickie, której najwyraźniej nie nęciły ani króliki, ani wiewiórki, ani perspektywa zabawy, nie spuszczała czujnego wzroku z samochodu stojącego w oddali.

Amy, mimo że wzięła od Renaty lornetkę, w ogóle po nią nie sięgnęła. Kierowca nie wysiadł z samochodu, więc nawet patrząc przez silnie powiększające szkła lornetki, nie mogłaby zobaczyć jego twarzy.

Zastanawiała się, czy to nie Linnea Papadakis kazała ją śledzić.

Mimo iż sprawa sądowa w toku powstrzymywała Golden Heart od inwestycji na tym terenie, dopóki nie zapadnie ostateczna decyzja co do ważności testamentu ciotki Linnei, Amy nie miała zakazu wstępu na tę posiadłość. Nie wyobrażała sobie, co by Linei przyszło ze śledzenia jej.

Nickie wydała niski, ostrzegawczy pomruk.

Vemon Lesley, kiedy skończył przeszukiwanie wszystkich kątów mieszkania Redwing, będąc w kuchni, zadzwonił z telefonu komórkowego do Bobby'ego Onionsa.

- Masz ją jeszcze?
- Chciałbym ją mieć – odpowiedział Onions.
- Daj spokój.
- Ona jest na polu.
- Na jakim polu?

Onions miał system nawigacji, który określał dokładnie szerokość i długość geograficzną jego land-rovera, w stopniach i minutach, co uwidocznione było na komputerze pokładowym. Przeczytał te dane Vemowi.

– Z mojej orientacji wynika – powiedział Vem znużonym głosem – że musi to być gdzieś w Kambodży.

– W żadnym razie. Nie znasz się na długościach i szerokościach geograficznych. Jak ty sobie wyobrażasz pracę w tym fachu, skoro nie znasz podstawowych rzeczy?

– Nie muszą znać się na szerokościach i długościach geograficznych, żeby być szpiclem.

– Szpiclem – powtórzył Onions z niesmakiem. – Może nadal nazywasz lodówkę chłodziarką? Vem, mamy następny wiek. Obecnie to zawód paramilitarny.

– Prywatny detektyw to nie jest paramilitarny zawód.

– Z każdym dniem świat staje się coraz bardziej niebezpieczny. Ludziom potrzebni są prywatni detektywi, osobiści ochroniarze, prywatni policjanci, a my jesteśmy po trochu każdym z nich. Policja jest paramilitarna.

– Ale my nie jesteśmy policją.

– Ty masz swoją filozofię tego, co robisz, a ja mam swoją – skwitował Bobby Onions. – A sedno w tym, że nadal ją mam na oku i znam dokładne współrzędne tego miejsca. Gdybym miał posłać jej kulkę, jest ugotowana.

– Posłać jej kulkę? Przecież to tylko jedna kobieta.

– A Osama bin Laden to jeden mężczyzna. Jeśli tylko zdobędą jego dokładne

współrzedne, pošlą mu kulkę.

– Jesteś tylko prywatnym tajniakiem. Nie masz prawa wydawać rozkazów strzelania do kogoś.

– Mówię, że mógłbym, ponieważ mam ją dokładnie namierzoną.

Przysięgając w duchu, że na drugi raz znajdzie sobie kogoś innego za partnera do takiej roboty, Vem odrzekł tylko:

– No i dobra.

– W każdym razie ona stoi teraz na szczycie wzgórza, na słońcu, nie w cieniu, ładnie się rysuje na tle nieba. Sprzątnąć ją sniperem SIG 550 to pestka.

Vem się skrzywił.

– Słuchaj, chyba nie obserwujesz jej przez muszkę rewolweru?

– Nie. Jasne, że nie. Ja tylko tak mówię.

– A masz przy sobie snipera SIG 550? – zapytał Vem.

– To minimalne, podstawowe zabezpieczenie, Vem. Nigdy nie wiadomo, kiedy ci się przyda.

– Bob, a teraz gdzie masz swoją spluwę?

– Spokojnie. Zawinięta w koc leży w bagażniku.

– My nie mamy strzelać do ludzi, Bobby.

– Wiem, że nie mamy. Wiem o tym, Vem. Wiem lepiej, niż ci się zdaje. Wyluzuj się.

– Tak czy owak, nikomu nie zależy na tym, żeby nie żyła.

– Nie ma takich ludzi, Vem, których by ktoś nie chciał widzieć martwych. Idę o zakład, że przynajmniej z setka ludzi by się nie zmartwiła, jak ty byś wyciągnął kopyta.

– A ilu ludzi by się nie zmartwiło, widząc ciebie, Bobby, martwym?

– Pewnie z tysiąc – odrzekł Bobby Onions z nutą przechwałki w głosie.

– Miałeś ją tylko obserwować, podczas gdy ja przeszukuję jej dom, i ostrzec mnie, gdyby chciała wracać.

– I to robię, Vem... Ona właśnie stoi sobie na szczycie wzgórza razem ze swoimi pieskami i dobrze ją widać na tle nieba.

– Ja swoje już skończyłem – powiedział Vem. – Kiedy wyłączę telefon, odchodzę stąd. Nie musisz więc już jej obserwować.

– Kiedy mnie to nie przeszkadza. Jestem do twojej dyspozycji, aż do spotkania z kasjerem.

– Z kim?

– Z kasjerem. Tak nazywam klienta. Dla mnie klient to kasjer.

– A dla mnie klient. Tak na niego mówię.

– To mnie nie dziwi, Vem. Jak w takim razie nazywasz osobę obserwowaną, jak ta kobieta?

– Przedmiot obserwacji – odpowiedział Vem. – Ptaszek.

– To takie przestarzałe – ocenił lekceważąco Bobby. – Teraz na osobę obserwowaną mówi się: obiekt.

– Dlaczego? – zdziwił się Vem.

– Bo epoka lodowcowa już minęła, Vem.

– Masz dwadzieścia cztery lata. A ja tylko trzydzieści dziewięć.

– Piętnaście lat różnicy, Vem. To cała epoka. Teraz czasy szybko się zmieniają. Nadal chcesz się spotkać o drugiej trzydzieści, żeby pójść do kasjera?

– Aha. Druga trzydzieści.

– Na tej samej miejscówce, jak już mówiłeś?

– Miejscówce?

– Miejscówce, Vem, miejsce spotkania. Jarzysz?

– Aha. Na tej samej miejscówce, co przedtem. Druga trzydzieści. Słuchaj, Bobby.

– No?

– Jak ktoś jest dupkiem, to jak się teraz na niego mówi?

– O ile wiem, tak samo jak kiedyś.

– Domyślam się, że dupek to określenie ponadczasowe. Widzimy się o drugiej trzydzieści.

Vem zakończył rozmowę i raz jeszcze rozejrzał się po kremowo-białej kuchni Amy. Chciałby móc tu zostać. Amy Cogland *alias* Amy Redwing miała tu przyjemne życie.

Zamknąwszy za sobą bungalow, Vem wrócił do swojego chevroleta, dzierżąc plastikową torebkę na śmiecie, teraz pełną zabranych podczas przeszukania drobiazgów. Czuł się stary, głupi i niepotrzebny.

Ale w drodze powrotnej pomyślał o Vonie Longwoodzie i jego latającym aucie w Second Life, a wtedy nastrój zaczął mu się poprawiać.

Okolo pół tuzina mew opada z krzykiem na wyższe gałęzie sosny Montezumy i natychmiast milknie, jakby wyczuwając bliskie niebezpieczeństwo, gdy jedna z nich z głośnym łopotem skrzydeł wzbija się do lotu.

Strącona może przez którąś z mew, a może tylko przez przypadek długa na dwadzieścia pięć centymetrów szyszka spada, potrącając gałęzie, i ląduje na kocu obok Moongirl.

Ona zaś nie reaguje ani na przeraźliwy wrzask mew, ani na łopot ich skrzydeł, ani też na głuchy odgłos spadającej szyszki. Spokojnie rozprawdza szkarłatny lakier pędzelkiem po paznokciu.

Odzywa się po chwili:

- Nie znoszę mew.
- Niedługo pojedziemy na pustynię – obiecuje Harrow.
- Gdzieś, gdzie jest naprawdę gorąco.
- Palm Desert albo Rancho Mirage.
- Gdzie by nie było rozbijających się o brzeg fal.
- Nie bądźcie żadnych mew.
- Tylko palące słońce.
- I piasek w świetle księżyca nocą – on dodaje.
- Mam nadzieję, że niebo będzie białe.
- Mówisz o niebie na pustyni?
- Czasami jest całkiem białe.
- Jak w sierpniu.
- Białe jak bielejące kości wokół słońca. Już coś takiego widziałam.
- Na dużych wysokościach, na przykład w Santa Fe.
- Jak bielejące kości.
- Będzie, jak chcesz.
- Jeden ogień po drugim.

On nie rozumie, więc czeka w milczeniu.

Ona kończy malować ostatni paznokieć. Wkłada pędzelek z powrotem do buteleczki ze szkarłatnym lakierem.

Potrząsa głową, by odrzucić jasne włosy na plecy. Jej nagie piersi się kołyszą.

W oddali na morzu jakiś mizerny okręt płynie na północ. Drugi zmierza na południe.

Kiedy sylwetka jednego okrętu mija z tyłu drugi okręt, niewykluczone, że się zderzą i oba znikną z powierzchni morza.

Takie myśli nie przychodziły mu do głowy przed poznaniem Moongirl.

W końcu wszystkie statki pójdą albo na dno, albo na złom. Po pewnym czasie to, co jest czymś, staje się niczym. Istnienie zmierza tylko w tym kierunku.

Dlaczego więc istnienie czegoś lub kogoś nie miałoby się skończyć w dowolnym momencie, bez jakiejś szczególnej przyczyny lub racji?

– Spalimy wszystko – mówi ona.

– Skoro tak chcesz.

– Jutro w nocy.

– Jeśli do tego czasu przyjdą.

– Przyjdą. Spalimy ich do szczętu.

– Dobrze.

– Spalimy ich, a potem na pustynię. I jeden pożar za drugim.

– Mówisz, że spalimy ich wszystkich...

– Aha. Ją też.

– Myślałem, że jest jeszcze czas.

– Już minął czas. Dziesięć lat to dość.

– A gdy już ich spalimy... – mówi on.

Moongirl napotyka jego wzrok.

– ... to kto zostanie i gdzie? – kończy pytanie.

– Ja – odpowiada Moongirl. – I ty. My dwoje.

Wydaje mu się, że ona mówi to, co myśli. Mimo wszystko powinien mieć się na baczności.

– Białe niebo ciężące nad płaszczyzną białego piasku – ona mówi. – Taki upał.

On obserwuje ją, jak dmucha na wilgotne jeszcze paznokcie. Następnie pyta:

– Dałaś jej jeść?

– Teraz to byłoby marnowanie jedzenia.

– Przyda nam się w dobrej kondycji.

– Dlaczego?

– Sama się przekonasz. On pewnie będzie chciał ją zobaczyć.

– A wtedy go złapiemy.

– Tak.

– W takim razie damy jej jeść.

On się podnosi.

– Zaczekaj, aż wyschną mi paznokcie.

Harrow siada z powrotem na trawie i obserwuje, jak ona na nie dmucha.

Po chwili spogląda na morze, które teraz, w słońcu, wydaje się niemal białe.

Nie odnajduje żadnego statku, ani tego, który płynął na północ, ani tego, który płynął na południe. Może skrywa je jaskrawy blask słońca.

Land-rover odjechał, gdy Amy i jej pieski jeszcze rozkoszowały się łąką. Potem, kiedy jechała do schroniska dla zwierząt w południowej części okręgu, też nikt jej nie śledził.

– O co tu chodzi? – zwróciła się z pytaniem do psów, ale one nie miały pojęcia.

Po przyjeździe do schroniska zostawiła je w samochodzie, opuszczając tylko szyby kilka centymetrów dla lepszej wentylacji.

Żadne z nich, Ethel, Fred czy Nickie, nie wyraziły chęci towarzyszenia jej. Wiedziały, co to za miejsce. Cała trójka zaznała już zniewolenia.

Jej księgowa, Danielle Chiboku, również wolontariuszka z Golden Heart, czekała na nią w ponurym holu.

– Ostatniej nocy wykupiłaś psa za dwa tysiące dolców? – zapytała Dani bez żadnych wstępów.

– Coś w tym rodzaju, można tak powiedzieć, jeśli ktoś patrzy na to w ten sposób.

– I co ja mam z tobą zrobić? – westchnęła Dani.

– Ojej, mamciu, możesz mnie wysłać do szkoły wojskowej, by tam nauczyli mnie rozumu.

– Gdybym rzeczywiście była twoją matką, znalazłabyś wartość dolara.

– Jesteś tylko o pięć lat starsza ode mnie, więc nie mogłabyś być moją mamą. Mogłabyś za to być moją macochą, gdybyś wyszła za mojego ojca.

– Amy...

– Ale ponieważ nigdy nie dowiedziałam się, kim był mój ojciec, niestety nie mogę was poznać ze sobą. W każdym razie te dwa tysiące dolców nie należały do Golden Heart. To były moje pieniądze.

– Tak, i co roku, kiedy organizacja nie otrzymuje wystarczających darowizn, które pokryłyby jej wydatki, ty wpłacasz różnicę.

– Cały czas mam nadzieję, że Batman, we wcieleniu Bruce’a Wayne’a, wypisze mi czek, tylko jakoś nigdy się na niego nie natknęłam.

– Jeśli nie zmienisz swojego postępowania, za pięć lat będziesz kompletnie splukana.

– Jesteś moją księgową. Nie powinnaś do tego dopuścić. Zainwestuj w moim imieniu w coś, co przynosi dwieście procent rocznie zysku.

– Mówię śmiertelnie poważnie, Amy. Masz pięć lat.

– Pięć lat to wieczność. W ciągu pięciu lat wszystko się może zdarzyć. A psom potrzebna jestem teraz. Czy mówiłam ci kiedyś, że jesteś podobna do Audrey Hepbum?

– Nie próbuj zmieniać tematu. Audrey Hepbum nie była pół-Japonką, pół-Norweżką.

– Jak twoi rodzice się spotkali? Na pokładzie statku łowiącego wieloryby? Tłuszcz wielorybi, ambra i miłość od pierwszego wejrzenia? Czy Mookie widział się już z Janet Brockman?

Mukai Chiboku, dla przyjaciół Mookie, był mężem Dani, a przy tym pracował w fundacji jako prawnik.

– Przeprowadzi jej rozwód *pro bono* – odpowiedziała Dani. – Chłopczyk i dziewczynka podbili natychmiast jego serce.

Mookie, który specjalizował się w prawie budowlanym i lokalowym, miał biuro w skromnym dwupiętrowym budynku w Corona del Mar. Mało kto mógł się domyślić, że aktywa sześciu jego klientów sięgały miliarda dolarów.

Psy były mile widziane w jego biurze. Codziennie zabierał ze sobą do pracy swojego retrievera, Baiko, noszącego imię mistrza haiku, i zawsze witał entuzjastycznie Freda i Ethel, mówiąc na nie „słodkie dzieciaki”.

– Jesteś z tym gotowa? – zapytała Amy.

– Nie.

– Ja też nie.

Pracownicy schroniska znali ich bardzo dobrze. Dani i Amy zaglądały tu przynajmniej raz na tydzień.

Urzędnik kontrolujący stan zdrowia zwierząt, Luther Osteen, wyprowadził je z części recepcyjnej, potem, mijając biura schroniska, doszli razem do klatek dla psów, skąd wrócili do budynku.

Nieduże, ale utrzymane w czystości klatki otaczały betonowy wybieg, we wszystkich znajdowały się psy. Duże psy zajmowały klatki w pojedynkę, ale zdarzało się, że mniejsze zwierzaki trzymane były po dwa w jednej klatce.

Kilka było tak zestresowanych, że leżały, patrząc apatycznie przed siebie i nie podnosząc nawet głów.

Większość podchodziła do drzwi klatek. Niektóre wyglądały rozpaczliwie, ale inne machały ogonem i na wszelki wypadek demonstrowały pewną dozę nadziei.

Od czasu do czasu któryś z psów, zwłaszcza mniejszych, zaszczekał, ale pozostali ich towarzysze zachowywali spokój, jakby wiedząc, że ich los – adopcja albo śmierć – zależy od ich zachowania.

Większość stanowiły kundelki. Jedna czwarta sprawiała wrażenie psów rasowych. Każdy z nich był piękny, choć na różne sposoby, ale zegar tykał dla nich wszystkich.

Ponieważ liczba psów porzuconych i maltretowanych znacznie przewyższała możliwości niesienia im pomocy przez wszystkich wolontariuszy razem wziętych, każda organizacja musiała ograniczyć się do jednej rasy.

Schronisko starało się robić, co w ich mocy, by poumieszczać kundelki w domach. Ale i tak co roku tysiące takich psów poddawanych było eutanazji.

Amy miała ochotę zatrzymać się przy każdej klatce, pogłaskać każdego psiaka, ale wzbudzanie w nich płonnej nadziei byłoby okrucieństwem, a dla Amy zostawianie ich po zawarciu z nimi znajomości było traumatycznym przeżyciem.

Luther Osteen chciał im pokazać dwa psy, by rozstrzygnąć o ich losie. Jeden to była Mandy, czystej krwi retrieverka, dziewięcioletnia suczka z siwym ze starości pyszczkiem.

Jej właściciele przeszli na emeryturę. Chcieli spędzić następnych kilka lat, podróżując po Europie. Mandy już nie pasowała do ich stylu życia.

– Cierpi trochę na artretyzm, jej zęby też nie są w najlepszym stanie, ale mogłaby przeżyć jeszcze parę lat w niezłej kondycji. Tyle, że trudno jest znaleźć miejsce dla stworzenia w jej wieku. Przypuszczalnie odpłaciła z nawiązką uczucia, jakimi ją darzono, więc uważam, że dobrze byłoby umieścić ją u kogoś, kto by jej dał szansę na lepsze życie, niż jej zgotowano.

– My ją weźmiemy – oświadczyła Dani.

Następna sierotka to był pies, pół retriever, pół nieznannej rasy, niewykluczone, że owczarek australijski. Biegał bez opieki na terenie przemysłowym, miał na szyi obrozę, ale bez tabliczki informacyjnej.

– Wygląda na to, że ktoś go tam umyślnie zostawił – domyślał się Luther. – Musiał błąkać się przez kilka tygodni, bo strasznie jest wychudzony.

Bezimienny pies stał przy drzwiach klatki z nosem wciśniętym między druciane pręty.

– Ile może mieć lat, jak myślisz? – zapytała Dani.

– Sądzę, że jakieś trzy, cztery lata. Nie wygląda też na chorego.

– Przebadany? – zapytała Amy.

– Nie. Ale jeśli go weźmiesz, zapłacimy za to. Ma trochę kleszczy, ale niezbyt wiele.

Dostatecznie trudnym zadaniem było znalezienie domów dla setek rasowych psów, a w przypadku psów nierasowych stawało się to znacznie trudniejsze.

Ogon pracował nieprzerwanie. Uszy czujnie postawione. Brązowe oczy patrzyły błagalnie.

– Biedak tęskni za domem – powiedział Luther. – Zna kilka podstawowych poleceń, jak „siad”, „do nogi”.

Ponieważ pies był ułożony w podstawowym zakresie, znalezienie dla niego domu mogło okazać się łatwiejsze.

– Weźmiemy go – postanowiła Amy.

– W takim razie załatw wszystkie papierki, a ja przez ten czas przyprowadzę tu oba psy.

Wracając tą samą drogą, wzdłuż klatek dla psów, Dani wzięła Amy za rękę. Zawsze tak robiła. Oczy miała pełne łez, których nie kryła. Amy spostrzegła je, zanim jej oczy nie zaszyły mgłą.

Przechodzenie obok psów, z których większość najprawdopodobniej zostanie uśpiona, było ciężkim przeżyciem, ale powrót tą samą drogą, zostawienie ich własnemu losowi, było okrucieństwem.

Czasem Amy biadała nad rodzajem ludzkim, ale największy żal ją ogarniał, kiedy odwiedzała lokalne schroniska.

Ludzie na przywiązanie odpowiadali brakiem lojalności, nie myśląc o swoich ostatnich godzinach, kiedy będą oczekiwali miłosierdzia, którego sami kiedyś odmówili tym, którzy im ufali.

Harrow przyrządza kanapki z szynką i serem, dodaje na talerz dwa ogórki konserwowe, stawia talerz na tacy, na której już stoi pojemniczek z sałatką ziemniaczaną. Dodaje jeszcze dwie torebki z chipsami i jedną małą torebkę herbatników Pepperidge Farm. Ponieważ ona lubi bezalkoholowe piwo korzenne, dokłada jeszcze dwie puszki z zimnym napojem.

Gdy kończy, Moongirl wchodzi do kuchni. Ma na sobie czarne spodnie i czarny sweter. Nadal nosi brylantowy naszyjnik, który od niego dostała, ale brylantową bransoletkę dostała wcześniej od innego mężczyzny.

Widząc zastawioną tacę, mówi:

– Przecież ja bym to zrobiła.

– Chciałem ci oszczędzić fadygi.

Jej spojrzenie jest zimne jak lód.

– Zawsze coś za mnie robisz.

On zna ten ton. Nieraz już z nią to przerabiał.

– Lubię to robić – mówi.

– Robić coś za mnie?

– Tak.

– A ją też?

– Co masz na myśli?

– Dajesz jej to, co ona lubi.

– Akurat to mieliśmy w domu.

– Ty robiłeś zakupy.

– Na drugi raz daj mi listę.

– Wtedy kupisz to, co ja będę chciała jej dać.

– Oczywiście.

Zdejmuje pokrywkę z pojemnika z sałatką ziemniaczaną i wacha ją.

– Żal ci jej, prawda?

– Nie.

– Nie?

– A dlaczego miałyby mi być jej żal?

Ona pluje do sałatki.

– Nie powinieneś jej żałować.

On nic na to nie odpowiada.

Ona pluje raz jeszcze.

Patrzy, jak on na to zareaguje.

W przeciwieństwie do niej on panuje nie tylko nad swoim ciałem i umysłem, ale też nad emocjami. Wytrzymuje jej wzrok.

– Zachowaj dla mnie swoją sympatię – mówi ona.

– Ja do niej nic nie czuję.

– Nawet niechęci?

– Dla mnie ona to przedmiot.

Moongirl wpatruje się w niego badawczo, co trwa, zdawałoby się, wieczność. W końcu podsuwa mu pojemnik z sałatką i mówi:

– Ty też.

On bez wahania pluje do sałatki.

Ona uśmiecha się do niego.

On nie odpowiada uśmiechem.

Ona uzna to za drwinę.

Pluje po raz trzeci do sałatki ziemniaczanej, po czym nakłada z powrotem pokrywkę i stawia pojemnik na tacy.

– Może pozwolę ci zapalić zapałkę.

On nie jest pewny, jaka odpowiedź mogłaby być bezpieczna, więc woli milczeć.

– Jutro w nocy – mówi ona.

– Będziesz sama chciała to zrobić.

– A ty nie?

– Owszem, jeśli ty sobie tego życzysz.

– A ty czego chcesz?

– Ciebie.

– Dlaczego?

– A co może być innego?

– Nuda – odpowiada ona.

– Tak.

Ona bierze tacę.

– Ja ją wezmę – on proponuje.

– Nie. Ty idź przodem. Otworzysz drzwi.

Zatem on idzie pierwszy.

Idąc za nim, ona mówi:

– A teraz się zabawimy.

Ze swego miejsca w samochodzie Amy, Ethel, Fred i Nickie uważnie obserwowali, jak Mandy i bezimienny pies ładowane były do SUV-a Dani Chiboku.

Nadpłynęło kilka chmur. Mimo że przy ziemi powietrze stało nieruchome, to w wyższych partiach białe obłoki gnane wiatrem na wschód przewalały się po niebie, rozrywając się od zachodniej strony.

Kiedy psy zostały już załadowane, Dani zamknęła klapę i odezwała się do Amy:

– Poważnie mówię, pięć lat, nie więcej.

– O, coś się zmieni. Będziemy mieli więcej hojniejszych darczyńców. Wszędzie ubiegam się o dotacje.

– Ale liczba psów, które trzeba ratować, wzrasta wprost proporcjonalnie do sumy wydawanych przez ciebie pieniędzy.

– Jak dotąd rzeczywiście tak jest. Ale przecież nie ma takiej prawidłowości. W końcu potrzeby i fundusze jakoś się zrównoważą. Ludzie nie mogą dalej ot, tak, po prostu, wyrzucać psów za drzwi.

– Rozejrzyj się wokół siebie. Nigdy jeszcze świat nie był tak podły. A będzie jeszcze gorzej.

– Nie, gorsze już było. Wiem coś o tym.

Amy rzadko odwoływała się do przeszłości, a jeśli to robiła, to bardzo oględnie. Czasem zastanawiała się, czy przyjaciele akceptowali ją taką, jaka była, czy też domyślali się, że w jej życiu kryje się jakaś tajemnica.

Ciekawość, jaka malowała się na twarzy Dani, starczyła Amy za odpowiedź.

Kiedy Amy nie rozwinęła tematu, Dani dorzuciła:

– Powinnaś postarać się o jakąś pracę.

– Mam pracę. Psy to moje zajęcie.

– To może być pasja. Hobby. A nawet powołanie. Ale nie jest to praca, za którą dostaje się wynagrodzenie.

– Nic na to nie poradzę, Dani. Robię to od mniej więcej dziesięciu lat. Nie nadaję się do innej pracy.

– Nie wierzę. Jesteś inteligentna, masz prawo jazdy...
– Jestem rozpieszczoną, bogatą dziewczyną, która żyje z odziedziczonych pieniędzy.

– Nie jesteś bogata i nie wiem, czy kiedykolwiek byłaś bogata, a rozpieszczona? Co to znaczy? – Dani potrząsnęła głową. – Amy, kocham cię jak siostrę.

– Ja ciebie też.

– Może kiedyś otworzysz się przede mną jak siostra.

– Obawiam się, że to, co widzisz, to cała prawda o mnie. Nie mam czego otwierać. – Cmoknęła Dani w policzek. – Nie jestem książką, najwyżej broszurą.

– Aha, powiedzmy – odpowiedziała sarkastycznie Dani.

– Przekaż Mookiemu, że jestem mu wdzięczna, że przyjął sprawę Janet Brockman.

Otwierając drzwi swojego SUV-a, Dani jeszcze zapytała:

– A co jest z tą dziewczynką?

– Z Theresa? Nie wiem. Chyba jest trochę autystyczna albo po prostu zdruzgotana przeżyciami domowymi.

– Mookie powiada, że w jego biurze zdarzyło się coś dziwnego.

Amy dotknęła wisiorka na szyi. Była to rzeźbiona w steatydzie kamea, tyle że zamiast kobiecego profilu przedstawiała sylwetkę golden retrievera. Poza tą kameą Amy nie nosiła żadnej innej biżuterii, zresztą nic innego nie miała.

– Dziewczynka podeszła wprost do Baiko – relacjonowała Dani – usiadła przy nim na podłodze i zaczęła go głaskać.

Poprzedniej nocy, kiedy Amy niosła śpiące dziecko do mieszkania Lottie Augustine, Theresa wyciągnęła do niej rączkę i dotknęła kamei.

– A potem, kiedy wychodzili z biura, powiedziała Mookiemu: „raka już nie ma”.

„Wiatr”, mówiła wtedy Theresa pieszczotliwie, dotykając wisiorka. „Wiatr... Dzwoneczki wietrzne”.

– Mookie nie wspominał jej, że Baiko przeszedł właśnie chemioterapię. I nic nie mówił o raku.

– Może Lottie im powiedziała – podsunęła Amy.

– Mało prawdopodobne.

Przed dwudziestoma laty Lottie straciła jedyne dziecko właśnie z powodu raka. Pięć lat później na tę samą chorobę zmarł jej mąż. Od tej pory Lottie nigdy nie wymawiała nazwy tej choroby, jak gdyby równoznaczna była z imieniem szatana,

które wywołuje piekło.

– Tak, dziewczynka powiedziała: „raka już nie ma”, a po chwili dodała: „i nie wróci”.

„Wiatr... Dzwoneczki wietrzne”.

– Amy?

– To dziwne dziecko – powiedziała Amy.

– Mookie uznał, że ma niepokojące oczy.

– Ja uważam, że są po prostu piękne.

– Ja jej nie widziałam.

– Piękne, ale pełne bólu – dodała Amy.

– Miejmy nadzieję, że to dziecko się nie myli.

– Co do czego?

– Co do raka Baiko.

– Chyba się nie myli – odpowiedziała Amy. – Na pewno ma rację.

Stała przy drzwiach swojego forda i patrzyła, jak Dani Chiboku odjeżdża z dwoma uratowanymi psami.

Dzień nadal był słoneczny, ale ona nie czuła już ciepła.

Na powierzchnię jej samochodu nasunął się cień i pokrył słoneczną plamę.

Kiedy Amy spojrzała w górę, pomyślała, że chmury znajdują się zbyt wysoko, by to one rzucały taki cień.

Coś się zmieni. Nie wiedziała jeszcze, na czym będą polegać te zmiany, ale czuła, że nie będą to zmiany na lepsze.

Nie lubiła zmian. Wolała ciągłość i stabilność, dzień przechodzący w noc, noc w dzień, uratowane psy przekazywane do dobrych domów i jeszcze więcej uratowanych psów.

Coś jednak miało się zmienić i Amy bardzo się tego obawiała.

Klient czekał na nich na wschód od jeziora Elsinor, w miejscu, gdzie na skraju nieubłaganej pustyni stały surowe baraki dla robotników drogowych.

Bobby Onions zawiózł ich obu swoim wypasionym land-roverem, bo za nic nie wsiadłby do gruchota Vemona, o którym Bobby mawiał: „rzęch w sam raz dla frajera pompki”.

Vem powstrzymał się od uwagi, że ilekroć potrzebował pomocnika, Bobby był zawsze do wzięcia, co oznaczało, że klienci jakoś się nie tłoczyli przed biurem „Onions – dochodzenia”.

Na autostradzie panował niewielki ruch, co nie dawało się łatwo wytłumaczyć. Jakakolwiek była tego przyczyna, Vem na pewno wiedział jedno: nie mogło to być zbiorowe wniebowzięcie.

Pani Bonnaventura, która zajmowała byle jakie mieszkanie obok równie byle jakiego lokum Vema, wierzyła w bliskie nadejście wniebowzięcia. Unieruchomiona w domu z powodu rozedmy zawsze miała pod ręką dwie rzeczy: pojemnik z tlenem, który aplikowała sobie rurką przez nos, oraz niewielką torebkę, spakowaną na tę cudowną okazję.

W torebce znajdowała się Biblia, komplet bielizny na zmianę, zdjęcia ukochanych zmarłych – krewnych i przyjaciół – których pani Bonnaventura zamierzała odnaleźć natychmiast, gdy tylko znajdzie się w raj, i do tego dropsy miętowe.

Wiedziała, że w niebie nie będzie jej potrzebny zasobnik z tlenem, bo tam stanie się na powrót młoda i zdrowa, nie potrafiła też przekonująco wyjaśnić Vemowi, dlaczego przygotowała zapasowe majtki i dropsy miętowe. Powiedziała tylko:

– Tak na wszelki wypadek, żebym potem nie musiała świecić oczami.

Mówiąc o spotkaniu z Bogiem, pani Bonnaventura promieniała. Perspektywa zbratania się z Bogiem była dla niej urzekająca.

Vem nie wierzył w żadne wniebowzięcie, natomiast czy Bóg istnieje, czy nie, było mu całkiem obojętne. Wiedział tylko, że jeśli Bóg istnieje, spotkanie go po

śmierci musi być tak przerażające, że z pewnością umarłby po raz drugi, tym razem ze strachu.

Nawet taka pani Bonnaventura, która wie, prawie nieskazitelny żywot, przedstawiona Stwórcy nieskończonego wszechświata, w tym również motylków, musiałaby poznać tysiące nowych, przerażających znaczeń słowa pokora.

Pani Bonnaventura twierdziła, że Bóg jest samą miłością, jakby spotkanie Go miało być przez to mniej doniosłym wydarzeniem, porównywalnym na przykład do spotkania Oprah Winfrey, może nawet jeszcze przyjemniejszym.

Vem wyobrażał sobie, że skoro Bóg istnieje, to musi też być czyściec, człowiek bowiem potrzebuje oczyszczenia, zanim znajdzie się w objęciach Najwyższego. Nawet taka niewinna kobietka jak pani Bonnaventura, przenosząc się z ziemskiego bytowania wprost w niebiosa, musiałaby eksplodować niczym materia, która napotyka na swej drodze antymaterię, jak pokazano to w słynnym epizodzie z filmu *Star Trek*.

Przerywając teologiczne dywagacje Vema, Bobby Onions, z jedną ręką na kierownicy swojego bajeranckiego land-rovera, drugą skrobiąc się po karku, zapytał:

– To o co chodzi z tą laską?

– Z jaką laską?

– No, z tą kobietą.

– Z jaką kobietą? – Vem nie mógł się domyślić.

– A o jakiej kobiecie może być mowa? – zniecierpliwiał się Bobby. – Z tą Redwing.

– Mówiłeś, że na osobę śledzoną mówi się teraz obiekt.

– Tak ogólnie, może to być kobieta albo mężczyzna. A poza tym ja już jej nie śledzę.

– Ale dlaczego nazywasz ją laską?

– Kiedy kobieta ma wszystko na swoim miejscu i wie, jak to się nosi, to jest seksowna. Laska to seksowna kobitka.

– A jak nazwiesz seksownych facetów? – chciał wiedzieć Vem.

– Dla mnie faceci w ogóle nie są seksowni – nadał się Bobby. Położył obie ręce na kierownicy i wyprostował się. – Dla ciebie chyba faceci też nie są seksowni, co?

– Nie, do cholery. Nie opowiadaj głupstw.

– W takim razie, co to za historia z tym Von Longwoodem? – zapytał Bobby.

– O co ci chodzi? To mój awatar. W Second Life.

- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Mówiłem ci. Chyba mnie nie słuchałeś.
- Bez przerwy o nim mówisz.
- A ty nigdy nie słuchasz. To mój awatar, jakby komiksowa wersja mnie samego. Tylko inaczej się nazywa. On jest mną, a ja nim.

Marszcząc się od oślepiającego blasku pustyni, na którą właśnie wjechali, Bobby powiedział:

- Dla mnie to porąbane.
- Dlaczego? Głównie chodzi tu o odgrywanie pewnych ról.
- Słyszałem o odgrywaniu takich ról przez dwóch gejów: jeden przebiera się za pielęgniarkę, a drugi za nazistę i wtedy zaczyna się zabawa.
- Nie o takich rolach mówię. Moja jest odlotowa. Wejdz do sieci, wyszukaj Second Life i trochę się podkształć.
- Mnie tam niepotrzebny jest Internet. Mam swoje życie i od groma się w nim dzieje. Na co mi życie na niby.

Z trudem opanowując irytację, Vem ograniczył się do wskazówki:

- Druga w lewo.

Topole i dzikie oleandry miały się dobrze, rosnąc w starorzeczu, ale na piaszczystych i skalistych wzgórzach nie rosło nic poza zmęczonym jadłoszynem, szałwią i kępkami suchych traw.

– A ile cię kosztuje ten wspaniały latający samochód? – zapytał Bobby z drwiącym uśmiechem.

Mimo że wiedział, iż Bobby się z niego nabija, Vem odpowiedział z odcieniem dumy:

- Sto pięćdziesiąt tysięcy lindenów.
- Co to takiego linden?
- To waluta, za którą się kupuje w Second Life.
- A ile to będzie w przeliczeniu na prawdziwe pieniądze?
- Sześćset dolców.
- Zapłaciłeś sześćset dolców za rysunkowy samochód? Nic dziwnego, że w prawdziwym życiu jeździsz takim gruchotem.

Vem już miał odpowiedzieć, że Second Life to jego prawdziwe życie, ale powstrzymał się, wiedząc, że taki filister jak Bobby nigdy tego nie zrozumie. Zapytał więc:

– A kto jest prawdziwym tobą: Bobby Onions czy Bamey Smallburg?

Podwozie zaszurało o żwirowe pobocze, ale zaraz koła odnalazły twardą nawierzchnię.

– A ty, kurwa – zdenerwował się Bamey-Bobby – toś ty mnie śledził?

– Każdego, kogo chcę wynająć, żeby mnie ubezpieczał w robocie, najpierw sprawdzam. Zmieniłeś nazwisko dwa lata wcześniej, zanim dostałeś papiery prywatnego detektywa. Wiedziałem o tym, zanim nająłem cię po raz pierwszy.

– W zawodach paramilitarnych wizerunek jest czymś ważnym.

– Może i masz rację. Chłop z jajami nie może się nazywać Bamey Smallburg.

– W porównaniu z Vemonem Lesley brzmi zajebiście.

– Mniej więcej za osiemset metrów skręcisz w prawo.

Rachityczne kaktusy czepiały się życia na skalnym i piaszczystym zboczu, a ich ostre cienie pełżyły na wschód, w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi, by tam zapaść w odległe morze.

– Coś ci powiem – odezwał się Bamey-Bobby. – Ty nikomu nie powiesz, że ja zmieniłem nazwisko, a ja przestanę się z ciebie nabijać z powodu Von Longwooda.

– Rozsądna propozycja.

– Ty należysz do starej szkoły, a ja do nowoczesnej – powiedział Bobby. – Mimo to, Vem, mam dla ciebie wiele szacunku.

Gówno prawda, pomyślał Vem, ale właściwie było mu wszystko jedno. Nie obchodziło go już, co kto sobie o nim pomyśli w bieżącym życiu. Miał swoją ucieczkę, no i skrzydła.

– Więc co to za historia z tą laską?

– Miała przedtem swoje inne życie. Teraz ukrywa się pod nazwiskiem Redwing.

– Przed kim się ukrywa?

– Nie wiem. Ale wpadli na jej trop. Wynajęli mnie, żebym znalazł dowody na to, że ona to ta poprzednia, i wszystko to jej zabrał.

– Jakie dowody?

– Dokumenty, zdjęcia.

– A dlaczego mieliby je zabrać?

– Za dużo chciałbyś wiedzieć – zastopował go Vem.

– Ja, tak samo jak ty czy pierwszy lepszy szpic, powinniśmy być ciekawi.

Szpic. Tym razem Vem nie zaryzykował pytania, co to znaczy. Odpowiedział:

– Mnie zależy tylko na tym, żeby wyciągnąć dobrą dniówkę.

Zgodnie ze wskazówkami Vema Bobby skręcił w prawo na spękaną drogę, tak rzadko używaną, że w szczelinach nawierzchni rozrosły się chwasty.

– Gdzie masz kławkę? – zapytał Bobby Onions.

Vem popatrzył na niego zdziwiony.

– Jak to? Tu jest – odpowiedział, markując chęć otworzenia drzwi.

Bobby westchnął.

– Kławkę, czyli pistolet. Broń. Chciałem wiedzieć, czy masz przy sobie broń.

– Bobby, to nie jest film gangsterski. Czyś ty kiedykolwiek słyszał, żeby w normalnym życiu prywatny detektyw został zastrzelony przez swojego klienta?

– Zawsze coś takiego może się zdarzyć.

– A czy słyszałeś, że coś takiego się zdarzyło?

– Mnie jeszcze nie. Ale takie rzeczy przytrafiają się człowiekowi tylko raz. Raz i po wszystkim. – Poklepał się po lewej kieszeni sportowej kurtki. – Ja noszę prawdziwego gnata.

– Nie chciałem pytać – powiedział Vem – bo pomyślałem sobie, że może masz jakiś wielki guz czy coś w tym rodzaju.

– Zawracanie dupy. Wcale go nie widać. Trzymam go w specjalnej kaburze robionej na zamówienie, a do tego krawiec przerabiał mi odpowiednio marynarkę.

Droga pięła się pod górę. Ze szczytu wzgórza rozciągała się rozległa równina. Na jej skraju, jeszcze około ośmiuset metrów przed nimi, stał rząd blaszanych baraków różnej wielkości, kilka z nich całkiem sporych, o tak startych przez piasek narożnikach, że padające na ich powierzchnię słońce wytracało swój ostry blask, dając jedynie szare, matowe odbicie.

– Co to za miejsce? – zapytał Bobby, zwalniając pedał gazu.

– Jakieś dawne baraki wojskowe, teraz nieużywane i opuszczone. Z lewej były bunkry z bronią. Tam dalej biura, pomieszczenia gospodarcze. W tym miejscu ziemia jest tak płaska i twarda, że nawet nie musieli budować tutaj drogi.

Za budynkami stała dwusilnikowa Cessna.

Wyschnięte chwasty wystające spod popękanej nawierzchni szeleściły, ocierając się o podwozie, kiedy land-rover wytracał prędkość, tykając niczym gumowa strzałka na zwalniającym bieg kole fortuny.

W otwartych drzwiach jednego baraku stanął jakiś mężczyzna.

– To on – powiedział Vemon Lesley.

Harrow zwalnia zasuwkę i robi krok do tyłu, by przepuścić Moongirl niosącą tacę, po czym wchodzi z nią do środka.

Zewnętrzne okiennice zasłaniają trzy okna. Ponieważ są przymocowane byle jak i popękane ze starości, do pokoju wpada przez nie trochę słońca. Promień złocistego światła rozdziela jeden cień na dwa. Inny ostry promień pada na wazon z rzuńtego szkła, którego krawędzie odbijają z całego spektrum tylko kolor czerwony, co daje wrażenie, że wazon ozdobiony jest krwistymi kolcami.

Większość światła pochodzi od mosiężnej lampy stojącej na dużym biurku, przy którym siedzi dziecko.

Ma na sobie jeden z dwóch zestawów ubrania: tenisówki, szare spodnie od dresów i bluzę z długimi rękawami. Kiedy jest gorąco, wolno jej zamiast bluzy włożyć T-shirt.

Pochłonięta szyciem, nie od razu podnosi głowę.

Moongirl stawia tacę na biurku.

Mimo że ma zaledwie dziesięć lat, sprawia wrażenie starszej i znacznie bardziej cierpliwej niż większość dzieci w jej wieku. Ozdabia właśnie haftem rąbek białej sukieneczki, wyszywa prosty, ale elegancki wzór w listki i różyczki. Szyje to ubranko dla swojej lalki.

Wysunęła gruby język, co jest oznaką nie tyle jej zaangażowania w to, co robi, ile świadczy o jej odmienności.

Na drugim krześle przy biurku posadzona jest inna lalka także ubrana w sukienkę uszytą przez dziecko. Moongirl kładzie tę lalkę na podłodze, siada na jej miejscu i stamtąd przygląda się córce.

Mała szwaczka ma pałkowate palce, a ręce nie są zbyt zręczne w posługiwaniu się igłą. Mimo to pięknie haftuje. Sukieneczkę dla lalki wykończyła tak, jak sobie zamierzyła.

Zaznajomiony z protokołem takich spotkań Harrow przysiada na poręczy fotela, na tyle blisko, by widzieć subtelne szczegóły, pozostając jednak w przyzwoitej

odległości.

- Jak się masz? – pyta Moongirl.
- Okay – odpowiada mała szwaczka.
- Nie zapytasz mnie, jak ja się mam?

Nadal skupiona na swojej robocie dziewczynka odpowiada:

- Oczywiście. Jak się masz?

Mówi grubym głosem, ale nietrudno ją zrozumieć, bo choć język ma większy niż normalny, to jednak nie jest spękany, co występuje u większości dzieci w jej stanie.

- Piękna lalka – mówi Moongirl.
- Mnie się podoba.
- Ma ładne usta.
- Mnie się podobają jej oczy.
- Gdyby mówiła, miałyby ładny głos.
- Nazwałam ją Monique.
- Skąd znasz to imię?
- Z telewizji.
- Potrafiłabyś napisać to słowo: Monique?
- Nie bardzo.
- Raczej wcale, co?
- Wcale – przyznaje dziecko.
- Cóż, tak już jest.

W świetle tej lampy, jak i w każdym innym świetle, rysy dziewczynki wydają się grube i ciężkie, co związane jest z opóźnieniem rozwoju umysłowego.

– Gdyby miała na imię Jane, też byś nie potrafiła tego napisać, prawda? – drażni temat Moongirl.

- Może bym się nauczyła.

Uniesione brwi, fałdy na powiekach, nisko osadzone uszy na małej głowie, co pozostaje w dysproporcji do reszty ciała – wszystko to wskazuje na zespół Downa.

- Uważasz, że mogłabyś się uczyć? – pyta Moongirl.
- Może niektórych rzeczy.
- A czytać i pisać?
- Może.

Po kilku tygodniach Harrow zaczął dostrzegać pewną łagodność w twarzy

dziewczynki, jakąś słodycz, która sprawiała, że dziecko wydawało mu się już mniej obce niż na początku.

– Jak byś się nauczyła?

– W szkole.

– Och, dziecko – wzdycha Moongirl z udawanym smutkiem.

– Bardzo bym się starała.

– Ale w szkole cię nie chcą.

– Będę grzeczna.

– Grzeczna, ale tępa, dziecino.

Mała nic nie odpowiada.

– W szkole nikt nie chce tępaków.

Dziewczynka, od kiedy Harrow ją poznał, sprawia wrażenie, że nie potrafi już szczerze płakać. Teraz jej oczy też są suche.

– To nie jest w porządku, prawda? – mówi Moongirl.

– Aha.

– Przecież nie chciałaś być tępą.

Ostatnio Harrow zaczął dostrzegać w nieszczęsnej twarzyczce dziecka, jeśli nie piękno, to coś zbliżonego do piękna. Jakoś nie znajduje właściwego słowa, które oddawałoby tę cechę, woli więc nazywać to po prostu: wygląd.

– Nikt nie chce być brzydki i głupi.

Dziecko nie przestaje obrębiać lalczynę sukieneczki, przetykając przez materiał białą nitkę, wykonując precyzyjnie identyczne ścięgi, które nasuwają mu na myśl, nie wiadomo dlaczego, słowo „nieskazitelność”.

Znów koncentruje się na twarzy dziecka, ale słowo „nieskazitelność” też nie oddaje tej trudnej do nazwania cechy.

– Pora coś zjeść – oznajmia Moongirl.

– Zaraz – odpowiada dziecko.

– Nie, dziecino, teraz.

Harrow jest zaintrygowany stosunkiem matki do córki, ponieważ tu mógłby dotrzeć do istoty szaleństwa Moongirl.

Głosem, w którym pod pozorem łagodności słychać szcęk stali, zwraca się do córki jedynym imieniem, jakiego używa, zwracając się do niej:

– Piggy, pora coś zjeść.

Dziecko niechętnie odkłada na bok lalkę, igłę i nici i przyciąga do siebie tacę.

Po raz pierwszy od czasu, gdy weszli do tego pomieszczenia, Moongirl spogląda na Harrowa. W spojrzeniu jej zielonych oczu widać nie tylko głęboką satysfakcję, ale coś większego niż dziką radość, jej satysfakcja natomiast jest zimna jak lód, takiej Harrow jeszcze nie widział w niczyich oczach.

Może to jest to samo spojrzenie, kiedy naga ujeżdża go w pokoju bez okien, którym go zaszczyca w całkowitej ciemności.

Napotyka jej wzrok, wierząc, że Moongirl nie znajdzie w jego zachowaniu niczego, co by ją obraziło czy zniecierpliviło.

Zaleta i wada to puste słowa. Jego przemyślana filozofia sprawiła, że pojęcia te już nie mają nad nim władzy, jej szaleństwo zaś doprowadziło ją do podobnego odrzucenia wartości, ponieważ w chaosie istnienia szaleństwo jest uprawnioną drogą wiodącą do oświecenia.

Pewne działania można podjąć, ale można też ich nie podejmować, konsekwencje mogą nastąpić, ale niekoniecznie, i zarówno w tych zdarzeniach, jak i w ich braku nie ma co się doszukiwać jakiegokolwiek znaczenia.

Moongirl zarzuciła mu litość.

On jednak nie lituje się nad tym dzieckiem. Intryguje go tylko wytrwałość, z jaką ono znosi wszelkie zadawane przez matkę cierpienia.

Piggy unosi górną kromkę złożonej kanapki i odkłada ją na bok. Sprawdza dokładnie obie strony listka sałaty i kładzie go na kromce.

Moongirl z uśmiechem podnosi z podłogi lalkę, którą tam odłożyła, by usiąść na krześle przy biurku.

Piggy ogląda uważnie plasterek pomidora, szynkę, ser i znajdującą się na spodzie kromkę chleba, rozkładając kanapkę na czynniki pierwsze i składając ją z powrotem w odwrotnej kolejności.

Kanapki bowiem mogą zawierać nieprzyjemne niespodzianki. Zardzewiały gwóźdź, który kaleczy dziąsła. Ruszającego się żywego robaka. Zdechłą pluskwę.

Dziecko nie wie, że to Harrow przygotował te wspaniałe kanapki z szynką i z serem. Zapewne uważa, że to matka je zrobiła.

Nie znalazłszy niczego szkodliwego, Piggy bierze kanapkę w obie ręce i odgryza pierwszy kęs.

Udając brak zainteresowania spożywaniem przez córkę posiłku, Moongirl z uwagą ogląda pięknie ubraną lalkę, którą podniosła z podłogi.

Mimo swoich intelektualnych ograniczeń Piggy jest samoukiem. Ma pewne

zdolności artystyczne, sama nauczyła się całkiem nieźle rysować i komponuje zupełnie udane kolaże z obrazków, które wycina z czasopism.

Sama też nauczyła się szyć i haftować. Kiedy tu się przeniosły, Piggy znalazła bogato wyposażony przybornik do szycia i setki szpulek z nićmi pozostawionych przez poprzednich właścicieli. Metodą prób i błędów, co Harrow nazywa intuicją głuptaka, nabyła te umiejętności, które pozwalają jej wypełnić wiele samotnych godzin.

Moongirl wybiera ze stosiku przyborów małej szwaczki nożyczki z ostrymi końcami. Użyje ich do pocięcia na strzępki haftu właśnie przyszytego do lalczynej sukienki. Przecina haft po obu stronach sukienki, wkrótce więc ma przed sobą dwie kupki kolorowych nitek wyprutych z ubranka.

Piggy rozsądnie nie zwraca uwagi na zniszczenie owoców jej wielogodzinnej pracy. Nawet nie daje po sobie poznać, że w ogóle zauważyła, co robi jej matka.

– Jak tam kanapeczka? Dobra? – pyta Moongirl.

– Dobra – odpowiada Piggy.

Jeśli Moongirl rzeczywiście zamierza spalić córkę następnej nocy, ma ostatnią szansę jeszcze się nad nią pozmęczać. I nie marnuje tej okazji.

– Spróbuj sałatki ziemniaczanej – namawia.

Piggy wydaje pomruk oznaczający zgodę, ale zamiast otworzyć pojemnik, odgryza następny kęs kanapki.

Harrow mógłby teraz przebywać w wielu dowolnie wybranych miejscach, gdyby dokonał innego spośród rozlicznych wyborów, a jednak jest zadowolony, że znajduje się w tym oto miejscu. Kiedyś myślał, że tylko pieniądze mają znaczenie. Później jednak przekonał się, że pieniądze mają znaczenie o tyle tylko, o ile można za nie zdobyć władzę, władza natomiast ma znaczenie tylko wtedy, gdy się jej używa nieświadomie i z wyobraźnią.

Moongirl pojmuje władzę lepiej niż ktokolwiek inny, widzi możliwości, jakie ona daje, jej piękno i sztukę, jakiej trzeba użyć, by osiągnąć najbardziej satysfakcjonujące rezultaty.

– To naprawdę dobra sałatka – mówi do córki.

Ponieważ świat się kręci i świat się zmienia, ostre promienie słońca padające na wazon powinny przesunąć się dalej, ale na krawędziach nadal rysuje się wzór w krwawe kolce.

– Piggy?

Teraz Harrow zauważył, że pryzmaty w wazonie wyodrębniły żółte i niebieskie

pasma, które padły na sufit. Nad głową dziewczynki rysuje się kolorowa aura.
Moongirl wbija w Piggy ostre spojrzenie. Żyły na jej skroniach pulsują.
Pożar może być jutro, ale dziś pora na fajerwerki.

Bobby Onions, zobaczywszy mężczyznę wychodzącego z baraku, nacisnął pedał gazu.

- Co to za facet? – zapytał.
- Mówi, że nazywa się Eliot Rosewater.
- Myślisz, że to jego prawdziwe nazwisko?
- Nie.
- A co jest napisane na czeku?
- On płaci gotówką.

Land-rover powoli pokonywał wyboje.

Kiedy Bobby spoglądał we wsteczne lustro, Vem wiedział, co w nim zobaczy.

Mimo że przejechali tylko czterysta metrów od głównej szosy, odległość ta wydawała się znacznie większa.

Przed nimi płaska dotąd równina zaczynała się lekko wznosić, gdyż jakiś kilometr za barakami rysowało się wzgórze. Na wschodzie horyzont tracił ostrość konturów i stawał się zamglony, na zachodzie natomiast rozpływał się w zachodzącym słońcu.

- Dlaczego umówiliście się w takim zakazanym miejscu?
- Pustynia ma swój posępny urok – odpowiedział Vem.
- No co ty, jesteś na usługach Mojave Chamber of Commerce?
- Daj spokój, Bobby, lepiej trochę przyspiesz, widzisz, że człowiek czeka.

Ziemia była bezbarwna jak beton, skąpa roślinność cała wypalona słońcem do szarości, z wyjątkiem czepiających się życia kępek szkarłatnej szalwii.

- Sam jeden – zauważył sceptycznie Bobby.
- Uspokoisz się wreszcie? On nie chce pokazywać się ze mną. Po co będzie ryzykował? Zapomniałeś, że akurat dziś popełniłem dla niego kilka przestępstw? A ponieważ nie zamierzam pozbywać się swojej licencji detektywa, ja też nie mam nic przeciwko dyskrecji.

Pod koniec dnia żar na pustyni nie ustępował i palił niemal tak samo jak w

południe. Powyginane i skarłowaciałe jadaloszyzny przypominały współczesne kute w żelazie rzeźby, a ostre kanty blaszaków zdawały się rozcinać niebo.

– Poza tym – dodał Vem – nie zostawi przecież tego samolotu bez dozoru po to, byśmy się mogli spotkać w jakiejś miłej cukierni na pączkach. Pracowałem dla niego już przedtem. On jest w porządku.

– Kiedy dla niego pracowałeś?

– Osiem miesięcy temu. Chciał, żebym się dowiedział, gdzie mieszka ten architekt.

– Jaki znowu architekt?

– Za dużo chciałbyś wiedzieć.

– Wracając do tematu, wtedy dziupla też była tutaj?

– Tak, wtedy spotkanie tutaj się odbywało.

– Ale mnie nie zawołałeś do tej roboty. Kto cię ubezpieczał?

Vem westchnął.

– Jak chcesz koniecznie wiedzieć, to Dirk Cutter.

– Rany boskie, Vem, przecież to bezmózgowiec. Zatrudniłeś Dirka Cuttera, zanim do mnie zadzwoniłeś?

– Przynajmniej on naprawdę tak się nazywa, nie musiał zmieniać nazwiska. Wziąłem go, bo miał samochód z napędem na cztery koła. Ty wtedy nie miałeś jeszcze tego rovera.

– No dobra. Wtedy jeszcze jeździłem tą gównianą hondą.

– Z kolei mój chevrol nie nadawał się na te tereny. A tak przy okazji, to skąd wzięłeś kasę na tego rovera?

Bobby mrugnął znacząco i wyszczerzył się w uśmiechu:

– Wdzięczna kobitka.

Vem skrzywił się z niesmakiem i powiedział:

– Możesz dalej nie mówić.

– Powiem ci, jak będziemy wracali – obiecał Bobby i lekko przycisnął pedał gazu. – No więc, co z tym architektem?

– Zamknij się wreszcie, Bob. Czy musisz bez przerwy wypytywać?

– Ja jestem plenipotent. Pruję prosto do celu. Muszę być ciekawy.

Ponieważ Vem nie chciał dać mu satysfakcji i zapytać, co to znaczy „plenipotent”, a jednocześnie obawiał się, że zapyta go o to, jeśli nie zacznie zaraz czegoś mówić, ustąpił.

– Architekt i ta laska kręcą ze sobą. Facet chciał się dowiedzieć czegoś o architekcie, bo on umawiał się z laską.

– Tą dzisiejszą laską?

– A czy ja znam jakąś inną laskę?

Znów wytracając prędkość, Bobby podsumował:

– Facet chce wiedzieć wszystko o architekcie, bo ten się umawia z laską, a osiem miesięcy później wynajmuje ciebie, byś załatwił laskę. O co w tym wszystkim chodzi?

– Nie wiem.

– To ciekawe, nie?

– Nie tak bardzo.

– Mógłbyś go o to zapytać.

– Jeśli on sam mi tego nie mówi, to nie mam co się wtrącać. Klientowi nie zadaje się pytań.

– Wyjdź z epoki kamienia łupanego, Vem. Klient to kasjer.

– Klient, kasjer, wszystko jedno. Nie pytam, jeśli on sam mi czegoś nie powie.

– Skąd on przyleciał?

– Nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi.

– To naprawdę tajemnicza sprawa, no nie?

– Nie tak znowu – odpowiedział Vem. – A ty, żebyś go o nic nie pytał. Bo jak zapytasz, to nie dostanę od niego więcej roboty.

– Musi dobrze płacić, co?

– Genialny wniosek. Za marne grosze nie zgodziłbym się włamywać do czyjegoś domu.

– Trochę za daleko, by zobaczyć stąd numery rejestracyjne samolotu.

– Daj spokój z samolotem. Szału można z tobą dostać.

Bobby zatrzymał samochód w pobliżu baraku i zauważył:

– Ty, ten gość to nikt specjalny.

– Płaci jak ktoś specjalny.

– Chciałem powiedzieć, że wygląda na nieszkodliwego. Tak jak ty: łysy z nalaną twarzą.

– Ta pani to idiotka.

– Jaka znowu pani?

– Ta, co się kryje za land-roverem.

Bobby rzucił okiem do wstecznego lusterka, jakby chciał zobaczyć, kto też tam stanął za samochodem, i dopiero po chwili zorientował się, o czym mowa.

– Ach, ta. Nie, to nie idiotka, ale nie powiem, żeby była szczególnie lotna.

Vem wziął ze sobą plastikową torebkę na śmiecie, do której schował wszystko, co skonfiskował w domu Redwing, i wyszedł z land-rovera.

– Mam nadzieję, panie Rosewater, że nie czekał pan na mnie długo.

– Nie, nie, panie Lesley. Ja się dobrze czuję na pustyni. Tutejsze powietrze dodaje mi sił.

Powietrze było gorące i tak suche, że natychmiast pierzchły usta, a przy tym przesycone jakimś alkalicznym zapachem i egzotycznymi pyłkami, co sprawiało, że Vema już piekły oczy.

Nie należał do ludzi urodzonych do życia w plenerze. Wnętrz zresztą też nie bardzo lubił. Marzył teraz tylko o jednym: by jak najprędzej stąd wrócić do domu i zanurzyć się w Second Life, wolnym od tarantuli i skorpionów.

Zapomniał powiedzieć Bobby'emu, by został w samochodzie, a teraz było już na to za późno, bo detektyw kroczył za nim, chcąc go dogonić.

Eliot Rosewater miał na tyle rozumu, by udawać, że nie widzi Bobby'ego.

– Znalazł pan to, na czym mi zależało, panie Lesley?

Potrząsając torebką na śmiecie, Vem odpowiedział:

– Tak jest, proszę pana. A nawet trochę więcej, niż mógł się pan spodziewać.

– Świetnie – odrzekł Rosewater, biorąc do ręki torebkę. – Dziewczyna bardzo się starała, by pozacierać wszelkie ślady przeszłości.

– Nikt by lepiej ode mnie nie przeczesał mieszkania, mogę pana zapewnić, panie Rosewater. Niczego nie opuściłem.

– Taki jesteś pewny?

– Cenię sobie współpracę z panem. Jestem absolutnie pewny.

Bobby już otwierał usta, by powiedzieć coś zapewne niedorzecznego, i w tym momencie jego czaszka eksplodowała.

Przypuszczalnie Vem usłyszał podejrzany dźwięk dochodzący z pobliskiego baraku albo dostrzegł jakiś ruch za otwartymi drzwiami na chwilę przed rozpadem na części czaszki Bobby'ego, bo zdążył sięgnąć pod koszulę, skąd wyciągnął rewolwer spoczywający na jego piersi w uszytej na zamówienie kaburze.

Podczas gdy kropelki krwi jeszcze unosiły się w powietrzu, Vem przypadł do ziemi i wypuścił trzy serie w stronę otwartych drzwi.

Rosewater rzucił się na ziemię i przezołkował z widoczną wprawą, jakby nie po raz pierwszy brał udział w podobnych zdarzeniach.

Vem miał ochotę podbiec do niego i go pukać, nie był jednak pewien, czy trafił Strzelca z sąsiedniego baraku; jeśli nie, wszelka zwłoka byłaby wystawianiem się na łatwy cel.

Silnik land-rovera nie pracował. Bobby zapewne nie zostawił kluczyka w stacyjce.

Przez moment Vem rozważał możliwość puszczenia się pędem i kluczenia wśród baraków, ale ci faceci znali teren lepiej od niego, więc zabawa w kotka i myszkę nie mogła się skończyć dla niego dobrze.

Wobec tego pognął na zachód, w stronę zachodzącego słońca, licząc na to, że widziany na tle oślepiającego blasku będzie trudniejszym do trafienia celem.

Na równinie nie było żadnego miejsca, gdzie można by się ukryć, ale Vem był szybszy, niż by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Młodszy o jakieś piętnaście lat od Rosewata, lżejszy o trzydzieści funtów, wierzył, że zdoła mu ująć.

Jeżeli natomiast strzelec z sąsiedniego baraku nie został poważnie ranny i puścił się w pogoń za Vemem, ten byłby w poważnych tarapatkach. Nie odwrócił się jednak za siebie, by to sprawdzić, gdyż wołał nie tracić nadziei.

Biegł najszybciej, jak mógł, i mimo że serce mu łomotało, postanowił dać z siebie jeszcze więcej. Biegąc, wytwarzał wiatr w nieruchomym powietrzu. Nie myśląc, co robi, podniósł ręce, jakby chciał się unieść w górę.

Vem Lesley jednak nie miał skrzydeł. Von Longwood, owszem, miał skrzydła w Second Life, miał tam też latający samochód, w świecie, w którym uprawiał seks cztery razy dziennie.

Porzucił nadzieję, spojrzął za siebie. Zobaczył doganiającego go faceta. Z wyglądu mógł mieć tyle lat co Bobby Onions, był tylko roślejszy od niego i szybszy.

Von Longwood nie pozwalał, by mu ktoś robił koło pióra, jeśli więc Vem miał pożegnać się z tym światem, chciał tego dokonać w stylu Longwooda. Zatrzymał się, odwrócił i wypuścił ostatnią serię z rewolweru.

Jego prześladowca nie zboczył z kursu, nie uskokzył, tylko odważnie stawiał czoło gradowi kul, tak jakby to on był Vonem Longwoodem.

Teraz jedyną nadzieją Vema pozostawało wniebowzięcie, natychmiastowe pójście wprost do nieba bez zmiany bielizny, bez dropsów miętowych, ale i to się nie sprawdziło. Jedna kula trafiła go w brzuch, druga pozbawiła oddechu, a trzecia

przeniosła go w niebyt.

Wdrapawszy się na schody, zaraz po przekroczeniu progu psy natychmiast zrobiły to, co robią wszystkie psy: rozpoczęły obchód kolejnych pomieszczeń, sprawdzając teren, samym tylko nosem zbierając więcej informacji niż człowiek swoimi pięcioma zmysłami.

Brian wcale się nie zdziwił, widząc, że Nickie, mimo że dopiero co przystała do stada, objęła przewodnictwo.

Wchodząc za psami, Amy zapytała je:

– Coś nie tak?

Brian, kiedy do niej zadzwonił, mówił nieskładnie. Teraz powiedział tylko:

– Chodź ze mną. Kuchnia. Chcę ci pokazać.

Idąc za nim, powiedziała:

– Teraz rzeczywiście masz fryzurę prosto z łóżka. Wygląda, jakbyś spał na huraganowym wietrze.

– Rysowałem. Całymi godzinami rysowałem. Byłem zmordowany. Położyłem się. Zasnąłem. I coś mi się przyśniło.

W kuchni położył jej ręce na ramionach i popatrzył głęboko w oczy.

– Znasz mnie, wiesz, kim jestem.

– Jesteś Brian McCarthy, architekt.

– No właśnie.

– Sprawdzasz może, czy mam alzheimera?

– Słuchaj. Czy jestem człowiekiem, który chodzi po ziemi? Czy jestem rozsądny? Trzeźwo myślący? Naiwny?

– Trzy razy „tak”. Raz „nie”.

– Czy jestem bystry? Inteligentny ze mnie chłopak?

– Bystry. Inteligentny. Chłopak. Trzy razy „tak”.

– Jestem trzeźwy, prawda? Rozsądny, prawda? Nie ulegam śmiesznym przesądom, prawda?

– Prawda. Prawda. Prawda.

– Nie daję wiary historyjkom takim jak o Antoinie.

Tym razem zdumiona, zapytała:

– Jaki Antoine?

– No, Antoine – odpowiedział zniecierpliwiony. – Niewidomy pies, który prowadził samochód na Filipinach.

– Antoine nie jest ślepy.

– Mówiłaś, że jest.

– To Marco jest niewidomy, a nie pies.

– Wszystko jedno. To bez znaczenia.

– Owszem, to ma znaczenie zarówno dla Marca, jak i dla Antoine'a.

– Chodzi mi o to, że jestem sceptykiem.

– Marco prowadzi samochód, a Antoine mówi mu, jak jechać.

– Widzisz? To są głupstwa. Psy przecież nie mówią.

– Psychiczenie go informuje.

Zaczerpnął głęboko powietrza do płuc.

– Taka jesteś dla wszystkich?

– Jaka?

– Dprowadzasz do szału.

– Nie, nie wszystkich. Głównie ciebie.

Sposepniał.

– Czy przed chwilą powiedziałaś mi coś ważnego?

– A jak myślisz?

– Myślę, że tak. Co to było takiego?

– Że jesteś bystry, inteligentny, rozsądny, zrównowagony, fajny architekt.

Reszty się domyśl.

W głowie miał zbyt duży mętlik, by wgryzać się w znaczenie jej słów. Po prostu ją pocałował.

– Za dużo się dzieje – powiedział. – Skupmy się na jednym. Chodź tutaj.

Popatrz na to.

Podprowadził ją do kuchennego stołu, gdzie piętrzyły się rysunki ułożone w takiej kolejności, w jakiej je rysował.

Uśmiechnęła się na widok rysunku znajdującego się na wierzchu.

– To Nickie.

– Właśnie to widzisz?

- A to nie ona? Wygląda na nią.
- Ale czy to wszystko, co widzisz w tym rysunku?
- A co chcesz, żebym zobaczyła?
- Nie wiem.
- Kochanie, ja nie jestem krytykiem sztuki.
- Coś jest w jej oczach.
- Ale co?
- Coś...

Kiedy Brian odłożył pierwszy rysunek i pokazał jej następny, powiedziała:

- To zbliżenie.
- Coraz większe. – Przerzucił stosik rysunków.
- Kiedy to rysowałeś?
- Po tym, jak mnie tu podrzuciłaś.
- Tyle rysunków w tak krótkim czasie? Jak to jest możliwe?
- Nie jest możliwe.

Spojrzała na niego znad rysunków.

– Tak, to niemożliwe – powtórzył. – Zrobić tyle rysunków, tak szczegółowych, w tak krótkim czasie.

- Co ty mówisz?
- Niech mnie. Sam nie wiem.

Tyle zaszło niezwykłych zdarzeń, jemu jednak brakowało jakiegoś punktu odniesienia, by wyjaśnić dokładnie, czego doświadczył i co w związku z tym czuł. Do tej pory wiódł zwyczajne życie, w którym usiłował, za pośrednictwem zasad architektonicznych wprowadzić trochę ładu do chaosu istnienia. Teraz chaos zapanował nad nim i chociaż Brian wyczuwał pod nim nowy ład, na razie nie potrafił wyodrębnić żadnych elementów ani dopatrzeć się w nich znaczenia.

Spoglądając to na zegar, to na rysunki, to na Amy, dodał:

- Mam takie uczucie, jakby coś we mnie wstąpiło.
- Ale co?

– Coś, co mnie przeniosło w inny wymiar czasu. Sam nie wiem, jak mam to rozumieć. Byłem tu, w kuchni. Ale właściwie mnie tam nie było. Rysowałem, ale to nie ja rysowałem. Dostrzegłem coś w oczach Nickie, a mój gość, który we mnie wstąpił, kimkolwiek był, pomógł mi to wyrazić rysunkiem.

- Zobaczyłeś coś w oczach Nickie? Co chcesz przez to powiedzieć? Co to mogło

być?

– Nie wiem, ale bardzo mocno to odczuwałem. – Rozłożył przed nią ostatnie cztery rysunki, najbardziej abstrakcyjne ze wszystkich, tak by można je było oglądać uważnie wszystkie naraz. – Powiedz, Amy, co widzisz?

– Światła, cienie, kontury.

– One coś znaczą. Ale co znaczą?

– Nie wiem. Są za to piękne.

– – Tak uważasz? Mnie się też tak wydaje. Ale dlaczego? Dlaczego są takie piękne?

– Po prostu takie są.

– Powiedziałaś: kontury. Jakie kontury? Czego? – naciskał Brian.

– Po prostu kontury. Kształty. Światło i cień. Nic, co by było rzeczywiste.

– To jest rzeczywiste – zaproponował. – Tylko nie potrafię tego narysować. Jestem bliski uchwycenia tego na tych kartkach, ale ostatecznie mi się wymyka.

– Co jeszcze zaszło? Czym jesteś tak podniecony?

– Nie jestem podniecony. Jestem poruszony, podekscytowany, zadziwiony, przestraszony, ale nie podniecony.

– W takim razie ja jestem podniecona.

– Wydaje mi się, że mam halucynacje. To nie może być nic innego. Omamy słuchowe. Dlatego, że byłem tak bardzo przemęczony. Straszne dźwięki. Nie potrafię nawet ich opisać. Straszne, a jednocześnie... cudowne.

Kiedy wspomniał o halucynacjach, spodziewał się, że ona odniesie się do tego nieufnie, ale nic takiego nie zaszło. Intuicja podpowiedziała mu, że i ona miałyby coś do dorzucenia na ten temat.

– I te cienie – dodał. – Szybko przemykające pojawiały się, by natychmiast zniknąć. Nie wiadomo skąd. Bolały mnie oczy. Wydawało mi się, że to z powodu niedostatku snu. Chodź, coś ci pokażę.

– Co mi chcesz pokazać?

Wziął ją za rękę, wyprowadził z kuchni do holu i powiedział:

– Idziemy do sypialni. Łóżko.

– Hola, hola, panie Hormoński. Nie mówiłam o takim podnieceniu.

– Wiem. Kto wiedziałby o tym lepiej ode mnie? To nie o to chodzi. Zdumiewające. – Zaprowadził ją do sypialni, stanął w nogach łóżka. – Widzisz?

– Co mam widzieć?

- Jest idealne.
- Co jest idealne?
- Łóżko. Idealnie zasłane. Ani jednego zagniecenia, żadnej zmarszczki.
- Gratulacje. Gdybym miała odznakę z napisem: „zasłużony”, przypięłabym ci ją do piersi, przy grających fanfarach.
- Wyraziłem się nieprecyzyjnie.
- Spróbuj jeszcze raz.
- Urodziłem się w Kansas.
- Widzę, że faktycznie zaczynasz od samego początku.
- W Kansas, podczas tornado.
- Znam tę opowieść.
- Nie pamiętam tej nocy.
- Przychodzenie na świat było nudne? Nie zwracałeś na nie uwagi?
- Oczywiście opowiadano mi, jak to było. Setki razy. Babcia Nicholson opowiadała i moja matka.

Pewnej wietrznej nocy, tydzień przed spodziewanym terminem, matka Briana, Angela, zaczęła rodzić. Wody odeszły jej tuż przed północą, wtedy obudziła Johna, ojca Briana. Właśnie się ubierał, by odwieźć ją do szpitala, kiedy syreny obwieściły alarm przed zbliżającym się tornado.

Przebywała wtedy u nich matka Angeli, Cora Nicholson, która przyjechała z Wichity, aby być przy porodzie. Wszyscy troje, ona, jej córka i zięć, wyszli z domu i skierowali się w stronę samochodu, a wtedy porywisty wiatr przerodził się w huragan.

Niebo czarne jak piekło, rozłupane gromem niczym smocze jajo, wypluło swoje żółtko. W jednej chwili ciężkie powietrze nappełniło się ożywczym ozonem i ulewą.

– W tym śnie – mówił Brian – byłem tylko obserwatorem, a nie uczestnikiem zdarzeń. Czy słyszałaś kiedyś o śnie, w którym jest się wyłącznie świadkiem?

– Nie wiem. Może. Chociaż, jak się tak zastanowić, to chyba nie.

– Mnie nic takiego przedtem się nie śniło – powiedział Brian.

Kiedy Cora, Angela i John dotarli do starego pontiaca, deszcz zaczął walić z taką siłą, że krople spadające na ziemię odbijały się wysoko od podłoża, a trafiając w ludzi, kłuły boleśnie.

– Nie byłem uczestnikiem tego snu, jedynie widzem. Nie odzywałem się do nikogo, nikt też mnie nie widział. Mimo to zanurzony byłem całkowicie w owych zdarzeniach. Czulem bijący we mnie deszcz, przenikliwą wilgoć, jego wyjątkowe

zimno w zestawieniu z nocnym upałem. Strzępki zielonych liści oderwanych od gałęzi były mnie po twarzy, przylepiały się do mojej skóry.

Odgłos ulewy spotęgował rosnący ryk, nie był to trzask pioruna, tylko wzmagający się hałas jak przejeżdżające w bliskiej odległości pociągi.

Zbliżała się wirująca ściana tornado – ciągnął swą opowieść Brian – jeszcze jej nie było widać, ale już się ją słyszało, jeszcze nas nie ogarnęła, ale była bardzo blisko.

Ich piwnica, zbudowana na wypadek takich burz, znajdowała się o dwadzieścia metrów od domu, a Cora, która doświadczyła podobnych zjawisk w Wichicie, nalegała, by dać sobie spokój z samochodem i biec do schronu.

Skoro Angela miała rodzić w schronie przeciwsztormowym, John chciał przynieść z domu czyste ręczniki i alkohol do dezynfekowania noża, którym odciąłby pępownię, oraz inne jeszcze drobiazgi. Cora usiłowała go zatrzymać, ale on obiecał, że wróci za chwilę, za moment, natychmiast.

– Pobiegłem z babcią i mamą do nasypu. Czulem pod stopami śliskość trawy, jakby to się działo na jawie, nie we śnie – mówił Brian. – Wrażenia były niesłychanie intensywne, zapachy, dźwięki, kolory, faktura. W kamienne zbocze wbudowany był schron, do którego prowadził wykuty korytarz zakończony ciężkimi drzwiami.

Brian odwrócił się, by spojrzeć na dom, wtedy ze zdziwieniem spostrzegł, że w oknach paliło się światło.

Nagle pierwsza błyskawica rozdarła niebo, za nią następne, wywołujące jednocześnie całe snopy jasności, przepływające falami, tak że niebo wyglądało, jakby smagały je iskrzące się kolczugi.

Te race zsyłane przez niebo zwiastowały tornado, które dotarło już do ich domu, wzbijało się ku górze, ogromna czarna ściana wzburzonego powietrza, niczym żywa bestia, bezlitosna na miarę mitologicznych potworów, nadal ogromniejąca i wznosząca się coraz wyżej, aż w końcu nie sposób było dostrzec, dokąd sięga.

W jednej chwili posypały się wszystkie szyby. Dom rozpadł się na kawałki. Lej wessał każdy najmniejszy nawet odłamek szkła, każdą szczapę drewna, każdy gwóźdź i Johna McCarthy'ego, którego ciała nigdy nie odnaleziono.

– Moja matka i babka zeszły do schronu i zamknęły za sobą drzwi – relacjonował Brian. – Ja zostałem na zewnątrz i patrzyłem, jak wichura wyrывa z korzeniami drzewo, które wydało przeraźliwy odgłos, coś w rodzaju rozpaczliwego krzyku. A potem znalazłem się wewnątrz schronu.

W ostatniej chwili Cora spojrzała za siebie i zobaczyła, że nie ma już domu ani

jej zięcia. Zamknęła drzwi, odcinając się w ten sposób od chaosu szalejącego na zewnątrz, zaryglowała je ciężkimi zasuwami, które mocowały wrota do progu, ościeżnicy i muru.

Piorun ożeniony z wichurą wydał wrzeszczące potomstwo. Przedtem Brian usłyszał odgłos jakby przetaczających się pociągów, co najmniej dwudziestu naraz, ale teraz wydawało się, że wszystkie pociągi świata w jednej chwili zjechały w jedno miejsce, tuż nad ich schronem.

W tym ciasnym schronie, oświetlonym jedynie wątłym światłem latarki, sufit i ściany przenosiły wibracje ziemi, której natura wymierzała srogą karę, zewsząd sypał się tynk, a u drzwi wyły piekielne hordy, poddając ciężkiej próbie wytrzymałość zasuw.

Angela, zapewne ponaglana paniką, zaczęła rodzić szybciej, niż Cora mogła się tego spodziewać. Kiedy lej już się odsunął gdzieś dalej, a burza nadal huczała nad ich głowami, Angela zdjeta strachem o swoje nienarodzone jeszcze dziecko, płacząc za utraconym mężem, wydała na świat syna.

Cora ściągnęła z półki lampę Colemana, zapaliła ją i przy tym wątłym świetle odebrała swojego wnuka z wielkim spokojem i zręcznością, jakiej nie straciły pokolenia kobiet, które nastąpiły po pierwszych osadnikach z jej rodziny, zasiedlających tę równinę.

– W tym śnie oglądałem swoje własne narodziny – mówił Brian. – Byłem pomarszczonym zawiniątkiem z czerwoną buzią i marudziłem.

– Niektóre cechy nie zmieniły się do tej pory – zauważyła Amy.

Ponieważ nie każde tornado nadchodzi nagle, a burze czasem mogą trwać całymi godzinami, schron wyposażony był w stare materace na stelażach. Na jednym z nich Angela urodziła dziecko, plamiąc narzutę wodami płodowymi i krwią.

Cora rozpakowała zawinięte w plastik koce, pościeliła czysty materac i namówiła córkę, by przeniosła się tam z noworodkiem.

Okazało się, że wiatr przyniósł sterty gruzu pod drzwi ich schronienia, musiały więc czekać następne dziewięć godzin, aż ekipa ratunkowa je odnajdzie i wyciągnie stamtąd.

– Moja babka pościeliła ten materac tym, co miała, ale z taką starannością i troską, jakby to było łoże dla bardzo ważnego gościa. Kiedy skończyła otulać kocem moją matkę i niemowlę, czyli mnie, było to idealne gniazdko, wygodne, przytulne i ciepłe. Wygładziła załamania na kocu z wielką tkliwością, przez cały czas uśmiechając

się do mojej matki...

Ta scena utkwiła w jego pamięci, jak żadna inna scena ze snu.

– Co było dalej? – zapytała Amy.

– Aha. Nagle przestałem być świadkiem tych zdarzeń, a zacząłem być uczestnikiem. Jestem więc noworodkiem i patrzę na twarz babci. Ona uśmiecha się do mnie, ma niesamowite spojrzenie, pełne miłości, pełne życia, jak z jawy, a nie ze snu. Mruga do mnie. Ostatnia rzecz, jaką widziałem w tym śnie, to jak babcia mruga do mnie. Potem się obudziłem. I zdumiewające – łóżko wyglądało tak jak teraz. Idealnie zaścielone. Ja leżę na kapie, a łóżko mogłoby przejść z powodzeniem wojskową inspekcję.

Spodziewał się jej zadziwienia. Ona patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

– No dobrze. Więc kiedy wyciągnęłaś mnie stąd wczoraj w nocy, żebyśmy pojechali uratować psa z rąk pijanego szaleńca, zostawiłem łóżko nieposłane. I kiedy dziś po południu walnąłem się na nie spać, było nadal niezasłane.

– Zatem?

– Kapa przewieszona przez poręcz, prześcieradło zmięte, poduszka na podłodze. Ale kiedy się obudziłem, łóżko jest już zasłane pode mną, jakby moja babcia ze snu rozejrzała się po tym mieszkaniu i sprzątnęła pokój po tym, jak przygotowała posłanie dla mnie jako niemowlęcia i matki.

– Mnie jako niemowlęcia?

– Daj spokój, Amy, chyba rozumiesz, co mówię do ciebie.

– Czy zdarzało ci się lunatykować?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Bo może sam pogrążony we śnie posłałeś swoje łóżko.

– Nie. To niemożliwe.

– Bardziej prawdopodobne wydaje ci się, że babcia wyszła ze snu i posłała ci łóżko.

Patrząc jej w oczy, przygryzał przez chwilę dolną wargę. W końcu się odezwał:

– Dlaczego taka jesteś?

– Nie jestem taka. Jestem praktyczna, rozsądna, zrównoważona, trzeźwo myśląca, bystra i inteligentna.

Wciągnął haust powietrza do płuc. Po czym je głośno wypuścił.

– No dobrze. Załóżmy w takim razie, że uwierzę w Antoine'a, ślepego psa, który prowadzi samochód?

– To nie pies jest ślepy.

Brian znów położył ręce na jej ramionach.

– Amy, tu nie chodzi tylko o łóżko. To także niesamowita wyrazistość snu, jasnego i bardzo szczegółowego, jakby wszystko działa się naprawdę, chodzi również o to, że zobaczyłem noc, w której się urodziłem. I to, w jaki sposób rysunki przepływały przeze mnie, spływały na ołówek i potem na papier. I te omamy – dźwięki, cienie – przy czym nie były to halucynacje. Amy, coś tu się dzieje.

Dotknęła jego twarzy, czując pod palcami twardy szczeciniasty zarost.

– Czy ty jadłeś coś dzisiaj?

– Nie, wypilem tylko red bulla. Nie jestem głodny.

– Kochanie, zrobię ci coś do jedzenia.

– Nie mam omamów wywołanych głodem, Amy. Gdybyś widziała oczy babci, jak mruga...

– Zrobię makaron. Masz jeszcze słoik tego znakomitego sosu pesto?

Brian pochylił się ku niej i zmrużył oczy. Mógłby przysiąc, że wolałaby odwrócić od niego wzrok, ale nie śmiała.

– Z tobą też się coś dzieje – powiedział. – Ty też masz swoją historię. Zauważyłem to już wcześniej. Co się dzieje?

– Nic.

– A jednak coś.

– Taki drobiazg.

– Jaki drobiazg?

– To jest związane z Nickie. Z tym, jaka ona jest.

– No więc jaka ona jest?

– Czujna. Mądra. Tajemnicza. Czasem patrzysz na psa i myślisz sobie: „To jest stara dusza”.

– Śmiało. Co jeszcze?

– Nic. Naprawdę. Może jeszcze tylko ta historia z kapciami w sypialni.

Zaczęła się bawić kameą zawieszoną na szyi. Kiedy zauważyła, że on zwrócił na to uwagę, opuściła rękę.

– Historia z kapciami? Opowiedz mi o tym.

– Nie mogę. Nie teraz. To zresztą może oznaczać cokolwiek.

– Teraz to ja jestem zaintrygowany – powiedział.

Spojrzał w stronę holu i zapytał:

– A gdzie się podziały pieski?

Kiedy odwracała się, by też spojrzeć w tę stronę, złapał ją za ramię.

– Czekaj. Obudzenie się na świeżo zasłanym łóżku to może nie jest nic wielkiego. Ale nie powiedziałem ci jeszcze najważniejszego.

– Może babcia zrobiła ci jeszcze pranie?

Poczuł, jak serce ucieka mu do pięt.

– To będzie dla mnie trudne. Słabo mi się robi, jak sobie pomyślę, że muszę ci o tym powiedzieć. To cudowne i jednocześnie straszne.

Wyraz jej oczu nagle się zmienił, patrzyła na niego ze spokojem i oddaniem, jakby wiedząc, że teraz on potrzebuje jej, jak nigdy przedtem, i że ona jest gotowa.

Pocałował ją w czoło, z ustami jeszcze przy jej brwiach powiedział:

– Kocham cię.

Ze spuszczoną głową, jakby miała wypowiedzieć słowa modlitwy, odpowiedziała:

– Ja też cię kocham.

Już kilka miesięcy temu doszli do tego punktu, ale dalej się nie posunęli. Uznał, że następnym krokiem, jaki zrobią, który i tak wydawał się straszliwie spóźniony, będzie fizyczne zbliżenie.

Nikt przed nią z takim wdziękiem nie kazał mu czekać.

Teraz sobie uświadomił, że następnym krokiem nie będzie i nie powinno być skonsumowanie ich związku. Wyznanie musi być tym następnym krokiem.

– Chodź tutaj – powiedział i zaprowadził ją do swojej pracowni.

Wszystkie psy już tam były, leżąc spokojnie jeden przy drugim, jak gdyby wiedziały – a przynajmniej jeden z nich wiedział – że w tym pokoju związek Amy i Briana poddany zostanie wielkiej próbie.

W jego pracowni znajdowały się dwa fotele na kółkach, na wypadek, gdyby któryś z jego pracowników miał tu przyjść, by coś wspólnie opracować. Przysunął oba fotele bliżej biurka.

Usiadł naprzeciwko niej, ich kolana się dotykały.

W pierwszym rzędzie widowni Ethel, Fred i Nickie śledziły ich – poważne i zadowolone.

Kiedy Brian wyciągnął przed siebie ręce, Amy natychmiast podała mu swoje dłonie, jakby dodając mu odwagi do wyznań.

– Jest coś, o czym już dawno powinienem był ci powiedzieć – zaczął.

Kiedy wahał się, nie poganiała go. Jej ręce spoczywające w jego dłoniach nie spoczęły się ani nie stały się zimne. Patrzyła na niego ze spokojem.

– Kiedy byłem młodszy, znacznie młodszy, miałem bzika na punkcie wielu rzeczy. Jedną z nich był seks. Uważałem, że to łatwa sprawa, coś w rodzaju sportu. O Boże, wiem, że to okropnie brzmi. Tuż po studiach wielu z nas tak lekko traktowało te sprawy. Uważałem, że życie już mnie niczego nie nauczy.

– Tymczasem uczy nas bez przerwy – powiedziała Amy.

– Tak. To jest niekończąca się lekcja. Tak więc miałem wiele kobiet. Zbyt wiele. Im zostawiałem troskę o środki ostrożności, tym bardziej że dla nich to też był rodzaj sportu, w każdym razie tak mi się wydawało. Myślałem, że nie będą ryzykowały ciąży. One też nie chciały ponosić konsekwencji. Ale jedna z nich była inna. Vanessa. Nie byliśmy długo ze sobą, ale ona nie przedsięwzięła żadnych środków ostrożności. Zostałem ojcem.

W ustach mu zaschło. Słowa więzły mu w ściśniętym gardle.

– Codziennie myślę o swojej córce. Budzę się w nocy i zastanawiam się, co z nią, czy jest szczęśliwa albo przynajmniej bezpieczna. Przy Vanessie... nie może być bezpieczna. Próbowałem ją odnaleźć. Ale bezskutecznie. Zawiodłem jako ojciec, jako mężczyzna, nie sprawdziłem się w fundamentalnych rolach.

– Żadne niepowodzenie nie musi trwać wiecznie.

– Ja czuję, że moje będzie trwać zawsze. Raz ją tylko widziałem i to krótko, kiedy była jeszcze niemowlęciem. Jak można kochać tak dziecko, skoro się je widziało raz w życiu?

– Ważne, że ty możesz. Ta zdolność jest w tobie.

– Ona cierpi na zespół Downa – powiedział. – Dla mnie była piękna, wyglądała jak aniołek. Wątpię, czy nawet wie o moim istnieniu. Bardzo chciałem ją zobaczyć, od dziesięciu lat usiłowałem się z nią skontaktować, lecz bezskutecznie. Ale teraz wszystko się zmieniło.

Amy ścisnęła jego rękę.

– Nie wszystko. Nadal jesteśmy razem, ja i ty.

Część druga

*Ciągnie mnie w mroczną głąb tej kniei,
Lecz woła trzeźwy świat nadziei*

Robert Frost
Przystając przed lasem w śnieżny wieczór

Kapa na łóżku jest wygładzona i obciągnięta, poduszki wzruszone. Na powierzchni żadnego mebla nie widać ani pyłku kurzu.

Piggy ma obowiązek utrzymywać pokój w czystości, od czasu do czasu jej matka przeprowadza pedantyczną inspekcję, a w przypadku uchybień grożą surowe kary.

Harrow podejrzewa, że Piggy utrzymywałaby pokój w nienagannym stanie, nawet gdyby nie było to jej obowiązkiem. Groźba kary fizycznej wcale nie gwarantuje utrzymania czystości.

Dziewczynka ujawnia potrzebę porządku, bezkolizyjnego trwania i tęsknotę za niezmiennością we wszystkim. Jest to szczególnie widoczne w sposobie, w jaki układa obrazki w swoich kolażach i klasycznych wzorach ozdób, które wyszywa na lalczynych sukienkach.

– Piggy, nie powinno się jeść samych kanapek – mówi Moongirl. – Ty możesz nie wiedzieć, na czym polega zbilansowana dieta, ale ja wiem. Zjedz teraz sałatkę ziemniaczaną.

– Dobrze – odpowiada Piggy, ale nie czyni żadnego ruchu w stronę plastikowego pojemnika.

W towarzystwie Moongirl dziewczynka rzadko unosi głowę, podobnie zresztą unika kontaktu wzrokowego. Wie, że matka wymaga od niej pokory i samoponizania.

Tak jak zamiłowanie do porządku, pokora Piggy jest jej cechą wrodzoną, a nie wyuczoną, by przypodobać się matce. Jest to cecha przypisana jej w tak naturalny sposób, jak ptakom upierzenie.

Nie godzi się jednak na samoponizanie. Ma w sobie jakąś spokojną godność, która została w niej mimo dziesięciu lat upokorzeń.

Przyjmuje pogardę, obraźliwe słowa, złośliwość, jaką matka ją częstuje, wszystkie afronty i dręczenie, ale nie dopuszcza samoupokarzania. Może być traktowana niegodziwie przez innych, sama jednak się nie poniza.

Harrow podejrzewa, że wrodzona godność dziewczynki, wolna od dumy, to jest to, co trzyma ją przy życiu. Jej matka zauważyła tę cechę i bardzo chce ją zniszczyć,

zanim zniszczy samo dziecko.

Moongirl chce, by ten akt złamania charakteru dziecka poprzedził jej unicestwienie, najpierw zniszczyć ducha, zanim odda ciało na pastwę płomieni.

Piggy otwiera najpierw większą torebkę prażonek ziemniaczanych, co jej matka komentuje słowami:

– Dlatego jesteś taka gruba.

Dziecko nie wzdraga się przed dalszym jedzeniem chipsów, ale też się nimi nie opycha, po prostu spokojnie, ze spuszczoną głową dalej je swój posiłek.

Z jeszcze większą zaciętością niż przedtem Moongirl odrywa dopiero co przyszyty rąbek lalczynej sukienki.

Piggy ma zabawki po to, by za karę mogły być jej odebrane. Jak zresztą wszystko, co ma.

Za każdym razem, kiedy Moongirl zauważa, że dziecko polubiło jakąś zabawkę bardziej od innych, przystępuje do interwencji. Tym razem uznała, że ulubioną lalką jest ta, którą Piggy właśnie się zajmowała.

Czasem dziecko płacze bezgłośnie. Nigdy nie zanosi się płaczem, nie szlocha. Drży jej wtedy dolna warga, a łzy spływają po policzkach. I to wszystko.

Harrow jest przekonany, że często, jeśli nie zawsze, jej łzy są wymuszone. Piggy wie, że matka chce, by ona płakała, gdyż karmi się łzami.

Tak w przenośni, jak i w rzeczywistości. Harrow nie widział, by Moongirl kiedykolwiek pocałowała córkę, ale dwa razy widział, jak zlizywała łzy z kącików jej oczu.

Gdyby Piggy od czasu do czasu nie nagradzała matki łzami, może by już nie żyła. Łzy są wskazówką dla Moongirl, że nadejdzie chwila, w której złamie Piggy, a tego właśnie chce najbardziej, dlatego jeszcze cierpliwie czeka.

Czasowo ujarzmiona i nagromadzona w niej przemoc jest jak siła rażenia skondensowana w broni nuklearnej. Ale kiedy wreszcie dojdzie do wybuchu, eksplozja będzie straszliwa.

Po oderwaniu większości ściągów Moongirl przystępuje do darcia samej sukienki. Bez użycia nożyczek, pomagając sobie zębami, z widoczną satysfakcją rozdziera każdy szew.

Może zaczęła podejrzewać, że nigdy nie odbierze córce godności. To by tłumaczyło, dlaczego postanowiła nazajutrz dokonać spalenia Piggy.

Mimo że Harrow jest człowiekiem, któremu nie brakuje wyobraźni, nie potrafi

przewidzieć, jakie okropności wymyśli dla swojej córki, zanim wyda ją na pastwę płomieni. Po dziesięciu latach nieugaszonego pragnienia popełnienia dzieciobójstwa, a potem ojcobójstwa Moongirl z pewnością urządzi niezapomniane przedstawienie z ostatnich godzin życia Piggy.

Przy biurku dziewczynka otwiera torebkę ciasteczek, znów ignorując sałatkę ziemniaczaną. Instynktownie wyczuwa, w którym miejscu matka zastawiła na nią pułapkę.

Moongirl trzyma teraz w rękach nagą lalkę, której kończyny mają przeguby, co pozwala ustawiać je niemal w każdej pozycji. Ale gdy zgina staw łokciowy do tyłu, odgryza przedramię lalki.

– Tłusty ryjek chrupie ciasteczka – mówi.

Okrucieństwo Moongirl podnieca Harrowa.

– Piggy przy korycie.

Jedyne, co Harrow jest w stanie podziwiać, to władza. Tylko ona dla niego się liczy, to i przemoc – psychiczna, fizyczna, werbalna, bo są to najczystsze formy władzy. Absolutna przemoc to władza absolutna.

Kiedy tak patrzy na Moongirl, bierze go nieprzeparta chęć, by zaciągnąć ją natychmiast do ich sypialni pozbawionej okien, pogrążyć się z nią w otchłani ciemności, gdzie mogliby robić to, co im dyktuje natura, i pozostać takimi, aż wchłonie ich jądro nocy.

Popołudniowe światło było jakby trochę niedowarzone.

Stojąc w oknie swojej pracowni, Brian powiedział:

– Robiła wrażenie wolnego ducha; śmiała, kanciasta, a przy tym zabawna. Po jakimś czasie spostrzegłem, że z nią jest coś nie w porządku.

Amy dostała do wglądu próbki jej e-maili. Wiele się tego uzbierało przez dziesięć lat, ale jej wystarczyło przejrzeć kilka, by zorientować się w ich charakterze.

– Chciałem z nią skończyć, ale ona miała w sobie jakiś magnetyzm. – Z niesmakiem powtórzył: – Magnetyzm. Rzeczywiście. Była namiętna, całkowicie owładnięta pożądaniem, a ja, choć wiedziałem, że jest niezrównoważona, byłem słaby. Taka jest niemila prawda.

Kiedy zaczął swoje wyznania, zwrócony był twarzą do Amy. Ale nawet po dziesięciu latach odczuwał tak wielki wstyd, że wołał adresować wyznania do okna.

Początkowo chciała stanąć tuż za nim, objąć go w pasie, by dać mu do zrozumienia, że między nimi nic się nie zmieniło, ale on może musiał poczuć obrzydzenie do siebie, by móc oczyścić się, wyznając tę tajemnicę, Amy zaś domyślała się, że okazywanie mu uczucia właśnie w tej chwili mogłoby osłabić jego determinację. Na tyle mu ufała, by wiedzieć, iż on sam uzna, kiedy może już spojrzeć jej prosto w oczy.

Fred i Ethel zapadły w sen zwrócone do siebie grzbietami niczym podpórki do książek, wspierające zamiast książek siebie.

– Nigdy nie podejrzewałem, że ona może chcieć mieć dziecko – powiedział Brian. – Ze wszystkich znanych mi wówczas kobiet ona byłaby ostatnią, którą bym posądzał o ciążoty do macierzyństwa.

Skoro Amy miała go nie dotykać, dla pewności stanęła przed drugim oknem, by dzielić z nim widok przedwieczornego słońca, w świetle którego on zrzucał z siebie ciężar.

– Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, zareagowała bardzo nieładnie, choć inaczej, niż można by się spodziewać. Powiedziała, że chce mieć moje dziecko,

potrzebuje go, ale że nie chce mnie więcej widzieć.

– Nie ma przepisów, które dawałyby ci prawa do dziecka, mimo że nie była twoją żoną?

– Próbowałem się z nią porozumieć na ten temat, ale ona wolała mówić mi tylko, że jestem nieudacznikiem, jakiego świat nie widział.

– Skoro tak o tobie myślała, to dlaczego chciała mieć z tobą dziecko?

– Też tego nie rozumiałem. Stała się taka złośliwa. Okazywała mi pogardę, obrzydzenie. Krytykowała we mnie wszystko, mój sposób ubierania się, gust muzyczny, lektury, perspektywy materialne, dosłownie wszystko. Niektóre jej zarzuty były słuszne, ale inne nie. Musiałem od niej odejść.

Zachodzące słońce ujawniło zawile wzory ażurowych obłoków. Wzniosłość światła i nieba pozostawała w kontraście do historii, którą miał do opowiedzenia.

– Myślałem, że zadzwoni do mnie. Ale milczała. Mogłem sobie powiedzieć, że w ten sposób łatwo się jej pozbywam i teraz to nie moje zmartwienie. Ale niektóre jej zarzuty miały w sobie ziarno prawdy. Już nie lubiłem swojego odbicia. Myślałem za to bez przerwy o moim dziecku, które ona nosiła.

Bez względu na to, co można by mu wtedy zarzucić, w końcu okazał się porządnym człowiekiem. Może kiedyś chciałby to od niej usłyszeć, ale nie teraz.

– Potrzebowałem jednego miesiąca, by sobie uświadomić, że jeśli nie będę miał tego dziecka, to moje życie nigdy nie stanie się pełne. Będzie zwichnięte, i to coraz bardziej, z każdym rokiem. Zadzwoniłem więc do Vanessy. Okazało się, że zmieniła numer telefonu. Poszedłem do niej do domu. Wyprowadziła się stamtąd. Nie zostawiła nowego adresu.

Amy przypomniała sobie, jak Brian mówił, że raz widział dziecko.

– Ale w końcu ją odnalazłeś – odpowiedziała.

– Przez trzy miesiące szukałem jej przez wspólnych znajomych. Już się z nimi nie widywała. Zatrzasnęła za sobą wszystkie drzwi. W końcu zdobyłem pieniądze na prywatnego detektywa. Nawet on miał trudności z wytropieniem jej.

Teraz zachodzące słońce zabarwiało powietrze na kolor dojrzałszej whisky niż przedtem, niebo zaś zaczynało też nabierać stopniowo tej barwy.

– Miała ogromny i drogi apartament wychodzący na Newport Harbor. Płacił za niego bogaty deweloper, niejaki Parker Hisscus.

– To tutaj znane nazwisko.

– Była w szóstym miesiącu ciąży, kiedy złożyłem jej wizytę. Dała mi pięć minut,

żebym mógł zobaczyć, w jakich teraz żyje warunkach. Potem kazała służącej mnie wyprowadzić. Następnego dnia odwiedził mnie przyjaciel Hisscusa.

– Taki był przebojowy?

– To nie był mięśniak. Chłop nieprzyjemny, ale zachowywał się grzecznie. Poinformował mnie, że Hisscus ożeni się z tą panią po narodzinach ich dziecka.

– Skoro miało to być ich dziecko, w takim razie po co ta zwłoka?

– Też się nad tym zastanawiałem. Poza tym człowiek zaproponował mi zlecenie: zaprojektować dom celny dla jednego z jego przyjaciół.

– Gdyby to było jego dziecko, nie próbowałby cię przekupić.

– Nie przyjąłem zamówienia. Poszedłem do prawnika. Jednego, drugiego. Obaj mówili to samo. Skoro Vanessa i Hisscus zgodnie twierdzili, że to on jest ojcem, nie miałem prawa domagać się badań DNA.

W głosie Briana dotąd pobrzmiwały nuty tajonego gniewu oraz wstydu za siebie, ale teraz Amy usłyszała także tłumiony żal.

– Nadal próbowałem znaleźć jakiś sposób, aż wreszcie któregoś wieczoru sama przyszła do mnie z niemowlęciem najwyżej dwutygodniowym, przedwcześnie urodzonym. Powiedziała...

Przez chwilę nie mogłem wydusić z siebie słów, z jakimi Vanessa zwróciła się do niego.

Potem jednak odezwał się:

– Powiedziała: „Patrz, co mi zmaistrowałeś. Głuptaka. I ten głuptak wszystko spieprzył”.

– Więc to był koniec z nią i Hisscusem.

– Nigdy nie zrozumiałem, co to był za układ. W każdym razie nastąpiło zerwanie, dziecko nie było jego i on ją wyrzucił. Chciała ode mnie pieniędzy za to dziecko. Pokazałem jej swoją książeczkę czekową, stan swoich oszczędności. Nie byłem wcale lepszy od niej, zrobiłem jej dziecko, po czym zaakceptowałem sytuację, w której to dziecko zostało wystawione na sprzedaż.

– Nieprawda – zaproponowała Amy. – Chciałeś tego dziecka.

– Do rana nie zdołałem zebrać pieniędzy, jakich ode mnie żądała, a ona nie chciała zostawić mi dziecka. Była strasznie zawzięta. Oczy jej pociemniały, więcej w nich było czarnej otchłani niż zieleni. Chciałem zabrać jej dziecko, ale obawiałem się, że jeśli spróbuję, ona może je zabić, roztrzaskać mu główkę. Potrzebowała pieniędzy, więc myślałem, że wróci po nie wraz z dzieckiem.

– Ale nie wróciła.

– Nie. Nigdy. Niech mi Bóg wybaczy, ze strachu pozwoliłem jej wtedy odejść i zabrać dziecko.

– I od tej pory ona cię dręczy.

Pomarańczowa poświata zachodzącego słońca rozlała się szerszym łukiem po niebie.

– Nie można poszukiwać nikogo, idąc tropem adresu e-mailowego, jeżeli nie jest to sprawa wagi państwowej ani taka, w której dochodzenie prowadzi FBI. Nie mogę też dowieść, że jestem ojcem dziewczynki. Vanessa jest bardzo ostrożna w tym, co do mnie pisze.

– A prywatne dochodzenie nie wchodzi w rachubę?

– Nie. Ona mieszka w miejscu, którego nie ma na mapie, niewykluczone, że zmieniła nazwisko, numer ubezpieczenia, wszystko. Tak czy inaczej, nieważne, co ona mi zrobiła. Ważne, co zrobiła z moją córką? Co zrobiła Hope?

Intuicyjnie Amy odgadła sens ostatniego pytania.

– Hope, tak ją nazwałś?

– Tak.

– Cokolwiek Vanessa uczyniła – powiedziała Amy – istotne jest teraz to, że obecnie masz szansę wszystko naprawić.

Więc to była ta ważna sprawa, o której wcześniej napomknął, ważniejsza niż rysunki oczu Nickie, ważniejsza niż omamy słuchowe i tajemnicze cienie, jakie widział kątem oka, ważniejsza niż sen i obudzenie się na świeżo zasłanym pod nim łóżkiem. Po dziesięciu latach bowiem ma szansę odzyskać córkę.

Amy przeczytała jego odpowiedź na e-maila Vanessy, w którym on nie dał się zmanipulować ani wciągnąć w kłótnię. *Jestem w twoich rękach, zdany na twoją łaskę i niełaskę. Nie mam nad tobą żadnej władzy, a ty nade mną masz władzę nieograniczoną. Jeśli kiedyś mi dasz to, na czym mi zależy, to dlatego, że uznasz, iż bardziej ci się opłaci ustąpić, a nie dlatego że zasłużyłem na to albo w jakiś sposób zapracowałem.*

Obudziwszy się ze snu o tornado w Kansas, Brian znalazł odpowiedź Vanessy. Teraz, stojąc przy oknie, trzymał w ręce jej list.

Nadał chcesz tego prosiaka? Wpieprzasz mnie, ty, w tym swoim przytulnym świątku, gdzie masz wszystko ułożone i nigdy nie musiałeś niczego poświęcać. I teraz chcesz brać sobie na kark tego potworka? W porządku. Ja jestem gotowa. Ale

coś za coś. Poczekaj, aż się dowiesz.

Światło zmieniło się na tyle, że odbicie twarzy Amy na szybie stało się widoczne.

Teraz, kiedy tajemnica została wyjawiona, a i jego odbicie malowało się na szybie, Brian odwrócił się do Amy i spojrzał jej prosto w oczy.

Podeszła do okna, przy którym stał, i ujęła go za rękę.

Powiedział:

– Ona zechce zabrać mi wszystko, co mam, oskubie mnie do ostatniego grosza.

Uśmiechając się do niego, powtórzyła raz jeszcze to, co powiedziała mu przedtem, choć w innym kontekście.

– Nie wszystko. Mamy przecież siebie.

Oderwane ręce i nogi, bezgłowy tors, wydłubane oczy lalki leżą na stole, starannie tam poukładane przez Moongirl.

Piggy zauważyła kilkakrotnie dzieło niszczenia dokonywane przez matkę, teraz jednak udaje, że nie widzi tych szczątków.

Harrow podejrzewa, że tym razem Piggy przechytrzyła matkę. Zamiast ubrać swą najulubieńszą lalkę w najbardziej ozdobny strój, ona wystroiła najmniej lubianą lalkę.

Niewielka satysfakcja, ale to dziecko nie może liczyć na większe.

Gdyby Moongirl dowiedziała się, że córka ją oszukała, Piggy słono by za to zapłaciła. Nawet teraz Harrow widzi, jak Moongirl stara się ukryć swoją wściekłość na to, że Piggy obojętnie przyjmuje rozkawałkowanie lalki.

Umysł Moongirl, podobnie jak Harrowa, ma sprawność bezdusznej, ale bezbłędnie funkcjonującej maszyny, jej ciało też przypomina idealny mechanizm, uczuć swoich jednak nie kontroluje, choć udaje, że nad nimi panuje, podczas gdy Harrow rozumie swoje emocje i potrafi nad nimi panować.

Jej emocje ograniczają się do złości, nienawiści, chciwości, pożądania i samouwielbienia. Harrow nie jest pewien, czy ona zdaje sobie z tego sprawę, czy też jest przekonana, że niczego jej nie brakuje.

Kiedy nie może sprawować nad sobą pełnej kontroli, uważa, że powinna tłumić emocje. Ale im dłużej powściąga swą złość i nienawiść albo wyraża je tylko częściowo, tym bardziej jadowita staje się taka mieszanka, jakiej żadna czarownica nie potrafiłaby uwarzyć.

Usiadła przy biurku i przygląda się córce. Mimo że jej długo powstrzymywana nienawiść stała się już śmiertelną trucizną, jeszcze nie zada ostatecznego ciosu. Zaczeka jeszcze jedną noc i następny dzień, kiedy to – wreszcie – zada śmierć kilku osobom, o czym od dawna marzy.

– Piggy, specjalnie dla ciebie kupiłam sałatkę ziemniaczaną.

Ostre promienie słońca, które dotychczas wnikwały w szpary w okiennicach, z klarownych i złotych stały się mętne i pomarańczowe. Pociemniał wazon z rżniętego szkła. Złotawa aura rysująca się nad głową Piggy zniknęła z sufitu.

Pomarańczowa poświata ledwo muska teraz powierzchnię mebli, chwilami sięgając ozdobnej poduszki i obrazu z morskim pejzażem.

Za sprawą tajemniczego mechanizmu rządzącego odbitym światłem świetlne chochliki pojawiają się to tu, to tam, w najbardziej nieoczekiwanych zakątkach mrocznego pokoju, w kryształowych paciorkach zdobiących abażur lampy ustawionej przy łóżku dziewczynki, w szklanych pokrętlach odległej szafy...

– Piggy– Okay.

– Sałatka ziemniaczana.

– Okay.

– Czekam.

– Zjadłam dwa ciasteczka.

– Ciasteczka to nie wszystko.

– I kanapkę.

– Dlaczego taka jesteś dla mnie?

Piggy nie odpowiada.

– Jesteś niewdzięczna.

– Jestem najedzona.

– Czy wiesz, co znaczy „niewdzięczna”?

– Nie.

– Niewiele wiesz, prawda?

Piggy kręci głową.

– Zjedz sałatkę ziemniaczaną.

– Okay.

– Kiedy?

– Później – odpowiada Piggy.

– Nie. Zjedz teraz.

– Okay.

– Nie mów „okay”, tylko zjedz.

Dziecko nie odpowiada, ale też nie sięga po sałatkę. Brylanty na szyi i na przegubie ręki są ciemne mimo światła rzucanego przez lampę. Moongirl podnosi się z krzesła, chwyta pojemnik i rzuca nim o ścianę.

Pojemnik otwiera się pod wpływem uderzenia, a jego zawartość ląduje na podłodze, sięgając przedtem sufitu.

W oczach Piggy pojawiają się łzy, a policzki natychmiast stają się mokre.

– Sprzątnij to.

– Okay.

Moongirl łapie jeszcze szczątki lalki i ciska nimi o ścianę. Chwyta też otwartą torebkę herbatników i wysypuje je na podłogę.

– To też sprzątnij.

– Okay.

– Co do okruszka.

– Okay.

– I daj spokój łzom, ty tłuściocho i oszukanico.

Moongirl odwraca się i opuszcza pokój z godnością, niewątpliwie z zamiarem spędzenia następnych dwóch godzin na zabiegach pielęgnacyjnych z użyciem rozlicznych toników i emulsji nawilżających i zmiękczejących, co niemal zawsze poprawia jej nastrój.

Przysiadłszy na poręczy fotela, Harrow przygląda się dziewczynce. Mimo że prosta i nieskomplikowana, ma w sobie coś tajemniczego, co go intryguje i co wydaje się głębsze niż tajemnica szaleństwa jej matki.

Przez chwilę Piggy siedzi nieporuszona.

Łzy wyparowują z jej policzków błyskawicznie niczym alkohol, a oczy zadziwiająco szybko stają się znowu suche.

Otwiera drugą torebkę z chipsami i zaczyna je zjadać. Jeden po drugim. Wkrótce torebka jest pusta.

Wyciera palce w papierową serwetkę, odsuwa tacę i bierze do rąk lalkę, którą się zajmowała, kiedy Harrow z jej matką weszli do pokoju. Trzyma ją tylko w ręce i przygląda się jej buzi.

Wtedy przychodzi mu do głowy dziwna myśl, mianowicie, że Piggy, prosta i nieskomplikowana Piggy, jest jedyną znaną mu osobą, która jest tym, na kogo wygląda, i przez to sprawia wrażenie tajemniczej.

Nieoczekiwanie dopatruje się w niej czegoś, co przenika jej rysy, co niedawno odkrył, cechę, która nie oznacza piękna, ale coś zbliżonego do piękna. Nadal nie znajduje słów, które by określiły tę cechę.

Na zewnątrz dogorywający dzień emanuje krwistą lunę, która nie ma dość siły,

by się precyzyjnie przesuwać przez szpary w okiennicach. Pokój oświetla teraz jedynie lampa na biurku.

Tylko świetlne chochliki jeszcze trwają na kryształowych paciorkach abażuru w najciemniejszym kącie, w szklanych uchwytach szafy z dala od biurka, w złotych listkach zdobiących ramę obrazu, w szybie okiennej, która ustawiona jest pod takim kątem, że nie odbija światła lampy.

Harrow ma dziwne uczucie, że poza nim i dzieckiem w pokoju znajduje się ktoś jeszcze. Oczywiście nikogo poza nimi tam nie ma.

Dopóki on tam siedzi i ją obserwuje, Piggy nie zabiera się do sprzątanego bałaganu, jaki narobiła jej matka. Takie ponizające czynności może wykonać, gdy nikt na nią nie patrzy.

On podnosi się z poręczy fotela, przez chwilę ją jeszcze obserwuje, idzie do drzwi, odwraca się i raz jeszcze na nią patrzy.

Rzadko odzywa się do dziecka. A ona jeszcze rzadziej.

Nieoczekiwanie wyraz jej twarzy doprowadza go do takiej wściekłości, że gdyby nie był człowiekiem panującym nad swoimi emocjami, walnąłby ją pięścią z całej siły.

Nie patrząc na niego, Piggy mówi mu „do widzenia”, ale on jest już za progiem i zamyka drzwi.

– Upieczesz się jak prosiak na rożnie – mruczy do siebie, zasuważąc zasuwkę, i czerwieni się, bo takie gówniarskie odgrążanie się godne jest Moongirl, ale nie jego.

Mężczyzna, który dla Vemona Lesleya był Eliotem Rosewaterem, występował jako Billy Pilgrim przed towarzyszem, który pilotował dla niego dwusilnikowy samolot, jakim przylecieli do opuszczonej bazy wojskowej w Mojave.

Pilot, który nieraz pracował dla Billy'ego, twierdził, że nazywa się Gunther Schloss, czyli Gunny dla przyjaciół. Billy uważał, że Gunther Schloss brzmiało dość prawdopodobnie, jako imię i nazwisko przypisane mu od urodzenia, jednak za jego prawdziwość nie dałby złamanego grosza.

Gunny wyglądał tak, jak prawdziwy Gunther Schloss powinien wyglądać: wysoki, ze szczupłym karkiem, muskularny, z jasnymi, prawie białymi włosami, niebieskooki, o rysach twarzy, która mogłaby zdobić okładkę miesięcznika „Biały Rasista”.

Tymczasem ożeniony był z uroczą czarną kobietą w Kostaryce oraz z wdzięczną Chinceczką w San Francisco. Nie był faszystą, tylko anarchistą, zdarzyło mu się też, że kiedyś podczas jednego zadziwiającego tygodnia w Hawanie wypalił z Fidelem Castro mnóstwo gandzi. Gunny Schloss, wynajęty przez kogoś, kto z jakichś powodów nie chciał zabijać osobiście, był gotów zabić każdego, ale zawsze, kiedy oglądał *Stalowe magnolie*, co zdarzało się mniej więcej raz na rok, zalewał się łzami.

Po tym, jak Gunny zabił Bobby'ego Onionsa i Vemona Lesleya, obaj z Billym pozabawili ciała wszelkich śladów, które by mogły pomóc je zidentyfikować, po czym zaciągnęli na skrzyżowanie dwóch asfaltówek, które kiedyś służyły mieszkańcom porzuconych teraz blaszanych baraków, tam odgrzebali zarośniętą zielskiem pokrywą dawno nieużywanego szamba i wrzucili do niego oba trupy.

Nawet na pustyni czasem pada deszcz, i ścieki zbierające się na bocznych drogach tam właśnie były odprowadzane, śmierdziało więc w tym miejscu wcale nie mniej, niż gdyby studzienkę otworzyć dwadzieścia lat wcześniej, kiedy obiekt oddano do użytku. I do tej śmierdzącej otchłani, której zawartości lepiej się nie domyślać, wpadły z pluskiem oba ciała.

Billy usłyszał jakieś zamieszanie, powstałe po otwarciu pokrywy i po wrzuceniu

zwłok do środka; może to były szczury, może jaszczurki, a może pustynne chrząszcze, wielkie jak talerze.

Gdyby był młodszy, pewnie poświeciłby tam latarką, by zaspokoić swoją ciekawość. Teraz jednak był na tyle dojrzały, by wiedzieć, że za ciekawość można dostać kulkę w łeb.

Uwinęli się szybko z tą robotą, a kiedy zakryli właz pokrywą, Gunny powiedział:

– Do zobaczenia w Santa Barbara.

– Ładne miejsce. Lubię Santa Barbara – powiedział Billy. – Mam nadzieję, że nie zostanie kiedyś wysadzone w powietrze.

– Zostanie – zapewnił go Gunny nie dlatego, by coś wiedział o przygotowaniach do takiej akcji, ale dlatego, że był anarchistą i miał nadzieję, że to nastąpi.

Gunny odleciał dwusilnikową cessną, a Billy obszedł jeszcze najbliższą okolicę, zacierając butami ślady zrobione przez obcasy wleczonych martwych mężczyzn i zbierając łuski naboju, które dostrzegł w świetle zachodzącego słońca, i upewniając się, że zdołali zebrać wszystkie kawałki czaszki Bobby'ego Onionsa.

Kiedy ta kobieta zniknie, nikt nie będzie jej szukał, jeżeli pozostanie niejaką Redwing, mieszkającą w skromnym bungalowie i zajmującą się wyłącznie ratowaniem psów.

Co tydzień tylu ludzi znikало w tajemniczych lub zgoła groteskowych okolicznościach, że nie obejmowały tego nawet stacje telewizyjne zajmujące się wyłącznie zagadkami kryminalnymi i spragnione szokujących sensacji. Niektóre przypadki śmierci były ważniejsze od innych. Nie dostanie się najwyższych ocen ani reklam w najlepszym czasie antenowym, jeśli się wyznaje filozofię, że śmierć wróbelka jest tak samo ważna jak każda inna śmierć.

Nie pytaj, komu bije dzwon. Bije on ładnej ciężarnej dwudziestoparolatce, którą własny mąż pokroił na dwanaście kawałków, zapakuje do szafki, obciąży betonowymi kłocami i zrzuci z mostu do rzeki. Dzwon bije bez przerwy, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu i jedyny sposób, by przestać go słyszeć, to przełączyć się na Animal Planet.

Zniknięcie Amy Redwing nie zajmie ani sekundy czasu antenowego, o ile nikt się nie dowie, że była jeszcze kimś innym niż tylko Amy Redwing. A ponieważ Vemon Lesley wykonał dobrą robotę i odnalazł przechowywane przez nią dowody jej przeszłego życia, przez co wiedział zbyt wiele, musiał umrzeć.

Może Lesley nie podzielił się swoim odkryciem z Bobbym Onionsem, ale Billy

Pilgrim nie zamierzał podejmować ryzyka, że okaże się, iż Bobby nie był taki beznadziejny, na jakiego wyglądał. Poza tym z chwilą, w której Onions wyszedł z land-rovera z tym swoim szyderczym uśmiechem w stylu Jamesa Deana i jego nonszalanckim chodem, Billy zapragnął zabić go po prostu dla zasady.

Po sprawdzeniu terenu, czy nie zostały jakieś ślady strzelaniny, Billy wrzucił dokumenty obu zabitych do białej torebki na śmiecie, do której Vemon Lesley przedtem zapakował wszystkie papiery, jakie znalazł w bungalowie tej kobiety. Położywszy torbę na siedzeniu pasażera, Billy wyjechał z pustyni land-roverem i skierował się na zachód.

Zapanował zmierzch niczym wielkie hollywoodzkie widowisko, nasycone kolorami – złotym, brzoskwiowym, pomarańczowym, który z kolei przeszedł w czerwony, a potem fioletowy – ozdobione chmurami, które przybierały fantastyczne kształty, rozpalone na tle jaskrawoniebieskiego nieba, połyskującego szafirowymi refleksami; podczas takiego zmierzchu można by pomyśleć, że kończący się w ten sposób dzień musiał być ważny i coś znaczył.

Billy miał przed sobą pracowitą noc. Powiadają, że niegodziwi nie zaznają spokoju. W rzeczywistości jednak nie ma spokoju zarówno dla niegodziwych, jak i dla sprawiedliwych, ani dla facetów takich jak Billy Pilgrim, którzy nie zaliczali się ani do jednych, ani do drugich, jeśli patrzeć na to z punktu widzenia sprawiedliwych i niegodziwych, a którzy po prostu usiłowali robić to, co do nich należy.

Zdarza ci się coś niezwykłego – sądząc po dowodach, raczej coś nadzwyczaj naturalnego – ale w tej samej chwili przeszłość brutalnie wraca, każąc ci czynić bolesne wyznania i to przed osobą, na której opinii zależy ci najbardziej ze wszystkich, przy czym jak gdyby nigdy nic nadal musisz nakarmić psy i wyprowadzić je po raz ostatni tego dnia.

Kiedy Amy pojawiła się w jego życiu, przyprowadzając ze sobą gromadę psów, powiedziała, że te psy działają uspokajająco, sprawiają, że człowiek potrafi się skoncentrować, oraz uczą, jak sobie dawać radę. Pomyślał wówczas, że ona ma lekkiego hyzia na punkcie golden retrieverów. Ale wkrótce się przekonał, że to, co mówiła, było najczystsza prawdą.

W swojej spiżarni trzymał karmę dla psów i trochę łakoci dla nich na te okazje, kiedy Amy przychodziła do niego na kolację lub by razem obejrzeć film na DVD.

Po nakarmieniu psiej trójki, kiedy zapadał już zmierzch, wyszli wyprowadzić je do pobliskiego parku.

– Jeśli moje rachuby okażą się realne i Vanessa rzeczywiście odda mi Hope – powiedział – zrozumiem, jak w pewnym momencie uznasz, że to za wiele.

– Za wiele czego?

– Niektórzy ludzie z zespołem Downa są bardzo sprawni, ale inni nie. Jest tego pewna skala.

– Niektórzy architekci są bardzo sprawni, inni bardziej ograniczeni, ja jednak jestem przy tobie.

– Chcę przez to powiedzieć, że to wiele zmienia i że to wielka odpowiedzialność.

– Niektórzy architekci są bardzo sprawni – powtórzyła – a inni bardziej ograniczeni, ja jednak jestem przy tobie.

– Amy, mówię poważnie. Poza niepełnosprawnością Hope, nie wiemy, przez co to dziecko przeszło. Mogą wystąpić u niej również psychologiczne problemy.

– Postaw koło siebie parę osób – odpowiedziała na to – a u każdej z nich

wystąpią problemy psychologiczne. Więc po prostu przybędzie nam jeszcze jedna osoba, z którą będziemy mieli do czynienia.

– Jest jeszcze Vanessa. Może zdręczanie mnie już jej się znudziło, a może po prostu chce dostać ode mnie pieniądze, zostawić mi dziewczynkę i zapomnieć o naszym istnieniu. Ale może wcale nie pójdzie tak gładko.

– Vanessą się nie przejmuję. Mogę się z nią zmierzyć.

– Jeśli Vanessa zechce wkroczyć w nasze życie, postawa Holly Golightly na nią nie zadziała.

– Holly Golightly, ta ze *Śniadania u Tiffany'ego*?

– A jest jakaś Holly Golightly w *Samotni*? Bo nie wiedziałem.

– Posłuchaj, bezimienny narratorze, ja nie reprezentuję postawy Holly Golightly. Bardziej przypominam Katharine Hepburn w jakimkolwiek filmie z Carym Grantem.

– Bezimienny narratorze?

– *Śniadanie u Tiffany'ego* opowiadane jest w pierwszej osobie przez faceta, który się w niej kocha, ale którego imienia nie poznajemy do końca.

Szli w milczeniu, prowadzeni przez psy, aż wreszcie Brian odezwał się pierwszy:

– Jestem w tobie zakochany.

– Powiedziałeś mi to już w domu. I ja też to powiedziałam. Przedtem też sobie wyznaliśmy to samo. Chyba nie musimy sobie tego powtarzać co pięć minut, prawda?

– Mogę tego słuchać nawet co pięć minut.

– Psy wiedzą, czy się je kocha – odpowiedziała. – Nie oczekują, by im się to ciągle mówiło. Ludzie powinni bardziej upodabniać się do psów.

– Ale jeszcze żaden pies nie poprosił cię, żebyś za niego wyszła.

– Kochanie, masz w sobie tyle cierpliwości. Ale chodzi o to, że... Mam pewną rolę do spełnienia. Pracuję nad tym. Nie chcę być dla ciebie wredna, chociaż wiem, że nieraz może się tak wydawać.

– Nigdy mi się tak nie wydaje. Dla mnie jesteś najlepsza. Chociażby to, jak odniosłaś się do historii z Vanessą. Amy, jesteś cudowna. Ale... bezimienny narrator nigdy nie dostał Holly Golightly.

– W filmie zostają ze sobą.

– Film był przyjemny, ale mało realistyczny. Książka była prawdziwa. W książce ona wyjeżdża do Brazylii.

– Nie wybieram się do Brazylii. Nie lubię samby. W każdym razie ty nie jesteś

beziemiennym narratorem. Jesteś fajniejszy od niego.

Latarnie uliczne rozbłysły, gdy ostatnie krople czerwonego wina rozlanego po wieczornym niebie wsiąkły w noc.

Biegając po alejce od ławki do ławki, od latami do latami, po trawniku i z powrotem, psy cieszyły się spacerem po parku tak, jak to tylko one potrafią, rozpoznając nosem przekazy zostawione przez armie innych psów, które przedtem odwiedziły to miejsce, ożywiając się na zapachy wiewiórek zostawione na drzewach, ptaków na wyższych gałęziach oraz rozpoznając inne historie, które przynosi wiatr z odległych stron.

– Przedtem, kiedy wykonywałem te wszystkie rysunki, czułem, wiedziałem, że Hope i Nickie są ze sobą nierozzerwalnie związane, że bez Nickie nie dostanę Hope. Dzieje się coś bardzo dziwnego... A przy tym Nickie zachowuje się jak najzwyklejszy pies.

– Przeważnie tak – zgodziła się Amy.

W prawej ręce trzymała smycz Ethel i Freda, lewą zaś, zapewne nieświadomie, dotykała zawieszanej na szyi kamei.

– Opowiesz mi o tej historii z kapciami w sypialni? – zapytał Brian.

– Ale ona nic nie znaczy. Naprawdę. W każdym razie nie znajdziesz w niej sensu, skoro nie znasz wcześniejszej historii.

– Więc opowiedz mi tę wcześniejszą historię.

– Kochanie, to nie tylko wcześniejsza historia, to strasznie długa historia. Nie mamy dość czasu, by się w nią zagłębiać. W ostatnim e-mailu Vanessa napisała: „czekaj”. Powinniśmy sprawdzić, czy nie przysłała następnej wiadomości, kiedy nas nie było w domu.

Kiedy wrócili do jego mieszkania, wiadomość od Vanessy już na nich czekała.

Nadbrzeża i koryta wielu rzek w południowej Kalifornii są wybetonowane nie dlatego, by mieszkańcy uważali, że to ładniej wygląda niż muł porośnięty chwastami, ale by nie dopuścić do zmiany biegu nurtu rzeki i zapobiec powodziom. Poza tym, zamiast pozwolić, by miliony hektolitrów wody wlewały się do morza i tam przepadały, ujarzmione w odwróconym biegu podziemnych nurtów utrzymywały wyrównany poziom wód podskórnych i mogły być wykorzystywane w okresach suszy.

Pora deszczowa następowała zazwyczaj nie wcześniej niż w grudniu. Teraz, we wrześniu, koryto rzeki było suche.

W świetle księżyca miało się wrażenie, że kanał jest oświetlany bynajmniej nie płynącą z góry poświatą księżycową, ale że jego betonowe dno połyskuje radioaktywnym blaskiem.

Wyschniętym korytem rzeki, szerokim na dwa metry, Billy Pilgrim posuwał się w land-roverze ze zgaszonymi reflektorami, który należał przedtem do Bobby'ego Onionsa.

Nad nim, sześć metrów wyżej, ogrodzenie z łańcuchami broniło zejścia na dno rzeki. Za ogrodzeniem, niewidoczne z dołu, rozciągały się miejskie zabudowania z centrami handlowymi, strefą przemysłową i osiedlami mieszkalnymi, gdzie tysiące ludzi wiodło życie godne mitu o amerykańskim śnie, całkiem odmienne od drogi, jaką wybrał Billy.

Billy zajmował się nielegalnym handlem narkotykami, nielegalnym handlem bronią, nielegalnym handlem ludzkimi organami oraz sprzedażą obuwia.

Kiedy skończył szkołę, przez sześć miesięcy sprzedawał buty, zamierzając wieść życie w romantycznym ubóstwie, mieszkać na poddaszu i pisać tam znakomite powieści. Dość szybko doszedł do wniosku, że oglądanie ludzkich stóp nie sprzyja pisarskiej weni, wziął się więc za handel marihuaną, do tego wkrótce doszła ekstaza, a zaraz potem franszyza kokainy.

Od początku postanowił powstrzymać się przed braniem kokainy. Lubił swój umysł taki, jaki był. Poza tym na wypadek, gdyby miał napisać wielkie dzieła,

potrzebował każdej swojej szarej komórki.

Handel narkotykami wiódł prostą drogą do handlu bronią, tak samo jak sprzedaż butów wiedzie do otwarcia sklepu z obuwem. Mimo że sam sobie zabronił próbowania narkotyków, z bronią było trochę inaczej – nie używał broni, która mu się nie podobała.

Jeszcze nie użył żadnego organu, jakimi handlował, ale gdyby tak się zdarzyło, że potrzebowałby nerki, wątroby czy serca, wiedział, gdzie ich szukać.

Ani się obejrzał, kiedy miał już na karku pięćdziesiątkę. Mówi się, że jak człowiek się dobrze bawi, to czas leci jak szalony, a Billy lubił dobrą zabawę jak mało kto.

Jego upodobanie do zabawy tłumaczy, dlaczego porzucił myśl o napisaniu znaczącej powieści. Pisanie niewiele miało wspólnego z zabawą.

Ale czytanie, owszem. Przez całe życie namiętnie czytał książki, pożerając co najmniej ze trzy książki na tydzień, a zdarzało się, że i dwa razy tyle.

Nie miał cierpliwości do tych nielicznych książek, jakie można było znaleźć na rynku wydawniczym, które próbowały wskazać jakiś ład w życiu lub dać nadzieję. Lubiał książki przesycone ironią. Jego codzienną strawą były zabawne książki, które wyśmiewały ludzką głupotę i miałość istnienia. Na szczęście takich książek było mnóstwo. Nie interesowali go pisarze nurzający się ponuro w nihilizmie, wolał tych, którzy nihilizm okraszali kpina, żarcikami, takich, którzy by nie mieli nic przeciwko temu, by w piekle obsługiwać wózek z hot dogami.

Książki kształtują ludzi. Właśnie książki ukształtowały go takim, jakim był w wieku lat pięćdziesięciu – człowiekiem światowym, wesołym, odnoszącym sukcesy w interesach, godnym zaufania i zadowolonym.

Przed sześcioma laty zaczął pracować dla człowieka, który przejął rodzinny majątek osiągnięty w całkiem legalnym przedsiębiorstwie i użył go do zbudowania przestępczego imperium, co było pomysłowym odwróceniem częściej spotykanego porządku rzeczy. Teraz Billy zajmował się czymś, co nie miało związku z działalnością biznesową jego szefa, ale ze sprawami prywatnymi pryncypała.

Tak jak było umówione, Georgie Jobbs czekał na Billy'ego pod mostem. Most miał sześć pasów ruchu, a jego podcienie oferowały dużo ustronnego miejsca na prywatne transakcje.

Georgie stał w cieniu obok swojego suburbana, a na widok nadjeżdżającego Billy'ego zapalił trzymaną pod brodą latarkę, i skierował jej światło na swoją twarz,

przez co zniekształcone cieniami rysy nadawały mu dość niesamowity wygląd. Georgie wiedział, że Billy lubi wygłupy, stąd wziął się ten pomysł.

Czasami pytano Georgiego, czy jest on spokrewniony ze Stevem Jobsem, słynnym miliarderem, znanym z hasła: `software-dot-com-animation-iPhone`. Pytania te irytowały Georgiego, ponieważ nie chciał, by ktokolwiek mógł sobie myśleć, że jest spokrewniony z kimś takim. Zamiast po prostu zaprzeczać, w takich sytuacjach nadymał się i zwracał uwagę na pisownię obu nazwisk. „Zaraz, zaraz – mawiał – ja się piszę przez dwa b”, co wiodło do dalszych nieporozumień.

Georgie robił różne miny w świetle latarki, bo lubił Billy’ego Pilgrima. Zjednywanie ludzkiej sympatii było największą zaletą Billy’ego.

Jednym z powodów, dla których ludzie go lubili, była jego powierzchowność. Puciołowaty, okrągłutki, z kręconymi włosami koloru blond, które były równie cienkie jak w okresie jego niemowlęctwa, aż się prosił, by go uściskać.

Poza tym był lubiany, ponieważ w zasadzie sam też lubił ludzi. Na nikogo nie patrzył z góry, nie wywyższał się z powodu czyjejś domniemanej głupoty, ignorancji albo z powodu czyjejś idiotycznej dumy czy puszenia się, nie, on w ludziach uwielbiał to, co stanowiło ich istotę: byli z krwi i kości postaciami z najlepszej czarnej komedii, jaką pisało samo życie.

Wysiadł z land-rovera i zawołał:

– No, no, wyglądasz jak sam Hannibal Lecter!

Georgie skojarzył sobie ten cytat z filmem, gdzie ktoś zjada czyjąś wątrobę z fasolką i popija dobrym chianti.

– Przestań, proszę cię – zawołał Billy – bo się posikam ze śmiechu!

Uściskał Georgiego Jobbsa, zapytał, jak się ma jego brat, Steve, na co Georgie odpowiedział: „Ty, wariacie, sukinkocie”, po czym poboksowali się żartobliwie na powitanie.

Najlepsi prywatni detektywi mieli skrupuły i szacunek dla prawa. Dwa szczeble niżej lokowali się ludzie tacy jak Vem Lesley i Bobby Onions.

Georgie Jobbs znajdował się pod nimi przynajmniej o całe półpiętro. Wprawdzie zawsze chciał zostać licencjonowanym prywatnym detektywem, ale brakowało mu cierpliwości, by sprostać stawianym wymogom i przejść obowiązkowe testy. Zresztą nie uśmiechała mu się myśl, że miałby posługiwać się wyłącznie legalnie posiadaną bronią albo dać innym prawo do nazywania go gliną.

Na jego korzyść przemawiał fakt, że właściwie był człowiekiem, na którym

można było polegać, pod warunkiem że nie wiązało się to z żadnymi działaniami algebraicznymi, w ogóle z żadną matematyką.

W czasie, gdy Lesley i Onions jechali na spotkanie w Mojave, Georgie włamał się do ich biur. Biurem Vemona Lesleya była beznadziejna dziura, w której mieszkał, z kolei biuro pod szumną nazwą „Bobby Onions – dochodzenia” znajdowało się w oficynie nad tajską restauracją.

Georgie skradł mózgi ich komputerów, dokumentację spraw, która, prawdę mówiąc, zajmowała niewiele miejsca, kalendarz spotkań, notatki, wizytownik rolodex oraz wszystko, na czym mogli zapisywać swoje notatki, obojętnie czego dotyczyły. Teraz razem Billy i Georgie przenieśli to wszystko z suburba na do bagażnika land-rovera.

Ponieważ Georgie był równie dokładny jak gruby, Billy święcie wierzył, że kiedy władze w końcu zaczną szukać obu detektywów, nie znajdą niczego, co by się wiązało z Billym Pilgrimem.

Billy Pilgrim to nie było jego prawdziwe imię i nazwisko, ale często się tym mianem posługiwał i nadal chciał je zachować, ponieważ miał do niego sentyment. Ponadto jego szef, ów przedsiębiorca, któremu dobrze się wiodło w branży przestępczej, przywiązywał wielką wagę do niezostawiania żadnych śladów, na co zresztą nie mógł sobie pozwolić.

Georgie przyniósł też dwie walizki Samsonite o sztywnych ściankach, o które poprosił Billy – czyniąc to z powagą graniczącą z szacunkiem.

- Nigdy nie myślałem – przyznał Georgie – że kiedykolwiek będę miał aż tyle.
- To będzie pamiętny dzień – zgodził się Billy.
- Wiesz, chłopie, muszę ci powiedzieć, że mi to imponuje. Zaufałeś mi w takiej sprawie.
- Przed nami długa droga powrotna, Georgie – odrzekł Billy.
- Wolę nie sięgać tak daleko w przyszłość – powiedział Georgie, trafiając niemal w sedno.

Po sprawdzeniu zawartości obu walizek Billy zamknął je i nie włożył ich do bagażnika tylko położył na podłodze przed tylnymi fotelami.

Billy wypłacił Georgiemu należność gotówką i podczas gdy ten upychał pieniądze w kieszeniach marynarki, Billy trzykrotnie do niego strzelił z bliska, używając pistoletu z tłumikiem.

Wziął z powrotem pieniądze, a ciało Georgiego zapakował do bagażnika land-

rovera wraz z innymi śmieciami. Wszystko to przykrył kocem.

W wieku pięćdziesięciu lat nie radził sobie tak łatwo z załadowaniem ciała, jak wtedy, gdy miał lat trzydzieści. W tym celu musiał stosować sztuczki, jakich nauczył się w ciągu tych lat. Gdyby nie gustował w tej robocie, mógłby nie dać rady tego zrobić.

Po zamknięciu bagażnika land-rovera nie pofatygował się, by przeszukać suburba. Wiedział, że Georgie Jobbs nie miał kalendarzyka, w którym by zapisywał umówione spotkania czy jakieś notatki, ponieważ Georgie nawet imienia Jezusa nie napisałby poprawnie, nawet gdyby to była jedyna rzecz, jaką by miał wykonać, by dostać przepustkę do nieba.

Któregoś dnia Georgie mógłby się przed kimś pochwalić, że na zlecenie Billy'ego przeczesał biura dwóch prywatnych detektywów, teraz jednak nie było takiej obawy.

Ostatnia wątpliwość łącząca Amy Redwing z Billym Pilgrimem została zerwana – lub może wkrótce zostanie zerwana.

Siedząc za kierownicą land-rovera ze zgaszonymi światłami, Billy sunął korytem rzeczonym emanującym dziwny blask, zadowolony, że nie ma żadnych problemów z agentami literackimi ani żadnych nieprzekraczalnych terminów oraz że nie musi się obawiać ostrzących sobie na niego zęby krytyków literackich.

Kiedy Amy i Brian wrócili z psami, w skrzynce czekały już dwa listy od Pigkeeper.

Pierwszy był zwięzły: *To będę ja.*

Amy przeczytała tę wiadomość, stojąc za plecami Briana.

– Czy ty to rozumiesz? – zapytała go.

– Nie.

Otworzył następną wiadomość: *Czy nie mówiłam: czekaj?*

Brian odpowiedział: *Czekam.*

Kiedy Amy usiadła na drugim krześle znajdującym się w jego biurze, Fred uniósł się z podłogi i podszedł, by oprzeć głowę o jej udo i popatrzeć jej w oczy.

– Dobre psisko, dobre – pochwaliła Freda, głaszcząc go po pysku.

Na ten widok Ethel, która już prawie spała, też się podniosła z podłogi, by oprzeć głowę o drugie udo Amy.

– Ależ oczywiście, Ethel też jest dobra – pochwaliła ją Amy. – Dobra, ładna Ethel.

Nickie natomiast po powrocie ze spaceru nie ułożyła się na podłodze. Usiadła koło Briana i łaskawie pozwoliła mu, by podrapał ją w głowę, przez cały czas jednak z natężoną uwagą wpatrywała się w ekran komputera, jakby tam zobaczyła wiewiórkę znaną jej już z parku.

Popatrzył jej w oczy, niemal natychmiast napotkawszy jej wejrzenie, i zastanawiał się, co takiego mogło do tego stopnia przykuć jego uwagę, że rysował ją przez tyle godzin, i co w owej chwili również działało na niego magnetycznie. W tym momencie komputer zasygnalizował nadejście następnego e-maila.

Przeczytał wiadomość na głos:

– To będę ja.

– Tylko tyle?

Zadzwoił telefon. Numer dzwoniącego abonenta nie wyświetlił się.

Brian nie kwapił się z odebraniem telefonu.

– To ona – domyśliła się Amy.

– Nie rozmawiałem z nią od dziesięciu lat.

Mimo że nie mógł się doczekać, by wyrwać Hope spod władzy matki, bliska perspektywa wejścia w orbitę spraw Vanessy działała na niego odstręczająco.

Telefon powtórnie zadzwonił, potem raz jeszcze, w końcu Brian podniósł słuchawkę i odezwał się zwięźle.

– Tak?

– Bry, czy zawalił się któryś z zaprojektowanych przez ciebie domów?

– Jeszcze nie – odpowiedział z mocnym postanowieniem, że nie da się wyprowadzić z równowagi ani sprowokować do zachowań, które by mogły zmniejszyć jego szanse na odzyskanie Hope.

– To tylko kwestia czasu, Bry. My wiemy, co się stanie, jeśli coś ukrywasz.

Zapomniał już, jak niezwykle brzmi jej głos, mieszanka stali i dymu.

– Nie uważasz, że nadeszła już pora, byś wziął odpowiedzialność za efekt swej niewydarzonej spermy? – zapytała.

Spojrzał na Amy, ale zaraz uznał, że w jakiś sposób ją kała, kiedy patrzy na nią, rozmawiając jednocześnie z Vanessą.

– Zgadzam się na wszystko, co zechcesz, Vanesso – powiedział. – Nie stawiam żadnych warunków. Pełna jawność, jeśli chodzi o moje oszczędności, dochody, lokaty, wiesz, że niczego nie ukrywam.

– Ja nie potrzebuję twoich pieniędzy, Bry. Mieszkasz nad swoim biurem. Gdyby twoi starzy nie umarli, pewnie byś jeszcze mieszkał z nimi. Ale cokolwiek posiadasz, co ja za to mogę kupić? Ładny płaszcz? Buty?

Nie mogła czerpać wiedzy o jego warunkach życia z e-maili, jakie wymienili w ciągu tych lat.

– Mówiłaś, że chcesz czegoś ode mnie – przypomniał jej.

– Mój obecny facet ma tyle pieniędzy, ile dusza zapragnie. Ma więcej, niż mogłabym dostać za tę twoją niedojdę, gdyby nawet była normalna. Tu nie chodzi o pieniądze. Wiesz, Bry, że kiedyś życzyłam ci śmierci.

– Chyba o tym wiedziałem.

– I to nie śmierci powolnej, na przykład umierania na raka. Od tamtej pory miałam kilku facetów, którzy chętnie by to dla mnie zrobili, ale mi przeszło.

Gdyby jego napięte nerwy były strunami, można by z nich wydobyć tylko bardzo wysokie tony.

Zdjął lewą rękę z karku Nickie. Po chwili znów ją położył na jej głowie. Zdumiało go, jak uspokajająco podziałał ten dotyk.

– Może lepiej by było zostawić cię na muszce i dźgać tylko od czasu do czasu?

– Nikt lepiej od ciebie nie potrafi grać w pinatę z mężczyznami.

Nie pamiętał już jej śmiechu, jaki jest gardłowy, a przy tym zaskakująco dziewczęcy.

– Mój obecny chłopak – powiedziała – dziany facet, jeśli ma z kimś problem, to nie obmyśla skutecznej strategii, ale po prostu usuwa takiego delikwenta z drogi. Ma tak głębokie kieszenie, że bez trudu zmieści się w nich długa broń, nawet jeśli sięga do pach.

– Jedyne, czego chcę, to swoją córkę.

– A mój chłopak jej nie chce. Inni faceci mieli ubaw, patrząc, jak się z nią użeram, ale ten nie. Rzygać mu się chce na jej widok, więc chętnie się jej pozbędzie.

– To mi odpowiada. Przywieź ją do mnie. Albo ja mogę po nią przyjechać. Jak wolisz.

– Chodzi o to, że mój aktualny pan gra według pewnych zasad. Jest prostolinijny. Pierwszy taki, nie licząc ciebie. Strasznie napalony, zanadto, by wyszło mu to na dobre. W związku z czym należy całkowicie do mnie. Biedaczek. Pamiętasz, jak to było?

– Tak.

– Ale on chce, żebyśmy podpisali pewne papiery, ja i ty, w których byłoby jasno powiedziane, że Piggy jest naszym dzieckiem, moim i twoim, ale teraz, kiedy ty odnalazłeś Jezusa albo coś w tym rodzaju, chcesz sprawować nad nią wyłączną opiekę, a mnie zwalniasz od wszelkiej odpowiedzialności. Byłam naprawdę dobrą matką, praktycznie jesteś mi winien te dziesięć lat opieki nad dzieckiem, więc żywisz wobec mnie wyłącznie wdzięczność. No i takie tam.

– Wszystko podpiszę.

– To sterta dokumentów, bo on nie chce, żebyś któregoś dnia zwrócił się do niego z pretensjami albo, co gorsza, nie chce przeczytać w gazetach, jaki to był niedobry dla tego głuptaka. Nawet ustanowił fundusz powierniczy na opiekę nad nią.

– Nie potrzeba. Nie chcę żadnych pieniędzy.

– Ale on przy tym obstaje, Bry. Martwi się o swoją reputację, więc woli chronić zawczasu tyłek. A ponieważ zamierzam zostać legalną panią jego głębokich kieszeni, chroni również mój tyłek.

Nie podobał mu się taki obrót sprawy. Z drugiej jednak strony, gdyby mu się coś stało, taki fundusz zapewnia Hope opiekę.

– Fundusz powinien mieć dyrektorów – powiedział – którzy by nim zarządzali, inwestowali pieniądze i wypłacali je. W ten sposób wchodzisz w moje życie, Vanesso. To się nie sprawdzi.

– Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, to wchodzić w twoje parszywe życie, Bry. A ponieważ już wiem, jaka to radocha mieć do czynienia z tym małym głuptakiem, mam tego dość, wcale nie marzę, by dalej tkwić w jej życiu. Fundusz potrzebuje dwóch dyrektorów na początek, przy podpisywaniu dokumentów. Trzeciego można sobie dobrać później. Ty możesz być jednym dyrektorem, drugim ta kurewka Redwing.

Odjęło mu mowę.

Po chwili wybuchnęła tym swoim gardłowym, pozornie normalnym śmiechem.

– Mówiłam ci, że mój chłopak chroni swój tyłek. Nie chciał nawet słyszeć o żadnych układach z tobą, dopóki nie dowie się o tobie wszystkiego. Nie chciał dopuścić do takiej sytuacji, że ustanowi fundusz, odda ci dzieciaka, a zaraz potem okaże się, że w parku zabawiasz się z jakąś sześciolatką. Zła prasa to dla niego śmierć.

– Naruszył moją prywatność, nasłał na mnie prywatnych detektywów, którzy wtargnęli do mojego mieszkania, to chcesz powiedzieć?

– Pozbądź się tego tonu świętego oburzenia, Bry. Masz, na co zasłużyłeś, więc wypij to piwo, coś go sobie nawarzył. A znając twoje upodobania, muszę powiedzieć, że do pewnego stopnia się dziwię, że jesteś z Amy. Trochę mi przypomina Sandrę Bullock z tym swoim wyglądem chłopczycy. A propos, pewny jesteś, że ona jest zdecydowana co do swojej płci?

– Jej w to nie mieszaj.

– Nie mogę jej w to nie mieszać, Bry. Jeśli mamy ubić interes, mój chłop nie chce tego odkładać. Potrzeba ci dwóch zarządzających fundacją. Z tego, co wiem o tobie, a wiem prawie wszystko, panna Amy jest jedyną kandydatką. Wziąwszy pod uwagę, że rznąłaś wszystko, co miało odpowiedni rozmiar biustonosza, musiała rzucić na ciebie klątwę monogamii. Czy ona kiedyś przyjmie twoje oświadczyzny? Nie musi wychodzić za ciebie za mąż, by zostać dyrektorką fundacji, tak tylko pytam, z prostej ciekawości.

Teraz przyszło mu płacić za grzechy młodości, sam wpędził się w obecną sytuację; również z jego winy Hope znajdowała się w tym oplakany położeniu. Za

swoje czyny ponosi się konsekwencje. Vanessa miała rację, musi wypić to piwo, jakiego nawarzył.

– Nienawidzisz mnie, co? – zapytała.

– Nie.

– Daj spokój, Bry. Jeśli nasz plan ma się powieść, muszę ci wierzyć.

– Czasami doprowadzasz mnie do wściekłości. Czasami przerażasz. Ale nie budzisz we mnie nienawiści.

– Bry, ja byłam szczerą. Powiedziałam ci, że przed laty życzyłam ci śmierci. Nadal cię nienawidzę. Jeśli ty mnie nie nienawidzisz, to coś jest nie w porządku z twoją głową.

Wziął głęboki oddech i odpowiedział:

– No dobrze. Więc cię nienawidzę. Mam ku temu powody. Ale to bez znaczenia, skoro załatwimy sprawę. Załatwmy więc ją szybko. Kiedy się spotkamy? Gdzie jesteś?

– I tu jest problem. Przez lata obijałam się po świecie z naszym tłustym potworkiem, zadając się z facetami, którzy mieli jakieś takie pojęcie o robieniu interesów, choć nie na taką skalę jak mój obecny. I kiedy już dochodziłam do mniej więcej względnego spokoju, zawsze musiała się pojawić jakaś krowa z władz oświatowych, która słyszała, że Piggy nie chodzi do szkoły i że nie jest traktowana jak księżniczka; musiałam więc szybko się zmywać, wyrabiać sobie nowe papiery i szukać następnego kandydata do kociej łapy.

Brian wyobraził sobie, przez co biedna Hope musiała przejść i czy kiedykolwiek będzie mógł rozgrzeszyć się z tego, na co ją naraził.

– Przykro mi, że naraziłem cię na kłopoty – powiedział. – Ale co to ma wspólnego z obecną sytuacją?

– Ano ma. Bo jeśli ja ci podam adres i umówię się z tobą na spotkanie w interesach, ty możesz przyjść ze stadem krów z opieki społecznej.

– Nigdy bym tego nie zrobił. Dlaczego miałbym tak postąpić?

– Żeby narobić kłopotu pani głębokich kieszeni, zniszczyć jej związek i odzyskać potworka bez żadnych zobowiązań.

– Nie ryzykowałbym czegoś takiego – zaprzeczył. – Nie ma żadnej pewności, że oddaliby mi córkę. Umowa z tobą wydaje się dobra. Nie czuję do ciebie aż takiej nienawiści, by ryzykować naszą umowę.

– Ale to ja ponoszę ryzyko, Bry. I to nie tylko ryzykując pieniądze, których będę potrzebowała. Jeśli jakaś krowa z opieki społecznej spyta Piggy, jak jej mama się o nią

troszczyła, Piggy nie skłamię. Wyduka prawdę, a tym krowom nie przyjdzie do głowy, że może to być mój sposób pojmowania zabawy.

Nie śmiał zapytać jej o szczegóły okrucieństw, którymi dręczyła ich córkę. Po raz pierwszy w życiu Brian zdał sobie sprawę z tego, że gdyby poznał całą prawdę, mógłby posunąć się nawet do zabicia tej kobiety. Jeszcze przed godziną uważał, że nie jest zdolny do zbrodni. Teraz już nie był tego taki pewny.

– W takim razie, co zrobimy? – zapytał.

– Ty i panna Amy przyjdziecie do nas prowadzeni za rączkę. Nie będziesz znał ostatniego kroku, czyli naszego adresu, aż do chwili spotkania.

– Domyślam się, że każdy mój krok będzie dokładnie śledzony.

Odpowiedziała:

– Wiesz, co by się naprawdę nie podobało mojemu namiętmemu kochasiowi, gdybyś się pojawił z ekipą telewizyjną z jakiegoś tandetnego programu, który wszyscy oglądają. Nie jest może wielką sławą, ale dużo ludzi go zna. A te dupki chętnie by go pożarły i wypluły. Tej nocy udasz się do Santa Barbara i to będzie twój pierwszy krok.

– Przemyśl to raz jeszcze. Ja mam wszystko do stracenia, a nie do wygrania w przypadku, gdybym chciał cię oszukać. Masz wszelkie powody, by mi ufać.

– Wszelkie powody? Naprawdę? Ufałam ci, kiedy mi zmajstrowałeś dzieciaka, które okazało się głuptakiem. Zmarnowałeś mi przez to dziesięć lat życia. Nie ma nikogo, komu mogłabym mniej ufać niż tobie, Bry.

Jej upór był irracjonalny, ale to go nie zdziwiło. Każda próba przekonania jej byłaby równie bezcelowa, jak nakazanie morzu, by nie uderzało falami o brzegi.

– Muszę omówić to z Amy – powiedział. – Nie mogę decydować w jej imieniu.

– Och, jestem pewna, że to zrobi. Ma fioła na punkcie psów. Powiedz jej, że jest tu wystraszony szczeniak, który się nazywa Piggy, i że trzeba go uratować. W każdym razie przyślij mi e-maila nie później niż w ciągu najbliższej godziny.

– Godzina to za mało.

– Omówiłam wszystko z panem od głębokich kieszeni, ale on może stracić cierpliwość.

Vanessa odłożyła słuchawkę.

Brian odwrócił się do Amy.

– Jak ty wyglądasz – przestraszyła się.

Zimny pot spływał mu po karku. Domyślił się, że krew odpłynęła mu z twarzy, ponieważ wargi miał zdętwiałe.

– Jak śmierć – powiedziała Amy. – Jak śmierć, która przyszła po kogoś, by go zabrać.

– Zimna jak lód – mówi Harrow.

Wstając z kuchennego stołka, na którym siedziała, rozmawiając przez telefon, odpowiada:

– Z Brianem zawsze szło łatwo.

– Suchy lód.

Tak jak księżyc przyciąga fale oceanu, ona, zapewne na skutek sobie tylko właściwej wewnętrznej grawitacji, przyciąga płomień świecy.

– Jak długo to ćwiczyłaś? – pyta on.

– Wcale nie ćwiczyłam. Po prostu odegrałam przed nim.

– Raczej odegrałaś się na nim.

– Grałam na nim jak na pikolo – odpowiada z uśmiechem.

– Powinien cię już znać.

– Wtedy jeszcze taka nie byłam.

– Nie mogłaś nie być.

– Myślisz, że nie byłam nigdy dzieckiem?

– A byłaś?

Nie odpowiada.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– Czego? Tak kłamać?

– Kłamiesz jak z nut.

– Wyssałam to z mlekiem matki.

– Nigdy mi nie mówiłaś o swojej matce.

– Ona nie żyje.

– I to wszystko?

– A co jeszcze mogłoby być?

Obserwuje ją, jak sączy czerwone wino. Jej wargi wydają się czarne, ale ona zaraz je oblizuje.

W swoim związku doszli do nowego miejsca. Oczekiwanie na to, co ma nadejść,

daje im mocniejsze poczucie wspólnego losu.

Harrow czuje, że teraz może zadawać jej pytania, których przedtem nie powinien stawiać. Ma jednak niejasne wrażenie, że jeszcze trochę za wcześnie, by ją zapytać, dlaczego trzymała Piggy przez tyle lat oraz dlaczego postanowiła mieć dziecko, skoro jest przekonana, że liczy się tylko ona sama, chwila i dreszcz emocji.

- A co z twoim starym?
- Był jeszcze większym kłamcą.
- Co robił? – pyta Harrow.
- Nic, czego nie chciał robić.
- To tak jak ja.
- Uczył historii.
- Czy historia to kłamstwa?
- W jego wydaniu tak.
- Uczy jeszcze?
- Nie żyje.
- W takim razie oboje umarli młodo.
- Tak.

Harrow upija malutki łyk wina. W jej towarzystwie nigdy nie przesadza z piciem.

- Rozgadałaś się przez telefon. To do ciebie niepodobne.
- Jak dużo mówię do kogoś, to przeważnie są to kłamstwa. Sugeruje, że jego nie okłamuje.
- Pamiętam tę parę sprzed dwóch miesięcy, Karen i Rona.
- Zabawni byli.

Mieli po dwadzieścia parę lat, typ poszukiwaczy przygód, turyści z plecakami, zmierzali autostopem na wybrzeże.

- Z nimi buzia ci się nie zamykała.

Karen i Ron dowiedzieli się z przewodnika o tej odległej, za to malowniczej zatoczce. Młodzi i przystojni, kochający przyrodę, wyruszyli w trasę, wyposażeni w kosztowny sprzęt i laski z drewna orzechowego.

- Ja nie podniecam kobiet – powiada ona.
- Bo podniecasz ich mężczyzn.

Moongirl roztoczyła wszystkie swoje wdzięki. Udawała skromną lesbijkę, ale delikatnie, za to wielokrotnie trącała Karen.

– Biedaczka, taka była tym speszona.

– Niemniej pochlebiało jej to – przypomina Harrow. – Nie miała takich skłonności, ale pochlebiało jej, że wzbudza w tobie pożądanie. Poza tym odczuwała ulgę, że nie uwodzisz Rona. Rozbroiłaś ją w ten sposób.

– Skumplowałyśmy się z Karen.

Młodzi ludzie zapytali, czy mogą rozbić namiot na tej plaży. W końcu cała czwórka biwakowała na piasku przy świetle latarni.

Karen i Ron nie zauważyli, że ich gospodarze nalewają im wina z innej butelki niż sobie.

Potem przejmujący ból przeniósł ich do innej galaktyki, innych zimnych gwiazd, a zielone oczy ich gospodyni stały się lodowate jak arktyczne morze.

– Ron był taki nudny – przypomina ona.

– Szybko pękł.

Harrow asystuje jej w takich praktykach tylko wtedy, gdy ona go o to poprosi. Samo obserwowanie jej dostatecznie zaprzęta jego uwagę i dostarcza mu wystarczającej rozrywki.

– Za to Karen była interesująca – mówi ona.

– Jak kielbaska pieczona na ognisku – zgadza się z nią Harrow.

Wywołuje w pamięci tamtą noc i obraz Moongirl, która niczym aztecka bogini przyjmowała należną jej ofiarę.

– Karen nie traciła nadziei – mówi ona.

– Ale w końcu...

– Do tego końca wiodła długa droga.

Moongirl pije wino, nie zachowując żadnych środków ostrożności. Nie obawia się Harrowa. Poza tym w stanie upojenia jej zmysły są bardziej wyostrome, a refleks ma jeszcze szybszy, niż kiedy jest trzeźwa, czego był świadkiem.

– Dlaczego ludzie mają nadzieję? – pyta go.

– Nie wszyscy.

– Ale ci, co mają nadzieję, dlaczego ją mają?

– Bo nic innego im nie pozostaje.

– Ale nadzieja to kłamstwo – stwierdza ona.

Kiedy spogląda na świece, płomyki podskakują w swych zabarwionych na czerwono kloszach, co wywołuje jej uśmiech.

Harrow już przedtem to widział, pytał ją nawet, jak ona to robi, że płomyki

skaczą zgodnie z jej wolą, ale ona nigdy nie odpowiedziała na to pytanie.

Odrywa wzrok od świec, spogląda na Harrowa i mówi:

- Nadzieja to okłamywanie samego siebie.
- Większość ludzi potrafi przetrwać dzięki samooszukiwaniu się.
- Bo nic nie mają.
- Nikt nic nie ma.
- O, my mamy coś. Mamy ich.

Ona znów spogląda na świece, uśmiecha się, pasemka płomieni skręcają się, podrygują, rozwijają się i następnie znów przytulają do knotów.

Najpierw myślał, że to sztuczka wywołana oddechem, ale nigdy nie zauważył, by poruszała nozdrzami albo by rozchylała wtedy wargi.

- Jedyna prawdziwa rzecz to władza.
- Brian teraz musi się oszukiwać – zgaduje Moongirl.
- Na pewno – zgadza się z nią Harrow. – Świat zawsze dostarcza podpalki tym, którzy jej w danej chwili potrzebują.

Podczas jazdy Billy Pilgrim nakłada zielony kapelusz tyrolski z miękkim rondem z czerwono-złotym piórkem zatkniętym za wstążkę oraz wsuwa na górne jedyńki koronki ze sztucznego złota.

Kiedy znalazł adres, którego szukał, i zaparkował przy krawężniku, założył jeszcze grube okulary w rogowej oprawie.

Teraz, gdy większość telefonów komórkowych miała także aparaty fotograficzne, można było się spodziewać w każdej chwili, że jakiś wścibski przechodzień może pstryknąć zdjęcie tuż przed albo tuż po dokonaniu zbrodni. Technika cyfrowa pozbawiała ludzi prywatności, co Billy uznał za wyzwanie.

Nie uważał się za mistrza w przebierankach, ale znał podstawowe techniki i wymogi kamuflażu. Wystarczało kilka prostych zabiegów, by utrudnić identyfikację na podstawie fotografii. Zabawny kapelusik z miękkim rondem i ciemna oprawa grubych okularów przebyły długą drogę, by zmienić mu rysy. Złote koronki sprawiały wrażenie, że Billy miał wystające przednie zęby, przez co jego twarz wydawała się jeszcze bardziej okrągła.

Wysiadł z land-rovera i zamknął drzwi. Okolica była zacna, ale uważał, że nigdy nie należy zaniedbywać wszelkich środków ostrożności, zwłaszcza gdy w samochodzie znajdują się przykryte kocem czyjeś zwłoki.

Domy klasy średniej i aspirującej ku klasie wyższej były na ogół dobrze utrzymane. Ogródki i oświetlenie podjazdów kreowały miłą atmosferę.

Mimo że dopiero zapadał wieczór, a jesienne powietrze jeszcze było ciepłe, dzieci nie bawiły się przed domami. Pedofile ostatnio stali się coraz liczniejsi i coraz bardziej niebezpieczni, zwłaszcza kiedy zaczęli się porozumiewać między sobą przez Internet i wymieniać rady na temat, jak złowić ofiarę i jakiej użyć do tego techniki. Wobec tego rodzice obecnie krócej trzymali swoje pociechy i nie pozwalali im przebywać poza domem po zmierzchu.

Billy nie był pedofilem, ale odczuwał wobec nich pewną wdzięczność. Bo wprawdzie jakaś starucha mogła filmować go na wideo, to jednak nie otaczały go

gromady dzieciaków, które rozpierała energia, nie wypytywały, co to za kapelusz albo czy chodzi po górach i czy podczas górskiej wspinaczki stracił przednie zęby. Takie właśnie scenki z jego udziałem rozgrywały się jeszcze jakieś osiem, dziesięć lat temu.

Drzwi otworzył mu facet około sześćdziesiątki. Jego twarz kojarzyła się Billowi z drapieżnym ptakiem, wyglądał, jakby dopiero co zjadł kilka żywych myszek, które wierciły mu się w żołądku zamiast spokojnie dać się strawić.

– Pan Shumpeter?

– Nie potrzebuję dalszych ubezpieczeń.

– Nazywam się Dwayne Hoover – powiedział Billy Pilgrim. – Dzwoniłem dziś do pana w sprawie cadillaca.

– Wygląda pan na ubezpieczyciela, który namawia ludzi przez telefon.

– Nie, proszę pana. Zajmuję się handlem organami. To jedno z moich zajęć.

– Przyjechał pan w sprawie mojego ogłoszenia o sprzedaży samochodu?

– Tak, proszę pana. Dzwoniłem do pana wcześniej. Dwayne Hoover.

– Proszę wejść.

Billy wszedł za panem Shumpeterem do salonu, który drażnił wzrok wymyślnym roślinnym deseniem na ścianach oraz mnogością poduszek z frędzlami.

– Jak się sprzedaje używany samochód dealerowi, ten daje za to nędzne grosze.

– Ja płacę gotówką, panie Shumpeter.

– Potem oni sprzedają ten sam samochód za dziką cenę.

– Czasami trzeba ominąć pośrednika – zgodził się Billy.

– Tak jak powiedziałem przez telefon, to był samochód mojej żony. Umarła. Od czterech miesięcy jestem wdowcem.

– Wyraży współczucia z powodu tej straty.

– Stratą była dla mnie śmierć mojej pierwszej żony. Pauline była moją drugą żoną. Przez dziewięć lat. Zostawiła mnie teraz z tymi cholernymi frędzlastymi meblami.

– Niestety, handel meblami to nie moja specjalność.

Wyglądało na to, że Shumpeter jest sam, ale Billy wolał się upewnić.

– Musiała mieć cadillaca. Nie dawała mi spokoju, dopóki go nie dostała, a teraz przeniosła się na tamten świat, kiedy samochód nie ma nawet roku.

– Niedobrze – przyznał Billy.

– Prawie nieużywany, a tyle stracił na wartości. Ale postawmy sprawę jasno, nie opuszczę już tej ceny.

– Uważam, że podał pan rozsądną cenę, panie Shumpeter.

– To chodźmy go obejrzyć.

Na szczęście Shumpeter nie prowadził go do garażu na zewnątrz, przez podjazd, ale przez salon, jadalnię i kuchnię, dając w ten sposób Billowi sposobność sprawdzenia, czy ktoś jeszcze poza nimi znajduje się w domu.

Jadalnia rozkwitała różami, peonią i wisterią wszechobecnymi na tapecie, obrusie i tapicerce.

– O co chodzi z tym kapeluszem? – zapytał Shumpeter.

– Tyrolski – odpowiedział Billy.

– Przez wiele lat byłem w Shriner Club, ale żaden klubowicz nie nosi fezu, chyba że występuje oficjalnie i w ten sposób zaznacza swoją klubową funkcję.

– Jadę stąd na spotkanie klubowe – wyjaśnił Billy.

– Nie słyszałem jeszcze o Tyrolczykach.

– Bo to stosunkowo nowe zgromadzenie. Jesteśmy klubem towarzyskim, ale też chcemy coś zdziałać. Zamierzamy znaleźć lekarstwo na raka prostaty.

– Tofu. Jak się je tofu ze trzy razy na tydzień, to się nigdy nie dostanie raka prostaty.

– Chłopcy będą rozczarowani, jak im to powiem. W takim razie będziemy musieli sobie znaleźć jakąś inną chorobę. Muszę panu powiedzieć, że to uroczy dom. Wspaniała kuchnia.

– Sprzedam go. Dla nas dwojga był za duży, ale ona musiała go mieć, a teraz dla mnie jednego na cholere taki dom.

– Poza tym musi panu być ciężko, sam ze swoimi wspomnieniami w dużym domu.

– I na pewno też nie będę go sprzedawał za pośrednictwem agencji. Biorą sześć procent za nic.

W pralni Shumpeter zdjął z drewnianej tablicy kluczyki, stamtąd przeszli do garażu. Obok rocznego cadillaca stał nowy mercedes.

Na widok zdziwionej miny Billy'ego Shumpeter wyjaśnił: – To z ubezpieczenia na życie. Przeklęty IRS nie odpuści nawet tych ubezpieczeń.

Wskazując cadillaca ruchem głowy, Billy przyznał:

– Wygląda świetnie.

– Będę całkowicie szczery. Ona w nim umarła. Rozległy wylew, dwie minuty i było już po niej.

– Nie boję się duchów, panie Shumpeter.

– Do końca panowała nad swoją fizjologią, pęcherzem i tak dalej, więc nie ma powodu się targować.

– Ja się nie chcę targować. To nie ja. Właśnie czegoś takiego szukałem.

Shumpeter uśmiechnął się, ale jego twarz pozostawała nieprzenikniona.

– Wspomniał pan, panie Hoover, że handluje organami. Chodzi o instrumenty muzyczne, pianina, organy?

– Nie, proszę pana. Chodzi raczej o nerki, wątroby, płuca.

– A, jest pan doktorem.

– Nie. Tylko pośrednikiem. Ale w naszym starzejącym się społeczeństwie to interes z przyszłością. Pan sam będzie potrzebował nowego serca.

Shumpeter otworzył szeroko oczy.

– Na jakiej podstawie wystawia pan taką diagnozę? – Uderzył się kulakiem w piersi. – Mam sześćdziesiąt lat, ale od czterdziestu lat jestem wegetarianinem, w mojej diecie nie ma ani grama zwierzęcego tłuszczu, cholesterol mam w dolnej granicy normy.

– No cóż, będąc pośrednikiem w handlu organami, muszę panu powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że jak wykazują statystyki, u wegetarian samobójstwa zdarzają się znacznie częściej niż u zjadaczy mięsa.

Shumpeter się rozpromienił.

– Słyszałem o tym. Podobnie mówi się, że wegetarianie częściej stają się ofiarami zabójstw niż mięsożerni. Gówno prawda. To przemysł mięsny finansuje takie fałszywe badania, wszystko to wyłącznie propaganda. – Zacisnął pięści i głośno wypuścił powietrze z płuc, demonstrując w ten sposób swoją fizyczną formę. – Kiedy ten cadillac nada się już tylko na złom, ja w dalszym ciągu będę się podobał paniom.

– Tego nie wiem – odpowiedział Billy – ale jestem pewny, że to się spodoba pańskiej małżonce. – Wyciągnął pistolet z tłumikiem i strzelił Shumpeterowi prosto w serce.

Przeciągnął ciało tak, by leżało przed mercedesem i żeby nikt nie mógł go zobaczyć z ulicy, podniósł kluczyki, które wypadły na podłogę z rąk nieboszczyka, po czym otworzył drzwi garażowe.

Najpierw wyprowadził cadillaca na ulicę i zaparkował go przy krawężniku, a następnie wprowadził land-rovera do garażu. Zamknął za sobą drzwi, by przechodzący pedofil nie mógł zobaczyć, co robi.

Otworzył wszystkie czworo drzwi land-rovera, by dać natychmiastowe ujście eksplozji, która tam miała nastąpić.

Jedyne, co wziął z tego samochodu, to plastikową torbę na śmiecie. Było w niej wszystko, co zabrał z bungalowu wcześniej tego dnia, oraz dokumenty Lesleya, Onionsa i Georgiego Jobbsa.

Opuścił dom frontowymi drzwiami, wyszedł na ulicę i usiadł za kierownicą cadillaca. Położył plastikową torbę na podłodze przed fotelem pasażera.

Na końcu przecznicy skręcił w prawo, potem na następnym skrzyżowaniu jeszcze raz w prawo.

Na ulicy równoległej do tej, przy której mieszkał Shumpeter, zaparkował przed dwoma domami innych amerykańskich rodzin, pochłoniętych swoimi radościami i problemami.

Zdjął kapelusz tyrolski i okulary w rogowej oprawie. Schował do kieszeni złote nakładki na zęby. Żegnaj, Dwayne Hooverze.

Wysiadł z cadillaca, stanął na chodniku i z kieszeni marynarki wyciągnął pilota.

Odstęp między obu tymi domami pozwalał mu widzieć dach rezydencji Shumpetera usytuowanej na sąsiedniej ulicy po zachodniej stronie. Wyciągnął pilota, który miał zadziwiająco wiele przycisków, nacisnął jeden z guzików i zaraz posłyszał odgłos wybuchu.

Dwie walizki, które dostarczył mu Georgie Jobbs, a które postawił na podłodze między przednimi a tylnymi siedzeniami, zawierały niewielki ładunek zapalający potrzebny do zapłonu, ale prócz tego pociski o ogromnej sile rażenia, wynalezione przez rosyjskich speców w tej dziedzinie, pochodzących z byłego Związku Radzieckiego, obecnie speców nowej Rosji.

Zza kierownicy cadillaca Billy Pilgrim obserwował dach domu Shumpetera.

Zamierzał nie tylko zniszczyć land-rovera i znajdujące się tam dowody. Chciał spalić na popiół znacznie więcej: twarde dyski komputerów należących do obu detektywów, ich akta i kalendarze z adnotacjami o umówionych spotkaniach oraz ciało Georgiego.

Użyty przez niego materiał wybuchowy mógł wytworzyć temperaturę do czterdziestu dwóch tysięcy stopni w skali Fahrenheita, czyli o połowę mniejszą niż ta, jaka panuje na powierzchni Słońca, co jest niczym w porównaniu z osiemnastoma milionami stopni, bo taką temperaturę osiąga jądro Słońca. Niemniej wystarcza to do spopielenia wszystkiego, co znajduje się w land-roverze, z którego zostanie tylko

kupka stopionego żelaza, co nie pozwoli na identyfikację marki samochodu, modelu ani właściciela.

Nic nie zostanie z Georgiego Jobbsa, nawet kawałek kosteczki, nic poza miłymi wspomnieniami w pamięci Billy'ego.

Na sąsiedniej ulicy wydobywające się przez dach garażu płomienie – białe z niebieskawymi brzegami – rozproszyły ciemności nocy.

Billy odjechał. Wkrótce nie da się tam wytrzymać.

Kiedy Amy Redwing zaginie czy też później zostanie znaleziona martwa, w zajmowanym przez nią domu nie zostanie nic, co by wskazywało na jej związki z poprzednim życiem, a zatem władze nie będą miały żadnego powodu, by podejrzewać mocodawcę Billy'ego o jej zamordowanie.

Vemon Lesley, który przeszukał jej dom, nie żyje. Nie żyje też Bobby Onions, który miał go ubezpieczać. Podobnie jak inny mężczyzna, który przeszukał ich biura, by usunąć jakiegokolwiek ślady związku ich działalności z Amy Redwing. A wszelkie dokumenty zabrane z ich biur wkrótce zostaną spopielone.

Jeśli straż pożarna nie nadjedzie wystarczająco szybko, ogień strawi też domy sąsiadujące z rezydencją Shumpetera, bo albo dosięgną je płomienie, albo zapalą się z powodu wysokiej temperatury zgliszcz.

Jak wynikało z doświadczenia życiowego Billy'ego, dokładnie wykonane zadanie pociągało za sobą dodatkowe ofiary w ludności cywilnej.

Jechał teraz w stronę Newport Beach. Mimo że odczuwał już głód, postanowił poczekać i przedtem zrobić jeszcze jedną rzecz tu, w Orange County, i dopiero potem udać się do Santa Barbara.

Późnym wieczorem zje kolację wraz z Guntherem Schlossem, tym, który zabił Lesleya i Onionsa, a potem Billy jego też zastrzeli. Po śmierci Gunny'ego ostatnie ogniwo łączące Redwing z szefem Billy'ego zostanie usunięte.

Właściwie ostatnim ogniwem był on sam. Nie przeoczył tego faktu. Poświęcił mu bardzo wiele uwagi.

W Santa Barbara zamówił luksusowy apartament w hotelu na nazwisko Tyrone Slothrop, którego jeszcze nie używał, zachowując go na specjalną okazję.

Billy lubił przepych, zwłaszcza gustował w hotelach oferujących niewyobrażalne luksusy, jakie mogłyby wprawić w zakłopotanie Ludwika XVI i Marię Antoninę, gdyby porównali je z poziomem życia w ich pałacu.

W Newport Beach Billy zaparkował samochód za rogiem domu, w którym

mieszkał i miał swoje biuro Brian McCarthy.

Millie i Barry Packard, którzy zgodzili się przechować Freda i Ethel na jedną lub dwie noce, mieszkali w utrzymanym w stylu angielskim, krytym gontem domu, usytuowanym na niewielkim wzniesieniu nad morzem.

Drzwi wejściowe, zgodnie z zapowiedzią, zostawili otwarte. Amy z Brianem przeszli za psami przez cały dom aż na patio, gdzie Millie siedziała przy stole z teakowego drewna, sącząc martini w czarownym świetle gazowych lampek osłoniętych wielobarwnymi taflami szkła.

Szczupła, metr osiemdziesiąt wzrostu, z burzą krótko przyciętych blond włosów, wielkooka, sprawiała wrażenie uroczego elfa, który właśnie wrócił do domu po zagranii głównej roli w *Piotrusiu Panu*. Około pięćdziesiątki, właściwie była za stara na tę rolę, chociaż Mary Martin przypuszczalnie w tym właśnie wieku grała tę rolę na Broadwayu.

– Freddie, kochaneczku, Ethel, moja śliczna – zawołała, kiedy pojawiły się oba pieski, zmierzając prosto ku niej, machając radośnie ogonami, pewne, że zaraz otrzymają porcję pieszczot, zostaną podrapane za uchem, poklepane po karku. – Jesteście urocze jak zawsze, ale trzeba było przyrzadzić swoim państwu po drinku, zanim ich tutaj wprowadziliście.

– Nie wstawaj – powiedziała Amy, nachylając się, by pocałować Millie w policzek.

– Słoneczko, ja nigdy nie wstaję na powitanie członków rodziny, wstaję do ludzi, których nie lubię, by osobiście przyrzadzić im słabe drinki, co sprawia, że wkrótce mają ochotę wyjść stąd jak najprędzej.

Należeli do rodziny, ponieważ oboje byli członkami zarządu Golden Heart i obydwójce mieli szmergla na punkcie goldenów.

– Brian, kochany, wiesz, gdzie jest barek. Wyszły nam oliwki do koktajli, to tragedia dziejowa, ale ponieważ jesteśmy Amerykanami, jakoś to przeżyjemy.

Brian nachylił się, by też pocałować gospodynię, i powiedział:

– Nie możemy zostać tu dłużej niż minutkę, Millie. Czas na nas, musimy lecieć.

– Ależ z ciebie przystojny młodzieniec, Matko Święta. To chyba nienaturalne. Nie powinieneś tak wcześnie robić sobie operacji plastycznych. Kiedy dojdiesz do sześćdziesiątki, usta ci się rozciągną od ucha do ucha.

– A gdzie Barry? – zapytała Amy.

– Poszedł z psami tylko przejść się na plażę. Żadnych igraszek w morskiej pianie. Już nie mamy czasu, by wyczesać piach z ich futra, czekają nas jeszcze zwykłe zabiegi.

Fred i Ethel wypatrzyli tę trójkę na plaży. Pobiegły do krawędzi patio, ale choć miały wielką ochotę zbiec po zboczu nad morze, nie odważyły się na to bez pozwolenia.

Millie rzuciła okiem na Nickie i twarz jej pojaśniała z zachwytu.

– Miałaś rację, Amy. To piękny pies. Chodź do mnie, prześliczne stworzenie. Jestem ciocia Millie. Nie wierz ani słowu z tego, co ci o mnie naopowiadali.

Kiedy Nickie i Millie czarowały się wzajemnie, Amy patrzyła, jak Barry spaceruje z Daisy i Mortimerem.

Po skończonej zabawie psy kręciły się leniwie po plaży, wachając napotkane po drodze muszelki, wyrzucone przez morze patyki, pęki wodorostów, kawałki szkła wygładzone przez fale, zostawione przez ostatni przypływ, czekające, aż następny zabierze je z powrotem.

Tysiące fragmentów odbicia księżycowej poświaty, rzucone w zagłębienia i grzbiety fal, tworzyły samoistną układankę, tworząc nową srebrzystą sferę, która połyskiwała w ruchomej powierzchni wody, skręcała, by znów rozbić się na drobniutkie kawałeczki.

Powtarzający się rytm życia morza, tysiące kilometrów księżycowej poświaty oraz obecność psów tworzyły atmosferę głębokiego spokoju, zawieszenia w czasie, świadomość istnienia nieskończonej łaski, którą dostrzec można, gdy ucichnie zgiełk dnia codziennego.

Amy miała uczucie, jakby ta chwila spokoju miała się w najbliższym czasie nie powtórzyć, o ile nie była ostatnią, jakiej doświadcza.

Zobaczywszy gości zebranych na patio, Barry Packard wrócił ze spaceru, mając psy za swoją forpocztę.

Spośród wielu zalet Packardów Amy najbardziej ceniła sobie ich upodobanie do określonego rodzaju psów. Przyjmowali wyłącznie psy wymagające szczególnej troski, które najtrudniej było umieścić u rodzin chętnych do zaopiekowania się nimi na stałe.

Jako zaledwie kilkutygodniowe szczenię Mortimer został wyrzucony na śmietnik, ponieważ cierpiał na rozszczep kręgosłupa i był sparaliżowany od pasa w dół. Mimo że potraktowany jak śmieć, miał jednak szczęście, bo przecież zanim trafił do pojemnika na odpadki, mógł zostać utopiony.

Trzech weterynarzy, którzy badali Mortimera, uznało, że jego kalectwo jest na tyle głębokie, że można go jedynie uśpić.

Ale w jego pełnym wyrazu pyszczku Amy dostrzegła coś, co świadczyło o tym, że psina miała duszę jak każde inne stworzenie.

Początkowo Mortimer mógł chodzić, poruszając tylko przednimi łapami i wlokąc za sobą tylne. Po operacji usunięcia bardzo zdeformowanej lewej tylnej łapy i po wielotygodniowej terapii stał się trzynogim szczeniakiem, który mógł nie tylko chodzić bez ciągnięcia za sobą zadu, ale też biegać, nierównym, zabawnym, ale zręcznym krokiem.

Mortimer, obecnie pięcioletni, był zarejestrowanym psem terapeutycznym. Milly zabierała go do szpitala dziecięcego, gdzie wszystkie dzieci, zarówno chore, jak i niepełnosprawne, okazywały nieklamany podziw dla dzielnego i wesołego pieska.

Daisy była niewidoma. Kierowała się węchem, słuchem oraz instynktem, ale mogła się poruszać także dzięki stałej bliskości Mortimera, który okazał się dla niej godnym zaufania przewodnikiem i serdecznym przyjacielem.

Kulawy Morty i ślepa Daisy wbiegły po schodkach wiodących po zboczu porośniętym rozchodnikami, wykazując typowy dla goldenów entuzjazm z powodu przybycia gości.

Zazwyczaj, kręcąc przyspieszone młynki ogonami, zmierzały wprost do Amy i Briana. Teraz jednak, gdy zstąpiły ze schodów na patio, gdzie znajdowała się Nickie, zdarzyło się coś dziwnego.

Oba psy nagle zastygły, ich ogony, choć nieopuszczone, znieruchomiały, głowy miały uniesione wysoko, a uszy sterczące. Nie podbiegły do Nickie jak Ethel i Fred, by na nią modłą się przywitać.

Najpierw ruszył Mortimer, choć z pewnym ociąganiem, za nim Daisy. Podchodząc do Nickie, Mortimer pochylił głowę, po chwili to samo uczyniła Daisy.

Ostatnich kilka kroków Mortimer przeczołgał się niezgrabnie na brzuchu. Daisy, domyślając się, co on robi, poszła zaraz w jego ślady.

Kiedy byli już przy niej blisko, Nickie pochyliła się do Mortimera i zaczęła go lizać po pysku, jakby był jej szczenięciem.

Mortimer zamknął oczy i zachwycony poddał się tym pieszczotom, zamiatając ogonem posadzkę patio. Nie odwzajemnił tych pieszczot, co było do niego niepodobne.

Kiedy po chwili Nickie skupiła swoją uwagę na Daisy, której też czule wylizła pysk, jakby i jej matkowała, Daisy przymknęła niewidzące oczy i westchnęła z ukontentowaniem.

Fred i Ethel powstrzymali się przed powitaniem swoich starych przyjaciół, którymi były kalekie psy Packardów, jakby w obecności Nickie obowiązywały inne, nowe obyczaje. Stały w pobliżu, patrząc wyczekująco.

Przybywszy tuż za swoimi goldenami, Barry Packard obserwował to niezwykle powitanie. Mocnej budowy, z szeroką klatką piersiową, zawsze w dobrym humorze, przeważnie wchodził do domu z głośnym śmiechem, po którym następowały powitalne uściski dłoni i poklepywanie po plecach. Tym razem stanął w milczeniu, zaintrygowany niezwykłym zachowaniem psów.

Millie, zapominając o martini, wstała z krzesła, by lepiej widzieć całą tę scenę.

Amy pomyślała, że nie tylko dziwne zachowanie psów świadczyło o niezwykłości owej chwili.

Zapadła cisza, jakby wielki klosz przykrył nagle patio i całe domostwo. Ucichły odgłosy z sąsiedztwa, których i tak prawie nie zauważali – muzyka, czyjś przytłumiony śmiech, wzniosły chór przybrzeżnych żab. Nawet niewysokie morskie fale, choć wcale nie mniejsze i pojawiające się z tą samą co zwykle częstotliwością, teraz ciszej kończyły na brzegu swój bieg, dyskretnie wsiąkając w piasek.

Szlifowane szkiełka klosików sześciu gazowych lamp huraganowych przez cały czas rzucały rozchwiane tęczowe widma na twarze zebranych, stół i krzesła, ale nigdy w tak intensywnych kolorach jak teraz.

Może to wyobraźnia Amy sugerowała, że w powietrzu unoszą się ładunki nieznannej energii, tak jak przed burzą wyczuwalna jest ciężka atmosfera, ale jeżenie się włosków na ramionach, karku i plecach, które poruszały się jakby w takt dźwięków zaczarowanego fletu, na pewno nie było złudzeniem.

Psy uniosły się, Mortimer stanął na swoich trzech łapach, niewidoma Daisy na czterech. Cała piątka patrzyła na siebie przyjaźnie, szczerząc się, machając ogonami, ale nadal jakby w stanie niezwykłego uniesienia.

Barry Packard odezwał się ściszym tonem:

– Znałem tego dzieciaka od czasów szkolnych. Jack Dundy. Towarzyskie

zwierzę, tylko by imprezował. Liczyły się dla niego wyłącznie karty, piwo, dziewczyny i śmiech. Prześlizgiwał się przez studia, poświęcając na nie minimum wysiłku. Zepsuty pieniędzmi, nieodpowiedzialny, a mimo to pełen uroku.

Bez względu na to, jaką historię snuł Barry, zdawało się to nie mieć żadnego związku z zachowaniem psów. Mimo to Amy nadal czuła mrowienie na karku, głowie i ramionach.

– Którejś niedzieli wieczorem Jack wraca do college’u po weekendzie spędzonym w domu. Dwie przecznice dalej od kampusu widzi ogień na parterze trzypiętrowego domu. Idzie tam, waląc po drodze do innych drzwi i krzyżąc: Pali się! Mieszkanie szybko wypełnia się dymem.

Zdaniem Amy, nawet psy słuchały uważnie tej opowieści.

– Powiadają, że Jack, zanim zginął i zanim przyjechała straż pożarna, trzy razy wyprowadził stamtąd ludzi. Ocalił piątkę dzieci, których rodzice odcięci byli przez ogień. Usłyszał krzyk jeszcze jakiegoś dziecka, wszedł więc do płonącego domu po raz czwarty, mimo że słychać już było syreny nadjeżdżającej straży, pobiegł na górę, wybił okno mieszkania na trzecim piętrze, by rzucić stamtąd dwie dziewczynki na rozciągnięty na dole i trzymany przez ludzi koc, wrócił do pokoju po trzecie dziecko, ale już stamtąd nie wyszedł, spalił się doszczętnie, tak że nie dało się rozpoznać jego szczątków.

Stopniowo powracały nocne odgłosy. Przyciszona muzyka z sąsiedztwa, żabi chór.

– Nie mogłem zrozumieć, jak taki Jack Dundy, imprezowicz, bananowy chłopiec, luzak zawsze skory do wygłupów, mógł zdobyć się na coś tak niesłychanie heroicznego, tak pobawionego egoizmu. Przez dłuższy czas miałem wrażenie, że nie tylko nie znałem dobrze Jacka Dundy’ego, ale że nie znam też świata. Od tamtej pory nic już nie było tak proste jak przedtem, wydawało się, że dotychczas przebywałem na scenie, na której rozstawiono malowane dekoracje, podczas gdy coś innego rozgrywało się za kulisami.

Barry zamilkł, zamrugnął powiekami, jakby przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Od lat nie myślałem o Jacku Dundy. Dlaczego teraz sobie o nim przypomniałem?

Amy nie miała dla niego gotowej odpowiedzi, ale z powodów, których nie potrafiła sprecyzować, historia ta wydała jej się bardzo na czasie.

Naraz psy odzyskały swój dawny charakter, zaczęły łąsić się do ludzi, czekać na pieszczoty i zapewnienia, jakie to z nich słodkie, kochane stworzonka.

Ocean jawił się teraz jako czarna otchłań. Czarne też było tło księżyca i jeszcze czarniejsze dla gwiazd.

Amy uklękła, by podrapać Daisy po brzuchu, a ponieważ nie mogła wymienić spojrzeń z niewidomym psem, jej wzrok powędrował do Nickie, która przyglądała się swojej pani.

W jej pamięci ożył obraz zrywających się do lotu mew, z głośnym jak grzmot łopotem skrzydeł, których pióra wydawały się oślepiająco białe w świetle latami morskiej, omiatającym brzeg niczym ruchomy snop jasności, i z krzykiem jakby wieszczącym okropności, które rozgrywały się pod nimi, jakby chciały krzyknąć: „Ratunku, mordują!”; a pod nimi Amy na zakrwawionym śniegu, z bronią trzymaną oburącz, krzycząca razem z mewami.

Billy Pilgrim dwa razy przemaszerował przed domem, w którym mieszkał i pracował Brian McCarthy. Na obu piętrach w oknach było ciemno.

Szef potwierdził telefonicznie, że sytuacja rozwija się zgodnie z planem. Redwing i McCarthy muszą zatem być w drodze do Santa Barbara.

Billy wrócił do cadillaca, w którym Pauline Shumpeter doznała rozległego wylewu, ale którego nie zbrukała. Wykazując spory tupet, zaparkował na placyku przed budynkiem McCarthy'ego.

Wsunął ręce w lateksowe rękawiczki, wysiadł z auta i używając zewnętrznych schodów, wszedł na górę do drzwi mieszkania.

Potrzebne mu były lateksowe rękawiczki, ponieważ nie zamierzał przemienić tego miejsca w kupkę popiołu i stopionego żelastwa za pomocą rosyjskiej bomby zapalającej. Osobiście wolałby zostawić odciski placów, po czym spalić ten dom na popiół, ponieważ w rękawiczkach pociły mu się ręce, a w dodatku czuł się w nich jak proktolog.

Używając pistoletu do otwierania zamków, uporał się z zasuwami w dwadzieścia sekund, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Nasłuchiwał przez chwilę, czy czasem nie usłyszy odgłosów kogoś, kogo musiałby zabić.

Billy'emu na ogół nie zdarzało się zabić dwóch osób w ciągu jednego dnia i asystować przy zabójstwie następnych dwóch oraz usunięciu ich zwłok. Gdyby ten dzień był dniem pokazywania własnemu synowi pracy tatusia – oczywiście gdyby miał syna – chłopak mógłby sobie pomyśleć, że praca jego taty jest o wiele fajniejsza, niż była w istocie.

Czasami mijały całe miesiące bez potrzeby zabicia kogokolwiek. A mijał nieraz rok albo i dwa bez konieczności poświęcenia przyjaciela czy też zlikwidowania osoby kompletnie nieznamomej jak Shumpeter.

Jasne, że w jego fachu codziennie trzeba było popełnić jakieś przestępstwo, ale przeważnie nie były to gardłowe sprawy, za które groził stryczek i pogrzeb na koszt państwa.

W rzeczywistym życiu rzadko zdarzało się tyle śmiertelnych ofiar, ile można było znaleźć w dobrych powieściach typu: życie jest bez sensu i w ogóle głupie, co sprawiało, że nawet po tylu latach Billy nadal pochłaniał te lektury.

Deprymujące jednak było to, że w rzeczywistym życiu zdarzały się sytuacje, które nie okazywały się tak bardzo bez znaczenia, jak to przedstawiali ulubieni autorzy Billy'ego. Od czasu do czasu napotykał sytuacje, w których widać było jakiś logiczny ład w ciągu zdarzeń, albo poznawał ludzi, którzy mieli w życiu jakiś cel.

W takich przypadkach Billy uciekał do swoich książek, dopóki rozbudzone wątpliwości nie cichły.

Ale w sytuacjach, gdy jego ulubione lektury nie zdołały przywrócić mu stanu błógiego cynizmu, zabijał taką osobę, której życie wydawało się mieć jakieś znaczenie, bo wtedy okazywało się, że znaczenie to było najzupełniej iluzoryczne.

Mieszkanie nadal pogrążone było w ciszy, więc Billy przeszedł wszystkie pokoje, w każdym z nich zapalając światło.

Nie lubił skąpego wystroju wnętrza. Minimalizm wnosił zbyt dużo spokoju. Za dużo w nim było zen. Wszystko tu wyglądało na takie nierzeczywiste. Życie to chaos. Ten wystrój nie miał w sobie autentyzmu.

Autentyczny wystrój miał dom pewnej sfiksowanej staruszki, która przez pięćdziesiąt lat trzymała w domu gazety i setki torebek ze śmieciami poutykanych po całym mieszkaniu i której mąż od dwunastu lat spoczywał martwy na kanapie w salonie, a dwadzieścia sześć kotów miało objawy różnych chorób. Autentycznym wystrojem były szkielety domów zrujnowanych przez bomby, kamienice, w których roiło się od starych kurew, oraz wszystko, co miało cokolwiek wspólnego z Vegas.

Billy uwielbiał Vegas. Dla niego idealne wakacje, jakimi niezbyt często miał okazję się cieszyć, to pojechać do Vegas z dwustoma paczkami dociców żywą gotówką, z tego przegrać połowę przy stolikach gry, następnie odegrać się, a potem wszystko stracić, a w drodze powrotnej do domu zabić kogoś zupełnie obcego.

W klinicznie czystym gabinecie McCarthy'ego, w którym nie było nawet jarzeniówek, Billy odłączył zasilanie komputera, i niósł go ze sobą przez pokoje, aż doszedł do drzwi wejściowych. Kiedy będzie jechał do Santa Barbara, mózg komputera włoży do bagażnika. Potem zaleje go płynami korozyjnymi i spali w spalarni.

Architekt wiedział, że ma ze sobą zabrać laptopa. Billy będzie musiał zniszczyć to urządzenie już po śmierci McCarthy'ego.

Wrócił do gabinetu, gdzie w szafie na dokumenty odszukał wydruki wszystkich e-maili, które Vanessa wysłała do architekta w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Mimo że kosz na śmiecie miał okazałe rozmiary, korespondencja ta wypełniła go po brzegi. Billy postawił kosz przy drzwiach wejściowych.

Ponieważ McCarthy mógł zachować na dyskietce stare wiadomości, Billy również je przeszukał, ale nie znalazł żadnych, które, sądząc po napisach, należałoby wyrzucić.

Jego celem było wyeliminowanie jakichkolwiek śladów, które w wypadku zaginięcia McCarthy'ego mogłyby prowadzić do Vanessy.

Mimo że nie spodziewał się znaleźć żadnego pamiętnika, dla pewności przeszukał też gabinet i sypialnię.

Podobnie jak w kwestiach literatury, autentycznego wystroju, idealnych wakacji i wielu innych spraw, Billy miał swoją teorię również na temat pamiętników.

Kobiety w większym stopniu niż mężczyźni skłonne są uważać, że ich życie ma wystarczające znaczenie, by je dokumentować w codziennych zapiskach. Chodzi przy tym nie o przekonanie, że Bóg je wysłał w ziemską wędrówkę, by spełniły jakąś misję, ale raczej o sentymentalną wiarę w wyjątkowość własnej osoby, czego nikt zdaje się nie dostrzegać. Zazwyczaj około trzydziestki przestają prowadzić pamiętnik, ponieważ przeraża je myśl, którą zaczynają spostrzegać, że próżno doszukiwać się jakiegoś głębszego sensu w życiu.

W mieszkaniu McCarthy'ego nie znalazł wprawdzie pamiętnika, ale znalazł za to szkice i szczegółowe rysunki, będące przeważnie portretami. To by świadczyło o tym, iż architekt skrycie marzył o karierze artysty, którą wyżej cenił niż projektowanie domów.

Stół kuchenny zarzucony był rysunkami. Jeden z nich przedstawiał szczególnie poruszający portret golden retrievera. Inne okazały się studium oczu w różnym oświetleniu. Jeszcze inne zawierały abstrakcyjne wzory światła i cienia.

Billy oglądał rysunki zafascynowany, ponieważ domyślał się, że artysta w trakcie ich tworzenia musiał pozostawać w stanie wewnętrznego chaosu. Billy zaś uważał się za eksperta w dziedzinie chaosu.

Stał przy stole, przerzucał pokryte rysunkami kartki, a po chwili, nie wiedząc nawet, jak to się stało, znalazł się na krześle. Zegar ścienny pokazywał, że oglądanie rysunków zajęło mu już ponad piętnaście minut, podczas gdy jemu samemu wydawało się, że nie trwało to dłużej niż dwie – trzy minuty.

Następnie, nadal pochłonięty sztuką, poczuł, że krew spływa mu po policzkach.

Nie odczuwając żadnego bólu, zadziwiony, podniósł rękę do twarzy, by nad brwiami znaleźć ewentualną ranę, ale niczego takiego się nie doszukał. Kiedy popatrzył na palce, zauważył, że są mokre.

Rozpoznał, że to są łzy. W swojej pracy sam nieraz doprowadzał ludzi do łez.

Billy nie płakał od trzydziestu jeden lat, czyli od czasu, gdy przeczytał tak wspaniale napisaną powieść, która wycisnęła z niego ostatnie pokłady wzruszenia i współczucia wobec bliźnich. W jego przekonaniu ludzie byli albo maszynami, albo mięsem. A czyż można współczuć maszynom albo mięsu?

Ta sama powieść sprawiła, że niemal bez końca wił się ze śmiechu nad bezdenną ludzką głupotą, czym również wyczerpał życiowy limit śmiania się do łez.

Te nowe łzy zaniepokoiły Billy'ego.

Wprawiły go też w zdumienie.

Przestraszył się.

Dłonie spocły mu się ze strachu.

Jego lateksowe rękawiczki stały się wewnątrz śliskie od potu, który wsiąkał w mankiety koszuli i spływał na przeguby rąk.

Gdyby to były łzy wywołane śmiechem, przypuszczalnie by je zaakceptował. Nie czuł jednak, żeby wzbierał w nim śmiech.

Jego pogarda dla ludzi była tak głęboka i niezmierna, że wiedział, iż nie mogły to być łzy nad tragikomiczną kondycją rodzaju ludzkiego.

Przyszło mu do głowy jedno tylko wytłumaczenie: że był to płacz nad samym sobą.

Niepokój przerodził się w lęk.

Współczucie dla samego siebie zakłada, że człowiek czuje się oszukany przez życie. Przecież na ogół spodziewa się, że gra będzie się toczyła fair, jeżeli wszechświat funkcjonuje na takich samych zasadach, pewnych tao, które w gruncie rzeczy są łagodne.

Taka myśl była intelektualną zasadzką, czarną dziurą, wirem, który mógł go wciągnąć i zniszczyć, gdyby dał się jeszcze raz złapać.

Billy znał potęgę takich hasłowych myśli. „Jesteś tym, co jesz”, żywieniowcy bez końca napominają zjadaczy fast foodów, a zarazem utożsamiasz się z ideami, jakie wyznajesz.

Już przed laty, spragniony jak wędrowiec na pustyni, Billy zlał do jednej kadzi

powieści stworzone przez dwa pokolenia intelektualistów, po czym zakonserwował się, i to całkiem wygodnie, w tej zalewie. Teraz, kiedy miał pięćdziesiąt jeden lat, był już za stary, by z koperku stać się korniszonem. Ba, nawet kiedy miał dwadzieścia pięć lat, byłoby na to za późno.

Nie wiedział, dlaczego rysunki psa doprowadziły go do łez.

Z sercem bijącym mocno, jak u człowieka ciężko wystraszonego, z trudnością oparł się pokusie, by jeszcze raz przyjrzeć się im uważnie, bo może udałoby mu się odkryć przyczynę, która sprawiła, że wywarły na nim takie wrażenie.

Rzucając na szalę własną przyszłość i szczęście, zgarnął szybko wszystkie rysunki i popędził z nimi do gabinetu Briana McCarthy'ego, gdzie przepuścił je przez niszczarkę stojącą przy biurku.

Niemal przekonany, że wily się w jego rękach jak żywe, zapakował splątaną masę pasków szerokości pół centymetra do ciemnozielonej plastikowej torby na śmiecie, którą znalazł w kuchni. Później spali je gdzieś w Santa Barbara.

Kiedy zniósł do cadillaca twardy dysk komputera oraz kosz pełen wydruków i wrzucił je do bagażnika, serce biło mu już w niemal normalnym rytmie, a oddech również się unormował.

Siedząc za kierownicą, ściągnął obrzydliwie wilgotne lateksowe rękawiczki i cisnął je za siebie na tylne siedzenie.

Dłonie wytarł o spodnie, potem jeszcze dla pewności o kurtkę i koszulę, po czym odjechał, by jak najszybciej znaleźć się daleko od tej jaskini McCarthy'ego.

Zanim znalazł wjazd na autostradę, łzy przestały mu cieknąć, a policzki zaczęły obsychać.

Przyszło mu do głowy, że aby pozbyć się tego niepokojącego wrażenia, najlepiej będzie, jak zabije jakiegoś przypadkowego przechodnia, wybranego na chybił trafił.

Czasem jednak nawet nieplanowane wcześniej morderstwo musi poczekać na bardziej sprzyjający moment. Billy już w chwili wyjazdu do Santa Barbara był spóźniony, musiał więc nadrobić stracone godziny.

U Amy Brian odmierzał porcje karmy i smakołyków do plastikowych, zamykanych szczelnie torebek, zapas większy, niż potrzebowali na trzydniowy wyjazd. Zapakował je do torby wraz z miskami na jedzenie i wodę oraz pozostałym psim ekwipunkiem, podczas gdy Nickie grzecznie, ale skutecznie wypraszała smaczne kąski.

Amy w sypialni wybierała ubranie potrzebne na dwa dni, dżinsy i swetry, które zapakowała do jednej torby razem z jej SIG P245 oraz zapasowym pełnym magazynkiem.

Od czasu przeniesienia się do Kalifornii nie używała broni.

Nie miała wyraźnego powodu, dla którego zabierała ze sobą broń. Vanessa z pewnością była niezrównoważoną, małostkową i mściwą kobietą, może nawet okrutną, sądząc po treści jej e-maili, ale to jeszcze nie wskazywało, by miała być zabójczynią.

Wydawało się, że jest zbyt wielką egoistką, by ryzykować utratę wolności, a co za tym idzie, również przyjemności.

Chcąc zapewnić sobie wygodne życie w luksusie u boku bogatego mężczyzny, który bardziej niż rozumem najwyraźniej kierował się innym organem, powinna starać się jak najszybciej bez zbędnych ceregieli doprowadzić do przekazania opieki nad dzieckiem.

Poza tym, mimo że Vanessa mogła być złą matką, złośliwą i dokuczającą córce, to jednak jej nie porzuciła ani nie udusiła w niemowlęctwie. Jak donosiła ostatnio prasa, na wysypisku śmieci znajdowało się więcej noworodków niż szczeniąt. Dziesięć lat opieki nad dziewczynką, nawet niechętnie sprawowanej, świadczyło o tym, że przynajmniej jakiś wąły płomyk odpowiedzialności tlił się w ciemnych zakamarkach jej mrocznego serca.

Sama Amy, podrzucona jako dwulatka do kościoła, z przypiętą do koszulki karteczką z jej nazwiskiem, nie mogła powiedzieć, kim byli jej rodzice ani też, że okazała się dla nich w mniejszym stopniu odpychająca niż dla Vanessy dziewczynka,

którą nazwała Piggy.

Kiedy miała trzy lata, bezdzietne małżeństwo, Darlene i Walter Harkinsonowie, zabrało ją z sierocińca Mater Misericordiae i adoptowało. W majestacie prawa otrzymała ich nazwisko.

Mgliście ich pamięta, ponieważ półtora roku później samochód, którym jechali, zderzył się z ciężarówką wiozącą cement. Walter i Darlene zginęli na miejscu, ale Amy wyszła z wypadku bez szwanku.

Czteropółletnia Amy po dwukrotnych traumatycznych przeżyciach – jednym spowodowanym odrzuceniem, a drugim stratą – wróciła do sierocińca, gdzie mieszkała do ukończenia osiemnastu lat.

Młodziutka Amy Harkinson mogłaby stać się bardzo krucha emocjonalnie i przetrącona psychicznie, gdyby nie mądrość i dobroć sióstr. Ale to nie tylko dzięki zakonnicom Amy doszła do siebie.

Nie mniej istotną rolę w procesie jej zdrowienia odegrał pewien golden retriever, który pewnego jesienego dnia, kulejąc, podszedł do niej na łące, brudny i zagłodzony. Było to kilka miesięcy po jej powrocie do sierocińca.

Dzięki swojemu urokowi suczka została stałym mieszkańcem sierocińca. Z nieznanymi powodów przyłgnęła szczególnie do Amy, zastępując jej siostrę i uzdrawiając jej małe serduszko.

Dziwne, ale do zabrania broni skłoniła Amy wcale nie ta wiedźma, jaka wyłaniała się z e-maili, dręczycielka Briana, ale właśnie golden retrieverka, która zaledwie dzień wcześniej pojawiła się w jej życiu, wnosząc w nie atmosferę tajemnicy i spojrzenie przypominające jej o poprzednim psie, który dawno temu nadał jej życiu sens i który nawet ją ocalił.

Zaznała w życiu goryczy utraty, poczucia zagubienia, zastraszenia, ale zawsze po chwilach grozy znajdowała oazę spokoju, nadzieję po stracie i pewnego rodzaju logiczny porządek, jaki następował po okresie chaosu i zagubienia. W gruncie rzeczy ona sama we wszystkim doszukiwała się ładu i zasad, i to umożliwiała jej dalsze funkcjonowanie.

Otwarte spojrzenie Nickie, piękne oczy Theresy patrzącej zranionym wzrokiem, Brian wykonujący z pasją rysunkowe studia oczu psa, jego sen o babce posyłającej mu znaczące mrugnięcie, wielkie oko latami morskiej, migającej wciąż po tylu latach w jej pamięci, niewidomy Marco z Filipin (prawdziwy lub nie), ślepa Daisy u boku ułomnego Mortimera – wszystko to podporządkowane było jednemu powtarzalnemu

motywowi: Oczy, miej oczy otwarte – to był ten główny motyw.

Ostatnio raz tylko mogła poczuć fizyczne zagrożenie – ze strony Carla Brockmana i jego żelaznej lagi, ale to zagrożenie minęło. Mimo to zapamiętała wyraz jego oczu, które patrzyły nagle i groźnie.

Do ostatnich powtarzalnych motywów zaliczyć mogła też dziwne zdarzenia ze światłem i cieniem, które przypominały jej o istnieniu rzeczy widzialnych i niewidzialnych.

Czuła, że w pobliżu czai się coś niewidzialnego.

Dopóki miała oczy szeroko otwarte i dopóki powtarzalne motywy okazywały się niegroźne, a jej interpretacje przesadzone i mylne, dopóty mogła wierzyć, że zabranie ze sobą pistoletu było jedynie ostrożnością.

Powiedziała Brianowi, że weźmie ze sobą pistolet. W odpowiedzi tylko skinął głową, jakby chciał rzec: Właściwie, czemu nie?

Żadne z nich nie zakwestionowało też tego, że biorą ze sobą Nickie. We wszystkich powtarzalnych motywach zawsze przewijał się pies, a szczególnie ten właśnie pies.

Mimo że zdecydowali się pojechać samochodem należącym do Amy, za kierownicą usiadł Brian, bo to on miał ostatnio więcej snu, choć zakłócanego przez tornado, natomiast Amy chciała spokojnie przemyśleć kilka rzeczy, nie rozpraszać się śledzeniem ruchu drogowego.

Położyli tylne fotele, tak by Nickie mogła się usadowić tuż za nimi w obszernej już przestrzeni bagażowej.

Gdy Brian wyruszył przed jej bungalowu, Amy wydało się, że w oknie domu Lottie Augustine mignęła blada twarzyczka dziewczynki.

– Zaczekaj – powiedziała do Briana.

Brian nacisnął na hamulec, ale gdy Amy obejrzała się za siebie, firanka zasłoniła szybę i twarz za nią znikła.

Po chwili wahania Amy rzekła:

– Nic, nic, jedźmy.

Przy każdej mijanej przecznicy, przy każdej nowej ulicy, a potem wzdłuż autostrady Amy co chwila zerkała w boczne lusterko i odwracała się, by przez tylną szybę sprawdzić, czy ktoś za nimi nie jedzie.

– Nie ma nikogo – uspokoił ją Brian.

– Ale ona mówiła, że będą cię śledzić.

– Teraz nie muszą nas obserwować. Wiedzą, że jedziemy do Santa Barbara. Tam dopiero mogą zacząć nas śledzić.

Godziny szczytu dawno minęły. Nadal w kierunku północnym utrzymywał się duży ruch, ale pojazdy przynajmniej posuwały się dość szybko. Ruch na autostradzie przypominał tkanie kolorowej tkaniny w czerwonym i białym kolorze świateł.

– Jak myślisz, czy ona, będąc tak trudną osobą i sprawiającą tyle kłopotów, mogłaby zrobić w całą tę hecę bogatego mężczyznę, którego w dodatku zaciągnęłyby do ołtarza?

– Tak – odpowiedział bez wahania. – Jeśli miał takiego pecha, że spotkał ją na swojej drodze, Vanessa mogłaby go zawrócić z obranej wcześniej drogi i wprowadzić na własną ścieżkę. I tu nie chodzi o jej wygląd. Ona instynktownie wyczuwa czyjeś słabe strony, dowie się, który guzik nacisnąć, by otworzyć drzwi wiodące do najciemniejszych zakamarków jego duszy.

– Ty miałbyś mieć jakieś ciemne strony? Nawet kiedy byłeś młody i głupi, jak powiadasz? Nie wierzę, byś miał mroczne zakamarki w swojej duszy.

– Większość ludzi ma – zaproponował. – A może nawet wszyscy je mamy. Ale jedyne co możemy zrobić, to bronić do nich dojścia, trzymać drzwi zamknięte solidnie na klucz.

Piggy nie może nie wpuszczać ich do środka. Oni mogą ją trzymać w zamknięciu, ale ona nie może trzymać ich na zewnątrz.

Nigdy nie wie, kiedy otworzą się drzwi. I to napawa ją strachem.

Niechaj się nie trwoży serce wasze³.

Czasem słyszy zbliżające się kroki. Czasem jednak podchodzą bezszelestnie jak cień, który bieży za tobą schodami, a wtedy wchodzi szybko.

Nie może dać się złapać, kiedy nieraz robi Coś Najgorszego. O, wtedy nasłuchuje bardzo uważnie, by w porę usłyszeć zgrzyt zamka.

Sprząta sałatkę kartoflaną i wszystkie brudy, jakie zostawiła matka. Śmiecie zbiera do torby. W umywalce w łazience pierze wszystkie ścierki.

Potem podchodzi do drzwi i nasłuchuje. Są daleko, może nawet poszli do kuchni.

Matka i mężczyzna nie śpią, kiedy jest ciemno. Idą spać dopiero, gdy pokazuje się słońce.

Bezpieczniej jest robić Coś Najgorszego na Świecie, kiedy oni śpią. Ale tak bardzo chce to zrobić teraz.

Dobrze byłoby mieć tu okno, przez które mogłaby wyglądać. Kiedyś mieszkali w miejscu, gdzie mogła swobodnie widzieć niebo.

Teraz okna zasłonięte są drewnianymi okiennicami. Słońce widoczne jest przez szpary, ale nie da się przez nie wyglądać.

Gdyby mogła zobaczyć niebo, zaczekałaby z robieniem Najgorszej Rzeczy. Niebo wprawia ją w lepszy nastrój.

Najbardziej lubi niebo, kiedy robi się ciemno. Wtedy wydaje się głębsze. Wtedy widzi i słyszy, co mówi Misiak.

Tęskni za Miśkiem. Bardziej jej go brakuje niż okien. Zawsze będzie za nim tęsknić.

Nigdy go nie zapomni, nigdy, przenigdy, choć czasem zmusza się, by zapomnieć

różne rzeczy.

Lubi księżyc. Gwiazdy też lubi. Lubi, kiedy one spadają, bo wtedy może wypowiedzieć życzenie.

Gdyby mogła zobaczyć spadającą gwiazdę, poprosiłaby o okno. Ale do tego potrzebne jest właśnie okno.

To Misiak wyjaśnił jej, jak działa gwiazda spełniająca życzenia. Misiak wszystko wiedział. Nie był głupi tak jak ona.

„Niech twoje serce się nie trwoży, Piggy”.

Misiak tyle razy to powtarzał.

Mówił też: „Wszystko obróci się na lepsze, nawet jeśli trudno w to uwierzyć”.

Trzeba tylko czekać. Czekać na kanapkę, w której by nie było martwego czy żywego robaka ani też gwoździa. Jak się czeka, to można się doczekać na dobrą kanapkę. Zaczeka więc też na okno. Będzie czekać.

Głosy w kuchni nadal pozostają w kuchni, z takiej odległości nie rozróżnia się słów. Może jest bezpieczna.

Na dużym krześle leży poduszka. Poduszka ma powłoczkę. W powłoczce jest zamek błyskawiczny.

W środku, pod powłoczką, ukryta jest Zawsze Błyszczącą Rzeczą.

Zawsze znaczy: przez wszystkie dni, które nastąpią, a potem jeszcze więcej. Misiak jej to wytłumaczył.

Zawsze znaczy: bez początku i bez końca. Zawsze znaczy, że może się zdarzyć coś dobrego, wszystko, o czym tylko pomyślisz, ponieważ na wszystko będzie pora.

Skoro na wszystko dobre jest odpowiednia pora, w takim razie czy nadejdzie czas na wszystko złe, o czym tylko można pomyśleć?

Zapytała o to Miśka, ale on odpowiedział, że nie.

Za każdym razem, kiedy trzyma w ręce Zawsze Błyszczącą Rzeczą, Piggy czuje się lepiej. Nie taka samotna.

Samo bycie samotną jest lepsze niż przebywanie z matką i mężczyzną.

Ale trudno jest być samej.

Bardzo trudno.

Od kiedy pamięta, przeważnie była sama. Nawet nie wiedziała, jak źle z tym jest, dopóki nie poznała Miśka.

Miała Miśka, a potem już go nie miała, a od kiedy Miśka już nie było, zobaczyła,

³ J 14,1. cyt. wg Biblii Tysiąclecia, Pallotinum 2003

jak ciężko jest być samej.

Czuje jego bliskość, kiedy trzyma w ręce Zawsze Błyszczącą Rzeczą. Teraz ścisną ją bardzo mocno.

Dostała ją od Miśka. To jej tajemnica. Matka nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Gdyby to się wydało, dostałaby za swoje.

Teraz, stojąc przy krześle, gdzie może szybko wsunąć pod powłoczkę Zawsze Błyszczącą Rzeczą, Piggy robi Najgorszą Rzeczą, Jaką Mogłaby Zrobić.

Boi się, bo mogą ją złapać. Ale po chwili już się nie boi.

Robienie Najgorszej Rzeczy zawsze sprawia, że przestaje się bać. Na chwilę.

Musi zwracać uwagę na czas. Nie jest w tym dobra. Bywa, że krótka chwila wydaje się długą chwilą. Ale bywa też, że dużo czasu upływa nie wiadomo kiedy.

Jeśli zapomni o upływie czasu, odpłynie, jak to jej się zdarza, a wtedy przestanie nasłuchiwać, czy nie zazgrzyta zamek w drzwiach.

Przez chwilę siedzi cichutko, ale mówi, co ma w sercu.

„Zawsze mów, co masz w sercu, Piggy. Tak będzie dla ciebie najlepiej”.

Już po wszystkim. Teraz nie czuje się taka samotna jak przed chwilą.

– Och, Misiu – wzdycha.

Od czasu do czasu Piggy wydaje się, że jeśli kilkakrotnie wypowie głośno jego imię, on odpowie. Ale nigdy jeszcze nie odpowiedział. Czasem Piggy próbuje go przywołać.

Misiu nie żyje. Mimo to mógłby odpowiedzieć.

Misiu nie żyje, ale przecież ma być zawsze.

Zawsze z nią będzie. Obiecał jej to.

„Bez względu na to, co się stanie, Piggy, ja będę zawsze z tobą”.

Matka go zabiła. Piggy to wiedziała.

Piggy chciałaby też być zabita.

Przez długi czas było jej bardzo źle. Bardzo. Było ciemno nawet wtedy, kiedy było jasno.

Ciemność cofała się tylko pod działaniem Zawsze Błyszczącej Rzeczy, która była jej sekretem.

Teraz, zanim włoży ją z powrotem pod powłoczkę, Piggy raz jeszcze na nią patrzy.

Srebro. Misiu mówił, że to jest zrobione ze srebra.

Jest tam napisane słowo, jedno z kilku słów, które Piggy potrafi przeczytać.

HOPE. Właśnie to słowo zawieszono na łańcuszku.

Jechali, zatrzymując się po drodze tylko w restauracjach dla zmotoryzowanych na cheeseburgera, frytki i coś zimnego do picia, jedli podczas jazdy, z serwetkami pod brodą i na kolanach.

Nickie wtykała głowę w przestrzeń między fotelami i oblizywała pysk, zanim strużki śliny mogły zmoczyć podłogę, w ten sposób wyłudząc trzy kawałki cheeseburgera i cztery frytki. Wycofała się jednak posłusznie i usiadła grzecznie za fotelem Amy, gdy ta powiedziała stanowczo:

– Nie dostaniesz już więcej. Nie, nie.

Każda podróż jest po trosze romantyczna, zwłaszcza kiedy jedzie się nocą, a je w locie. Wtedy głęboko zapada w pamięć. Z przemieszczaniem się związane jest złudzenie, że los nas nie dosięgnie, kiedy znajdujemy się w ruchu, bo puka on do drzwi, które przed wyjazdem właśnie zamknęliśmy za sobą, a skoro toczymy się na kółkach, to żadna zła wiadomość nie zostanie nam przekazana.

To złudne przekonanie, dające iluzję bezpieczeństwa, wzbogacone o znakomite, ale niezdrowe jedzenie, wprowadziło Amy w nastrój dający poczucie izolacji, w innych warunkach niedostępne.

Kiedy skończyli jeść, a wszystkie serwetki zostały upchnięte do firmowej torby In-N-Out, Amy się odezwała:

– Opowiadałam ci o tym, jak zostałam porzucona, i o swoim pobycie w sierocińcu, potem o wypadku i powrocie do sierocińca, ale nie mówiłam ci jeszcze o swoim pierwszym psie.

Ostatnie przeżycia sprawiły, że po powrocie do Mater Misericordiae stała się milcząca, stroniła od ludzi i przestała się uśmiechać, co martwiło zakonnice.

Któregoś słonecznego październikowego popołudnia, mniej więcej miesiąc po swoim powrocie, wyniknęła się w najdalszy kąt placu zabaw, jak najdalej od zabudowań sierocińca, czyli kościoła, szkoły i budynku mieszkalnego, które okalały posesję Mater Misericordiae. Plac zabaw usytuowany był w najwyższym miejscu wzgórza, skąd rozciągała się na zboczu łąka wiodąca do opasanej autostradą doliny, w

której rozlokowało się miasto i gdzie przepływała rzeka.

Usiadła na skoszonych trawie, na granicy łąki, gdzie załamywał się szczyt wzgórza, pod zwieszającymi się gałęziami ogromnych starych dębów. Babie lato już się skończyło, a wysokie trawy łąki na zboczu nabrały koloru słońca, które pozbawiło je zieloności.

Cienie dębów rozkładały się na zboczu już wcześniej rano, ale pojawiały się tam powtórnie, gdy zbliżało się południe. Wtedy cienie innych drzew kładące się u stóp łąki stopniowo gęstniały.

Na tle tej cienistej łąki mała Amy dostrzegła zbliżającą się ku niej złotą kulkę, która pojawiwszy się na słonecznej plamie, nabrała czerwonego odcienia na jasnożółtym tle wysuszonej trawy. Widząc, że to pies, wstała, by odejść, ale zaraz się zatrzymała, gdy dostrzegła, że zwierzę kuleje.

Wtedy nie знаła jeszcze towarzystwa zwierząt, a instynkt nakazywał jej ostrożność. Ale ponieważ pies kulał na prawą tylną łapę, współczucie, które zastąpiło ostrożność, kazało jej zostać.

Biedne stworzenie było w opłakanym stanie, miało zmierzwione i brudne futro, wyglądało na porzucone i zostawione samemu sobie albo od dawna zaniedbywane. Ale kiedy zbliżyło się do niej, mimo słabości i widocznego bólu, wyraźnie się uśmiechało.

Nie wiedziała wówczas, że to był golden retriever i że ta rasa miała swoich fanów właśnie ze względu na tę skłonność do uśmiechania się, której nie dawało się pomylić z wyrazem pyska psów innych ras, mogących podobnie wyglądać, kiedy po prostu dyszały.

Amy wyciągnęła rękę do retrievera, a zwierzę nie zawarczało ani się nie wycofało, za to postąpiło krok naprzód i polizało jej palce w sposób, który dziewczynka odebrała jako pocałunek wdzięczności.

W połowie drogi do sierocińca, prowadząc tam kulawą znajkę, Amy spotkała siostrę Angelicę. Przez chwilę zapanowało zamieszanie, kiedy to dzieci wysypały się na boisko zobaczyć psa, którego Amy Harkinson uratowała na łące.

Nadeszła siostra Agnes Mary, pełniąca funkcję pielęgniarki, z zestawem pierwszej pomocy, by opatrzyć psinę. W jej tylnej lewej łapie znalazła odłamek szkła tkwiący w poduszeczce pod palcem, wyciągnęła go, a ranę przemyła płynnym antybiotykiem.

Mimo że pies był zszargany, wychudzony i zapchlony, wszystkie dzieci

jednogłośnie uznały, że powinien na zawsze zostać w sierocińcu w charakterze szkolnej maskotki.

W Mater Misericordiae nigdy nie było żadnej maskotki i siostry nie były przekonane, czy to dobry pomysł. Poza tym jako zakonnice miały duże poczucie odpowiedzialności. Chciały więc najpierw spróbować znaleźć właściciela goldena, mimo że pies nie miał obroży.

Zapewniwszy dzieci, że psina nie zostanie odesłana do schroniska, gdzie groziłoby jej nawet uśpienie, gdyby nikt się po nią nie zgłosił, siostra Angelica zapędziła wszystkie wychowanki do refektarza na obiad.

Amy ociągała się z odejściem, nie odstępując siostry Angeliki i siostry Claire Marie, kiedy na sporządzonej naprędce ze sznurka smyczy prowadziły swoją nową podopieczną do betonowego blatu przy pralni znajdującej się na zewnątrz budynku mieszkalnego. Tam dały się psu napić i rozpoczęły całą wymyślną akcję, by go jeszcze wykąpać.

Kiedy siostra Claire Marie zauważyła Amy, przypomniała jej, że miała wraz z innymi dziećmi pójść na obiad. Wprawdzie niechętnie, ale w końcu Amy posłuchała.

Pies nie protestował, kiedy inne dzieci się oddalały, ale widząc, że Amy odchodzi, zaczynał skamleć. Za każdym razem, gdy dziewczynka oglądała się za siebie, patrzył za nią niespokojnie, mając głowę uniesioną wysoko, a uszy postawione. Jeszcze za rogiem domu, kiedy zniknął jej z pola widzenia, słyszała, jak żałośnie popiskuje.

Amy zjadła bardzo niewiele ze swojej porcji obiadowej, kiedy siostra Jacinta, którą dzieci nazywały po cichu siostrą Myszką, bo miała cieniutki głosik, przyszła zabrać ją z powrotem do miejsca za pralnią.

Pies nie przestawał skamleć po odejściu Amy. Siostry, mając od lat do czynienia ze sprytnymi sierotkami, które różnymi sposobami próbowały wyprowadzać je w pole, nie dawały się łatwo nabierać, jednak wobec żalosnego skowytu psa nie mogły nie zmięknąć.

Kiedy Amy wróciła, pies natychmiast się uspokoił, uśmiechnął się do niej i zamachał ogonem.

Aż do zmierzchu, i jeszcze dłużej, grupka sióstr zajmowała się psem, ścinając skołtunione kępki futra, myjąc go dwukrotnie szamponem, a potem raz jeszcze z dodatkiem płynu na pchły, po który ojciec Leo specjalnie wyprawił się do miasta.

Kiedy Amy odstępowała psa na więcej niż dwa kroki, zaczynało się

skowyczenie, w końcu więc uczestniczyła w całości zabiegów pielęgnacyjnych.

W tym krótkim czasie Amy zdążyła bezgranicznie pokochać psa i ogromnie jej zależało na tym, by związać go z ośrodkiem Mater Misericordiae, uznała więc, że musi go natychmiast nazwać, mimo że jeszcze był mokry po kąpieli. Wyczuła instynktownie, że pies mający imię prędzej podbije serca siostr niż bezimienna znajda.

Oświadczyła, że skoro Boże Narodzenie przypada za niecałe dwa miesiące, pies musi być wczesnym podarkiem od Świętego Mikołaja, dlatego powinien nosić jego imię. Ale siostra Angelica poinformowała ją, że znajdka to dziewczynka, co tylko na krótką chwilę zbiło Amy z pantałyku, bo zaraz powiedziała:

– W takim razie będzie się nazywać Nickie.

Niemal po dwudziestu ośmiu latach od tamtej pory Brian, siedzący za kierownicą, odwrócił wzrok od drogi i westchnął:

– O Boże. To samo imię.

Amy obserwowała go, jak zastanawia się nad zawłościami splotów okoliczności, i zauważyła, jak przebiega go dreszcz zaskoczenia, mimo że z powrotem już patrzył na szosę.

– Była taka chwila w kuchni Brockmana – przypomniał – tuż przed tym, jak zaproponowałam mu, że kupisz psa. Siedziałam w kucki przy psie i nagle wstałam, patrząc na niego z napiętą uwagą. Wyglądałaś wtedy... trudno mi to określić... nie tyle zaskoczona, ile raczej olśniona. Nie wiedziałem, jak to rozumieć.

– On wtedy wypowiedział jej imię. Przedtem Janet, rozmawiając ze mną przez telefon, nie podała jej imienia. Właśnie wtedy, zanim nastąpił ciąg dalszy dziwnych zbiegów okoliczności, wiedziałam, że to imię nie jest kwestią przypadku. Nie pytały mnie, skąd wiedziałam ani jak to rozumiem, bo nawet teraz nie wiem, skąd się wzięła nasza Nickie i dlaczego tu jest. Byłam przekonana jednak, że to nie mogło się dzieć przez przypadek. Zresztą potem, gdy zapytałam Janet, dlaczego wybrała imię Nickie, odpowiedziała, że to Theresa tak ją nazwała.

– To ta mała autystyczna dziewczynka – uzupełnił Brian.

– Tak, autystyczna czy co tam jej jest. Theresa powiedziała, że psa trzeba nazwać Nickie, ponieważ zawsze tak miała na imię.

Brian znów przeniósł wzrok na Amy.

– Zawsze?

– Zawsze. Nie wiadomo, co miała na myśli. Ale przecież niewątpliwie coś miała

na myśli.

Dwadzieścia osiem lat wcześniej i około pięciu tysięcy kilometrów na wschód od wybrzeży Kalifornii, po długotrwałych nocnych kąpielach siostry zgodziły się, by znajdzie dać imię Nickie. Zauważyły, że pies pomógł Amy wyjść z niedobrej skłonności do izolowania się, że teraz już nie separowała się od otoczenia i znów zaczęła się uśmiechać. Chciały jej pomóc.

Kiedy Nickie została już dokładnie umyta i wysuszona, siostry postanowiły, że jej miejscem będzie szpitalik, gdzie siostra Regina Marie pełniła nocne dyżury przy hospitalizowanych pacjentach.

Mimo że wykąpana i nakarmiona, Nickie, będąca przedterminowym podarunkiem od Świętego Mikołaja, wyposażona w miękkie posłanie ze złożonych w kilkoro koców, nie okazywała zadowolenia, nie widząc w pobliżu Amy. Nieustanne skamlenie rozpoczęło się od nowa.

W owych latach pojęcie psa terapeutycznego nie było jeszcze szeroko rozpowszechnione, niemniej zakonnice Mater Misericordiae zauważyły pewien rodzaj pozytywnego związku, jaki został zadziergnięty pomiędzy czworonogiem a dziewczynką. Nagięły, a może nawet i złamały obowiązujące zasady i pozwoliły Amy spać w szpitaliku, podczas gdy przez cały następny tydzień usiłowały się dowiedzieć, skąd ten pies do nich przyszedł.

Nieustanne i natarczywe modły zanoszone przez Amy do Boga musiały Go w końcu zmęczyć, bo w przedsionkach niebieskich został wydany werdykt „Niech się stanie”, skoro siostrzyczkom nie udało się zlokalizować właściciela.

Kiedy doktor Shepherd, weterynarz, zbadał Nickie i zaordynował jej serię szczepień zgodnie z aktualnym stanem wiedzy oraz gdy okazało się, że suczka zachowuje się nadzwyczaj grzecznie, ale wykazuje symptomy choroby sieroczej, siostry Mater Misericordiae, zgodnie z nazwą swego zgromadzenia – Matka Miłosierdzia – przyjęły Nickie do siebie na stałe.

Oficjalna maskotka miała wstęp wolny do wszystkich budynków należących do zgromadzenia, z wyjątkiem kościoła, ale choć wszędzie serdecznie zapraszana, zawsze na noc przychodziła do sypialni Amy. Przez następne jedenaście lat była cieniem Amy, jej powierniczką i najgłębszą miłością.

W ciągu tych lat żadna spośród ponad trzystu dziewcząt, które w różnych momentach swojego życia zawitały do Mater Misericordiae, nie była tak znana i popularna jak niegdyś nieśmiała i stroniąca od ludzi Amy Harkinson. Przez ponad

dziesięć lat najczęściej pojawiającą się w dorocznych albumach osobą była właśnie Amy, jeszcze tylko Nickie była częściej od niej fotografowana, na większości kart albumu widać było jej uśmiechniętą mordkę, a to w szkolnych przedstawieniach, a to w czapce Świętego Mikołaja podczas bożonarodzeniowych zabaw albo z przypiętymi zajęczymi uszami na Wielkanoc czy z zawiązaną na szyi amerykańską flagą z okazji święta Czwartego Lipca, zawsze otoczona wianuszkiem uwielbiających ją dziewczynek i rozpromienionych siostrzyczek.

Amy miała szesnaście lat, kiedy zazwyczaj pełna wigoru Nickie wydała się zmęczona, podobnie następnego dnia, trzeciego zaś jakby zapadła w letarg. Stwierdzono u niej hemangiosarcomę, szybko rozwijającą się formę raka, który był w zbyt zaawansowanym stadium, by można było ją jeszcze operować czy też zastosować chemioterapię, w celu zatrzymania rozwoju choroby.

Nickie marniała w oczach. Czekałyby ją pewne cierpienia, gdyby nie zastosowano wobec niej prawa łaski, które należy się niewinnym stworzeniom. Nikt by zresztą nie mógł patrzeć na jej cierpienia.

Bóg nigdy nie jest okrutny, dlatego wszystko ma swoje uzasadnienie. Powinniśmy poznać ból spowodowany stratą kogoś bliskiego; gdybyśmy go nie zaznali, czyż bylibyśmy zdolni do współczucia bliźnim? Bez tego stalibyśmy się potworami zapatrzonymi w siebie samych, okazami egoizmu. Nieznośny ból spowodowany stratą kogoś bliskiego uczy pokory, zmiękcza zatwardziałe serca, a dobrych ludzi czyni lepszymi.

Szkoła i sierociniec pod patronatem Matki Miłosierdzia były dobrą placówką. Odejście Nickie, ulubionej maskotki wszystkich, a dla Amy istoty bliższej niż siostra, stało się nie tylko wspólnym przeżyciem, ale też swego rodzaju lekcją.

Te dziewczynki, które czuły się na siłach – a takich była większość – o zmierzchu miały się zebrać na wewnętrznym dziedzińcu, gdzie nie dyskutowano o tym, czy zwierzęta mają duszę, ale w ciszy to zaakceptowano, modląc się za Nickie. Po odmówieniu pacierzy, gdy zapadł zmrok, zapalono świece, setki świec, a w środku tego zgromadzenia klęczała Amy przy swej najlepszej przyjaciółce, pocieszając ją również swoją bliskością.

Siostra Agnes Mary zaofiarowała się asystować weterynarzowi, doktorowi Shepherdowi, kiedy będzie dawał dwa zastrzyki. Pierwszy, ze środkiem uśmierzającym, miał znieczulić i uspić Nickie, drugi zaś zawierał narkotyk, który miał zatrzymać pracę serca.

Na środku wewnętrznego dziedzińca ustawiono ulubioną kanapę Nickie z sali zabaw i położono na niej ją samą, już bardzo słabiutką. Amy uklękła na ziemi obok pierwszego psa, jakiego uratowała.

Zakładając, że Nickie wedle szacunków miała trzy lata, kiedy kulejąc szła po łące ku swojej pani, dożyła lat czternastu, ale nadal wyglądała jak szczeniaczek z białą łatką na pyszczku.

Zaledwie szesnastoletnia Amy miała na tyle siły, o jaką się nie podejrzewała, by przemawiać łagodnie, uspokajającym tonem, mimo że nie mogła powstrzymać łez.

Nickie, jakby chciała powiedzieć: „Nic się nie martw, spisujesz się wspaniale”, polizała Amy po palcach tak samo, jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkały się na łące. Wtedy był to powitalny pocałunek, teraz – pożegnalny.

Nickie zawsze uwielbiała, jak jej pyszczek trzymało się w złożonych dłoniach, kciukami pieszczotliwie głaszcząc po policzkach, mogła w nieskończoność poddawać się tej pieszczocie. Teraz Amy patrzyła w jej dotąd zabawny pyszczek i zawsze pełne wyrazu, ciemne oczy. Powiedziała do Nickie: „Jesteś najmilszym psem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi, zawsze byłam z ciebie dumna, z tego, jaka jesteś mądra, jak szybko z każdym się zaprzyjaźniasz. Kochałam cię bez przerwy, jak rodzoną siostrę albo jak własne dziecko czy jak samo życie”. Kiedy Amy to mówiła, Nickie dostała zastrzyk, po którym zapadła w sen, do ostatniej chwili patrząc w oczy swej pani. Amy poczuła, jak umęczonym ciałem zwierzęcia wstrząsnęły ostatnie konwulsje, a jego wielkie serce przestało bić. Nickie odchodziła do Pana. Światła świec wspięły się po murach otaczających dziedzińiec i rozbłysły w szybach okien, rzucając refleksy na wilgotne od łez twarze, a każdy płomyk wieścił to samo: Oto odchodzi wyjątkowy pies, który czynił pogodniejszym życie każdego, kto stanął na jego drodze.

Po siedemnastu latach, opowiadając to wszystko Brianowi, Amy czuła ten sam szarpiący ból, jak wtedy, tamtego strasznego wieczoru. I mimo że w następnych latach była świadkiem usypiania wielu innych psów, płakała, a głos załamywał jej się wielokrotnie, gdy opisywała scenę rozgrywającą się na dziedzińcu.

Tydzień potem siostra Jacinta, czyli „siostra Myszka”, dała Amy wisiorek z wrytym profilem golden retrievera. Od tej pory zawsze go ma na szyi.

Teraz na środku dziedzińca leży wypolerowana granitowa tablica w miejscu, gdzie spoczywa urna z prochami Nickie. Kamea taka sama jak ta, którą dostała Amy, zdobi nagrobek, a pod nią widnieje napis:

PAMIĘCI NICKIE,
PIERWSZEJ MASKOTKI MATER MISERICORDIAE,
KTÓRA MIAŁA WSZELKIE PRZYMIOTY IDEALNEGO PSA.

– Teraz rozumiem cię znacznie lepiej – odezwał się Brian – twoje poświęcanie się psom, podejmowanie ryzyka. W twoim życiu panował zamęt, a Nickie wniosła do niego ład. Spłacasz dług wdzięczności.

Mówił prawdę, ale ona nie opowiedziała jeszcze całej historii.

Na to, by opowiedzieć o zdarzeniach, które zaszły następnego dnia po pożegnaniu na dziedzińcu, trzeba było wielkiej odwagi. Nie rozmawiała o tym z nikim przez następne osiem lat.

Wspominanie swojego pierwszego psa wywołało u Amy większe i mocniejsze przeżycia, niż się spodziewała. Wstrząs spowodowany ponownym przeżywaniem był zbyt wielki, by jeszcze pomnażać go opowiadaniem dalszego ciągu.

Czuła się wyczerpana. Tyle się zdarzyło w ciągu ostatnich dziewiętnastu godzin, a czekał ich przecież równie emocjonalny, pełen nowych zdarzeń dzień.

Mimo że zebrała wszystkie siły, by opowiedzieć Brianowi tę historię, nie czuła się na tyle mocna, by ją dokończyć. Lepiej zaczekać, aż dotrą do córki Briana i sprowadzą do jego domu, gdzie jest jej miejsce.

Gunther Schloss, najemny morderca, pilot i beztroski anarchista, który miał jedną żonę w Kostaryce, a drugą w San Francisco, miał też kochankę w Santa Barbara. Nazywała się Juliette Junke, co wymawiało się podobnie do *junkie* i co nie mogło mniej do niej pasować, ponieważ do tego stopnia była przeciwniczką brania narkotyków, że kiedyś nawet wykastrowała dwóch pomniejszych dealerów narkotyków, którzy sprzedali działkę jej siostrzenicy.

Juliette Junke, występująca w interesach jako Juliette Churchill, prowadziła wraz z siostrą i dwoma braćmi przedsiębiorstwo pogrzebowe, Churchill's Funeral Home, elegancki zakład z czterema salami pożegnalnymi, które często wszystkie bywały jednocześnie w użyciu.

Mimo że interes ten okazał się całkiem dochodowy, klan Churchillów przerzucał nielegalnie przez granicę terrorystów – i nie tylko – w specjalnie skonstruowanych trumnach, wyposażonych w butle z tlenem i cały skomplikowany system zbierania moczu klientów podczas transportu do i ze Stanów.

Wielu hinduskich religijnych zabójców przejeżdżało autostopem niestrzeżone odcinki granicy lub też korzystało z międzynarodowych linii lotniczych, mając na sobie T-shirty z napisem po arabsku ŚMIERĆ WSZYSTKIM ŻYDOM, bez trudu przemykając się przez amerykańskie punkty kontrolne, podczas gdy odpowiadający za bezpieczeństwo, nadzwyczaj podejrzliwy federalny personel przeszukiwał dokładnie irlandzkie babcie czy skautów na obozowiskach.

Juliette i jej rodzinka wyspecjalizowali się w przerzucaniu najgroźniejszych terrorystów, których twarze były powszechnie znane policji na całym świecie, tak że wyruszając w misji dżihadu, nie mogli ryzykować podróży w przebraniu i musieli odbywać je jako zabalsamowane zwłoki. Na ogół byli to najważniejsi terroryści, ci, którzy mieli na swoim koncie najwięcej osiągnięć, a zatem i pieniędzy, byli więc sowsicie opłacającymi się klientami.

Po przyjeździe do Santa Barbara, gdy zakład był już zamknięty dla rodzin odwiedzających po raz ostatni swych drogich zmarłych, Billy Pilgrim spotkał się z

Juliette przy wjeździe do garażu. Zaparkował cadillaca w wolnej zatoczce między czarnymi karawanami.

Juliette Junke-Churchill była przystojną kobietą, a jak na grabarkę, nawet bardzo przystojną. Przypominała mu Jodie Foster z jej lat młodości, podobne kości policzkowe, niebieskie oczy, których jedno mrugnięcie mogło sprawić, że serce zaczynało mocniej bić, a jedna łza mogła złamać serce. Ale Juliette raczej niewiele płakała – jeśli w ogóle – i z pewnością nie posuwała się do takich figlów jak puszczenie oka. Wyglądała na osobę łagodną, ale była twarda. Gdyby oświadczyła, że potrafi łupać orzechy udami, Billy chciałby to zobaczyć, ale w ochronnych goglach, by go nie zraniły skorupki orzechów.

Powitała go ksywką, którą mu sama nadała:

– Jak się masz, molu książkowy, twój widok działa jak balsam.

Uścisnęli się, ponieważ wszyscy uważali za swój obowiązek uściskać Billy'ego, on zaś nie miał nic przeciwko temu, by wziąć w objęcia kogoś tak apetycznego jak Juliette.

Od razu wzięli się do roboty, opróżniając bagażnik cadillaca. Juliette złapała worek z pociętymi na paseczki rysunkami psich oczu, a Billy wyniósł kosz z całym archiwum poczty elektronicznej Briana.

Dom pogrzebowy wyposażony był w dwa bardzo wydajne krematoria, a jeden z pieców właśnie przygotowano do odpalenia.

Billy powierzył pieczy Juliette kosz na śmiecie pełen korespondencji, sam zaś poszedł po twardy dysk komputera Briana McCarthy'ego; kiedy wrócił, Juliette zdążyła już wrzucić do pieca wszystkie papiery. Cisnął do ognia pocięte szkice i wskazując na rdzeń komputera, dodał:

– Chciałbym zalać to jakimś kwasem.

– A po co, skoro mamy to spalić na popiół?

– Wolę mieć pewność na dwieście procent.

– Billy, nie denerwuj mnie. Miałam dziś parszywy dzień.

– No dobrze, ty lepiej ode mnie znasz te piece. Skoro mówisz, że one zrobią, co należy, to mi wystarczy.

Ani się obejrzał, jak Juliette złapała dysk jedną ręką i szurnęła go do pieca, jakby ważył mniej niż zdechły kot. Juliette nie cierpiała kotów, zapewne więc niejeden z nich skończył w nowoczesnym Power-Pak II.

Była piękną kobietą, twardą i silną, ale nie znalazłoby się w niej nic dobrego.

– Dlaczego miałaś parszywy dzień? – zapytał, gdy zamknęła drzwiczki pieca i wcisnęła guzik uruchamiający spalanie.

– Gunny myśli o mnie poważnie.

Myśl o tych dwojgu w łóżku kojarzyła mu się z seksem uprawianym przez niedźwiadka grizzly z dziką pumą.

– Chce rzucić żonę z San Francisco i ożenić się ze mną. Ale ona jest Chinką i ma jakieś powiązania z wojskowym aparatem obronnym, a poza tym zbiera noże. Nie wiem, co ten Gunny sobie myśli.

– Gunny to beznadziejny romantyk – powiedział Billy, co było prawdą.

– Mnie to mówisz? On powiada, że spanie ze mną mu nie wystarcza, że dopiero małżeństwo będzie spełnieniem. Twierdzi, że jestem jego przeznaczeniem.

– Mogę z nim porozmawiać.

– Wiesz, Billy, ja nie jestem niczym przeznaczeniem, najwyżej samej siebie. Chodzi o to, że już wcześniej chciałam z nim zerwać, ale on jest blisko związany z Harrowem, tak samo jak ty, no i nie chcę go wkurzyć, żeby nie nagadał na mnie do Harrowa.

– Może on wcale tak dużo nie znaczy dla Harrowa, jak ci się wydaje.

– Naprawdę? Tak czy owak, ten sukinkot zaczyna mnie przerażać.

– Możemy odejść na stronę, we dwóch, ja i Gunny. Porozmawiam z nim, tak że nie będziesz musiała się martwić, że on się na ciebie wścieknie.

– Naprawdę z nim porozmawiasz? Zrobisz to? Byłabym ci bardzo wdzięczna. On jest na górze. Robi kolację.

Nad domem pogrzebowym Juliette miała duże, elegancko umeblowane mieszkanie.

– Mogę iść do niego na górę – zaofiarował się Billy – albo ty zawołaj go przez intercom, żeby zszedł na dół.

– Właśnie kupiłam nowe szafki kuchenne.

– Stare już ci się nie podobały? Były bardzo ładne.

– Za ciemne – orzekła Juliette. – I te gzymsiki. Chciałam coś bardziej nowoczesnego.

– A te ci się podobają?

– Tak. Są świetne.

– Ładne szafki mogą teraz kosztować fortunę.

– Też tak uważam.

– Zawołaj go, niech zejdzie na dół.

Podeszła do intercomu znajdującego się przy garażu, tuż za drzwiami do spalarni.

– Ej, ty – zawołała. – Jesteś tam?

– O co chodzi? – rozległ się głos Gunny'ego płynący z intercomu.

– Mam tu prawdziwego grubasa, potrzebuję kogoś do pomocy.

– A Herman albo Werner?

To byli jej bracia i partnerzy w interesach.

– Jest już po godzinach. Poszli do domu – odpowiedziała. – O tej porze nie spodziewaliśmy się żadnego truposza.

– Pilnuję baraniego udźca.

– Ktoś mi musi pomóc przenieść truposza do chłodni. To tylko chwilka. Jest gruby jak prosię, mam go sama taszczyć?

– Już schodzę.

Winda była przestronna, ponieważ musiała się w niej zmieścić trumna, ale Billy nie myślał, że będzie działała niemal bezszelestnie.

Drzwi windy się rozsunęły, a w nich pojawił się Gunther Schloss, wielki jak byczek na ujeżdżalni.

Zdażył powiedzieć: „O, cholera”, kiedy Billy strzelił do niego trzy razy, gdy jeszcze stał, raz, kiedy już upadał, i cztery razy, gdy leżał połową ciała w windzie, a drugą połową poza nią.

– Nie żyje? – zapytała Juliette.

– Na to wygląda.

– Sprawdzisz puls?

– Za chwilę – odpowiedział Billy i strzelił do Gunny'ego jeszcze dwa razy.

Miał zamiar wpakować mu następne cztery kulki, ale magazynek był już pusty.

Billy wyjął pusty magazynek, włożył pełny i w ciągu ćwierć sekundy Gunny już się nie ruszał.

– No dobra, nie żyje. Zresztą to nie było takie trudne.

– Mogłoby potoczyć się inaczej – zauważyła Juliette.

– Mogło, masz rację. Ale taszczenie trupa będzie dla mnie trochę trudniejsze, bo mam już pięćdziesiątkę.

– Kaszka z mleczkiem, molu. W tym interesie ja jestem od dźwigania zwłok.

Odeszła na moment, po czym zaraz wróciła z hydraulicznym podnośnikiem,

który wyglądał jak dzieło sztuki.

Wystarczyło tylko nacisnąć jeden guzik, a stalowa platforma obniżała się do poziomu pięciu centymetrów nad podłogą.

Bez większego trudu Juliette i Billy zwalili ciało twarzą na stalową platformę.

Przy powtórnym naciśnięciu guzika platforma podjechała na poprzednią wysokość, ze zwłokami na pokładzie.

– Świetnie – skwitował Billy.

Podjechali z podnośnikiem do krematorium. Juliette ustawiła platformę na wysokość równą drzwiczkom, po czym platforma, wysuwana za pomocą teleskopów, przeniosła Gunny'ego do pieca.

Juliette wzięła gumowy dzwon na długiej drewnianej ręczce, przyssała go do głowy Gunny'ego, przytrzymując w ten sposób ciało w piecu, dopóki stalowa platforma na teleskopach nie wyjechała z paleniska.

– Bardzo sprytne urządzenie – pochwalił Billy, wskazując na tłok.

Słyszac prostą pochwałę, Juliette skromnie pochylila głowę.

– Ja to wymyśliłam – przyznała.

Kiedy zamknęła drzwi i wcisnęła guzik uruchamiający pracę pieca, Billy powiedział:

– Nikt tak nie przyrządzał udźca baraniego jak Gunny. Przepraszam, jeśli pieczeń będzie wysuszona.

– Na pewno będzie doskonała. Zostaniesz na kolacji?

– Chciałbym, ale nie mogę. Mój dzień pracy jeszcze się nie skończył.

– Za ciężko pracujesz, Billy.

– Zamierzam zwolnić tempo.

– Słyszę to od dawna.

– Tym razem naprawdę – zapewnił ją.

– Nic, tylko pracujesz. Nie masz czasu zadbać o siebie.

– W przyszłym tygodniu idę na kolonoskopię.

– Coś nie tak? – zapytała.

– Nie, czuję się dobrze. Internista zlecił mi to badanie ze względu na mój wiek.

– Może on jest jakimś zbokiem?

– Nie. On nie przeprowadza tych badań. Idę z tym do specjalisty.

– Ja mam za wysoki cholesterol.

– Sprawdź sobie naczynia krwionośne. Ja też mam wysoki cholesterol, ale nie

znaleźli żadnych złogów.

– To wszystko kwestia genów, Billy. Jeśli masz dobre geny, możesz się odżywiać wyłącznie smażonym serem i pączkami, a dożyjesz setki.

– Ty mi też wyglądasz na kogoś z dobrymi genami – skomplementował ją.

Z domu pogrzebowego Billy pojechał cadillakiem do hotelu, gdzie przedtem zamówił luksusowy apartament na nazwisko Tyrone Slothrop.

Zostawił cadillaca w rękach boya hotelowego, w recepcji pokazał kartę kredytową banku American Express również na nazwisko Slothrop i dostał klucz do pokoju. Wziął do windy białą torbę na śmiecie, a stamtąd udał się do apartamentu.

Harrow chciał widzieć wszystko, co zawierała ta torba, zwłaszcza zdjęcia dotyczące jej poprzedniego życia. Billy więc, dopóki nie przekaże mu tej torby, musi jej dobrze pilnować.

Apartament składał się z ogromnego salonu, przeładowanego meblami, dwóch wielkich sypialni, również przeładowanych meblami, oraz dwóch łazienek. Łazienki olśniewały marmurowymi i lustrzanymi powierzchniami.

Wcale nie potrzebował dodatkowej sypialni ani drugiej łazienki. Co prawda również nie musiał jeździć hummerem, ale jego kolekcja samochodów nie mogłaby się bez niego obejść. Oszczędzał czas, podróżując prywatnym samolotem, nigdy zresztą nie wsiadał do rejsowych samolotów.

Religią Billy'ego była zabawa. Stanowiła podstawę jego filozofii życiowej. Bez możliwości zaszpanowania takim krążownikiem emitującym mnóstwo gazów cieplarnianych do atmosfery nie byłoby zabawy.

Billy zresztą, za pośrednictwem Harrowa, zajmował się także sprzedażą offsetów dwutlenku węgla. Miał ważne umowy z trzema afrykańskimi plemionami z odległych części kontynentu zobowiązujące je do zasadzenia ogromnej liczby drzew, a jednocześnie pozostawiające je w prymitywnych warunkach życia bez bieżącej wody, elektryczności czy pojazdów napędzanych olejem. Wartość szkód, jakich plemiona te nie wyrządzały swoją działalnością, sprzedawana była gwiazdom filmowym, muzykom rockowym i innym osobom, które powinny ograniczać zanieczyszczenie środowiska, ale których działalność niemal wymagała emitowania dużych ilości dwutlenku węgla do atmosfery.

Billy i sobie sprzedał udziały offsetowe za pośrednictwem skomplikowanej struktury organizacyjnej LLP i LLC oraz trustów, które udzieliły mu ulg podatkowych, dzięki czemu zaoszczędził krociowe sumy. A najlepsze ze wszystkiego było to, że nie

musiał dzielić się zyskiem z wymienionymi w umowach plemionami afrykańskimi, ponieważ one nie istniały.

W apartamencie czekały na niego dwie zamknięte walizki. Trzy dni wcześniej sam je zapakował i wysłał do hotelu przez FedEx.

W każdym pokoju znajdowały się bukiety świeżych kwiatów, srebrne misy ze wspaniałymi owocami, bombonierki, butelka Dom Perignon w kubelku z lodem, a w sypialni na nocnym stoliczku niedawno wydana w twardej okładce książka napisana przez jednego z jego ulubionych autorów, którą *consierge* kupił na jego zamówienie.

Billy Pilgrim – obecnie Tyrone Slothrop, nazwisko, na którego użycie czekał od dziesięcioleci – powinien być w dobrym humorze, ale nie był.

Wypadki w domu pogrzebowym powinny mu się wydać zabawne. Tymczasem w ogóle go nie cieszyły.

Nie czuł się przygnębiony, ale też daleko mu było do euforii. Uczucia jego zeszyły do strefy umiarkowanej, by nie powiedzieć: obojętnej.

Nigdy przedtem nie wpadał w taki nastrój, żeby mu było wszystko jedno. Kiedy objął się beczynnym po luksusowym apartamencie, wewnętrzna pustka, która zajęła miejsce dawnej wesołkowatości, zaczęła go drażnić.

Od chwili dziwnych doznań w kuchni Briana, kiedy oglądał rysunki oczu psa, radość jakoś z niego wyparowała. Jak zwykle poruszał się dziarskim krokiem, balansując na skraju przepaści, a przy tym błaznując, niefrasobliwie popełniając najcięższe przestępstwa, ale czar takiego życia przysł.

Jego życie było jak powieść, czarna komedia, prześmiewcza narracja kpiąca ze wszelkich autorytetów, egzystencjalny żart. Po prostu trafił teraz na kiepski rozdział. Powinien przewrócić kartkę, zacząć nowy rozdział.

Może powieść, która czekała na niego na nocnym stoliku, wyrwie go z tego nastroju indyferencji. Jedna z walizek zawierała jego ubrania i rzeczy osobiste, ale druga pełna była broni, może jakby się pobawił przez chwilę bronią, wpłynęłoby to na zmianę jego nastroju.

Siedział w fotelu i patrzył to na książkę, to na walizkę wypełnioną śmiertelnościami ładunkiem.

Martwił się tylko, że jeśli spróbuje poprawić sobie nastrój lekturą, i to nie zadziała, wtedy zajmie się z kolei rozkładaniem i powtórным składaniem broni, ale gdy to też nie wyrwie go ze stanu marazmu, wtedy znajdzie się w impasie.

Impas to okropna sytuacja, uliczka bez wyjścia, a w życiu prawdziwego

egzystencjalisty miejsce nie do przyjęcia. Skoro wyłącznie on sam ustanawiał prawa, wedle których żył, ale które zaczęły go nudzić, mógłby przecież ustanowić nowe prawa, które tchnęłyby w niego na powrót beztroskiego ducha.

Zbyt dużo rozmyślał i to go nieco zdenerwowało.

Dla niego liczył się ruch i działanie, przy czym ruchowi nieprzypisane było żadne znaczenie, a z działaniem nie wiązały się żadne konsekwencje. Nie istniało żadne znaczenie i żadne konsekwencje się nie liczyły.

Zaczął czytać książkę. I to był jego pierwszy błąd.

Kilka minut po drugiej Amy obudziła się ze snu, w którym szumiały złowieszczo ptasie skrzydła. Wstrzymała oddech, przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Lampka, ustawiona na niskim stolyczku, z zamotanym na żarówce rącznikiem służyła za nocne oświetlenie pokoju.

Byli w motelu w Santa Barbara. Znaleźli w końcu miejsce, które przyjmowało gości z psami, to był ostatni wolny pokój.

Brian zapakował ją do łóżka. Obudziła się w swoim łóżku, on spał na drugim. Przy niej natomiast leżał pies.

Kiedy otrząsnęła się ze snu, pomyślała sobie, że łopot ptasich skrzydeł słychać w pokoju, nie we śnie. Tak jednak nie mogło być, ponieważ zarówno Brian na sąsiednim posłaniu, jak i leżący obok niej pies spali głęboko.

Z samego snu nic nie pozostało jej w pamięci, tylko szum lotek przesywających powietrze. Musiała przenieść się we śnie do Connecticut, gdzie mewy znów wzbiły się w górę.

Psycholodzy i specjaliści od snu twierdzą, że nikt nie śni nigdy własnej śmierci. Może się śnić śmiertelne niebezpieczeństwo, które trwa i rozciąga się w czasie, ale w kluczowym momencie człowiek zawsze się budzi. Naukowcy utrzymują, iż człowiek zanadto się opiera myśli o własnej śmiertelności, by choćby we śnie przyznać jej prawo istnienia.

A jednak Amy widziała we śnie własną śmierć. I to kilka razy, zawsze w Connecticut.

Może podświadomie pragnęła śmierci. To by jej wcale nie dziwiło.

Tamtej zimowej nocy, przed prawie dziewięcioma laty, walczyła o życie i wygrała. Potem zaś, o ironio losu, nie widziała sensu dalszego życia.

Zastanawiała się, dlaczego wtedy walczyła o życie. Śmierć przecież byłaby znacznie łatwiejsza niż życie. Nie przeżywałaby tego szarpiącego bólu, gdyby uległa ostrzu noża.

Ale nawet w najczarniejszych chwilach nie targnęłaby się na własne życie.

Morderstwo oznaczało dla niej również samozagładę.

Wiara pomogła jej przetrwać. Ale nie tylko wiara, również zdolność dostrzegania ładu w chaosie. Lepiej na tym wychodziła w porównaniu z tymi, którzy widzieli wokół siebie jedynie chaos.

Ład zakłada sens. Bez względu na to, jak bardzo ukryty to był sens, zmysłami wyczuwała, że jednak istnieje.

Potrafiła dopatrzeć się logicznego układu w pozornym chaosie zdarzeń, tak jak inni potrafią czytać z fusów, z linii papilarnych czy ze szklanej kuli. Jej interpretacja przy tym nie opierała się na przesadach.

Kierowała nią wyłącznie intuicja, która jej podpowiadała, w jaki wzór układały się zdarzenia i jak należy je rozumieć oraz co powinna zrobić. Według niej zmysły to intuicja, która była postrzeganiem opartym na głębokiej podświadomości. Intuicja to widzenie oczami duszy.

Jej komórka podłączona do ładowarki, leżąca na nocnym stoliczku, zadzwoniła nieoczekiwanie. Nie lubiła tych wszystkich melodyjek i dzwonek albo głosików jak z filmów rysunkowych, sygnalizujących połączenie, wołała zwyczajne spokojne buczenie.

Zdziwiona, że ktoś chce z nią rozmawiać o tej porze, szybko odebrała telefon, zanim mógł zbudzić Briana.

– Halo? – zapytała półgłosem.

Nikt nie odpowiedział.

Mimo że Brian nadal spał, Nickie się obudziła. Uniosła głowę i patrzyła wyczekująco na Amy.

– Halo? – zapytała powtórnie.

– Och, to ty, kochanie? Oczywiście, że to musisz być ty.

Nie mogła nie rozpoznać tego cienkiego słodkiego głosiku.

Amy już chciała powiedzieć: „Siostra Myszka?”, ale w ostatniej chwili się zmitygowała i zapytała:

– Siostra Jacinta?

– Ostatnio ciągle o tobie myślę, Amy.

Amy się zawahała. Przypomniały jej się kaptcie. Poczuli się tak jak wtedy, gdy Nickie upierała się, by wzięła od niej kaptcie.

– Siostró... Ja też... Ja też często o tobie myślę.

– Zawsze noszę cię w sercu, zawsze byłaś jedną z moich ulubienic, ale ostatnio

myślę o tobie bez przerwy, bez przerwy, więc w końcu uznałam, że powinnam z tobą porozmawiać.

Amy ze wzruszenia nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Jak tam kochanie? Nie masz nic przeciwko temu, by rozmawiać ze mną w środku nocy?

Amy odpowiedziała ledwo słyszalnym szeptem:

– Właśnie powiedziałam Brianowi, swojemu przyjacielowi, o Nickie, o naszej maskotce.

– Och, jakież to był wspaniały pies.

– I o medalionie, który mi dałaś.

– A ty go nadal nosisz.

– Tak, noszę. – Wskazującym palcem obwiodła kontury kamei z profilem psa.

– Jeśli chodzi o tego przyjaciela, kochasz go?

– Siostró... Co do tego to właściwie biję się z myślami.

– Kochanie, miłość jest albo jej nie ma. Musisz to wiedzieć.

– Tak, Kocham go – odpowiedziała Amy jeszcze cichszym głosem.

– Powiedziałaś mu o tym?

– Że go Kocham? Tak, powiedziałam mu to.

– Co innego mam na myśli. Czy mu o wszystkim opowiedziałaś?

– Nie, wiesz przecież. Jeszcze nie powiedziałam.

– On powinien wiedzieć.

– Ale to takie trudne, siostrzyczko.

– W jego oczach nie wydasz się przez to gorsza.

Prawie nie mogła mówić.

– We własnych oczach gorzej wyglądam.

– Jestem dumna z tego, że należałaś do grona moich wychowanek. Powtarzam: Widzicie? To jedna z dziewczynek od Mater Misericordiae. Widzicie, jak promienieje?

W oczach Amy ukazały się łzy, tym razem łzy wzruszenia.

– Gdybym tylko mogła uwierzyć, że to prawda.

– Pamiętaj, kochanie, z kim rozmawiasz. Oczywiście, że to prawda.

– Och, przepraszam.

– Nie przepraszaj. Ale powiedz mu. On naprawdę musi to wiedzieć. To rozkaz.

A teraz, dziecko, prześpij się trochę, idź spać.

Mimo że nie usłyszała żadnego odgłosu na linii, domyśliła się, że połączenie

zostało przerwane.

– Siostró Jacinto? – zapytała.

Nie otrzymała odpowiedzi.

– Och, siostró Myszko, kochana siostró Myszko.

Odłożyła aparat telefoniczny na nocny stolik.

Odwróciła się w stronę Nickie. Patrząc jej prosto w oczy, objęła ją ramieniem.

Te oczy.

Amy poczuła przeszywający dreszcz, i to nie z powodu samego telefonu, ale ponieważ telefon ten oznaczał, że wkrótce spotka ją coś strasznego.

Siostra Jacinta, siostra Myszka, nie żyła od dziesięciu lat.

Pisarz, który zawsze utwierdzał Billy'ego w jego pogardzie dla rodzaju ludzkiego, który rozśmieszał go do łez, przedstawiając kretynów, wierzących naiwnie w wyjątkowość gatunku homo sapiens, tym razem zawiódł na całej linii, skoro lektura pierwszych czterdziestu stron nie wywołała nawet wątlego chichotu u zaprzysięgłego czytelnika.

Billy dwa razy sprawdzał zdjęcie autora na tylnej stronie okładki, by upewnić się, czy to ten sam pisarz, ale twarz była niewątpliwie znajoma. I lekka prześmiewka w słowach: *Jeśli nie rozśmieszysz cię ta zjadliwa satyra, jesteś durniem, który sam się oszukuje i który nie zostanie zaproszony na najlepsze przyjęcia.*

Pisarz zmieniał wydawców, ale przecież to nie mogło mieć żadnego wpływu na obniżenie poziomu jego twórczości, na zanik właściwego mu dotąd tonu, w którym prowadził zwykle narrację. Nakładem tej samej oficyny ukazały się książki, które Billy uznał za niezwykle udane. To była sprawdzona oficyna wydawnicza.

Żaden wydawca nie wydaje wyłącznie samych bestsellerów, nawet większość tytułów nie może liczyć na to miano, ale ten kolofon, charakterystyczny znak firmowy na grzbiecie obwoluty, zawsze zapowiadał najwyższą jakość.

Kiedy Billy po raz kolejny przyglądał się znaczkowi, zimny dreszcz przebiegł go od stóp do głów, po czym rozszedł się koncentrycznie po całym jego ciele, sięgając cofniętej już znacznie linii włosów na głowie, obejmując pozbawioną uśmiechu twarz, schodząc na kark, wzdłuż kręgosłupa, aż do samych trzewi.

Stylizowany rysunek psa służył jako kolofon. Wprawdzie nie golden retriever, ale jednak był to pies.

Oglądał ten kolofon tysiące razy, ale nigdy nie odbierał go w ten sposób. Teraz wyprowadził go z równowagi.

Kusiło go, by włączyć gazowy kominek i rzucić książkę na pastwę płomieni. Włożył ją jednak do nocnej szafki i zamknął szczelnie szufladę.

Odżyło wspomnienie łez, które ronił w kuchni McCarthy'ego, co go śmiertelnie przeraziło. W tym fachu, jeśli człowiek zaczyna płakać bez powodu, a choćby i mając

ku temu wystarczające powody, znaczy to, że znalazł się na równi pochyłej.

W salonie otworzył Dom Perignona i nalał sobie szampana nie do wysmukłych kieliszków, przeznaczonych do tego trunku, ale do szklanki. Wybrał z minibaru miniaturową buteleczkę markowego koniaku, otworzył ją i wlał zawartość do szklanki.

Przechadzał się po przepastnych wnętrzach swojego apartamentu, sącąc drinka, ale kiedy go wypił, wcale nie poczuł się lepiej.

Ponieważ po południu miał się spotkać z Harrowem i nie mógł pozwolić sobie na to, by zaprezentować się na kacu, zrezygnował z następnych takich koktajli.

Jeszcze w walizce znajdującej się w sąsiednim pokoju upatrywał jedyne pocieszenie, jakie znajdowało się w zasięgu ręki. To była nowa broń, niedawno ją kupił, rodzaj prezentu, jaki sobie sprawił. Inni mężczyźni pobłażali sobie, kupując kije do golfa, ale Billy nie grał w golfa.

Wrócił do sypialni i położył walizkę na łóżku. Najmniejszym kluczykiem, jaki miał na łańcuszku, zwolnił blokadę zameczka.

Kiedy otworzył walizkę, broń i akcesoria do niej znajdowały się na swoich miejscach, tak jak je zapakował.

W obecnym nastroju gotów był spodziewać się, że zazwyczaj godny zaufania FedEx tym razem pomylił jego walizkę z identyczną należącą do na przykład jakiegoś mormońskiego dentysty na wakacjach albo obwoźnego sprzedawcy Biblii, a zawartość ich bagażu z pewnością nie rozbawiłaby Billy'ego.

Po prawej stronie walizki znajdował się drugi rewolwer, ale na wierzchu leżał plik papierów. Pierwszy arkusz to był szkic ołówkiem McCarthy'ego, przedstawiający golden retrievera.

Billy nie pamiętał, jak wyskoczył z sypialni, ale gdy w salonie wlewał szampana do szklanki, butelka dzwoniła o brzeg szkła.

Potrzebował dziesięciu minut, by przekonać samego siebie, że musi wrócić do sypialni, gdzie powinien sprawdzić resztę rysunków, które – do cholery – pociął przecież na paseczki w gabinecie McCarthy'ego, zapakował do torby, a potem cisnął do spalarni w domu pogrzebowym.

Skoro rysunki mogły przetrwać próbę ognia i pojawić się w jego bagażu, tak samo Gunny Schloss, zabity dziesięcioma strzałami, po czym rzucony na pastwę płomieni mógłby objawić się w łazience, kiedy Billy przyjdzie się wysiusiać.

Ostrożnie podszedł do walizki i przekonał się, że kartki nie zostały wydarte z bloku rysunkowego McCarthy'ego. Były to kartki wydarte z miesięczników o formacie

tabloidów, przeznaczonych dla myśliwych, strzelców do tarczy oraz innych użytkowników i wielbicieli broni. Osobiście je zapakował przed trzema dniami.

Zatem pojawienie się rysunków było wyłącznie dziełem jego wyobraźni. Odkrycie to przyniosło mu ogromną ulgę. Ułga jednak była bardzo krótkotrwała. Mężczyzna obarczony takimi obowiązkami oraz mający takich znajomych nie mógł liczyć na długie życie, jeżeli zaczęły go zawodzić nerwy.

Piggy siedzi przy biurku i bawi się ilustrowanymi pismami. Piggy lubi obrazki. Wycina je z pism.

Nie wycina słów.

Matka mówi, że Piggy jest za głupia, by nauczyć się czytać. Czytanie jest dobre dla ludzi, którzy mają trochę rozumu w głowach.

„Piggy, biedaczko, jeśli będziesz próbowała nauczyć się czytać, twoja tłusta śmieszna główka się rozpuknie”.

Piggy potrafi przeczytać słowo HOPE, kiedy widzi je napisane. Jest jeszcze kilka innych słów, które potrafi przeczytać.

A głowę ma całą. Może przy następnym słowie głowa jej pęknie. Ale pewnie nie.

Matka kłamie. Bardzo często kłamie.

Matka żyje po to, by kłamać, a Piggy kłamie, żeby żyć. Tak powiedział Misiek.

„Piggy, to nie o to chodzi, że twoja matka okłamuje ciebie i innych. Ona także siebie okłamuje”.

To prawda. Dziwne, ale prawdziwe.

Piggy wie, dlaczego to prawda. Bo człowiek okłamywany jest nieszczęśliwy. A jej matka jest stale nieszczęśliwa.

„Kłamstwa pomagają twojej matce przetrwać dzień. Prawda mogłaby ją zniszczyć”.

Czasami, widząc gwiazdę, a czasem i bez gwiazdy, Piggy wypowiada życzenie, by matka nie kłamała.

Ale też nie chciałaby, żeby prawda zniszczyła jej matkę.

Może matka czasem czuje, że zaraz zostanie zniszczona, więc zamiast tego niszczy jej lalkę. Piggy musi to sobie przemyśleć.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego Piggy ma pewność, że matka okłamuje samą siebie. Bo myśli, że nie może jej się stać nic złego.

A przecież już stało się coś złego. Piggy wprawdzie nie wie, co to takiego było, ale wie, że się stało. Po prostu wie.

Misiek wiedział, że matka zawsze kłamie. Ale matka okłamywała też Miśka, a Misiek wierzył w niektóre jej kłamstwa.

Dziwne, ale prawdziwe.

Matka i Misiek byli ze sobą, żeby zdobyć trochę pieniędzy.

Piggy z matką zawsze jadą w nowe miejsca i poznają nowych przyjaciół. I wszyscy przyjaciele, wszędzie, mówią, jak zdobyć trochę pieniędzy.

Kiedy mówią o pieniądzach, ich broń też się odzywa. Pieniądze zdobywa się bronią.

Piggy nie lubi broni. Nigdy nie zdobędzie ani trochę pieniędzy.

Więc Misiek też chciał zdobyć trochę pieniędzy, ale on był inny. Misiek dostrzegał Piggy. Przeważnie ludzie dostrzegali Piggy, ale jakby jej nie widzieli.

Misiek był zakapiorem, ale nie aż takim jak matka.

„Piggy, zakapior ze mnie, jestem słaby i głupi, ale nie jestem aż taki zakapior jak twoja matka”.

Nie lubiła, jak Misiek tak o sobie mówił. Wiedziała bowiem, że on jej nie okłamuje.

Matka obiecała mu, że jak zdobędą pieniądze, odda Piggy ludziom opiekującym się dziećmi.

Piggy nie wiedziała, co to za ludzie opiekujący się dziećmi. Z tego, co mówił Misiek, wynikało, że są mili. Nie tacy, jak przyjaciele z bronią.

Kiedy mieli już pieniądze, matka nie dotrzymała obietnicy. Nie ma mowy o ludziach, którzy by się opiekowali Piggy.

Misiek i matka śmieją się, a matka siedzi mu na kolanach.

To było wtedy, kiedy to się stało.

Matka siedzi Miśkowi na kolanach i śmieje się, kiedy wyjmuje wielki nóż spomiędzy poduszek kanapy, gdzie nigdy nie było żadnego noża.

Piggy pamięta to, jakby to wszystko wydarzyło się dziś, nie tamtego dnia.

Matka podcina Miśkowi gardło na całej szerokości.

Potem wszystko staje się złe, znacznie gorsze niż przedtem.

Niech twoje serce się nie trwoży.

Niech twoje serce się nie trwoży.

Matka mówi, że zabiła go nie dlatego, żeby wziąć jego pieniądze. Mówi, że zabiła go dlatego, że był przyjacielem.

Piggy Matka mówi: „Moi przyjaciele to są moi przyjaciele, a nie twoi, ty tłusta pokrako. Moi przyjaciele są nie dla ciebie. Co moje, to moje. Ty jesteś moja, Piggy Pig. Do mnie należysz, Piggy Pig. Nikt mi nie odbierze tego, co moje. Umarł przez ciebie”.

Jeżeli to prawda, że Misiak umarł przez nią, Piggy zawsze już będzie smutna.

Ale Piggy wie, że to nieprawda: matka przecież zawsze kłamie.

Niech twoje serce się nie trwoży.

Jest jeszcze coś, co świadczy o tym, że to nieprawda: umierając, Misiak patrzy na nią, a w jego oczach nie ma ani strachu, ani złości.

Jego wzrok mówi tylko: „Przepraszam cię, Piggy”.

I mówi jeszcze coś: „W porządku, dziewczyno, dalej się tak trzymaj”.

Piggy potrafi czytać z oczu. Nie umie czytać, co jest napisane, ale w czytaniu z oczu jest całkiem dobra.

Czasami, kiedy czyta z oczu matki, boi się, że jej głowa pęknie.

W zamku zgrzyta klucz.

Piggy nie chowa czasopisma. Dalej wycina obrazki. Wolno jej wycinać obrazki.

Czasopisma należą do matki, ale są stare i ona już ich nie chce.

Piggy może wycinać tyle obrazków, ile tylko zechce, może je sklejać razem w większe obrazki. Matka nazywa te większe obrazki słowem, którego Piggy nie zna i nie zapamiętuje.

Piggy w ogóle ich nie nazywa. Po prostu widzi, jak jedne ładne rzeczy można połączyć z innymi ładnymi rzeczami, przez co stają się jeszcze ładniejsze, bo tak zostały ze sobą zestawione.

Matka pali większość ładnych rzeczy, jakie Piggy robi. Wychodzą na dwór i tam matka pali najlepsze ze sklejonych obrazków.

To są rzadkie chwile, kiedy jej matka wygląda na szczęśliwą.

Jest jeszcze jedna rzecz, która sprawia, że Piggy wie, że matka sama siebie okłamuje – bo myśli, że zawsze jest szczęśliwa.

Drzwi skrzypią. Wchodzi matka.

Mężczyzna staje w drzwiach, oparł się o framugę, ręce skrzyżował na piersi.

Matka i mężczyzna pili. To się wyczuwa.

Matka siada na biurku.

– Co robisz, dziecko?

– Takie tam rzeczy.

– No, proszę, jaka artystka.

– To tylko obrazki.

Matka ma ze sobą nóż.

Nie taki, jak wtedy dla Miśka, ale podobny.

Kładzie go na biurku.

Piggy myśli, że może zapomniała zapiąć powłóczkę na poduszkę, kiedy schowała tam z powrotem Zawsze Błyszczącą Rzecz.

Jeśli Matka zauważy niezapiętą powłóczkę i znajdzie HOPE na srebrnym łańcuszku, wtedy nastąpią Bardzo Brzydkie Rzeczy.

Piggy rzuca okiem na krzesło. Powłóczka jest zapięta.

– Piggy, nadchodzi wielki dzień.

Skoro powłóczka jest zapięta, można dalej wycinać.

– Twój tatuś przyjeżdża po ciebie, żeby cię zabrać ze sobą.

Piggy się pomyliła. Odcina głowę ładnej pani. Udaje więc, że potrzebna jej jest tylko głowa, i dalej uważnie wycina kontur głowy.

– Opowiadałam ci o twoim tatusiu, jak mu się niedobrze zrobiło na twój widok, wstydział się twojej tłustej głupiej gęby, więc zostawił mi ciebie i odszedł.

– Jasne – odpowiada Piggy, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Ale teraz się nawrócił, chce robić to, co do niego należy, więc przyjeżdża, żeby cię zabrać do swojego domu, gdzie odtąd będziecie żyli razem długo i szczęśliwie.

Źle. Już gorzej być nie mogło.

Może to nieprawda, że przyjeżdża jej ojciec.

Ale skoro to kłamstwo, więc po co to wszystko? Żeby Piggy nabrała nadziei, a potem nic z tego nie wyjdzie, natomiast stanie się coś bardzo złego.

A jeśli jej ojciec rzeczywiście przyjeżdża, nigdzie nie pojedą i nie będą żyli razem długo i szczęśliwie. W żadnym razie.

„Co moje, to moje. Ty jesteś moja, Piggy Pig. Należysz do mnie, Piggy Pig. Nikt nie weźmie tego, co moje”.

Jej miły Misiek nie żyje, wszędzie krew, a matka szepcze: „Jesteś moja, Piggy Pig”.

Teraz na stole leży taki sam nóż jak Miśka.

Jeśli przyjedzie ojciec Piggy, matka go zabije.

Chce, żeby Piggy wiedziała, co ma się stać. Dlatego nóż leży na stole. Więc Piggy wie.

Matka chce też, aby Piggy wiedziała, że istnieje szansa, by ona się stąd wydostała. Ale matka jej nigdzie nie puści, bo ona do niej należy. Matka chce, żeby Piggy miała nadzieję, a potem ją jej zabierze.

Matka nie wie, że cokolwiek się stanie, Piggy ma nadzieję, bo jest to wypisane na srebrnym wisiorze, który dostała od Miśki.

– Mój chłop, ten tutaj, Piggy, chce wiedzieć, dlaczego zafundowałam sobie takiego mutantę, czyli ciebie.

Mówi o mężczyźnie stojącym w drzwiach. Piggy boi się go bardziej niż innych, którzy byli przed nim. Przez niego matka jest jeszcze gorsza. Znacznie gorsza niż przedtem.

– Był taki bogaty facet, budował domy, nazywał się Hisscus. Nie mógł mieć dzieci, jego nasienie było do niczego.

Piggy patrzy matce w oczy. Potrafi czytać w jej oczach i mimo przerażenia, jakie w niej wzbudza, dostrzega w nich prawdę.

Nie może dłużej patrzeć, więc zabiera się do wycinania następnego obrazka.

Kiedy tak wycina, słucha uważnie, choć połowy z tego nie rozumie, ale rzadko się zdarza, żeby matka mówiła prawdę.

– Hisscus był żonaty, ale strasznie chciał mieć dziecko. Nie chciał robić tego oficjalnie. Wolał nielegalnie urodzone dziecko.

Kątem oka Piggy dostrzega, jak matka spogląda ukradkiem na mężczyznę w drzwiach.

– Hisscus znalazł doktora, który był taki sam jak on, i mógł dostarczyć dziecko do domu, bez metryki, bez żadnych dokumentów.

Matka śmieje się z czegoś, co mężczyzna robi.

Piggy nie podnosi głowy.

– Więc pozwoliłam, by twój tata mnie napompował – mówi matka.

Piggy nie rozumie. Słucha jeszcze uważniej.

– Nie robiłam żadnej ultrasonografii, by sprawdzić płeć czy cokolwiek innego.

Im pilniej Piggy słucha, tym mniej rozumie.

– Gdybym mu dała dziewczynkę, Hisscus by ją zatrzymał. A gdybym dała mu

chłopca, Hisscus miał znajomych, którzy chcieli tego samego co on, tylko w innej odmianie, więc zamieniliby się z nimi na dziewczynkę.

W drzwiach mężczyzna wydaje z siebie niski, cichy gwizd.

– Co jest zimniejsze od suchego lodu? – pyta.

– Ja, mój mały – odpowiada mu matka.

Żadne z nich nie mówi niczego sensownego. Lód jest mokry.

– Hisscus miał drugi, elegancki dom nad morzem. Miałam tam zamieszkać, dostawać grube pieniądze co miesiąc i cokolwiek dusza zapagnie. Służąca, która przychodziła tam sprzątać, nic nie wiedziała o ukrytej piwnicy.

Piggy nie rozumie tego, co jej matka opowiada, ale wie jedno, choć nie wie, skąd to wie – że nie może spojrzeć znów matce w oczy, bo to, co by mogła w nich zobaczyć, jest jeszcze bardziej przerażające niż wszystko, co dotąd wzbudzało w niej strach.

– A potem ty ze mnie wyskoczyłaś, głupia, z nalaną gębą, Piggy Pig i całą umowę diabli wzięli. On nie chciał małej Piggy Pig w ukrytej piwnicy, nawet jakby dostał też mnie, bo nie o mnie mu chodziło.

– Szantażyk? – zapytał mężczyzna.

– Dlatego trzymałam gówniarę – odpowiada matka. – Próbowałam pograć z tej strony. Ale nie miałam żadnych dowodów. Był bardzo sprytny. Chciał pozbyć się mnie tanim kosztem, wzięłam, co mi dawał, ale jeszcze przez rok go gniołłam, zanim okazało się, że on potrafił naciskać lepiej ode mnie.

– W takim razie, dlaczego nie oddałaś jej do przytułku?

– Bo wtedy pomyślałam sobie, że Piggy Pig ma wobec mnie dług do spłacenia, a ja lubię dostawać to, co mi się należy.

Matka bierze do ręki nóż.

– Piggy procentuje, ale pora, bym wróciła do swoich starych zasad.

Matka wstaje od biurka.

– Piggy, ja i mój chłop mieliśmy pewne rzeczy niedopowiedziane. – Zwraca się do mężczyzny: – Teraz, kiedy już wszystko wiesz, uważasz, że jestem okropna?

– Nigdy w życiu – on odpowiada.

– A ty jesteś dla mnie wystarczająco okropny?

– Postaram się – odpowiada.

Matka wybucha śmiechem. Ładnie się śmieje.

Czasami, kiedy matka się śmieje, bez względu na to, z jakiego powodu, Piggy

ma ochotę się uśmiechnąć. Ale nie teraz.

Wychodzą i zamykają za sobą drzwi.

Piggy zostaje sama.

Nie wie, co to wszystko znaczy. Ale cokolwiek to znaczy, nie może to być nic dobrego.

Odkłada nożyczki.

– Hej, Misiek – mówi. Misiek nie odpowiada, mimo że zawsze z nią będzie.

Matka i mężczyzna rozmawiają ze sobą, ale ich głosy są coraz cichsze. Idą gdzieś, żeby coś zrobić, Piggy nie wie, co to ma być, ale wie, że coś zrobią.

Kiedy matka wróci, będzie miała ze sobą nóż. Odtąd zawsze będzie miała przy sobie nóż. Dopóki go nie użyje.

„Wszystko się ułoży jak najlepiej, choć trudno w to uwierzyć”.

Tak powiedział Misiek. A Misiek znał się na rzeczy. Misiek nie był głupi tak jak Piggy. Ale Misiek nie żyje.

Część trzecia

*Ciągnie mnie w mroczną głąb tej kniei,
Lecz woła trzeźwy świat nadziei
I wiele mil od snu mnie dzieli,
I wiele mil od snu mnie dzieli.*

Robert Frost
Przystając pod lasem w śnieżny wieczór

Kwadrans przed szóstą Amy wstała, wzięła prysznic i ubrała się. Nakarmiła Nickie, wyprowadziła ją na spacer, gdy tymczasem Brian przygotowywał się na wydarzenia nadchodzącego dnia.

Słońce nie pojawiło się o świcie. Szare chmury, które wyglądały na brudne, pokryły całe niebo.

W parku nad oceanem wielkie stare palmy szemrały leniwie poruszane lekkim wiatrem, równie ospałym jak fale, które ostatkiem sił pełzły po piasku udekorowanym wstążkami gnijących wodorostów.

Kiedy się wierzy, że życie niesie dodatkowe znaczenia, które wyrażane są przez pewne wzory, istnieje ryzyko, że człowiek zacznie szukać owych wzorów, zamiast czekać cierpliwie, aż otrzyma, niczym w stanie łaski, jakiś znak. Znaki takie zdają się pojawiać wszędzie, hojnie rozrzucone jak śmiecie naniesione przez wiatr podczas burzy, a zrodzony w wyobraźni zły znak pojawia się co krok, aż pełno ich jak grzybów po deszczu.

Po telefonie od siostry Jacinty Amy już nie była pewna, czy potrafi odróżnić prawdziwy znak od wytworu wyobraźni i przesłanie od złudzenia. Dziwne zachowanie Nickie, zbieżność tego imienia z imieniem jej poprzedniczki, historia z kapciami, uwagi Theresy na temat wiatru i dzwoneczków, wszystko to było bardzo dziwne, zastanawiające, ale jeszcze nie stanowiło wyraźnego dowodu na działanie sił nadprzyrodzonych. Telefon od zmarłej zakonnicy jednak kwalifikował się jako wyższy stopień wtajemniczenia, po którym człowiek chciał widzieć przesłanie w każdym obliczu, jakie zwracała ku niemu Matka Natura.

Jakieś poruszenie odwróciło jej uwagę, był to sznur, który błyskawicznie wspiał się na pień olbrzymiej palmy i zaraz przepadł w gąszczu zeschniętych liści, nad którymi kłębiła się bujna zielona korona.

Szur był symbolem brudu, zgnilizny i śmierci.

A na chodniku, tuż pod nogami Amy, leżał na grzbiecie wielki czarny chrząszcz z wyciągniętymi w górę sztywnymi odnóżkami, wokół którego uwijały się mrówki,

wyjadając jego cieknące wnętrze.

Jeszcze bliżej, przy pojemniku na odpadki z pokrywą tak obluzowaną, że nawet leciutki powiew wiatru idącego od morza wprawiał ją w drżenie, leżała pusta butelka opatrzona nalepką z trupią czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami.

Z drugiej jednak strony błękit nieba przecinały lecące trzy gołębie, na kamiennym obrzeżu wodopoju ktoś ułożył siedem pensów, na ławce zaś leżała porzucona książka w broszurowym wydaniu, zatytułowana: *Twoja wspaniała przyszłość*.

Postanowiła pójść za instynktem Nickie. Pies obwąchiwał wszystko po kolei, ale na niczym się nie skupił ani też nie wykazywał żadnych oznak niepokoju. Biorąc przykład z Nickie, Amy zaczęła ostrożniej interpretować różne znaki, kształty i cienie, aż przestała myśleć obsesyjnie o domniemanych znakach.

W gruncie rzeczy ogarnęła ją fala sceptycyzmu, tak że nawet zaczęła się zastanawiać, czy nocna rozmowa z siostrą Jacintą rzeczywiście się zdarzyła, czy też był to tylko sen.

Myślała, że obudziła się z koszmaru sennego o łopoczących skrzydłach tuż zanim zadzwonił telefon, ale być może było to przeniesienie się z jednego snu o Connecticut do drugiego o rozmowie z siostrą Jacintą.

Po rozmowie z duchem odwróciła się twarzą do Nickie, objęła ją za szyję i powtórnie zasnęła. Obudziła się w tej samej pozycji, z psem w objęciach. Skoro miał to być tylko sen, w takim razie we śnie zmieniła pozycję, układając się twarzą do Nickie.

Zanim wróciła do motelu, postanowiła nic nie mówić Brianowi o rozmowie z siostrą Myszką. Przynajmniej na razie. Może później, gdy będą w drodze.

Brian przed położeniem się spać wysłał jeszcze e-maila do Vanessy. Kiedy Amy poszła na spacer z Nickie, Vanessa przysłała odpowiedź.

Podala adres restauracji w Monterey, gdzie Amy i Brian mieli zatrzymać się na lunch.

Zjedli coś na chybcika w gospodzie dla zmotoryzowanych i ruszyli dalej, na północ drogą numer sto jeden, bo w południe powinni dotrzeć do Monterey.

Brian prowadził przez pierwsze trzy godziny. Prawie się nie odzywał, tylko patrzył ponuro przed siebie.

Zależało mu na tym, by jak najszybciej przejąć prawa do opieki nad córką, martwił się jednak, w jakiej kondycji ją zastanie oraz jak bardzo będzie ona obarczała

go winą za swoje cierpienia.

Amy kilkakrotnie usiłowała oderwać go od ponurych myśli, ale on tylko raz dał się wciągnąć w krótką rozmowę, po czym znów zapadł w smętne milczenie.

Jego zamknięcie się w sobie skłoniło ją do podobnej introspekcji, w rezultacie której musiała przyznać przed samą sobą, iż to nie z powodu zwątpienia w prawdziwość rozmowy z siostrą Jacintą nie chce o tym powiedzieć Brianowi. Usiłowała sobie wmówić, że to był sen, a nie jawa, ale nie była o tym szczerze przekonana.

Tymczasem prawdziwym powodem przemilczenia nocnego spotkania z zakonnica był fakt, że musiałaby wówczas dokończyć historię, którą urwała na śmierci Nickie w Mater Misericordiae. Siostra Myszka natomiast nalegała, by Amy opowiedziała Brianowi wszystko. Amy potrzebowała czasu, by zebrać odwagę na dokończenie tej historii.

Po krótkim postoju na przydrożnym parkingu, by wyprostować nogi i dać Nickie porcję karmy, Amy przesiadła się za kierownicę i to ona miała prowadzić przez ostatnie dwie godziny, jakie im zostały do Monterey. Teraz musiała uważać na drogę. Miała więc pretekst, by nie patrzeć mu prosto w oczy, kiedy w rozmowie wróciła do przeszłości.

Mimo to stać ją było tylko na stopniowe wzmianki o brzemiennym w skutki zdarzeniu. Zaczęła od latami morskiej.

– Czy mówiłam ci kiedyś, że przez kilka lat mieszkałam w latami morskiej?

– Większość latami morskich ma wspaniałą architekturę. Pamiętałbym, gdybyś mi o tym powiedziała.

Jego ton zdradzał, że zdaje sobie sprawę, iż ona również by pamiętała, czy mu o tym już opowiedziała. Wyczuł więc nieszczerłość jej słów.

– Teraz, gdy coraz bardziej popularna stała się nawigacja satelitarna, wiele latami morskich przestało funkcjonować. Inne natomiast zostały zmodernizowane i w nich stosuje się elektryczność zamiast kotłów na olej.

– W niektórych urządzono hoteliki.

– Aha. Odnawiają domek latarnika. Niektóre nawet oferują noclegi w jednym lub dwóch pokojach.

Latarnia morska stała na skalnym przylądku w Connecticut. Amy miała dwadzieścia lat, kiedy tam się sprowadziła, a dwadzieścia cztery, kiedy stamtąd wyjechała.

Nie wyjaśniła, dlaczego się tam sprowadziła ani czy przebywała tam sama czy z kimś.

Brian wyczuł, że nadmierna dociekliwość mogłaby ją speszyć, a pytanie niestosowne albo zadane zbyt wcześnie mogłoby ją zniechęcić do dalszego opowiadania.

Mówiła o poszarpanej linii wybrzeża, przejmującym krajobrazie, malowniczych widokach roztaczających się z pomieszczenia, na szczycie wieży gdzie znajdowała się latarnia, i o pełnych uroku wnętrzach domku latarnika.

Długo rozwodziła się nad pięknem samej latarni, okrągłym holem wykładanym orzechową boazerią, zawiłymi wzorami ręcznie kutej żelaznej balustrady zdobiącej kręte schody wiodące na górę, gdzie na samym szczycie umieszczono wspaniałą soczewkę Fresnela o owalnym kształcie. Połączona z pryzmatycznymi pierścieniami u dołu i u góry odbijała promienie światła halogenowej żarówki o mocy tysiąca watów, skupiające się w połowie soczewki, która je jeszcze zwielokrotniała. Snopy potężnego światła mogły teraz być wysyłane z latarni, rozświetlając pogrążony w ciemnościach Atlantyk.

Kiedy dotarli do restauracji w Monterey, Amy właśnie kończyła mu opowiadać, że na początku dziewiętnastego wieku soczewki Fresnela były tak ciężkie, że aby je przesunąć, by omiatały snopami światła wybrzeże, jedynym sposobem okazało się umieszczenie ich na poduszkach z rtęci. Pierwiastek ten, charakteryzujący się wielką gęstością, mógł utrzymać znaczny ciężar, redukując tarcie do minimum.

Rtęć jest też bardzo toksyczna. Stopniowo więc wycofywano ją z użycia, wprowadzając na jej miejsce mechanizmy zegarowe i przeciwwagi, które z kolei zostały zastąpione silnikami elektrycznymi.

Do tego czasu jednak niejedyn latarnik postradał zmysły na skutek zatrucia rtęcią.

Billy Pilgrim jako jedyny pasażer leciał wynajętym learjetem z Santa Barbara do Monterey.

Steward ubrany był w czarne spodnie, białą koszulę z muszką i marynarkę. Mówił z brytyjskim akcentem.

Ponieważ o dziesiątej znajdowali się już w powietrzu, Billy dostał na późne śniadanie truskawki z bitą śmietaną, omlet z homarem i podgrzaną bułeczkę z rodzynkami, posmarowaną masłem.

Walizkę z ubraniami zostawił w hotelu w Santa Barbara, ponieważ o niewiadomej jeszcze porze, ale prawdopodobnie w godzinach wieczornych, gdy skazani na śmierć będą już martwi, zamierzał rozpocząć swoje wakacje jako Tyrone Slothrop.

Wziął za to drugą walizkę, tę z bronią. Pierwszy egzemplarz to był glock 18 z trzydziestoma trzema kulami w magazynku. Drugi stanowił składany snajperski karabin.

Przed wyjazdem wziął jeszcze ze sobą szmatławca przeznaczonego dla amatorów wszelkiego rodzaju pukawek, którego poprzedniego wieczoru wyjął z walizki i zostawił na stoliku do kawy w salonie. Nie obawiał się, że gazeta powtórnie przemieni się w szkice głowy psa rysowane ręką Briana McCarthy'ego. To były omamy spowodowane przemęczeniem. Teraz Billy czuł się wypoczęty i podobne halucynacje miał już za sobą. Zamierzał po prostu zachować tę gazetę, by później móc ją sobie poczytać. Tylko o to chodziło. O nic więcej. Czuł się całkiem dobrze.

Steward przyniósł mu cały wachlarz ilustrowanych pism, ale gdy Billy otworzył leżący na wierzchu magazyn, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, była reklama eleganckich garniturów. Na zdjęciu zajmującym dwie strony trzej młodzi mężczyźni w świetnie skrojonych garniturach prowadzili trzy golden retrievery.

Billy zamknął pismo i odłożył na bok. To zdjęcie niczego jeszcze nie oznaczało. Ot, zwyczajny zbieg okoliczności.

Domyślając się, że w następnym magazynie tuż za okładką może się natknąć na

to samo dwustronicowe zdjęcie reklamowe, Billy zaczął przeglądać pismo nie od początku, ale otworzył je gdzieś w połowie, bo istniało większe prawdopodobieństwo, że znajdzie tam raczej tekst redakcyjny niż reklamy. I oto zobaczył reportaż o pewnej sławnej postaci, która była miłośniczką psów i miała trzy golden retrievery.

Na zdjęciu umieszczonym na początku numeru trzy goldeny patrzyły wprost do kamery i coś w ich oczach sugerowało, że kiedy to zdjęcie było wykonywane, dobrze wiedziały, że w kilka tygodni później on, Billy Pilgrim, będzie na nie patrzył, tak jak to teraz robi, zaniepokojony. Trzy psy uśmiechały się, ale w ich oczach nie było śladu uśmiechu, wręcz przeciwnie.

Billy odrzucił pismo i popędził do łazienki. Ale nie zwymiotował. I był z tego zadowolony. Świadczyło to bowiem o tym, że zapanował nad swoimi nerwami.

Spojrzał w lustro i zobaczył, że nawet brwi mu się spociły. Osuszył twarz ręcznikiem, co znacznie poprawiło jego wygląd. Na wszelki wypadek jeszcze poszczypał się po policzkach, by wróciły mu rumieńce. Ostatecznie wyglądał dobrze. Nie uronił ani jednej łzy. Puścił do siebie oko.

W Monterey, kiedy zjawił się Brian McCarthy i Amy Redwing, Billy już zajął stanowisko obserwacyjne w wypożyczonym samochodzie zaparkowanym naprzeciwko restauracji.

Wiedział, że ona ratowała golden retrievery i sama miała ich kilka. Nie oczekiwał jednak, że któregoś weźmie ze sobą na taką wyprawę. Przecież nie znali miejsca swojego przeznaczenia. Nie wiedzieli też, jak daleko przyjdzie im jechać ani gdzie się zatrzymają i czym zakończy się ta podróż. Zabieranie ze sobą psa było bez sensu. W każdym razie Billy nie mógł się w tym dopatrzeć nawet odrobiny sensu.

Do restauracji nie wolno było wprowadzać psów, więc zamknęli go w samochodzie przy uchylonym okienku. Zaparkowali SUV-a na chodniku. Weszli do środka, a po chwili Billy widział ich siedzących przy oknie. Wybrali miejsce, z którego mogli mieć na oku swojego psa.

Billy zatelefonował do Harrowa, że oczekiwana para przybyła do Monterey.

– Czy ktoś za nimi jeździ?

– Jeżeli coś podejrzewają i wzięli ze sobą ochronę, to bardzo dyskretną. Ale idę o zakład, że nie mają żadnej ochrony. Tyle, że wzięli golden retrievera.

Harrow zaskoczył Billy'ego, mówiąc:

– To go zabij.

– Mam zabić psa? – upewnił się Billy.

– Zabij go skutecznie. Ona chce tego.

– Kto?

– Vanessa. Zabij tego psa. Ale dopiero wtedy, kiedy się tu pojawią. Przyjeżdżają w podniosłym nastroju, żeby zabrać to swoje drogocenne dziecko. Wolimy nie psuć im tego beztróskiego samopoczucia.

Harrow odłożył słuchawkę.

Billy patrzył, jak pies obserwował McCarthy'ego i Redwing widocznych w oknie restauracji. Oni zaś od czasu do czasu podnosili głowy, by sprawdzić, co się dzieje z psem.

Glocka 18 można było przestawiać z półautomatu na działanie w pełni zautomatyzowane, czyli wystrzelenie tysiąca trzystu naboju w ciągu jednej minuty. We właściwym czasie będzie mógł władować w psa dwadzieścia kul w ciągu sekundy. To by odpowiadało poleceniu Harrowa: „zabij go skutecznie”.

Pies przyglądał się Billy'emu uważnie.

Mimo że skoncentrowany na pilnowaniu restauracyjnego okna, gdzie Redwing i McCarthy jedli lunch, odwrócił się i rozejrzał wokoło.

Będąc już po drugiej stronie ulicy, Billy spojrzał za siebie, by raz jeszcze popatrzeć na psa.

Wydawało się, że pies przestał się interesować swoim państwem. Zafascynował go Billy.

Bynajmniej tym nie zbity z tropu Billy zmrużył powieki, by jeszcze lepiej widzieć goldena.

Pies zbliżył nos do szpary zostawionej przez opuszczoną na pięć centymetrów szybę. Chciał zapamiętać zapach Billy'ego.

Billy, nie zwlekając, uruchomił silnik wynajętego samochodu. Pojechał z powrotem na lotnisko. Powinien jechać dalej. Nic się nie stało. Wszystko jest pod kontrolą.

W restauracji Amy nie wracała już do tematu latami morskiej. Brian domyślił się, że nie ma ochoty opowiadać o tym etapie swojego życia w sytuacji, gdyby ktokolwiek poza nim mógł usłyszeć jej zwierzenia.

Uprzytomnił sobie, że Amy zmierza do miejsca, o którym najtrudniej jest jej mówić, do jakiegoś wydarzenia w jej życiu, które stało się dramatycznym punktem zwrotnym i o którym nie daje się zapomnieć.

Z pewnością jego osobiste wyznania w pewnym stopniu jej pomogły. Cokolwiek zrobiła, nie dałoby się tego porównać z ciężarem winy, jakim on był obarczony.

Kiedy jedli lunch, zadzwoniła Vanessa.

– Udacie się do San Francisco i przejedziecie most Golden Gate.

– Nie myślałem, że będziemy musieli jechać tak daleko.

– Bry, ty chcesz mi robić wymówki?

– Nie, ja tylko mówię.

– Zmarnowałeś mi dziesięć lat życia, kiedy musiałam się zajmować twoją Piggy Pig, a teraz ty narzekasz, że musisz spędzić jeden dzień w drodze?

– Uznaj, że niczego nie powiedziałem. Masz rację. No więc przejedziemy most i co dalej?

– Skieruj się na północ drogą numer sto jeden. Dalsze szczegóły podam ci przez telefon. Tak czy owak, nie mogłeś polecieć samolotem do San Francisco i tam przesiąść się do samochodu. W każdym razie nie z psem.

Rzucił okiem na Nickie siedzącą w fordzie.

– Ty rzeczywiście nas śledzisz.

– Mój nerwowy i bogaty kochaś wziął pod uwagę możliwość, że piesek może nosić nadajnik z kamerą zainstalowany przez jakiegoś szmatławca węszącego za sensacją albo stację telewizyjną, która szuka chwytliwego tematu. Wyobrażasz to sobie? Taką historię z psem?

– Już ci mówiłem, że nie ryzykowałbym rozdmuchiwania tej sprawy.

– Wiem, Bry, że tego nie zrobisz. Jego ochroniarze już cię dokładnie

prześwietlili na wszystkie elektroniczne sposoby, gdy tylko się tu pojawiłeś. Tak samo przeczesali samochód. I sprawdzą też psa. Bo może ma mikrofon ukryty w obroży? A może nadajnik gdzieś pod ogonem. Czy to nie histeria?

– Ty to powiedziałaś.

– Do rychłego zobaczenia, Bry.

I to był koniec rozmowy.

Brian bez przekonania dziobał widelcem drugie danie. Amy też najwyraźniej straciła apetyt.

– Chciałbym, żeby już było po wszystkim – powiedział. – Zależy mi tylko na tym, by wyrwać od niej Hope.

– W takim razie jedźmy – zdecydowała.

Kiedy wrócili do samochodu, Nickie zrobiła sobie małą przerwę na siusiu, po czym z wdziękiem przyjęła dwa herbatniki jako nagrodę za to, że taka z niej grzeczna dziewczynka.

Po chwili wskoczyła z powrotem do SUV-a i odwróciła się do Briana, który stanął przy klapie bagażnika. Napotkał jej spojrzenie, które go zahipnotyzowało. W ten pochmurny dzień łagodne oczy Nickie, teraz nierozjaśnione światłem słonecznym, były mroczne i pełne cienia.

W pierwszej chwili nie poczuł niczego niezwykłego, ale zaraz przykuła go siła przyciągania jej wzroku. Serce zaczęło mu bić szybciej, ale umysł miał wyjątkowo jasny, zdolny do przyjęcia najgłębszej tajemnicy, gotów pojąć, jaka siła kazała mu obsesyjnie rysować w nieskończoność studia oczu psa.

Jego pamięć zaczęła odtwarzać złożone kolejne dźwięki: gwizdy, świst, ciche trzaski, szelesty i łoskot, głucho pomruki i stukot...

Gdy tylko pies odwrócił się, by wskoczyć na swoje miejsce w bagażniku, hałas natychmiast ucichł.

Brian usłyszał znów szum idący od drogi, który na jakiś czas ucichł, z czego on nawet nie zdawał sobie sprawy.

Zamknął klapę bagażnika, obszedł samochód, by usiąść obok kierowcy, Amy bowiem chciała teraz prowadzić.

W samochodzie na otwartej przestrzeni będą mogli czuć się bardziej odizolowani. W takich warunkach łatwiej jest o zwierzenia.

Na międzystanowej drodze, zmierzając ku legendarnemu miastu, po chwili milczenia Amy powiedziała:

– Kiedy miałam osiemnaście lat, wyszłam za mąż za mężczyznę, który nazywał się Michael Cogland. Przypuszczam, że już od dnia, w którym przyjąłem jego oświadczenia, zamierzał mnie zabić.

Poprzedniego wieczoru, kiedy Billy zastrzelił Gunny'ego Schlossa, od rana zdążył zabić trzy osoby i asystować przy morderstwie dwóch innych. Powinien być więc w radosnym nastroju, tymczasem beztroski i figlarny nastrój, w jaki wpadał w podobnych okolicznościach, gdzieś się ulotnił.

Kiedy odjechał sprzed restauracji, czując na karku spojrzenie psa, chociaż skreślił już za róg, uznał, że jego problem polega na niewłaściwym podejściu do tego, co robi – zabił bowiem tych ludzi, bo tego wymagał interes. Nikogo z nich nie zabił dla hecy, dając wyraz swojemu przekonaniu, że życie jest pochodem głupców idących przed siebie bez żadnego celu.

Shumpeter nie był wprawdzie związany ze sprawą, ale też nie został zabity w wyniku aktu przemocy. Billy sprzątnął go, bo potrzebował jego cadillaca i chciał użyć jego domu jako krematorium, w którym spłonęły wszystkie dowody jego przestępstw, z których za każde mógłby dostać dożywocie.

Ku swemu niezadowoleniu, musiał przyznać, że zboczył z obranej drogi. Dał się tak wciągnąć w wir interesów, że zapomniał o swojej filozofii, która dostarczała mu wiele życiowej radości i poczucie spełnienia. Śmiertelnie poważnie zaczął traktować nielegalny handel narkotykami, bronią, organami ludzkimi, tak że w końcu uwierzył, że to ma znaczenie. Pomijając fakt, że wszystko, co robił, zarabiając na życie, było nielegalne, czymże się różnił od Billa Gatesa? Oddał się budowaniu imperium, gromadzeniu spuścizny.

Zawstydził się. Stał się *bourgeois* kontrkultury, dał się uwieść iluzji celu i osiągnięć.

Poprzedniej nocy, kiedy wracał z mieszkania Briana McCarthy'ego po niewytłumaczalnym ataku płaczu, powiedział sobie, że najlepszym lekarstwem na zmianę nastroju będzie dla niego zabicie kogoś całkiem nieznanego, wybranego na chybił trafił, co potwierdzi wyznawany przez niego pogląd, że życie nie ma większego znaczenia ani sensu, co jest w gruncie rzeczy komiczne.

Miał rację. Przejrzał na oczy. Tyle, że już następnego dnia nie udało mu się

zastosować do swych zasad.

Mając od dyspozycji leajeta, mógł wyprzedzić McCarthy'ego i Redwing i czekać na nich na długo przed ich pojawieniem się w umówionym miejscu. Miał czas, by wprowadzić swoje życie na pożądane tory.

Na parkingu marketu Best Buy otworzył kasetę z bronią. Wrzucił magazynek zawierający trzydzieści trzy naboje do dziewięciomilimetrowego glocka 18, po czym przykręcił tłumik.

I wyruszył na polowanie.

Przez następne pół godziny napotkał wiele doskonałych celów. Starsza pani o miłym wyglądzie prowadząca na smyczy maltańczyka. Dziewczyna na wózku inwalidzkim. Urodziwa młoda kobieta, skromnie ubrana, wsiadająca do hondy, której zderzaki oblepione były hasłami: POWIEDZ NIE NARKOTYKOM oraz ABSTYNNENCJA ZAWSZE SIĘ OPŁACA.

Kiedy nie zdobył się na to, by nacisnąć spust, mając na muszce młodą matkę pchającą podwójny wózek z dwojgiem dzieci, wiedział już, że przechodzi kryzys wieku średniego.

Na parkingu Target odjął tłumik ze swojego glocka, opróżnił magazynek i poukładał wszystko z powrotem do walizeczki w wymoszczone pianką zagłębienia.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak wystraszony.

Kiedy wykona bieżące zlecenie, weźmie więcej niż tylko kilka dni urlopu, może nawet miesiąc. Czas ten spędzi jako Tyrone Slothrop i wtedy powróci do swych młodzieńczych lektur, które nauczyły go wolności.

Może chodzi też o to, że należący do współczesnego pokolenia wyalienowani, zgorzkniali, pełni zgryźliwej ironii pisarze nie byli tak utalentowani, jak ich wielcy poprzednicy. Gdyby Billy miał się od nich uczyć, poić się ich letnią herbatką, myśląc, że to eliksir życia, z pewnością chyba by dziś był niespełna rozumu.

Wrócił na lotnisko, gdzie learjet już na niego czekał.

Steward o brytyjskim akcencie przyrzadził Billy'emu zgodnie z jego życzeniem Chivas Regal z lodem.

Na lunch serwowany wysoko nad ziemią podał drobno krojoną sałatę z pierśią kapłona i przepiórczymi jajami.

Billy sączył whisky, jadł i dumał. Nie wziął do ręki żadnego pisma ilustrowanego. Raz udał się do łazienki, ale nawet nie spojrzał do lustra. Nie przejmował się psem, który węszył za nim zza uchylonej szyby SUV-a. Nie zapłakał.

Nie uronił ani jednej łzy. Jego dolegliwość to tylko wybój, w jaki wpadł na równej
poza tym drodze. Nic poważnego. Wybój. Hej, ho.

Po drodze do miasta, w którym wielu ludzi zostawiło serca, Amy zrzuciła ciężar ze swojego serca.

Kiedy była w ostatniej klasie u sióstr Mater Misericordiae, dostała częściowe stypendium na jednym z liczących się uniwersytetów. Ponieważ było to stypendium częściowe, musiała dorabiać na swoje utrzymanie.

Przez ostatnie dwa lata w szkole średniej pracowała w niepełnym wymiarze godzin jako kelnerka. Lubiła tę pracę, dostawała niezłe napiwki.

Kiedy poszła na uniwersytet, znalazła pracę w wielkiej restauracji specjalizującej się w biefsztykach. Tam poznała Michaela Coglanda, wówczas dwudziestosześcioletniego, starszego od niej o osiem lat, stałego klienta lokalu.

Pełen uroku, zdecydowany, chciał się z nią umawiać, ale Amy początkowo odmówiła. On jednak robił wrażenie człowieka nieugiętego w swoich postanowieniach.

Amy wydawało się, że ona też wie, czego chce. Zależało jej na pierwszorzędnym wykształceniu, doktoracie, karierze naukowej, dojściu do rangi profesora, akademickim, spokojnym życiu, w którym miałyby wielu przyjaciół, okazję do pozytywnego wpływania na życie studentów, tak jak zakonnice wpłynęły na jej.

Michael Cogland nie spoczął, dopóki nie rozstała się ze swoim kelnerskim fartuszkim i nie zabrał jej do świata bogactw, które okazały się bardzo nęcące.

Później uświadomiła sobie, że porzucona jako dwuletnia dziewczynka, posiadająca jedynie to, co miała na sobie, straciwszy Harkinsonów i solidne mieszczańskie życie klas średnich, jakie mogli jej zaoferować, wychowana w sierocińcu, miała niezaspokojoną potrzebę bezpieczeństwa i trwałego oparcia, czego nie mogły zapewnić jej siostrzyczki, mimo że darzyły ją serdeczną miłością. Przeżyła osiemnaście lat, nigdy nie mając więcej niż parę dolarów w kieszeni, co miało ją uodpornić na niezdrowe pożądanie bogactwa.

Cogland zauważył jej podświadomą potrzebę bezpieczeństwa i wykorzystując to, roztoczył przed nią kuszącą wizję wygodnej i bezpiecznej przyszłości, czemu nie

potrafiła się oprzeć.

Ponieważ była skromną dziewczyną, wychowaną w duchu katolicyzmu, traktował ją z szacunkiem, odkładając fizyczne pożycie na później, gdy będą już małżeństwem. Wiedział dokładnie, jak z nią pogrywać.

Zaręczyli się w dwa miesiące od chwili, gdy się poznali, a po czterech byli już po ślubie. Amy rzuciła studia i zaczęła się pławić w luksusie.

On planował powiększenie rodziny. Wkrótce więc zaszła w ciążę. Miała mieć do dyspozycji nianie, służące.

Dopiero później dowiedziała się, że choć uznawany za bogatego, nie miał dostępu do większości majątku, który zamrożony był w trustach. Zgodnie z wolą jego dziadka, zawartą w testamencie, wnuk mógł dostać ten majątek pod dwoma warunkami: zanim ukończy trzydzieści lat musi ożenić się z dziewczyną, którą zaakceptują jego rodzice, oraz będzie z nią miał dziecko.

Najwyraźniej jego dziadek, a być może i rodzice, dostrzegli u niego złe skłonności, jakie objawiał już w wieku chłopięcym. A ponieważ Coglandowie byli powszechnie szanowaną, porządną rodziną, która doszła do majątku uczciwą drogą, nie zapominając o zobowiązaniach wobec społeczeństwa, wierzyli w zbawienny wpływ dobrej żony i dzieci na młodego człowieka, który bez nich mógłby pobłażać swoim słabościom.

Amy urodziła córkę, kiedy miała dziewiętnaście lat i przez jakiś czas wszystko zapowiadało się dobrze – długie życie w dostatku i szczęśliwości. Michael otrzymał spadek, a ona w dalszym ciągu nie podejrzewała, że była jedynie narzędziem, za pomocą którego on wszedł w posiadanie majątku.

Stopniowo zaczęła w nim dostrzegać człowieka znacznie różniącego się od tego, którego знаła przed ślubem. Im bliżej go poznawała, tym bardziej jego urok wydawał się sztuczny, a jego stosunek do niej wyrachowaną manipulacją. Jego miłe obejście gdzieś zniknęło, zimna kalkulacja stawała się coraz bardziej widoczna.

Zaczęły mu się zdarzać skoki w bok, i bynajmniej nie były to pojedyncze ekscesy. Dwa razy znalazła na to dowody, ale w większości przypadków domyślała się prawdy. Łatwo wpadał w złość, czego w trzecim roku trwania małżeństwa nie starał się ukryć.

Po dwóch latach małżeństwa Amy coraz częściej i na coraz dłużej zostawała w ich letnim domu, imponującej posiadłości nad oceanem, w jaką przerodziła się skromna siedziba latarnika.

Sama latarnia, należąca do Coglandów, od dawna była zautomatyzowana. Raz w miesiącu kontrolował ją inżynier, który specjalnie w tym celu przylatywał helikopterem.

Michael z przyjemnością zostawał w mieście. Rzadko ją odwiedzał, utrzymując pozory poprawnego małżeństwa, ale już nie odczuwał wobec niej pożądania, dlatego nieraz podczas swoich wizyt noce spędzał w swojej sypialni. Miała wrażenie, że odnosił się do niej pogardliwie, ponieważ sama nie zarabiała i nie rozumiała jego potrzeb.

Amy pozostawała z nim w związku małżeńskim ze względu na dobro dziecka, które bezgranicznie kochała i które chciała wychować w atmosferze statecznej rodziny, bo taką opinią Coglandowie cieszyli się od wielu pokoleń. Amy wmawiała sobie, że to jedyny powód, dla którego nie zrywała więzów małżeńskich, ale było to raczej oszukiwanie samej siebie.

Mimo że tęskniła za normalnymi relacjami małżeńskimi i mimo że dokuczała jej samotność, odpowiadał jej styl życia, jaki mogła przy nim wieść; może nawet zanadto jej odpowiadał. Dyskretny urok starych pieniędzy, niespieszny rytm każdego wolnego od trosk materialnych dnia, piękno posiadłości.

Teraz jako już całkiem inna kobieta niż tamta Amy wjechała w tłum samochodów ciągnących się sznurem przed wjazdem na most Golden Gate.

Nie patrząc na Briana, dodała:

– On chciał nazwać naszą córeczkę Nicole, uznałam, że to śliczne imię, ale kiedy skończyła trzy latka, ja mówiłam do niej Nickie.

Kiedy za oknem ustępuje ciemność i kiedy Piggy ma pewność, że matka i mężczyzna już śpią, i ona zasypia.

Gdyby zasnęła, a oni jeszcze by nie spali, mogłaby się obudzić i zobaczyć obok siebie matkę, która jej się przygląda. Piggy boi się, kiedy matka obserwuje ją podczas snu.

Czasami budzi się i widzi, jak matka bawi się ogniem. Ma zapalniczkę. Zapala ją i gasi. Zapala i gasi. Matka bawi się ogniem i patrzy, jak Piggy śpi.

Piggy widzi we śnie Miśka. Ma kukielkę ze skarpetki na każdej ręce. Skarpecianki są takie zabawne, tak samo jak wtedy, kiedy Misiiek jeszcze żył.

Potem we śnie pojawia się matka. Przyklada ogień do skarpetek. Dłonie Miśka są całe w ogniu.

W swoim śnie Piggy woła: „Nie, nie, to nie ogień, to nóż”.

Teraz płomień objęły włosy Miśka. Mówi do niej: „Uciekaj, Piggy, uciekaj!”. Jego usta wypluwają płomień, oczy się roztapiają.

Piggy siada na łóżku. Zrzuca kołdrę. Wstaje z łóżka. Stoi i dygocze, rękami obejmuje swoje ciało.

Czuje się taka samotna. Boi się. Boi się, że zawsze będzie samotna, do końca świata. I jeszcze dłużej.

Podbiega do dużego krzesła. Unosi poduchę. Poduszka ma powłóczkę. Powłóczka ma zamek błyskawiczny.

Trzymając w ręce Wiecznie Błyszczącą Rzeczą, Piggy robi Najgorsze, Co Może Zrobić.

I to naprawdę pomaga. Wtedy nie czuje się taka samotna. Pamięta Miśka, jak się uśmiechał, a nie tego plującego ogniem czy z nożem w szyi.

Misiiek nazywa to Najgorszym, Co Może Zrobić, ponieważ Matka może jej za to zrobić coś złego, albo jeszcze coś gorszego, gdyby ją na tym przyłapała.

Kiedy Piggy zrobiła już Najgorsze, Co Może Zrobić, odkłada Wiecznie Błyszczącą Rzeczą, po czym myje się i ubiera. Jest Gotowa Na Wszystko.

Misiek mówi, że kiedy ma się Nadzieję, jest się Gotowym Na Wszystko.

Zjada połamane herbatniki z poprzedniego dnia. Stara się przy każdej okazji odłożyć trochę jedzenia. Bo nie zawsze dostaje się jedzenie, kiedy chce jej się jeść.

Myśli o tym, co Misiek powiedział jej we śnie. „Uciekaj, Piggy, uciekaj!”.

Nie miał na myśli uciekania we śnie, tylko teraz. Misiek ją ostrzega.

Przypomina sobie, co poprzedniego wieczoru dostrzegła w oczach matki. Matka miała w rękach nóż, taki sam jak dla Miśka, i patrzyła bardzo nieładnie.

„Uciekaj, Piggy, uciekaj!”.

Jeśli Piggy obejrzy podeszwy swoich stóp, przypomni sobie, jaka kara jest wymierzona za uciekanie. To było dawno temu. Ale ślady tego Piggy nosi do dziś, można je zobaczyć.

To, co się dostaje za próbę ucieczki, bardzo boli. Najpierw słyszy się trzask otwieranej zapalniczki, a potem czuje się ból.

Matka jednym ruchem kciuka krzesze ogień. Potem go gasi. Potem znów zapala. To za uciekanie.

Piggy siada przy biurku i wyciąga z szuflady pudełko.

W pudełku są obrazki. Bardzo ich dużo. Niby takie same, ale różne.

Od dawna wycinała je z pism, może nie przez wszystkie dni, jakie były i jakie mają nastąpić, ale od dawna.

Tak je ze sobą połączyła, że wyglądają ładnie. Zebrała je z wielu pism ilustrowanych. Teraz ma ich już dostatecznie dużo. Może zaczynać.

Na widok obrazków Piggy się uśmiecha. Są takie ładne. I tak ich dużo. Siedzą i stoją. Biegają i skaczą. Psy. Wszędzie psy.

Niekończąca się armia, spowita w biel, formowała szeregi na zachodzie i posuwała się na wschód, zmierzając na wprost pogrążonymi w ciszy taborami, opanowując wielki most bez jednego wystrzału i bez wojowniczych okrzyków.

Golden Gate to bynajmniej nie nazwa mostu, ale ujścia zatoki, a most jest koloru pomarańczowego.

Gęste kratownice, dźwigary, liny nośne, i wieżyczki zaczęły ginąć we mgle.

Kiedy Amy jechała na północ w kierunku Marin County, z całej konstrukcji chwilami widać było tylko pionowe liny, co sprawiało wrażenie, że most wisi jedynie na chmurach i że przenosi pasażerów z mlecznej mgławicy życia, które spędzali na ziemi, w podobnie mleczną mgławicę rozciągającą się po śmierci.

– W tamtych czasach – powiedziała Amy, nazywając tak okres spędzony w małżeństwie z Michaeliem Coglandem – mimo że wychowano mnie w wierze, jeszcze nie potrafiłam widzieć. Życie było pełne zdarzeń, dziwne, czasami burzliwe, ale na co dzień nie zdawałam sobie sprawy z pewnych wzorców i prawidłowości. Wspaniały pies o imieniu Nickie podszedł do mnie, kiedy byłam małą dziewczynką... Następnie pojawiła się dziewczynka, której zdrobniałe imię brzmiało tak samo. Zbieżność ta wydała mi się zabawna, miła, ale nic poza tym.

Jej mąż coraz bardziej się od niej oddalał i Amy czuła coraz większą jego obcość, zaczął częściej wyjeżdżać z domu i to na dłuższe okresy, rzekomo w interesach, które wymagały jego obecności nie tylko w różnych zakątkach Europy, ale i w Azji i Ameryce Południowej. Prawdopodobnie jednak w tych służbowych wyjazdach towarzyszyły mu różne kobiety.

Tymczasem córeczkę Amy, już pięcioletnią, zaczęły trapić koszmary senne. Przy tym powtarzał się ten sam sen. Śniło jej się, że wędruje zaśnieżonym lasem, w którym się gubi, nie ma przy niej nikogo, ogarnia ją strach.

Taki las znajdował się tuż za ich domem, gąszcz krzewów i drzew nigdy nie zrzucający liści na zimę, gdzie nie docierało nawet światło latami morskiej.

Amy podejrzewała, że koszmary te wynikały z faktu, że dziecko czuło się

porzucone i zanedbane przez ojca, który najpierw oczarował ją i podbił jej serduszko, podobnie jak przedtem zjednął sobie matkę.

Któregoś wieczoru Nickie, już w piżamce, usiadła na krawędzi łóżka i poprosiła o kapcie.

„Mamusi, wczoraj w nocy śniło mi się, że chodzę bosą po lesie. Muszę zakładać kapcie do łóżka, bo wtedy we śnie nie będę biegła bosą po lesie”.

„To tylko sen, odpowiedziała Amy, a we śnie ziemia powinna być miękka”.

„Jest miękka, ale zimna”.

„Więc jest to zimowy las?”.

„Tak. Mnóstwo w nim śniegu”.

„W takim razie niech ci się przyśni las latem”.

To się zdarzyło zimą. W poprzednim tygodniu spadł pierwszy tej zimy śnieg, a owego popołudnia poproszył raz jeszcze, pokrywając wybrzeże świeżą warstwą lodowatej bieli.

„Podoba mi się ten śnieg”, powiedziała Nickie.

„W takim razie może powinnaś zabrać do łóżka zimowe buty”.

„Może”.

„I ciepłe wełniane skarpetki, i ciepłe majtki”.

„Mamusi, nie żartuj”.

„Do tego futro z norek i futrzaną czapę”.

Dziewczynka najpierw zachichotała, ale zaraz zaczęła płakać. „Nie lubię tego snu, szlochała, a już najbardziej tej części, kiedy śni mi się, że chodzę bosą”.

Amy wyjęła z szafy parę kapci i włożyła je pod poduszkę Nickie.

„Teraz, jak ci się będzie znów śnił las i że chodzisz po nim bosą, sięgnij pod poduszkę i załóż je w swoim śnie”.

Otuliła córeczkę kołdrą. Odgarnęła jej włosy z czoła, pocałowała ją w brewki, potem w jeden policzek, następnie w drugi, tak by całusy rozłożyć równo i sprawiedliwie.

Resztę wieczoru Amy spędziła na lekturze, a o wpół do jedenastej położyła się spać w swojej sypialni.

Brian, siedzący grzecznie na fotelu pasażera, odezwał się nieśmiało:

– Może ja teraz poprowadzę?

Minęli już most Golden Gate i jechali na północ autostradą numer sto jeden.

Gęsta mgła, która niemal całkowicie spowijała most, na lądzie zrzędała i

przypominała wodniste mleko.

– Nie – odpowiedziała. – Lepiej, jeśli ja będę prowadziła, bo wtedy przynajmniej czegoś się mocno trzymam.

Obudziła się w nocy, wytrącona ze snu zimową wichurą, ale nie wyciem wiatru, tylko dysharmonią dźwięków wydawanych przez dzwoneczki wietrzne wiszące na balkonie sypialni pana domu.

Amy spojrzała w okno wychodzące na wschód, spodziewając się zobaczyć w nim wirujące płatki śniegu, ale za szybą panowała nieprzenikniona ciemność.

Zazwyczaj z przyjemnością słuchała dźwięku dzwoneczków na wietrze, tym razem jednak było w nich coś drażniącego. Po raz pierwszy, odkąd zamieszkała w latami morskiej, zdarzyło się, że wiatr nie był dobrym muzykiem.

Całkowicie wybudzona doszła do wniosku, że to nie dzwoneczki i nie wiatr wyrwały ją ze snu, ale jakieś inne niepokojące odgłosy. Zerwała się z łóżka, odrzuciła kołdrę.

W sąsiednim domu mieszkało małżeństwo, James i Ellen Avery, którzy prowadzili właścicielom gospodarstwo i pilnowali, by państwu niczego nie brakowało. James, prócz tego, że był dobrym zarządcą, odznaczał się również tężyzną fizyczną i solidnością.

W tym samym skrzydle domu osobne pokoje zajmowały służąca Lisbeth i Caroline, niania.

Na noc zawsze włączany był alarm. Ewentualne wybicie okna czy wyłamanie drzwi umchomiało syrenę, a wtedy zaalarmowany James na pewno by przybiegł.

W każdym razie Amy wiedziona niemal zwierzęcym instynktem stała przy łóżku, czujnie nasłuchując.

Z uniesioną głową wsłuchiwała się w dziwne nocne odgłosy, modląc się w duchu, by ustał ten upiorny wiatr i by umilkły dzwoneczki.

Nocna lampka przy łóżku wyposażona była w ściemniacz. Amy drżącymi rękoma namacała wyłącznik i włączyła najsłabsze oświetlenie.

Zaledwie parę tygodni wcześniej zrobiła coś, co przedtem mogło wydawać się niezrozumiałe, jeśli nie wręcz głupie. Przeczytawszy w gazetach doniesienia o makabrycznych napadach i morderstwach, kupiła pistolet i wzięła kilka lekcji obchodzenia się z bronią.

Chociaż nie. To nie z powodu prasowych doniesień o morderstwach.

Sama przed sobą ukrywa prawdę, by mogła dalej ludzić się, że jej życie jeszcze

nie zostało całkiem zmarnowane.

Gdyby rzeczywiście bała się kogoś obcego o morderczych skłonnościach, zwierzyłaby się komuś ze swoich obaw, chociażby Jamesowi Avery, przyznałaby, że kupiła broń i wzięła lekcje strzelania. Pistolet zostawiałaby na nocnym stoliku, tak by w każdej chwili mogła po niego sięgnąć. Nie trzymałaby go w starej torebce, schowanej na dnie szuflady biurka, gdzie przechowywała swoją kolekcję torebek.

W mdłym świetle nocnej lampki, która pozwalała jej uniknąć wpadnięcia na meble, krokiem lunatyczki pogrążonej we śnie podeszła do biurka, skąd wyciągnęła torebkę pełniącą rolę pokrowca dla rewolweru.

Kiedy odchodziła od biurka, posłyszała zgrzyt klamki, wstrzymała oddech, gdy zobaczyła, jak on wchodzi do jej sypialni z błyszczącym mimo mroku zimnym spojrzeniem. To był Michael.

Miał być w tym czasie jeszcze w Argentynie w interesach i wrócić nie wcześniej niż za sześć dni.

Nie odezwał się ani słowem, ona zresztą też nie wydała z siebie głosu, gdyż jego upiorny uśmiezek wyrażał jasno jego zamiary, motywy i przemoc.

Działał szybko i brutalnie. Uderzył ją, zachwiała się, wpadając na biurko, którego wystające uchwyty dźgnęły ją w plecy. Nie wypuściła jednak z ręki torebki.

Zadał jej cios pięścią, mierzył prosto w twarz, ale trafił w bok głowy. Amy osunęła się na kolana. Nie wypuściła z ręki torebki.

Złapał ją za włosy i postawił na nogi. Była tak przerażona, że nawet nie czuła bólu.

Wtedy spostrzegła w jego ręku nóż. Wielki nóż.

Jeszcze nie zamierzał go użyć, znów szarpnął ją za włosy, zwracając ku sobie, jak bezwładną lalkę.

Zadał jej następny cios, padła na podłogę, niemal rozbijając sobie głowę o toaletkę, ale nadal nie wypuściła z rąk torebki.

Rozsunęła zamek błyskawiczny torebki, sięgnęła do środka, zwinęła się w kłębek na plecach i wykonała dwa niezbędne ruchy, tak jak ją nauczono.

Kule w coś uderzyły, chybiając celu, ale zdezorientowany Michael odskoczył od niej.

Strzeliła raz jeszcze, a on wtedy rzucił się do ucieczki. Widziała go jeszcze w holu obok sypialni, gdy biegł do wyjścia, musiała go trafić, bo zachwiał się, ale nie upadł, i po chwili zniknął.

Zabijanie we własnej obronie oraz w obronie niewinnych ludzi nie jest morderstwem, wahanie nie jest tu cnotą, a tchórzostwo w takiej sytuacji jest grzechem.

Rzuciła się za nim w pogoń, przekonana, że nie został śmiertelnie ranny, ale z mocnym postanowieniem, że w końcu go śmiertelnie rani.

W korytarzu zauważyła światło sączące się z pokoju Nickie. Serce przestało jej bić na chwilę, gdy dotarła do niej straszna myśl. Wydała cichy krzyk, cichy, bo w piersiach zbrakło jej tchu, gdyż powietrze dokoła zdawało się pozbawione tlenu.

Trzymając przed sobą oburącz pistolet, weszła do pokoju Nickie, ale Michaela tam nie było.

Był tu przed nią. Omal trupem nie padła na widok tego, co zobaczyła, żal i przerażenie było tak straszne, że wiedziona impulsem chciała natychmiast wsadzić sobie lufę pistoletu do ust i dla siebie przeznaczyć czwartą kulę.

Było jej obojętne, czy zasłużyłaby tym na wieczne potępienie, ale zanim skaże siebie na męki piekielne, chciała jego najpierw tam posłać.

Pobiegła, niemal pofrunęła przez hol, na dół, do drzwi wejściowych, które stały otwarte na oścież.

Dziw, że jeszcze żyła, tak bardzo chciała umrzeć, mimo to wybiegła z domu, minęła ganek, zbiegła po schodkach i wypadła na dwór, w nieprzenikniętą ciemność.

Wschodnia strona za domem była jasno oświetlona intensywnym blaskiem bijącym z górnego pomieszczenia latarni, tak potężnym i milczącym, jak jej bezgłośny wewnętrzny krzyk, mogący ostrzec żeglarzy przepływających przez odległy Atlantyk.

Ze względu na miejscowych mieszkańców latarnia obracała się tylko w promieniu stu osiemdziesięciu stopni, tak że zachodnia część terenu pozostawała nieoświetlona. Za ledwie mdła poświata odbitego światła błędziła po śniegu, nie powodując nawet cieni.

Penetrowała wzrokiem ciemność w przemożnej chęci wypatrzenia go gdzieś w pobliżu i po chwili go dostrzegła, jak biegł w stronę lasu.

Wypaliła z pistoletu po raz czwarty, mewa poderwały się z krzykiem z dachu latarni i poszybowały w górę, najpierw zdezorientowane poleciały na zachód, ale zaraz tuż nad jej głową zawróciły i poleciały na wschód, by następnie poszybować w górę.

Michael znajdował się już poza zasięgiem pistoletowej kuli, rzuciła się więc za nim w pogoń, powstrzymując się od strzałów, dopóki go nie dogoni.

Właśnie go doganiała, wiedziała, że zdobędzie przewagę, ponieważ on był

ranny, a ona nie, jego gwałt strach, a ją wściekłość i rozpacz.

Kiedy Michael był już blisko lasu, ponownie wystrzeliła, on jednak nie padł na ziemię, tylko zniknął wśród zarośli, które wchłonęły go w swoją ciemność.

Teraz zaczynała rozumieć, że spełnia się sen jej córeczki, której się śniło, że błąka się po lesie, bosa i wystraszona.

Nadal napędzana furią przebiegła jeszcze po lesie dziesięć kroków, potem następnych dwadzieścia, zanim się zatrzymała. Przed nią rysowała się plątanina ścieżek i gąszcz drzew.

Zaczęła nasłuchiwać, ale nie dotarł do niej żaden dźwięk. Może leżał gdzieś na ziemi ukryty w tym labiryncie, a może pobiegł znaną sobie ścieżką na tyle daleko, że wiedział, iż ona już nie może go usłyszeć.

Jeśli leżał gdzieś zaczajony, istniało ryzyko, że ona da się zaskoczyć, a chciała się z nim zmierzyć, chciała go zabić.

Ale jeżeli on zapuścił się głęboko w gęstwinię i zostawił gdzieś po drugiej stronie lasu samochód, jej pogoń za nim tylko przyspieszy jego ucieczkę.

Ociągając się, zawróciła, by pobiec do domu i zawołać czym prędzej policję.

Wchodziła już niemal na ganek, gdy nagle zdała sobie sprawę, że jej strzały nie wywabily nikogo z sąsiedztwa. Nie pokazał się ani James, ani Ellen Avery, ani służąca Lisbeth czy niania Caroline.

Wszyscy byli martwi, a ona była jedyną pozostałą przy życiu osobą.

Harrow stoi na krawędzi skalistego urwiska, wznoszącego się nad plażą, i patrzy na falę mgły nadciągającą znad morza.

W mgliste dni, kiedy niebo nad zamglonym morzem pokryte jest chmurami, latarnia morska wysyła światło, mimo że zmierzch jeszcze nie zapadł, tak została zaprogramowana.

Inżynierowie ze straży nadmorskiej nic nie wiedzą o tym, że Harrow potrafi zakłócić pracę czujników tak, że latarnia nie zapali się wcześniej przy takiej pogodzie. Nie oświetli jego gości, którzy mają tu przybyć.

Upłynęło dziewięć lat, zanim nadszedł czas, by mógł dokończyć swe dzieło, teraz niecierpliwie czeka, by pokazać Amy świeżo naostrzony nóż, ten sam, którego wtedy użył. Ma nadzieję, że ona rozpozna to narzędzie, zanim je w niej zatopi, powinna bowiem podzielić los swej córki.

Pewnie najpierw rozpozna nóż, zanim rozpozna jego samego. Podczas ostatnich dwóch lat, kiedy mieszkał w Brazylii, jego twarz przeszła wielkie przeobrażenia.

Rio jest stolicą operacji plastycznych, chlubi się największą na świecie liczbą chirurgów plastycznych. Ludzie zjeżdżają się tu ze wszystkich stron, by odzyskać młodość i odrodzić się na nowo.

Kiedy po dwóch latach wrócił do Stanów z nową twarzą i nowym nazwiskiem, rozpoczął poszukiwania Amy. Był człowiekiem bardzo zajęтым i miał wokół siebie zastępy czekających na rozkazy podwładnych, którym wyznaczył zadania, w większości niebezpośrednio, nie mógł bowiem pozwolić sobie na to, by samemu zająć się poszukiwaniami i poświęcić temu wiele czasu. Niemniej był to dla niego cel priorytetowy.

Wymagało to od niego wiele dyskrecji. Nie chciał wyraźnie okazać komukolwiek, kto miał dostęp do akt sądowych, zbytniego zainteresowania jej losem, bo mógłby w ten sposób ściągnąć na siebie uwagę niepożądanych osób.

Przez dłuższy czas ani jego własne poszukiwania, ani wynajętych ludzi nie

przynosiły żadnego rezultatu. Amy zaczęła nowe życie i pogrążyła się w nim bez reszty.

Dopiero przed dziewięcioma miesiącami przypomniał sobie rzewną historię, którą mu opowiadała o psie znalezionym na łące, zabiedzonym i głodnym, który podbił serca zakonnic i sierot.

Nosiła na szyi medalion z jego wizerunkiem. Odtąd golden retrievery stały się jej ulubioną rasą. Mówiła, że kiedy Nicole będzie trochę starsza, skończy osiem czy dziewięć lat, Amy kupi jej psa, właśnie retrievera.

Przekazała pieniądze – jego pieniądze – miejscowemu towarzystwu zajmującemu się ratowaniem golden retrieverów. Widział ich apele i dziwił się, po co tyle zachodu. Psy to psy, ludzie to ludzie, wszyscy z nich pomrą, co nie ma większego znaczenia, jeśli oczywiście nie dotyczy to nas samych.

Podjeżdżał, że rozpoczynając nowe życie, Amy nie zmieni swojego imienia. Większość ludzi tak robiła, nawet świadkowie koronni objęci ochroną władz, ścigani przez tłum.

Poza tym po owej pamiętnej zimowej nocy nie zostało jej nic prócz imienia. Sierotka bez nazwiska zapewne nie będzie chciała tracić imienia, jedyne znaku identyfikacyjnego. Bardziej nawet niż pozostali ludzie trzymała się kurczowo czegoś, co łączyło ją z przeszłością.

Nie udało mu się wpaść na jej trop przez Internet, niepowodzeniem też zakończyły się poszukiwania prowadzone przez wynajętych ludzi, ale to dlatego, że nie mieli odpowiedniego punktu zaczepienia. Używając słów: „Amy”, „golden”, „retriever”, „ratowanie”, podjął jeszcze jedną próbę.

Zdołał znaleźć kilka kobiet o imieniu Amy, miłośniczek tej rasy psów, ale tylko jedna z nich stworzyła grupę pomocy. Ich strona internetowa nie zawierała jej zdjęcia, ale im więcej czytał doniesień o udanych akcjach ratowania psów, tym bardziej rozpoznawał w nich cechy kobiety, którą kiedyś poślubił.

Pewnemu detektywowi, który nazywał się Vemon Lesley, udało się zdobyć jej zdjęcie, co potwierdziło, że to jest właśnie ona, matka dziecka Michaela Coglanda, czyli Harrowa.

Już wtedy mógł ją brutalnie zaatakować, ale nie wiedział, do jakiego stopnia zachowywała środki ostrożności. Wziął na wstrzymanie. Jeszcze dokładniej kazał ją śledzić.

Kiedy dowiedział się, że ona spotyka się z McCarthym, opłacił Vemona Lesleya,

by przeczesał mieszkanie architekta. Stąd dowiedział się o istnieniu Vanessy, przeczytał jej e-maile, które wysyłała do Briana, i ogarnęła go fascynacja tą kobietą.

Kiedy ją wytropił, używając nielegalnych metod, jakie Brianowi nawet nie przyszłyby do głowy, kiedy spotkał się z nią oko w oko, wiedział, że jego życie uległo odmianie. Odkrywanie ciała i umysłu Moongirl stało się dla niego przez jakiś czas ważniejsze niż dokończenie porachunków z Amy.

A teraz nadszedł ten dzień.

Amy zamilkła na chwilę, nie mogła dalej mówić, nie mogła też prowadzić. Zaparkowała samochód na poboczu autostrady.

Bez słowa odeszła w stronę łąki pełnej zeschniętej trawy i spłowiełych chwastów. Teren stawał się lekko pochyły, a na oddalonym i niżej położonym wzniesieniu też nie było widać żadnych dębów, tylko więcej chwastów i suchych traw walczących o przetrwanie. Nad nimi rozciągało się ołowiane niebo.

Odeszła na odległość może siedmiu metrów, po czym zatrzymała się i zaczęła z uwagą oglądać swoje dłonie, obracała je, by przyjrzeć się im ze wszystkich stron, z wierzchu i od spodu.

Wspomnienia bowiem wryły się nie tylko w jej pamięci, ale również i w dłoniach. W naskórku jej palców nadal zapisana była pamięć chwili, gdy po raz ostatni gładziła buzię swego żywego jeszcze dziecka, nadal czuła ciepły oddech córeczki, aksamitną miękkość jej policzków, fakturę jedwabistych włosów, gdy odgarniała je z czoła dziewczynki.

Amy czuła jeszcze więcej, łagodną linię podbródka, delikatną powierzchnię płatków uszu, ich wykrój, czuła to wszystko tak wyraźnie, jakby dopiero przed chwilą pieściła dziecinną buzię; pamięć tego dotyku zostanie z nią do końca życia, przywoływana lub objawiana w całkiem nieoczekiwanych chwilach wracała do niej i dręczyła ją za każdym razem.

Poszła dalej na łąkę, właściwie bez celu, tak jak żyła przez ostatnie dziewięć lat, idąc nie wiadomo ku czemu, chcąc jedynie zapełnić lukę, której niczym wypełnić ani zastąpić się nie da.

Po dziesięciu, a może po stu krokach padła na kolana, podparła się rękami, niczym raczkujące dziecko, ale nie miała sił, by się poruszyć, pójść gdziekolwiek dalej.

Po tym, gdy przestała być Amy Cogland i nie mogła być z powrotem Amy Harkinson, już jako Amy Redwing nikomu nie opowiedziała tej historii. Po tylu latach tłumienia i skrywania uczuć, do których wracała samotnie podczas bezsennych nocy, spostrzegła, że wyjawienie ich Brianowi okazało się dla niej znacznie bardziej bolesne,

niż się spodziewała.

Na ziemi, na czworakach, z głową zwieszoną, bo ciążyła jej jak kamień, próbowała złapać oddech, a może był to szloch? Płakała, wspominając śmierć psa, maskotki zakonu sióstr Misericordiae. Teraz łzy nie wydawały się odpowiednim wyrazem żalu po stracie jej drugiej Nickie. Może powinna umrzeć tego samego dnia i tylko to byłoby jedynym wyrazem żalu po takiej stracie.

Usiadła na poźółkłej trawie, skrzyżowała nogi, tak że przybrana pozycja przypominała kwiat lotosu, gdyby nie zwieszona nisko głowa i ręce obejmujące kolana. Kołysała się łagodnie w przód i w tył.

Spokój mogłaby osiągnąć, oddając się medytacjom. Nigdy jednak nie zaczęła medytować. Wiedziała bowiem, że medytując, musiałaby rozpamiętywać tamtą noc, a wtedy uparcie powracałyby nieuchronne pytania: dlaczego i zastanawianie się, co by było, gdyby.

Zamiast medytacji wybrała modlitwę. Modliła się żarliwie za córkę, za Jamesa i Ellen, za Lisbeth i Caroline. Modliła się też za psy, za złagodzenie ich cierpień.

Po chwili Amy podniosła głowę i zobaczyła Briana, jak stoi w odległości dwunastu metrów od niej, trzymając na smyczy Nickie. Widać było, że nie był pewien, czy dobrze robi, zostawiając ją na chwilę samą. Ale oczywiście dobrze zrobił.

Kochała go za tę jego ujawnianą czasem niezręczność, wahania, wątpliwości, nieśmiałość.

Michael Cogland był zawsze pewny siebie, gładki i układny w każdej sytuacji. Ale to, co mogło wydawać się na pierwszy rzut oka urokiem osobistym, było w rzeczywistości przejawem socjopatologicznej osobowości człowieka nieskażonego odrobiną pokory.

Brian spuścił psa ze smyczy i to było też słuszne posunięcie. Nickie pocałowała w ramiona Amy.

Po chwili wahania, niezręcznie, jakby był nieopierzonym młodzieńcem, Brian podszedł do niej i usiadł obok.

Po krótkim milczeniu odezwał się:

– Życie psa trwa krótko, zbyt krótko, ale wiesz, że tak jest. Wiesz, że potem czeka cię cierpienie po stracie psa, że będzie ci go brakowało, ale póki możesz, żyjesz pełną piersią, cieszysz się radością psa, zachwycasz się jego niewinnością, ponieważ nie możesz trwać w złudzeniu, że będzie to twój towarzysz do końca życia. W tej szczerości jest tyle piękna, w dawaniu i przyjmowaniu miłości, mimo przekonania, że

przyjdzie za to zapłacić wysoką cenę. Może miłość do psa jest pokutą, jaką odprawiamy za inne złudzenia, którymi się karmimy, i za błędy popełniane właśnie z powodu tych złudzeń.

Wielkie nieba, nie dostrzegła w tym nic niezręcznego. W tym, co mówił, zawierała się pełna prawda ośmiu lat ratowania psów, czego ona nie potrafiłaby wyrazić słowami.

Nic więcej nie musieli mówić. Uczucie, które do siebie żywili, okazywali szczerze Nickie, tej żyjącej Nickie.

– Michael uciekł z kraju – powiedziała wreszcie, chcąc dokończyć tę historię. – Nigdy go nie odnaleziono. I chociaż nie wrócił do Argentyny, zapewnił sobie niezłe alibi w Buenos Aires. Jego przyjaciele przysięgali, że tę noc spędził w ich towarzystwie. Oczywiście to pozostawało w sprzeczności z tym, że ja go widziałam tej nocy i przeżyłam. Co to za ludzie, którzy przysięgali, że to prawda, wiedząc doskonale, że to kłamstwo i że ich przysięgi są bez znaczenia?

Będąc mężem i ojcem, Michael mógł wreszcie dostać upragniony spadek, a potem rodzina już mu nie była do niczego potrzebna. Zgodnie z prawem na żonę i dziecko przypadła część jego majątku. Nie mógł zaksięgować żony i córki po stronie aktywów, tylko po stronie „winien”. Należało więc je usunąć z jego ksiąg.

Mógł kogoś wynająć, by za niego zrobił porządek w jego buchalterii. Musiał jednak obawiać się, że płatny morderca mógłby go potem szantażować. Okrucieństwo, z jakim popełnił te morderstwa, świadczyło o tym, że Michael nie tylko chciał uniknąć dawania okazji do szantażu, ale że zabijanie również sprawiało mu przyjemność.

Policja odkryła, że przewidywał on sytuację, w której jego misternie skonstruowane alibi okaże się niewiarygodne. Przez trzy ostatnie lata poprzedzające morderstwo zdążył wyprowadzić większość majątku poza granice Stanów Zjednoczonych, inicjując kolejne złożone inwestycje za pośrednictwem podstawionych osób, które prały brudne pieniądze, po czym inkasując je pod fałszywymi nazwiskami, tak by nie można było dociec ich tożsamości.

Zdruzgotani tym, czego dopuścił się ich syn, starsi państwo Coglandowie starali się być bardzo mili dla Amy, traktując ją jak własną córkę. Jednak życie w luksusie straciło dla niej dawny powab, niosło ze sobą jedynie gorycz.

Amy spieniężyła to, co zostało z wyprowadzonego za granicę majątku, były to przede wszystkim obciążone hipoteką domy. Stanowiło to znikomą część tego, co zabrał Michael. Ale nawet te sumy, które jej przypadły, wydały jej się zbyt wielkie, dla

niej były to pieniądze splamione krwią. Czuli, że musi coś zrobić ze swoim życiem, co sprawi też, że pieniądze te przestaną być brudne.

Wyrachowanie i niesłychana brutalność, z jaką Michael potraktował swoje ofiary, wskazywały, że nie zaszyje się on bezpiecznie na jakiejś wyspie w tropikach, gdzie będzie mógł do końca życia wylegiwać się na słońcu, popijając piña coladę. Stawiając mu opór, Amy zmusiła go do życia w ukryciu, zraniła go – dosłownie i w przenośni.

Kiedy człowiek nie ma w sobie ani krzty pokory, duma zajmuje jej miejsce. Mógł poczuć, że jego zraniona duma wymaga odwetu, a zatem w każdej chwili można by się spodziewać, że wróci, by dokonać aktu zemsty.

Wobec tego jej adwokat przekonał sąd, że władze powinny pomóc jej zmienić tożsamość i utajnić dokumenty dotyczące zmiany nazwiska.

Występowała jako Amy Harkinson od trzeciego roku życia. Nie zapomniała jednak swojego nazwiska, które widniało na karteczce przypiętej do jej koszulki, gdy ją zostawiono w kościele Matki Miłosierdzia: Redwing.

Była najzupełniej pewna, że nie wspomniała o tym Michaelowi. Jej tragiczna historia żenowała ją, nie chciała być uważana za podrzutka w stylu bohaterów powieści Dickensa. Woliała nie wyjawiać całej prawdy o sobie, jakby wyjętej z melodramatu, nie chciała też uchodzić za kogoś o nieznanym pochodzeniu, zdecydowała się więc na przemilczenie swojej historii, dzięki któremu Michael mógł myśleć, że jest ona córką Harkinsonów, a do sierocińca trafiła dopiero po ich śmierci.

Adwokat i sędzia sugerowali, że lepiej będzie przyjąć całkowicie nowe imię i nazwisko, niemające żadnego odniesienia do rzeczywistości, ale ona wpadała w histerię na samą myśl, że nic by ją już nie wiązało z przeszłością. Siostry w Misericordiae zgodziły się usunąć jej nazwisko Redwing z wszelkich akt i dokumentów, obiecując też wymazać je z pamięci.

Z tego powodu straciła również siostry, które ją wychowały. Dopóki Michael nie zostanie odnaleziony – jeżeli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi – Amy nie odważy się na wizytę w Mater Misericordiae.

Wyjechała na zachód. Kupiła niewielki bungalow. Schudła jak szczapa, trawiona rozpaczą, wiodła pustelnicze życie, nie potrafiąc znaleźć drogi ucieczki ze swojej celi.

Aż pewnego dnia, obracając w palcach medalion i wspominając kochaną Nickie, która przysłała do niej na łące, poczuła, że wie, co należy zrobić. Znalazła dobrą

hodowlę psów, gdzie kupiła dwa szczeniaki.

Fred i Ethel wnieśli w jej życie nadzieję. A mając już nadzieję, mogła zastanowić się nad celami, jakie powinna sobie obrać w życiu. I tak znalazła Golden Heart.

Teraz, gdy siedzieli obydwój na wysuszonej łące, zadzwonił telefon komórkowy Briana. Vanessa przekazywała dalsze instrukcje. Jeszcze tylko godzina, a Hope wstąpi w życie Briana.

Szutrowa wąska droga odchodziła od lokalnej drogi i w odległości pół mili kończyła się prostą bramką zrobioną z pomalowanych metalowych rurek. W mglisty dzień, nawet przed zapadnięciem zmroku, można było jej nie zauważyć, mimo przymocowanych na obrzeżach światełek odblaskowych. W świetle reflektorów samochodowych ciąg owalnych światełek połyskiwał na bramie niczym głowy wielkich grzechotników przymocowane do ramki na trofea.

Billy Pilgrim zsunął szybę i nacisnął guzik domofonu.

– Kto tam? – zapytał po krótkiej chwili Harrow.

– Billy.

Harrow znał go pod innymi jeszcze nazwiskami, ale nie Tyrone’a Slothrop.

– Nie za zwięźle? – napomniął go Harrow.

– Widziałem piękną, młodą dziewczynę jadącą samochodem, na którego zderzakach widniały nalepki z napisem: ABSTYNENCJA ZAWSZE SIĘ OPŁACA, i jej nie zabiłem.

Po dłuższej chwili Harrow odezwał się:

– Billy, zawsze mnie rozśmieszasz, ale może nie tym razem, okay?

– Juliette Junke twierdzi, że za dużo pracuję. Może to o to chodzi.

– Mamy teraz dyskutować o nadmiarze pracy?

– Nie, ja tylko tak mówię.

– Masz ze sobą torbę ze szpargałami z domu Amy?

– Mam, ale później ją przyniosę.

– Kiedy później?

– Jak powiedziałeś, wyrażam się zwięźle. Muszę się pozbierać. Przyniosę torbę, kiedy sprowadzę McCarthy’ego i tę małpę.

– Nic ci nie jest? – zapytał Harrow.

– Po tej robocie wezmę sobie trochę wolnego. Poczytam to i owo, zobaczę, czy odnajdę tamtą młodą matkę z dwoma dziećmiakami w podwójnym wózku.

– Jaką znowu matkę?

– Słuchaj, muszę się pozbierać i to zaraz. A potem przyniosę torbę ze szpargałami z domu Redwing.

Brama się otworzyła i Billy wjechał na ogrodzony teren.

Na wypadek ładnej pogody miał snajperski rewolwer, co mu pozwalało ukryć się w bezpiecznej odległości i stamtąd strzelić w kilka opon forda Redwing w dowolnym miejscu drogi, w ten sposób biorąc ich z zaskoczenia. Nie miałoby możliwości zobaczenia go z bronią i wycofania się pędem z zagrożonego miejsca na wstecznym biegu.

W takiej mgle nawet nie potrzebował rewolweru. Mógł się zaczaić na nich bliżej drogi. Z glocka strzeli w opony, tą samą bronią też nakłoni ich do opuszczenia samochodu, a wtedy strzeli do psa przez szybę.

Za bramą droga wiała się, wznosiła i opadała przez blisko dwa kilometry, a po ostatnim wzniesieniu schodziła w dół w stronę latami morskiej, oddalonej już tylko o dwieście metrów.

Harrow chciał, aby Redwing udała się na to wzniesienie i zobaczyła latarnię, co pozwoli jej uświadomić sobie, że przyszła tu po śmierć, ale że przedtem czeka ją jeszcze coś gorszego niż śmierć. W owej chwili Billy miał unieruchomić jej samochód.

Mgła zasłaniała większość sylwetki latami morskiej, ale wieża była ogromna i majaczyła nawet w zasłonie gęstej mgły.

Billy zjechał z drogi i skierował swoje auto w kępę rosnących na zboczu sosen, zaparkował tam, zgasił reflektory i wyłączył silnik.

Kiedy sprowadzi Redwing i McCarthy'ego do domku strażnika, odegra całe przedstawienie. Szef będzie miał widowisko.

Po tym, jak para ta zostanie uwięziona w kuchni, Harrow z pewnością każe Billy'emu zaczekać na niego w latami. Tam właśnie, a nie w obecności Vanessy, omawiali sprawy zawodowe.

Ponieważ Billy będzie ostatnią osobą łączącą szefa z Redwing i McCarthym, Harrow zechce zabić Billy'ego w latami.

Ale Billy chciał, żeby kryzys wieku średniego, jaki właśnie przechodził, przypadła na środek jego życia, a nie na koniec. Nie zamierzał więc czekać, aż Harrow zabije go w latami morskiej.

Wobec tego poszedł do garażu i wyciągnął świece z obydwu samochodów Harrowa, po czym wsiadł do wynajętego SUV-a i wyjechał za bramę.

Weźmie rozbrat z Billym Pilgrimem. Koniec z nim, skończone, *finito*. Teraz

będzie Tyronem Slothropem, przez cały następny tydzień, albo jeszcze lepiej przez miesiąc, kto wie zresztą, może i do końca życia.

Nie będzie mógł nadal prowadzić przestępczej działalności w Kalifornii, Arizonie czy Nevadzie oraz w kilku krajach Ameryki Południowej, ponieważ znano go w zbyt wielu środowiskach jako człowieka mającego związki z Harrowem.

Wszyscy lubili pulchnego, łysiejącego Billy'ego i każdy chętnie padłby mu w ramiona, ale powstrzymywał ich strach przed Harrowem, bo to jemu woleli wchodzić w tyłek. Strach zawsze tłumi uczucia i jak wynikało z życiowego doświadczenia Billy'ego, ludzie na ogół wolą komuś wchodzić w tyłek, niż brać w objęcia.

Kiedy rozejdzie się, że Billy wypadł z łask Harrowa, każdy napotkany dawny kumpel i przyjaciel będzie chciał go natychmiast sprzątnąć, byleby przypodobać się Harrowowi. Przyjaźń niewarta była serca, w którym uczucie to było zapisane, czego Billy sam nieraz dowiódł swoim postępowaniem, chociażby zabijając Georgiego Jobbsa. Serce to tylko kawał mięsa, ludzie też są mięsem, a mięso się nie liczy. Czy taki filet mignon dba o kotlet wieprzowy? Nie.

Jako Tyrone Slothrop będzie musiał udać się tam, gdzie ani Harrow, ani jego świta nie podróżują, na przykład do Oklahomy, Utah czy Południowej Dakoty. Trochę będzie z tym zachodu, ale znajdzie dość okazji do nowych przestępstw na nowym terenie; wszędzie są ludzie, których trzeba będzie zabić.

Schudnie, zapuści wąsy, odetnie sobie ucho. Jeśli któryś z ludzi Harrowa natknie się na niego w Pierre w Południowej Dakocie, przetrze oczy ze zdumienia, dwa razy się zastanowi, zanim w końcu powie: „Nie, to nie może być Billy, Billy miał dwoje uszu”. Obcięcie ucha dla zmiany wizerunku jest lepsze niż kapelusz tyrolski i złota koronka nakładana na zęby razem wzięte.

Może wraca do siebie. Życie znów wydaje się bez znaczenia, brutalne i zarazem zabawne, dokładnie takie, jak przedstawiane w jego ulubionych powieściach.

Wysiadł z wynajętego SUV-a, zabierając ze sobą plastikową torbę ze szpargałami wziętymi z domu Redwing i glocka 18. Zdjął tłumik. Szef chciał usłyszeć strzały.

Wdrapał się na stok i zajął pozycję tuż za grzbietem wzniesienia, na skraju młodnika.

Mgła przyjemnie chłodziła mu policzki i gołą głowę, do tego tłumiała hałasy. Ledwo słyszał odgłos fal rozbijających się o brzeg, co brzmiało jak szept tysięcy ludzi znajdujących się w oddali.

Myślenie metaforami i przerośniami nie było najlepszą konsekwencją obcowania z literaturą.

„Jak szept tysięcy ludzi znajdujących się w oddali”.

Nie była to specjalnie udana przerośnia, bo niby dlaczego tysiące ludzi miałyby się zebrać w jakimś miejscu i szeptać?

Ale skoro przerośnia ta zagnieździła się w jego głowie, już nie mógł się jej pozbyć, co stało się męczące. Wkrótce już go to niepokoiło, a nawet zaczęło dręczyć.

Ten nieprawdopodobny obraz tysięcy szepczących ludzi zdominował jego wyobraźnię.

No dobrze. Dość tego. To tylko cholerna przerośnia. Nic nie znaczy. Nic nigdy nie ma żadnego znaczenia. Z nim jest wszystko w porządku. Wraca do siebie. Świetny z niego facet. Hej, ho.

Skreśli w stronę wybrzeża i tam znów zaskoczyła ich gęsta mgła, która skradała się w ich stronę bynajmniej nie delikatnie jak kot, ale groźnie jak stado lwów.

Vanessa dzwoniła do Briana jeszcze trzykrotnie w odstępach piętnastominutowych z następnymi wskazówkami, ponieważ jej paranoidalny kochaś chciał zmylić trop ewentualnym ekipom telewizyjnym goniącym za sensacją, które mogły się ciągnąć za nimi nawet bez ich wiedzy.

Absurdalność takiego zachowania zdawała się potwierdzać prawdziwość opowieści Vanessy, kiedy więc dojechali do bramy, Amy zaczęła nabierać przekonania, że całą procedurę podpisywania aktu, mimo że z pewnością do przyjemnych nie będzie należała, jednak da się przeżyć.

Mimo włączonych świateł przeciwmgielnych, dopiero w ostatniej chwili zauważyli bramę. Czerwone reflektory ledwo przebijały się przez kłęby mgły.

Kiedy Brian, który teraz siedział za kierownicą, nacisnął guzik domofonu, odezwała się Vanessa.

– To jeszcze dwa i pół kilometra, Bry. Piggy jest spakowana, a ja czekam z butelką zmrożonego Dom Perignon. Wreszcie będziemy mieli to za sobą. Tak się cieszę, że ta mała kretyńka wreszcie się stąd wyniesie, że ze szczęścia niemal sikam po nogach.

Amy nie słyszała jeszcze głosu tej kobiety. Zaskoczyło ją to, że nawet w tak prymitywnym urządzeniu, jak głośniczek domofonu, jej głos, gardłowy i silny, brzmiał niezwykle uwodzicielsko.

Brama rozwarła się, a gdy przez nią przejechali, Nickie głucho warknęła.

Stała za nimi na czterech łapach w części bagażowej. Popatrzyła na lewo, potem na prawo, a wreszcie przed siebie przez przednią szybę. Warczała niskim tonem, ostrzegawczo i przeciągle, jakby chcąc odstraszyć coś lub kogoś, kto nie wziął jej początkowego warknięcia dostatecznie serio.

Brian zwolnił, niemal zatrzymując samochód.

– Może to ta mgła ją wystraszyła?

– Może – odpowiedziała Amy. – Ale gdzie są ci ochroniarze, którzy zgodnie z tym, co mówiła Vanessa, mieli przeszukać nas i cały samochód?

– Mówiła, że do celu zostało nam jeszcze dwa i pół kilometra. Pewnie gdzieś dalej znajduje się bardziej formalna strażnica.

Auto sunęło dalej, ale w pewnym momencie Amy poleciła Brianowi stanąć.

Obróciła fotel, kazała Nickie się posunąć i sięgnęła do plecaka. Otworzyła zamek błyskawiczny i wyciągnęła swojego SIG-a P245.

– Jeśli czujesz, że robi się tu niebezpiecznie – zauważył Brian – możemy zawrócić i wyjechać, okrążając bramę. Teren jest nierówny, ale da się tamtędy przejechać.

– Nie wiem, czy robi się niebezpiecznie, ale mam zaufanie do tego futrzaka.

Na widok pistoletu zwierzę umilkło.

– Wiemy, że Vanessa jest chora – powiedziała Amy. – Ale czy wiemy, jak bardzo?

– Znadto jest w sobie zakochana, by zrobić jakieś głupstwo.

– Tak też myślałam, zastanawiając się, czy wziąć ze sobą broń. Uznałam, że nie będzie mi potrzebna. A jednak teraz mam ją w ręku.

Skinął głową.

– Wracajmy – powiedział.

– Nie.

– Przecież dopiero co powiedziałaś...

– Wiesz, o co chodzi. O pewien schemat. Ja straciłam córkę i ty też straciłeś swoją. Z tym, że ja straciłam swoją na zawsze. Ale ty nie, choć może wkrótce tak się stanie.

Nickie zaskowytała, jakby napominając ich, że czas nagli, i wzmacniając znaczenie użytego przez Amy słowa „wkrótce”.

– Przecież chcą, żebyśmy ją wzięli do siebie – powiedział Brian.

– Schemat może zawierać rzeczy nieprzewidywalne. Tamtej nocy Michael nie był w Argentynie, tylko tam, o czym nie wiedziałam. Alarm był włączony, ale ktoś przy nim musiał majstrować, tak że w rezultacie został rozbrojony.

Zjawy usnute z mgły przybrały tajemnicze kształty.

– Bogaty kochaś Vanessy czeka z gotowymi dokumentami i grubą książeczką czekową – mówiła dalej Amy. – Ale nikt go nie widział, on może nawet nie istnieje.

– Zgodziliśmy się, że wersja Vanessy brzmi prawdopodobnie.

– Schemat jest teraz wyraźniejszy. W Connecticut myślałam o tym, żeby sprawić sobie goldena. Gdybym wtedy miała takiego psa, toby mnie ostrzegł i nas uratował.

Jak gdyby na dany znak Nickie warknęła głucho.

– A teraz mamy goldena – powiedziała Amy. – I to nie byle jakiego.

– Na pewno to niezwykły pies.

– Miałam telefon od nieżyjącej siostry.

– Zbliżyłyśmy się do historii Marca i jego ślepego psa?

– Pies nie jest ślepy. Powiedziałam sobie: to tylko sen. Ale było w tym coś więcej. Siostra Jacinta kazała mi opowiedzieć ci o mojej córeczce i w jaki sposób ją straciłam.

– Dobrze, wystarczy. Wracajmy na główną drogę i zawołajmy policję.

– Nie. Yanessa spodziewa się nas za kilka minut. Mgła może usprawiedliwić krótkie opóźnienie, ale nie dłuższą zwłokę. Brian, ja mam złe przeczucia.

– Tak, i to jest zaraźliwe.

– Prawdę mówiąc, przez całą drogę już miałam złe przeczucia.

– Nic nie mówiłaś.

– Ponieważ może jest to jedyny sposób, by odzyskać twoją córkę. Zróbmy więc następny krok.

Bezkształtna biała tkanka mglistego późnego popołudnia rozsunała się na chwilę, jakby przecięta ostrzem noża, przynosząc ozdrowieńczą moc spowitym dotychczas w nią niewidzialnym tajemniczym zjawiskom...

– Jeśli coś tu śmierdzi – dodała Amy – a Vanessa domyśli się, że my to zwąchaliśmy, gotowa będzie zabić Hope.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Intuicja. Schemat. Jak mówiła Theresa.

– Theresa?

– Powiedziała matce, że ten pies zawsze nazywał się Nickie. Zawsze.

W lepkiej, niemal grząskiej mgle ledwo dostrzegalne drzewa, brodate i niesamowite, jak prehistoryczne, ulotne stwory, wychynęły i znikły...

– Ja i ty, Brian. My razem na zawsze – powiedziała Amy.

– O Boże. Mam nadzieję, że tak będzie. Niczego bardziej nie pragnę.

– Jeśli więc ja i ty, a Hope jest twoją córką, to także należy do mnie. To nasza córka. Nie mogłam ocalić własnej córki. Nie wtedy. – Jej głos był ściśnięty, ale się nie

załamiał. – Jednak przed dwoma dniami ocalałam ją.

– Amy...

– Ja ją ocalałam, a ona teraz stara się pomóc nam uratować Hope.

Zwolnił, niemal zatrzymując samochód.

– Amy, chyba nie chcesz powiedzieć...

– Nie zatrzymuj się, jedź dalej. – Trzymała w rękach pistolet, dłonie miała suche, gotowa na wszystko. – Bez względu na to, co powiem, dla nas jest to druga szansa. Jeśli ją zmarnujemy, niech nas piekło pochłonie.

W ostatnich chwilach przed zapadnięciem zmroku, zanim mgła nie zleje się z ciemnością...

– Więc historia się powtarza – zauważył Brian.

– Jaka?

– To, że idę za tobą do miejsc, gdzie panuje szalona przemoc, gdzie wymachuje się żelaznymi prętami i wskakuje na stół.

Jak wielotysięczny tłum ludzi szepczących w oddali.

Oparty plecami o spękany pień sosny Billy usiłował uciszyć morze, ale morze go nie słuchało.

Ta głupia przenośnia nie tylko zmieniła jego odbiór szumu morskich fal, ale doprowadziła go do kolejnego przeświadczenia, że te dziesięć tysięcy ludzi szepcze jego imię.

Wszyscy go lubili. Zdolność zjednywania sobie sympatii była jego najcenniejszą zaletą. Ale owe dziesięć tysięcy ludzi kryjących się we mgle na brzegu morza nie wymawiało jego imienia w przyjaznej tonacji. Pomruk dziesięciotysięcznie zwielokrotniony brzmiał natarczywie, nabrzmiały niecierpliwym żądaniem, wrogi.

Nie wiedział, czego te głosy się domagały, i wcale nie chciał dłużej się nad tym zastanawiać, bo nie chodziło, do cholery, o ludzi, tylko o morskie fale.

Powinien wymyślić jakąś nową przenośnię, która by zwróciła jego myśli na przyjemniejsze tory.

Słumione przez mgłę fale morskie brzmiały jak...

Słumione przez mgłę fale morskie brzmiały jak...

Mgła wniknęła w jego rzadkie włosy i skropiła się na jego twarzy. Właśnie mgła, a nie zimny pot.

Słumione przez mgłę fale morskie brzmiały tak, jakby tysiące przyjaciół Billy'ego szeptało, jaki to z niego świetny facet.

Patetyczne. Może i przeżywa kryzys wieku średniego, ale nadal był z niego ten sam Billy, twardy facet, ale i zabawny, facet, który pojął najważniejszą prawdę, że nic nie ma znaczenia, nic, z wyjątkiem tego, jak dostać to, czego się chce.

Czytał wszystkie nihilistyczne wielkie powieści, ze trzy razy przeczytał *Finnegan's Wake*, przyjął za swoje te cudowne, odkrywczcze przesłania głoszone przez autorów, pochłonał tysiące tomów, a ponieważ człowiek staje się tym, czym karmi się jego umysł, Billy w pewnym sensie był zabijany przez swoje lektury, stał się więc martwy dla jakiegokolwiek prawdy, z wyjątkiem tej, że nie istnieje żadna prawda. Będąc

w ten sposób martwym, nie obawiał się już śmierci, niczego się nie obawiał, a już na pewno nie bał się rozbijanych o brzeg fal morskich, które brzmiały jak szept tysięcy ludzi z oddali!

Przetarł dłonią mokrą twarz.

Jak to możliwe, żeby rysunek głowy psa spowodował u takiego faceta kryzys wieku średniego?

Przekrzywił głowę i zaczął wsłuchiwać się w odgłos silnika nadjeżdżającego samochodu.

Pomyślał, że to zbliża się ford expedition, ale zaraz mgła zdusiła ten dźwięk, mimo że nie tłumiała szeptu fal.

•••

Nickie warknęła.

– Zatrzymaj się – powiedziała Amy, a Brian natychmiast zahamował, chociaż wjeżdżali na wzniesienie.

Przypływ mgły gęstszej niż kiedykolwiek przedtem zalał zbocze, wynurzając się niepostrzeżenie zza urwiska. Mgła bezkształtna jak sen, lekka jak powietrze, a przy tym masywna jak alabaster, przytłaczała samochód, jakby chcąc go na stałe zamknąć w sobie i utrwalić na zawsze jak skamielinę.

To miejsce bezśnieżnej bieli, gdzie nic poza samochodem nie dało się zobaczyć, gdzie nic się na nic nie nakładało, Amy uznała za miejsce ostateczne, pierwotne i nieśmiertelne, gdzie wiara miała tak wielkie znaczenie, że Amy nie odważyłaby się polegać na czymkolwiek innym.

Nickie lekko westchnęła, co Amy odebrała jako westchnienie z głębi swojej własnej duszy, wyraz rezygnacji wobec potęgi przeznaczenia.

– Jak daleko jeszcze? – zapytała.

– Około ośmiuset metrów.

– Ona kłamała. Jesteśmy bliżej celu.

– Dlaczego miałyby kłamać na ten temat?

– Nie wiem. Ale wiem, że kłamała.

•••

Billy znów posłyszał odgłos pracy silnika forda expedition, który tym razem nie cichł, ale stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie zagłuszył odgłos fal rozbijających się o brzeg.

Mimo że reflektory nie rozjaśniły nawet mgły zalegającej urwisko, SUV pojawił się w odległości najwyżej trzech metrów niczym zjawia samochodu, jego duch na kółkach.

Zdumiony ukazaniem się nieoświetlonego pojazdu, ale szczęśliwy, że może zacząć działać, Billy wychynął ze swego ukrycia i pospiesznie skierował się w stronę nadjeżdżającego auta.

Ponieważ morze do ostatniej chwili zatrzymywało mgłę dla siebie, zanim rzuciło jej gęste kłęby na ląd, wysoko usytuowana galeryjka i pomieszczenie z latarnią stawały się widoczne, gdyż wystawały ponad przewalające się z wolna tumany mlecznej zasłony, które skrywały resztę wieży. Mimo zapadającego zmierzchu, halogenowe lampy z górnych okien latami nie wwiercały się jeszcze w mgłę.

Tak jak można było się spodziewać, ford expedition, zbliżywszy się do latarni morskiej, zahamował, w tym samym zaś czasie Billy podbiegł do samochodu z tyłu i posłał krótką serię ze swojego glocka 18, przebijając oponę przedniego koła.

Zamierzał kucnąć, by strzelić pod nadwozie, dziurawiąc pozostałe opony, a następnie wycelować broń w stronę drzwi kierowcy i zawołać: Opuść szybę! – ale po przestrzeleniu pierwszego koła nic nie poszło zgodnie z planem.

•••

Brian podjeżdżał wolno na wzniesienie, natomiast Amy szła za samochodem, bezpiecznie zasłonięta przez SUV-a, lewą rękę opierając o karoserię, by nie potknąć się na śliskiej drodze, a w prawej trzymając swojego SIG-a P245.

Z przestrzeni bagażowej SUV-a Nickie z poważną miną patrzyła przez okienko na swoją panią.

Z jakiegoś powodu, może na szczęście, Amy oderwała rękę od uchwyty klapy bagażnika i gestem udzielającym błogosławieństwa położyła dłoń na szybie, tuż przed obliczem Nickie.

Dwukrotnie rozejrzała się wokół forda, ale nie zdołała niczego dostrzec z wyjątkiem gęstej mgły.

Przy niezapalonych reflektorach tylne światła odblaskowe także się nie świeciły, co sprawiało, że Amy pozostawała niewidoczna.

Nie potrafiła dokładnie wyjaśnić, dlaczego obrała taką taktykę, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że tak właśnie powinna się zachować. Widziała to oczami duszy, na tym polega intuicja.

Wiedziała, że dotarli do szczytu wzniesienia, gdy poczuła, że przód samochodu opada.

Chwilę później, gdy tył samochodu przekroczył próg wzniesienia i zapaliły się światła hamowania, Amy natychmiast przeskoczyła na drugą stronę samochodu, obok kierowcy.

Zauważyła jakąś postać biegnącą we mgle może cztery metry od niej, a zaraz potem błysk ognia w wylocie lufy, grzechot kul odbijających się o metalową obręcz koła i syk przebitej opony.

Serce jej załomotało na myśl, że może Brian został postrzelony.

Stojący do niej bokiem napastnik powoli odwracał głowę w jej stronę, ale ona już trzymała oburącz wymierzony w niego pistolet.

W samoobronie lub w obronie niewinnych ludzi jedynym grzechem może być tchórzostwo.

Przerażona – owszem, była przerażona – jednak posłała serię kul w jego stronę, a gdy się zachwiał, najwyraźniej trafiony, strzeliła w jego kierunku jeszcze dwukrotnie.

Rozbłysły reflektory, a drzwi kierowcy gwałtownie się otworzyły.

Z samochodu wyszedł Brian, cały i zdrowy, a nie jego duch unoszący się we mgle, obłoczki jego ciepłego oddechu zmieszały się z mglistymi oparami.

Napastnik leżał na wznak na ziemi, wyglądając jak dobroduszny wujek, z brzucha i nosa ciekła mu krew, oczy miał szeroko otwarte.

Mrugnął do Amy i powiedział:

– Znasz mnie? To ja, Leopold Bloom, Wallace Stevens. Nazywam się Gregor Samsa. – Po czym zamknął oczy.

Kiedy strzelasz do kogoś, by go zabić, to nawet jeśli jest to usprawiedliwione, skupiasz na nim całą swoją uwagę; to samo działo się z Amy i Brian musiał kilkakrotnie wołać do niej, zanim podniosła na niego wzrok i zobaczyła latarnię morską.

Latarnia w Connecticut zbudowana była z wapienia, ta zaś została zbudowana z

cegieł, tamta galeryjka otoczona była kutą ręcznie żelazną balustradą, ta – mniej wyszukany drewniany ogrodzeniem pomalowanym na czerwono.

Materiał jednak nie miał tu znaczenia ani szczegóły, nawet odległość pięciu tysięcy kilometrów. Ważne było przesłanie, symbol śmierci i upodobania w jej zadawaniu, symbol niewierności i kłamliwych przysięg składanych z tłumionym śmiechem.

Michael musiał tu być. W końcu ją znalazł, przez nią też dopadł Briana, a przez Briana Vanesę.

Nie wiedziała, w jaki sposób ani dlaczego, była jednak pewna, że postanowił dokończyć krwawego dzieła. Teraz ona była lepszą kobietą niż wtedy, tamtego dnia, teraz miała też szansę uratowania kogoś niewinnego, jeśli tylko będzie działała mądrze, odważnie i szybko. Nawet gdyby przyszło jej umrzeć w tym działaniu, śmierć taka będzie odkupieniem.

– Przyrowadź Nickie – powiedziała, ale gdy się odwróciła, zobaczyła, jak suczka wspięła się na konsolę, stamtąd na siedzenie kierowcy, po czym wyskoczyła, by stanąć u boku Amy.

Gdzieś niedaleko powinien znajdować się domek dozorczy, może w odległości nie większej niż dwieście metrów, sądząc po usytuowaniu latami. Może mgła przetaczająca się przez jego dach i wokół ścian wskazuje domniemane usytuowanie domku, ale może znajduje się on całkiem gdzie indziej.

Michael mógł być w tym domu, albo też gdziekolwiek indziej. Jeśli czeka, aż zostaną przyprohwadzeni do niego na odległość strzału, inne, niż oczekiwał, odgłosy strzelaniny mogły obudzić w nim podejrzenia.

Brian podniósł z ziemi broń należącą do zabitego mężczyzny.

Gdzieś we mgle Michael szedł do nich.

– Trzymaj Nickie – poleciła.

Pochylając się do wnętrza samochodu, wrzuciła na luz.

Brian zaciągnął hamulec ręczny. Ona zwolniła hamulec i odskoczyła na bok, gdy samochód zaczął się staczać.

– To odwróci jego uwagę.

Przebita opona zaczęła trzeć, ale stok był zbyt stromy, by samochód mógł się zatrzymać czy choćby zwolnić bieg. Ford expedition zbaczał w lewo, obręcz koła zagrzechotała o nawierzchnię drogi, oderwane kawałki opony uderzały o podwozie.

Języki mgły otoczyły SUV-a, po czym go pochłonięły, jedynie czerwone światła

stopu wyglądały jeszcze przez chwilę z jej gardzieli. Zgrzyty i grzechotanie przybierały na sile, gdy auto trafiało na jakąś przeszkodę i odrzucało ją na bok.

– Jeśli ma przyjść, to przyjdzie tutaj – powiedziała Amy.

Jak gdyby rozumiejąc jej słowa, Nickie poprowadziła ich na drugą stronę drogi, na północny stok, porośnięty z rzadka drzewami i spowity wszechogarniającą mgłą.

63

W oczekiwaniu na odgłos strzałów, które miały zasignalizować, że łowy się rozpoczęły, Harrow stoi w otwartych drzwiach kuchni, wpuszczając do domu kłęby mgły.

Istniały dwa powody, dla których postanowił nie towarzyszyć Billy’emu. Po pierwsze, Billy jest najlepszy do takiej roboty ze wszystkich ludzi, jakich Harrow zna. Billy to automat. Automat stale w ruchu, wolny od usterek. Niezawodny w działaniu.

Ponadto Billy odznacza się brutalnością, do jakiej posuwa się bez wahania, bez późniejszych wyrzutów sumienia czy niepotrzebnego namysłu. W przeciwieństwie do innych mężczyzn posiadających te zalety Billy jest inteligentny i w pełni władz umysłowych.

Taki Billy to skarb, osoba niezastąpiona, brylant. Harrow odczuwa pewną przykrość na myśl, że potem będzie musiał go zabić.

Następnym powodem, dla którego Harrow nie chce uczestniczyć w pierwszej odsłonie dramatu, jest to że ma już na ten wieczór zapisany program, którego szczegóły dopracowywał przez kilka ostatnich miesięcy. Chce cieszyć się w pełni całym, precyzyjnie obmyśloną spektaklem.

Woli opóźnić swoje wejście, tak by Amy czekała na niego przez godzinę lub dłużej. Musi zostać upokorzona, poniżona, być załamana i przerażona w chwili, gdy on się pojawi.

Harrow chce widzieć swoją byłą żonę w sytuacji psa zagonionego do klatki, jak te w psich farmach, przeciwko którym tak gorąco występowała. A potem pokaże jej, że istnieją gorsze rzeczy.

Ona i ten architekt pod groźbą wymierzonej w nich broni najpierw się rozbiorą.

Potem zostaną przykuci łańcuchami do krzeseł.

Następnie Billy opuści pomieszczenie, a Harrow będzie się przysłuchiwał, jak w sąsiednim pokoju Moongirl pokona Amy.

Wejdzie wtedy, gdy Amy nie będzie mogła powstrzymać się od płaczu. Wówczas on otworzy jej oczy, tak że nie będzie mogła ich zamknąć.

Chce, żeby widziała, co Moongirl zrobi Brianowi. Ojciec potworka wieczorem będzie już eunuchem.

Nic nie zostanie im oszczędzone.

Harriet Weaver byłaby z niego dumna. Niańka Harrowa od jego szczenięcych lat cierpliwie go uczyła, że wartości rodzinne ograniczają swobodę, a świat jest miejscem bardziej sprzyjającym przestępcom niż ofiarom. Mieli wspólne sekrety, od kiedy tylko sięga pamięcią.

Pod wpływem Harriet zaczął sprawiać kłopoty wychowawcze, ale ona potrafiła przekonać jego rodziców, że jeśli będzie się uczył w domu jedynie pod jej kierunkiem, zamiast pójść do szkoły, jego zachowanie znacznie się poprawi. Harriet nienawidziła Coglandów i całego ich rodu, doprowadziła do tego, że on też zaczął ich nienawidzić.

Mgła niesie ze sobą chłód, Harrow wzdryga się – trochę na skutek chłodu, a trochę z powodu emocji wywołanych oczekiwaniem.

Na dźwięk pierwszego wystrzału wychodzi za próg, staje na ceglanym podeście w postawie wyprostowanej, czujny, wyczekujący.

Następny wystrzał, trochę inny niż poprzedni, studzi nieco jego emocje, ale bynajmniej go nie peszy.

Harrow stoi bez ruchu, nasłuchuje. Może Billy podszedł ich, ma broń w obu rękach, jak na westernach, ten Billy to ma fantazję.

Kiedy mija minuta, dwie i nie słyhać następnych wystrzałów, Harrow domyśla się, że teoria o dwóch pistoletach jest trafna.

Wtedy słyhać narastający odgłos pracy silnika; czyżby Billy wiozł ich do domu, skoro miał ich przyprowadzić pieszo, skutych kajdankami. Ale oprócz hałasu silnika dochodzą go jeszcze inne odgłosy, dźwięk zgniatanej blachy, odgłos niewielkiej kolizji, co by świadczyło o tym, że samochód się stacza.

Harrow wraca z pomostu i wchodzi do domu.

Mdle światła reflektorów znaczą drogę pojazdu, który przechylony toczy się we mgle, zahacza o róg pomostu i po kamieniach zmierza na owalne podwórko.

SUV przejeżdża blisko niego, z zapalonymi wewnątrz światłami, tak że Harrow

widzi, że za kierownicą nikt nie siedzi.

Podwórze jest niewidoczne we mgle, więc Harrow może się tylko domyślać, że kiedy samochód gwałtownie się zatrzymał, musiał się rozbić o wielką sosnę Montezumy.

Wchodzi do kuchni, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Przy stole Moongirl rozkłada narzędzia chirurgiczne.

Słyszac hałas na zewnątrz, przerywa swoje przygotowania.

– Są kłopoty – stwierdza Harrow.

– Uważaj na psa.

– Tylko ty się go boisz.

– Ja się nie boję. On mnie nie wyczuje.

W tym, co ona mówi, Harrow nie widzi żadnego sensu.

– Po prostu chcę, żeby go zabić – mówi ona.

– Chyba już jest zabity.

Ona wpatruje się w niego intensywnie.

Harriet Weaver miała podobne oczy, tyle że szare, nie w kolorze butelkowej zieleni.

– Amy i Brian pewnie też już nie żyją – dodaje.

– Billy by ich zabił? Dlaczego miałby to zrobić?

– Wcześniej odbyliśmy dziwną rozmowę.

Ona czeka, co on dalej powie.

– Tak jakby mnie sprawdzał.

– Może to przypłacić życiem.

– Podąłem mu wszystkie kawałki układanki. Może powinienem je porzucić.

– To znaczy, że już jest po wszystkim?

– Billy musiał zwąchać, że jest ostatnim ogniwem łączącym mnie z Amy, co mu nie dawało żadnych perspektyw na przyszłość. Zabił ich więc na dowód, że nie ma wobec mnie żadnych złych zamiarów, ale to oznacza, że się tu nie pojawi.

– Znajdziesz go.

– On wybiera się „na wakacje”. A to znaczy, że zmieni nazwisko, wygląd, a w tym jest naprawdę niezły.

– Upiekło im się.

– Sprawdzę jeszcze samochód. Może leżą martwi na podłodze. Może ze względu na nas tylko ich zranił.

- Już nie mogę tu wytrzymać.
- Pojedziemy na pustynię.
- Nienawidzę tych mew i tej wilgoci tutaj.
- Spodoba ci się na pustyni.
- Ale nie z Piggy.

Przeciąga swoimi wytwornymi palcami po ostrzach leżących na stole, lecz na żadne nie może się zdecydować.

- Chcesz ją załatwić dziś w nocy? – pyta Harrow.

Ona kiwa potakująco głową.

- Tak, dziś w nocy.
- W jaki sposób?
- Tak, żeby tego potworka naprawdę bolało.

Wychodzi z pokoju bez żadnego ostrego narzędzia.

Dzień się kończył, mgła stawała się coraz bardziej srebrzysta.

Trzymając się razem blisko siebie niczym w stadzie, przeszli około dwudziestu metrów na północ, po czym podążając za Nickie, Amy i Brian wyszli z lasu na otwarty teren na zboczu stoku.

W oddali widać było otwarte drzwi spowite mgłą, za którymi majaczyło wątłe światło.

W odległości dalszej niż strzał z pistoletu w drzwiach pojawiła się kobieta, trzymając coś w rękach, skierowała się na zachód i niemal natychmiast zniknęła w mroku.

– To Vanessa – szepnął Brian.

Kiedy niebo pociemniało, a srebrzysta mgła nabrała ciemniejszego odcienia, zautomatyzowana latarnia morska zaczęła działać. Okna na górnym piętrze rozblęśły halogenowym światłem o mocy tysięcy watów. Jego promienie odbite przez pryzmaty soczewek Fresnela, spotęgowane i skupione, sięgały daleko na wody Pacyfiku.

Jakaś cząstka Amy przeniosła się w przeszłość, gdy snop podobnego światła latami morskiej był jak śmiercionośna kosa. W jej pamięci odżył obraz tego, co zdarzyło się wówczas, widok martwej córeczki, która straciła życie z ręki ojca.

Jej serce, tak bardzo opanowane, które nie drgnęło nawet wtedy, gdy strzelała do napastnika, teraz zatrzepotało w jej piersi, krew uderzyła jej do głowy, tłumiąc słuch, aż musiała otworzyć szeroko usta, by móc na powrót słyszeć.

– Zaczekaj – zawołał Brian, ale ona już biegła w stronę otwartych drzwi, skąd dochodziło światło przyćmione gęstniejącą mgłą.

Wysoko nad ich głowami snop światła zatoczył pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. Wydawało się, że to światło pulsuje, gdy przechodziło z jednej ćwiartki koła do następnej.

Mgła, ta optyczna konstrukcja z milionem soczewek i z miliardem ukośnych krawędzi, nieskończoną liczbą pryzmatów, zabierała ułamki smugi światła i rozrzucała je w noc. Z ciemnej niecki między promieniami każdego wytrysku światła

mgła wykradała cienie, które przeganiały przebliski światła, a te z kolei przeganiały cienie.

Nigdy przedtem nie zaobserwowała takiego zjawiska, wydawało jej się, że te widoki i takie właściwości mgły to wynik działania soczewek Fresnela.

Na skraju jej pola widzenia jakieś postaci podskakiwały, wlatywały i padały. To cienie znajdujące się w pomieszczeniu latami, efekt pulsowania światła łukowego, nic, co by się znajdowało na ziemi, chociaż niewykluczone, że coś wrogiego, istniejącego naprawdę, mogło znajdować się w pobliżu. Cienie te pojawiały się tuż przed ich oczami, raz po raz wzbijały się w górę, niczym czarne mewy.

Zanim dopadła budynku z otwartymi drzwiami, kręciło jej się w głowie z powodu tych wirujących cieni, tak że nieświadomie zachwiała się na dwóch ostatnich schodkach i niespodziewanie wpadła na ścianę.

Nickie biegła za nią przy nodze, tuż za nimi Brian, ale gdy byli już przy drzwiach, Nickie wyprzedziła oboje i pierwsza wpadła do oświetlonego wnętrza.

Ufając psiemu wężowowi, Amy bez wahania poszła w jej ślady. Przekroczyła próg garażu, który robił wrażenie opuszczonego.

– Vanessa może wrócić – ostrzegł ją szeptem Brian.

– Wtedy ją zabij – odpowiedziała.

Amy ruszyła w kierunku zachodnim, podążając w tę samą stronę, w którą udała się Vanessa, ale Brian złapał ją za ramię. Wolałby, żeby nie była tak nieostrożna i miała na uwadze niebezpieczeństwo, jakie niesło za sobą wdanie się w morderczą strzelaninę.

Nie chciała tracić czasu, ale zamiast wyrwać się Brianowi, spojrzała mu prosto w oczy i szepnęła nagle:

– Oni chcą zabić Hope.

Nie była to obawa, raczej przecucie, nawet nie strach przed utratą następnego dziecka, ale przeświadczenie płynące z niewiadomego miejsca, skąd przyszła ta nowa Nickie.

Pies tymczasem, nie zwlekając, biegł na zachód, po czym natychmiast zniknął we mgle, tym razem więc obydwójce, Amy i Brian, pobiegli za nią.

• • •

Harrow ze względu na zdrażliwą pogodę posuwa się ostrożnie, w ręce ma latarkę na osiem baterii, wyposażoną w dwunastocentymetrowe soczewki, idzie po śliskich kamieniach w kierunku owalnego podwórka, by sprawdzić, czy jest tam samochód.

Już się przyzwyczył do tańczących cieni, jakie czasami latarnia wywołuje w pewnych warunkach atmosferycznych, zwłaszcza podczas mgły. Właściwie ma już ich dość. On też gotów jest wyruszyć na pustynię.

SUV uderzył w sosnę Montezumy, zdarł z pnia spory kawał kory od południowej strony i potoczył się niżej. Zawisł na skale, podwozie wisi w powietrzu.

Z jakiegoś powodu samochód wykonał obrót, przypuszczalnie po uderzeniu w drzewo, i teraz zwrócony jest przodem do lądu. Reflektory są potrzaskane, jedne drzwi szeroko otwarte.

Garaż nie przylega do domu, ale oba budynki są usytuowane w bliskiej odległości od siebie. Kiedy Amy skręciła za róg, zobaczyła oświetlone okna domu, za nimi cień lampy widoczny zza firanek, a po obu stronach ciemne okiennice.

Pies wiódł swój patrol wzdłuż ściany domu, zawahał się przez chwilę przy narożniku, rozejrzał się wokół i pobiegł dalej.

Podobnie jak wrota garażowe drzwi wiodące do domu stały otworem, kłęby mgły ochoczo waliły do ciepłego wnętrza.

Przedtem, przed laty, na innym wybrzeżu, Amy goniła Michaela, który wypadł z domu i zniknął w ciemności nocy. Teraz sytuacja była gorsza, z otwartej przestrzeni przechodziła na teren ograniczony, skąd niewiele było widać, za to dużo było załomków ścian, narożników i zamkniętych drzwi w obcym dla niej domu, ale jemu znanym.

Nickie przestąpiła próg, a oni weszli za nią, jak się okazało, do kuchni.

Wypolerowane ostre narzędzia leżały przygotowane na stole, ich ostrza lśniły niemal fluorescencyjnym blaskiem, nie były to utensylia kuchenne, należały raczej do tych przedmiotów, które po użyciu zamiast do zmywarki wrzuca się do sterylizatora.

Za otwartymi drzwiami widać było podest schodów, wiodących nie wiadomo dokąd. Nickie najpierw okazała zainteresowanie tym miejscem, ale po chwili przestała się nim zajmować.

Następne zamknięte drzwi prowadziły prawdopodobnie do spiżarni. Wątpliwe, by ktokolwiek chciał się ukrywać w spiżarni. Zresztą obydwójce zbyt byli nieustraszeni, by w ogóle gdziekolwiek się chować.

Wdzierająca się wszędzie mgła i zimno sprawiły, że Amy przeszedł dreszcz trwogi. Nikt jednak ich nie śledził.

Następne drzwi zostawiono otwarte, za nimi znajdował się hol. Nickie postanowiła tam pójść.

Brian gestem głowy wskazał Amy, by szła naprzód. On sam wołał zamykać pochód. Sklepienie przejście prowadziło na lewo, do salonu. Po prawej stronie znajdował się gabinet.

Każdy pusty pokój zapowiadał, że być może w następnym znajdą kogoś.

Amy ścisnęła broń w obu rękach, mimo to wylot lufy podskakiwał, dając świadectwo jej zdenerwowaniu. Powinna bardziej panować nad sobą. Trzymać broń niżej, by cofnięta po strzale nie uderzyła jej niespodziewanie. Celować w głowę nie ponad głowami.

Następne zamknięte drzwi po prawej stronie, po lewej dwoje dalszych. Mogliby wtargnąć do pokoju jak gliny na filmach, nisko pochyleni, szybko, po przekroczeniu progu cofając się natychmiast. Ale może to się tylko tak pokazuje na kiepskich filmach detektywistycznych, u prawdziwych policjantów takie obrazy mogłyby wzbudzić jedynie śmiech.

Nickie nie wykazała zainteresowania mijanymi pomieszczeniami, wobec czego Amy, mimo że wolałaby sprawdzić owe pomieszczenia, zanim je miną, i nie zostawiać za plecami zamkniętych drzwi, poszła posłusznie za psem.

Przed nimi korytarz. Na prawo główne schody. Oszklone drzwi wejściowe, oświetlona latarnią mgła lepiąca się do szyb.

Ostatnie drzwi na lewo były uchylone. Tuż za progiem stał kanister z napisem BENZYNA.

Nickie obwąchała z uwagą szparę pomiędzy framugą a skrzydłami drzwi. Wetknęła tam głowę, popchnęła drzwi ciałem i wcisnęła się do środka.

Amy zobaczyła pokój służący jednocześnie za sypialnię i salon, oświetlony lampą z abażurem ze szklanych koralików.

Dziewczynka ubrana w szarą bluzę klęczała przy wyściełanym krześle, częściowo odwrócona od wejścia. Hope. To musi być Hope.

Coś mówiła. Wymowę miała trochę niewyraźną. Mówiła szybko, jakby w stresie.

Nickie stanęła w pewnej odległości, wpatrując się w dziewczynkę, widocznie nie chciała przeszkadzać.

Amy wypchnęła Briana przed siebie. Spokojnie zamknęła drzwi do holu i odsunęła się od nich. Stała tak, by dobrze widzieć dziewczynkę i jednocześnie zasłaniać sobą wejście.

– Złapałaś mnie, wszystko jedno, nie o to chodzi – mówiła dziewczynka. – Muszę powiedzieć, co mi leży na sercu, tak jest najlepiej, powiedzieć, co leży na sercu. Możesz znów oparzyć mi stopy, wszystko mi jedno, naprawdę, wszystko mi jedno. Znów powiem, co mam w sercu.

Brian ukląkł przy niej.

Dziewczynka podniosła głowę i spojrzała na niego zdziwiona. Widać było, że nie zauważyła, jak weszli. Mówiła do kogoś innego.

Kogoś, kto wyszedł i na pewno wróci.

Harrow szybko przekonuje się, że w SUV-ie nie ma ani jego byłej żony, ani architekta, martwych czy rannych.

Tylne koła pojazdu wiszą w powietrzu nad urwiskiem, dwanaście metrów nad plażą, a tylna kłapa bagażnika jest otwarta na całą szerokość.

Dochodzi więc do wniosku, że ich ciała musiały być włożone do bagażnika, skąd wypadły, kiedy samochód gwałtownie się zatrzymał. W takim razie powinny znajdować się gdzieś na plaży.

Penetrowanie plaży z góry, ze śliskiej krawędzi granitowej skały, w taką pogodę, zwłaszcza gdy dzień nieodwołalnie ma się ku końcowi, byłoby czystą stratą czasu i niepotrzebnym ryzykiem.

Na dół wiodły betonowe rozpadające się schodki zaopatrzone z jednej strony w porzewiałą poręcz. Tamtędy mógłby zejść na plażę.

Nie zależy mu specjalnie na przeszukiwaniu plaży, ale jeśli tam właśnie znajdują się zwłoki, powinien o tym wiedzieć. Do świtu przypływ je zabierze w głąb zatoki.

Policja zna się na prądach morskich, fazach przypływu i odpływu. W razie znalezienia ciał specjaliści od medycyny sądowej, opierając się na wyliczeniach, jak długo ciała przebywają w wodzie, bez trudu z zatrważającą dokładnością ustalą miejsce i czas ich śmierci.

...

Kłęcząca dziewczynka miała zaciśnięte ręce, splecione srebrnym łańcuszkiem, z wisiorkiem zapewne ukrytym w złożonych dłoniach.

Była piękna, musiało to być ładne dziecko już jako niemowlę. Piękno ma więcej odmian niż piasek ziaren, jej uroda była pięknem niewinności, pokory, łagodności.

Miała niebieskie oczy, tak jak Brian, czyste spojrzenie. Najpierw otworzyła

szeroko oczy ze zdziwienia, a następnie zawstydzona odwróciła wzrok.

Brian chciał dotknąć jej policzka, unieść jej twarz ku sobie, by na niego spojrziała. Miał ochotę uspokajającym gestem położyć dłoń na jej rękach.

Ale wtedy mogłaby się domyślić, kim jest, mogłaby stracić jego rękę albo zapytać, gdzie był przez te wszystkie lata. Nie dotknął jej z obawy przed odrzuceniem.

– Chodźmy – szepnęła Amy.

– Kochanie – odezwał się łagodnie – czy wiesz, kim jestem?

Nadal nie patrząc na niego, dziewczynka skinęła głową.

– Pójdziesz ze mną?

– Matka ma nóż.

– Ja się jej nie boję.

– Ona może zabić.

Wierzył, że mówiła prawdę.

– Mamy obronnego psa – powiedział.

Idąc spojrzeniem za jego gestem, dopiero teraz dostrzegła goldena. Twarz jej pojaśniała, wzrok się rozpromienił.

– Pieseczku – powitała go.

Rozumiejąc, że to zaproszenie, Nickie podeszła do dziewczynki i zamachała ogonem w powitalnym geście oznaczającym zawieranie nowej przyjaźni, natomiast Hope bez wahania objęła ją za szyję, objawiając w ten sposób natychmiastowe i całkowite zaufanie.

Brian rzucił okiem na Amy, ona zaś popchnęła go lekko w stronę dziewczynki. Martwiła się, że nawet jeśli znajdą gdzieś kluczyki do samochodu Michaela, nie zdołają daleko odjechać. Zdradzi ich odgłos silnika. Zastrzeliliby ich, zanim udałoby się im wyjechać z garażu.

W każdej chwili mogli się natknąć na Michaela albo na Vanessę. Przebywali w tym domu może ze trzy minuty. Już za długo.

– Nie możemy ich ścigać wraz z Hope. Z psem będzie bezpieczna.

Na co Brian odpowiedział z bolesną miną:

– Miałoby to sens, gdybyś się nie myliła co do tego, kim jest Nickie.

– Moja córka zaprowadzi twoją córkę w bezpieczne miejsce – odpowiedziała z przekonaniem. – Patrz – dodała, widząc, jak z rąk Hope wysunął się srebrny wisiołek z napisem, gdy dziewczynka głaskała Nickie.

Zdumieni się oboje na widok tego napisu.

– Więc uwierz w to, co już wiesz – przekonywała go Amy.

Ukucnęła, by objąć Hope, która niezręcznie reagowała na objawy czułości, choć zachowywała się w niewymuszony sposób, kiedy miała do czynienia z psem.

– Kochanie, wyjdiesz teraz z Nickie. Trzymaj ją za obrozę. Z nią będziesz bezpieczna. Możesz się nie bać.

– Nie boję się – odpowiedziała Hope, uśmiechając się do psa. – To jest Wiecznie Błyszcząca Rzecz.

Patrząc porozumiewawczo na Briana, Amy potaknęła:

– Tak, kochanie, masz rację.

W holu nie było nikogo. Podeszli do najbliższych drzwi wejściowych. Kłęby mgły wtargnęły do wnętrza, gdy Hope wychodziła wraz z Nickie.

Na progu pies zawahał się przez chwilę, powęszył, po czym szybko wyprowadził Hope dalej w mgłę.

• • •

Harrow przeszukuje plażę, wpatruje się w ślady na piasku zostawione przez morską pianę, kiedy poniewczasie przypomina sobie, że w samochodzie nie było żadnych śladów krwi.

Czuje się oszukany, nie tylko z powodu niepotrzebnych poszukiwań, ale też nietrafionych własnych wyliczeń.

Amy już raz miała szczęście, wtedy w Connecticut, ale ona należy do ofiar, nie do napastników, podobnie zresztą jej architekt, tym bardziej więc świadomość, że mogła być górą nad taką maszyną do zabijania jak Billy, dla Harrowa jest osobistą obrazą.

Pędzi z powrotem na schody, przeskakuje po dwa stopnie naraz, uczepiony przerdzewiałej poręczy.

Nie martwi się o Moongirl, tylko tym, że może nie być świadkiem tego, co ona im zrobi, kiedy ich znajdzie.

• • •

Vanessa przyłapała swojego potworka na bredzeniu o wisioruku z HOPE, jakby to był co najmniej pazur Boga Wszchemmogącego, śmierdzący jak brudne nogi.

Zawsze jej się wydawało, że kiedy nadejdzie ten czas, cała zabawa będzie trwała długo. Można by przeciągnąć nawet do kilku dni etap ostatecznego załamania potworka, zanim w końcu się go spali.

Teraz jednak chce już to mieć za sobą. Dziś. Natychmiast.

Ma kanister benzyny potrzebny do rozegrania trzeciego aktu.

W drugim akcie po prostu ją przedziurawi. Jeśli nie liczyć podpalenia stóp, Vanessa nigdy przedtem nie zostawiła żadnych śladów na ciele potworka. Trzeba zachować czujność, nigdy nie wiadomo, kiedy jakaś wścibska paniusia, która zauważy najmniejszy siniak, może wszcząć alarm i zawiadomić komitet opieki nad dzieckiem. Vanessa ma wielką ochotę spuścić małej lanie. Przez tyle lat powstrzymywała się przed tym.

W akcie pierwszym będzie ją podtapiała w wannie. Zwiąże ją, parę razy zanurzy, by się przekonać, jak długo potworek wytrzyma bez oddychania. Metodę tę z powodzeniem stosuje się wobec terrorystów, gdy chce się z nich coś wyciągnąć, ten sposób więc sprawdzi na Piggy, która i tak nie ma nic do powiedzenia.

Vanessa właśnie skończyła napełniać wannę zimną wodą. Wybrała i przygotowała, by mieć pod ręką, kilka apaszek, których już nie chce używać, a które przydadzą się do związania potworka.

Straciła dziesięć lat życia. Dziesięć lat poszło na marne. Nigdy nie dostała żadnego zadośćuczynienia, jakiego się spodziewała.

Rzeczywistość na ogół nie dorównuje marzeniom, zwłaszcza jeśli chodzi o przyjemności. Świat zawsze sprawiał jej zawód. W życiu liczą się tylko przyjemności, nic poza tym, ale i one nigdy nie są takie jak należy.

Może na pustyni znajdzie coś lepszego. Lubi upał pustyni, jej nagość i pustkę.

Tu, na wybrzeżu, jest zbyt wiele przyrody. Ona potrzebuje piasku, upału, zbielełego nieba i ciszy.

Kupiła sobie książkę zatytułowaną *Świat bez nas*, przeczyta ją na pustyni, w ustronnym miejscu, gdzie będzie tylko ona i Harrow, może zresztą tylko ona.

Jedynie śmierć sprawia jej zadowolenie. Tylko to jest czymś skończonym, dokładnie tym, czym ma być. Śmierć nigdy nie zawodzi.

Właśnie schodzi głównymi schodami, już ma skręcić na podest, kiedy słyszy jakieś szepty w korytarzu. Zatrzymuje się, przywiera plecami do ściany i wycofuje się

do kąta.

Zdażyła zobaczyć Piggy wychodzącą z psem. Co się tu dzieje, do diabła?

Amy Redwing odprowadza wzrokiem dziewczynkę do drzwi, po czym odwraca się do Briana.

Vanessa wycofuje się ze swojego kąta, w obawie, że oni mogą spojrzeć w tamtą stronę, przy okazji słyszy urywki ich rozmowy: „przeszukaj... w kuchni... tylne schody... „

Wbiega na piętro i szybko je przemierza, jak zawsze lekkim krokiem, i wychodzi tylnymi schodami.

Oni mają broń, ona tylko nóż, którego chciała użyć do zabawy z Piggy, pocziwy nóż pamiętający Miśka. Niech nawet to będzie dla niej wyzwanie, wszystko jedno. Nie zależy jej na życiu, ale właśnie dlatego nie umrze. Kiedy ci bardzo zależy na życiu, zawahasz się w decydującym momencie, a wtedy Vanessa skończy z tobą.

Redwing i Bry chcą żyć. Zawahają się, a wtedy nóż będzie szybszy niż kula, zawsze tak się dzieje.

Vanessa jest podekscytowana. Od dawna chce go widzieć na marach.

Zbiega ze schodów, mija kuchnię, do której kłęby mgły wałą przez otwarte drzwi, zmierza do spiżarni, ale ostatecznie chowa się w małym pomieszczeniu na szczotki. W schowku tym nie ma szczotki, jest tylko mop. I dokładnie tyle miejsca, ile Vanessa potrzebuje, by zamknąć za sobą drzwi. Czuje się, jakby stała w trumnie.

•••

Wróciwszy z frontowej części domu, Amy i Brian przeszukują pokoje, których nie sprawdzali przedtem, kiedy prowadziła ich Nickie. Jak się okazało, brak zainteresowania suki tymi pokojami był uzasadniony, gdyż nikogo w nich nie znaleźli.

W kuchni uznali, że spiżarnia jest mało prawdopodobną kryjówką dla tej pary, mimo to Amy energicznie pchnęła drzwi, a Brian ubezpieczał wejście wymierzonym pistoletem gotowym do strzału.

Skrzypnęły drzwi spiżarni, niemal dokładnie w tym samym czasie skrzypnęły inne drzwi; Amy już miała się odwrócić, kiedy poczuła, jak nóż wbija się jej w plecy i wchodzi coraz głębiej, pozbawiając ją tchu i wszelkich sił.

• • •

Gdy Amy pisnęła cichutko jak ptaszek, Brian odwrócił się i zobaczył stojącą za nią Vanessę oraz blednącą z każdą sekundą twarz Amy.

Serce zaczęło mu galopować niczym spłoszone konie, powstrzymał się jednak przed oddaniem strzału, ponieważ Amy zasłaniała Vanessę.

W tej samej chwili kątem oka zauważył mężczyznę z pistoletem w ręku, przypuszczalnie Michaela, który właśnie wchodził przez otwarte drzwi do kuchni.

Brian nie był obeznany z bronią, którą zabrał napastnikowi, ale nie zawahał się, by oddać strzał, zanim sam zostanie zastrzelony. Broń okazała się pistoletem maszynowym, jedno naciśnięcie uwalniało całą serię.

Michael osunął się na podłogę, choć niewiadomo, czy został trafiony, czy upadł dla kamuflażu. Brian odwrócił się i wtedy zobaczył, jak Vanessa powtórnie zamierza się nożem na Amy, po czym popycha ją w jego stronę, jakby rzucając dziewczynę w jego objęcia, by zaraz skoczyć i dopaść go z zamiarem przejechania ostrzem po jego twarzy. Nie zdążyła jednak tego zrobić, bo on był szybszy, posyłając jej całą serię kul. I już było po niej.

Drżąc z przerażenia, odrzucił broń i padł na kolana przed Amy, której twarz poszarzała, i wyjął z jej rąk pistolet.

Spoglądając pod stołem, zauważył Michaela po drugiej stronie pomieszczenia, jak leży w kałuży krwi; wyglądało na to, że duch opuszcza już jego ciało, gotów do podróży do piekła, ale jednak życie tliło się w nim na tyle, by pociągnął za cyngiel.

Kula trafiła Briana w brzuch, zwałił się na podłogę tuż obok Amy, a jego lewa dłoń znalazła się w jej dłoni.

Skoro miał umierać, chciał trzymać ją za rękę, nie miał jednak dość siły, by ją po raz ostatni uściskać.

Ból był okrutny, mącił mu wzrok, nie na tyle jednak, by nie dostrzec Hope, jak truchta ciągniona przez Nickie niczym psi zaprzęg ciągnący sanki. Zanim zaczął tracić wzrok, czując dziwne uniesienie spowodowane znaczną utratą krwi, zobaczył, jak Nickie przeskakuje ponad stołem, zmierzając dokładnie w jego stronę, a za nią Hope, uczepiona psiej obroży.

Amy i Brian przyznali, że nie byli stworzeni do zabijania. Tyle, że przyszło im spotkać na swej drodze nieodpowiednich ludzi.

Po pierwsze, żalowali, że zostali zmuszeni do pociągnięcia za cyngiel, nawet jeśli dotyczyło to takiego socjopaty, jakim był Philip Marlowe. Okazało się, że tak właśnie nazywał się Billy Pilgrim, posługujący się jeszcze wieloma innymi ksywkami. Swojego własnego imienia jednak nigdy nie używał, ponieważ szczerze nienawidził wszystkiego, co się z nim kojarzyło.

Ich żal jednak nie był na tyle wielki, by wywoływać wyrzuty sumienia. Ale kiedy myśleli o chwili, w której strzelali do Billy'ego, Michaela czy Vanessy, robiło im się trochę niedobrze, czemu łatwo dawało się zaradzić, zażywając jakiś środek na niestrawność.

Inną ich słabą stroną był brak sceptycyzmu wobec zjawisk nadprzyrodzonych. Amy zawsze należała do osób wierzących, ale o umyśle otwartym, choć przykład rozmowy telefonicznej z dawno zmarłą zakonnica mógł wykraczać poza granice jej łatwowierności.

Brian zatoczył większe koło niż ona, teraz wie, że istnieją rzeczy i zjawiska niewytłumaczalne, wierzy, że w oczach Nickie zobaczył obecność istoty boskiej, może była to niewinna duszyczka zamordowanej córki Amy, obdarzonej mocą powrotu na ziemię w ściśle określonym celu, a może był to po prostu anioł.

Jest przekonany, że odgłosy, które słyszał w swoim mieszkaniu, kiedy obsesyjnie rysował oczy Nickie, wywołane były szumem skrzydeł, co by potwierdzało jego wersję, że to był anioł. Amy z kolei uważa, że skoro nikt na świecie nie zna wyroków boskich ani celów nam przeznaczonych, przeto wolno jej uważać, że Nickie jest zarówno jej zmarłą córeczką, jak i aniołem, co właściwie na jedno wychodzi.

Obydwoje, Amy i Brian, okazali się dobrzy w umieraniu bez ostatecznych konsekwencji. Wtedy, w kuchni domku strażnika, zostali śmiertelnie ranieni. Co do tego nie mają wątpliwości. A jednak są żywi i cali, nawet bez śladów odniesionych ran.

Zgodnie z tym, co mówi Hope – a Hope nie kłamie – Nickie zaciągnęła ją do

kuchni i tam razem przeleciały nad stołem. Hope nieraz już widywała martwych ludzi, ale jeszcze nigdy nie leciała na psie. Puściła obrożę i klapnęła na pupę, wydając tylko okrzyk: Au!

Nickie niczym futrzany pled położyła się płasko na rannych. Na ich pobladłe twarze wróciły kolory, powieki zadrżały, wszystkie blizny, nawet niemające nic wspólnego z ciosami nożem i ze śladami po kulach, wygładziły się, a kilkudniowy zarost Briana zniknął. Amy przypomniała sobie zapomniany przepis na krówki, które robiła przed rokiem, Brian odkrył, że ma ząb mądrości, który przed laty usunął, a wszelkie plamy z krwi na podłodze i na ich ubraniach „wzięły i gdzieś przepadły”.

Hope powiada też, że Nickie podczas kilku pierwszych minut przywracania ich do życia „wylizywała ich w nieskończoność jak głupia”, co by tłumaczyło dziwny smak na ustach, na jaki Brian uskarżał się zaraz po swoim zmartwychwstaniu.

Zarówno Amy, jak i Brian nie mieli wątpliwości, że oprócz fizycznego uzdrowienia doświadczyli też psychicznego i duchowego oczyszczenia, zwłaszcza, że odzyskali spokój ducha wcześniej, niż wskazywałyby na to ich przeżycia. Podobnie można mówić o Hope, której nadzwyczaj dobry stan po dziesięcioletnich katuszach, jakie cierpiała u swojej matki, można przypisać tylko błogosławieństwu łaski.

Hope nauczyła się czytać i pisać na poziomie siódmej klasy. Od wielu miesięcy nie nazywa siebie matolem. A kiedy zdarza jej się tak powiedzieć, płaci za karę dziesiątka ze swojego kieszonkowego.

Mając za sobą doświadczenia wielu nadnaturalnych zjawisk, które dałyby się wyjaśnić naukowo przez psychologów, jak trzymanie w dłoni ołówka, mimo odłożenia go na bok, doznawali też prawdziwych cudów, których efekty przekonywały ich ostatecznie o tajemniczych zjawiskach w życiu. To wcale nie oznacza, by dzięki temu umieli lepiej kierować swoim losem. Dostrzec pewne zjawisko i sensownie je wytłumaczyć to dwie różne rzeczy, przypuszczalnie jedyne osoby, które potrafią zrozumieć sens zjawisk i jednocześnie według nich ukształtować swoje życie, to święci albo łagodna odmiana wariatów. No tak.

Ethel, Fred i Nickie nadal mieszkają wspólnie z Amy i Brianem, tworząc szczęśliwą gromadkę. Trzy dni po pamiętnych wrześnieowych zdarzeniach anielska Nickie żyjąca w kudłatej Nickie powróciła do swojego wiecznego domu. Po dłuższej chwili pieśzotliwego tarzania się na kanapie obwieściła swoje odejście radosnym trzepotem skrzydeł, które roznosiło się po całym bungalowu. Obecnie Nickie, kupiona od pijaka za dwa tysiące dolarów – prawdziwa okazja – jest po prostu

dobrym pieskiem, nie ponadto, chociaż dobry pies to najlepsze, co może się zdarzyć.

Daisy, niewidomy pies Millie i Barry'ego Packardów, następnego dnia po wizycie Nickie odzyskała wzrok, ale trzynogiemu Mortimerowi nie odrosła czwarta noga. Niestety, tak to jest.

Stowarzyszenie Golden Heart rozkwita. Majątek niejakiego Georgiego Jobbsa (nie mylić ze Stevem Jobbsem), tajemniczego, skromnie żyjącego człowieka, wart milion dwieście sześćdziesiąt tysięcy dolarów, został przekazany w całości fundacji Golden Heart. Nikt nie podejrzewał, że Jobbs uwielbiał goldeny, dopóki nie odczytano jego testamentu, w którym napisał, że jedyną istotą, która go kochała, był golden retriever o imieniu Harley. Tak więc niewykluczone, że wymarzone przez Amy centrum dla goldenów zostanie w końcu wybudowane.

Zbyt wiele psów jest maltretowanych i porzucanych – nawet jeden to za dużo – ludzie nadal się zabijają dla pieniędzy, z zazdrości albo w ogóle bez żadnego powodu. Żli ludzie zwyciężają, dobrzy przegrywają, ale to nie koniec. Czasem zdarzają się cuda, których nikt nie widzi, są wśród nas nierozpoznani do końca bohaterowie, ludzie żyją w samotności, ponieważ nie wierzą, że ktoś ich kocha, a poza tym – no, właśnie, Amy i Brian się pobrali.